

KATERINA DIAMOND

# Belfer



Lekcja, której nigdy  
nie zapomnisz...

Katerina Diamond

# BELFER

Przełożył  
Wiesław Marcysiak

---

ZYSK I S-KA  
WYDAWNICTWO

---

Katerina Diamond  
Belfer

Tytuł oryginału  
*The Teacher*

ISBN 978-83-8116-103-9

Copyright © Katerina Diamond 2016  
*All rights reserved*

Copyright © for the Polish translation by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j., Poznań  
2017

Redakcja  
Magdalena Wójcik

Cover design  
Henry Steadman  
Skład i łamanie  
Studio Graficzne Pixelnoiz

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo  
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań  
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67  
faks 61 852 63 26  
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90  
sklep@zysk.com.pl  
www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

## *Spis treści*

Okładka  
Strona tytułowa  
Strona redakcyjna  
Dyrektor  
Ojciec  
Wypychacz zwierząt  
Świeża studentka  
Biznesmen  
Wdowa  
Outsider  
Gospodarz  
Sztuczka  
Morderstwo  
Matka  
Przyjaciół  
Pastor  
Przerwa  
Potwór  
Spowiedź  
Doktor  
Kot  
Pacjent  
Dąb  
Blondynka  
Prezenter  
Muzeum  
Dziekan  
Azyl  
Wypadek  
Dyrektor  
Kapuś  
Sklep  
Córka  
Wojownik  
Krzesło  
Syn  
Koniec

## Rozdział 1

### Dyrektor

Jeff Stone, prowadząc szkolny apel, lustrował morze zniechęconych młodych twarzy i od czasu do czasu spoglądał w górę na stalową konstrukcję atrium. W tym momencie nie miał pojęcia, że o poranku znajdą go tutaj powieszono za szyję.

Jeffrey spoglądał na świeżo wyprasowane białe kołnierzyki i bezczelne twarze skierowane w jego stronę, a raczej w przestrzeń za nim, bo wszyscy nie mogli doczekać się dzwonka. Uczniom podobał się pomysł apelu, dopóki nie musieli się na nim stawić i z bólem przypomnieli sobie, jaka to nuda. Ta ceremonia stanowiła dziwny stan zawieszenia między pracą a odpoczynkiem; cisza przed burzą. Jeffreyowi wydawało się, że zegar jest donośniejszy od jego głosu. Z każdym tyknięciem wskazówki w zapadającej po nim ciszy spodziewał się, że rozlegnie się dzwonek, który wybawi go od apatycznych spojrzeń uczniów i nauczycieli. Wszyscy bezskutecznie udawali zainteresowanie, starając się opanować chęć dłubania w śwędzących nozdrzach. Kiedy wreszcie apel dobiegł końca, Jeffrey przyjął to z taką samą ulgą jak uczniowie, bo nie musiał już bezmyślnie powtarzać anegdot, których nikt nie chciał słuchać, a już najmniej on sam.

Pierwszy znak zwiastujący śmierć pojawił się, kiedy Jeffrey wrócił do swojego gabinetu, gdzie na biurku czekała na niego paczka. Ostrożnie rozerwał szary papier, chociaż wielkość i waga podarunku przypominały mu coś z czasów, o których usiłował zapomnieć. Jeffrey pobladł, kiedy ujrzął zawartość. Była to stara niemiecka książka. Oczywiście wiedział, co to znaczy. To nie było jak grom z jasnego nieba, minęło bowiem dwadzieścia lat, kiedy ostatni raz widział tę książkę, dwadzieścia lat, od kiedy sprezentował ją komuś; duchowi. Ta książka stanowiła niespodziankę, ale kryła w sobie milczącą wiadomość. To oznaczało koniec.

Schował książkę do szuflady biurka; zajmie się nią później. Wziął opakowanie i obejrzał je dokładnie w poszukiwaniu informacji; zobaczył odręczne pismo, a wtedy zjeżyły mu się włosy na karku, bo zrozumiał, że przesyłka została doręczona własnoręcznie. Dlaczego teraz? Czym różnił się ten dzień? Nie żeby to nie był akurat równie dobry dzień na śmierć jak każdy inny, ale przez lata Jeffrey spodziewał się, że zapomnieli o nim, że może mu się upiekło. Jednak teraz wiedział, że nie.

Szedł korytarzami wyłożonymi misterną boazerią, jak zakładał, po raz ostatni. Przesuwał palcami po słojach dębowych paneli, już prawie całkowicie

startych zawyłych rytach. Szkoła Męska imienia Churchilla była dla niego domem od tak dawna. Zastanawiał się, kto zajmie jego miejsce. Budynek liczył całe wieki, stanowił ważną część historii Exeter, był jednym z wielu klejnotów, które ocalały z niemieckich nalotów w 1942 roku, będących odwetem Hitlera za zbombardowanie Lubeki i Rostoku. Był to rozmyślny atak Luft-waffe na pięć najpiękniejszych miast wybranych z przewodnika turystycznego. Podczas tych nalotów część ludności ukrywała się w podziemnych tunelach zbudowanych pierwotnie w celu doprowadzenia wody do średniowiecznego miasta. Obecnie centrum było mieszaniną pięknych starych budynków po obu stronach ulicy prowadzącej ze wschodu na zachód z wciśniętymi między nie na pocieszenie wielkimi, brzydkimi gmachami z cegły, aby zapełnić przepastne leje po bombach. Exeter nadal było pełne historii, ale jednocześnie stanowiło niezapomniane świadectwo okropieństw, które dotknęły ten kraj. Ten budynek jednak ocalał. Szkoła stała dumnie, w osamotnieniu, w otoczeniu drzew; pozostałość po innych czasach. Ciemnozielony bluszcz, zawsze tak gęsty i bujny w semestrze letnim, wczepiał się w strukturę rdzawych cegieł, jakby próbował wciągnąć budowlę z powrotem w ziemię, odzyskać ją. Między innymi dlatego właśnie Jeffrey tak bardzo kochał to miejsce. Tradycyjne i wyjątkowe pośród brzydoty. Obnażona prawda, aby wszyscy ją ujrzeli. To była jego szkoła. Od momentu kiedy jako uczeń przekroczył jej progi, przekonany był do głębi, że to jego miejsce. Tak, Jeffrey nie potrafił sobie wyobrazić siebie gdzie indziej.

— Panie Stone?

Jeffrey odwrócił się i zobaczył, że podchodzi do niego Avery Phillips, przewodniczący samorządu szkolnego. Poruszał się z taką pewnością siebie, jaką rzadko można było spotkać u młodych adeptów nauki w tej szkole. Avery podał Jeffreyowi kopertę.

— Co to?

— To pieniądze z biegu charytatywnego w weekend. Zebraliśmy ponad pięćset funtów.

— Wspaniale, możesz je zanieść do sekretariatu?

— Tak jest, panie dyrektorze. — Avery wykonał zwrot w tył i ruszył korytarzem.

— W zasadzie, Avery, mógłbyś wstąpić do mnie do biura na moment, mam dla ciebie zadanie. — Jeffrey zszedł na bok, kiedy Avery zawrócił i wyminął go, aby zająć dobrą pozycję startową.

Szli żwawo. Jeffrey starał się skupiać wzrok na karku ucznia, a nie na tych pięknych, szerokich ramionach czy też niższych partiach ciała. Niejedno deszczowe, piątkowe popołudnie spędził, oglądając Avery'ego i jego klasę podczas gry w rugby, gdy w czarnych spodenkach taplali się w gęstym błocku, szarpiąc się ze zwierzęcą furią. Ten obraz nawiedzał Jeffreya we snach. Myślał

o szóstoklasistach, a jego pierś przepełniało pożądanie, zresztą nie tylko pierś.

Avery stanął przed drzwiami do gabinetu tak, że Jeff musiał się do niego bardzo zbliżyć, żeby je otworzyć i wejść z cierpkim uśmiechem. Jeffreyowi często wydawało się, że Avery to gracz. Kiedy chłopak usadowił się wygodnie w fotelu naprzeciwko biurka, przyjął wysoce prowokującą pozę, oparłszy się plecami i rozchyliwszy kolana tak, że uda mocno napinały szwy spodni szkolnego mundurka. Głowę pochylił do przodu, wbijając wzrok głęboko w oczy Jeffreya, na wskroś jego duszy.

— Wypiszę ci przepustkę, Avery. Chcę wysłać cię poza kampus, abyś dostarczył ten list.

— Tak jest. — Avery miał rozbiegane oczy, a usta wygiął konspiracyjnie, jakby wiedział, że to ma pozostać ich tajemnicą.

— Avery, najważniejsze, aby nikt się o tym nie dowiedział, cokolwiek by się działo.

— Oczywiście. — Uczeń pochylił się do przodu, nie przerywając kontaktu wzrokowego.

Na skrawku papieru Jeffrey pospiesznie nabazgrał ON WRÓCIŁ i wsunął go do koperty, na której napisał STEPHEN. Na oddzielnej kartce wypisał adres i obie rzeczy wręczył Avery'emu.

— Zanieś to tam, nikomu nic nie mów. — Zamilkł, czekając na wyjście ucznia, a Avery wytrzymał jego spojrzenie. — Och! — Jeffrey zorientował się i wyciągnął z kieszeni zwitek banknotów. Wręczył je wszystkiemu chłopakowi, który się uśmiechnął. — Mogę liczyć na twoją dyskrecję?

— Absolutnie, panie dyrektorze.

Jeffrey wiedział, że może zaufać Avery'emu, bowiem chłopak najbardziej ze wszystkiego lubił dotrzymywać tajemnic. Jeffrey słyszał opowieści o szantażowaniu w bursach za pomocą kompromitujących fotografii, o groźbach wyjawienia oszustw na egzaminach, a nawet pogłoski, że on sam oczernia nauczycieli — kto z kim sypia — aby uzyskać lepsze oceny. Tak, Avery był piątkowym uczniem. Gdyby to nie był koniec, Jeffrey nigdy nie przekazałby listu temu chłopakowi, ale był, więc konsekwencje nie miały znaczenia; on wykonał swoje zadanie.

Jeffrey spoglądał na zewnątrz z okna swojego gabinetu i wiódł wzrokiem za Averym, który wyszedł ze szkoły, zostawiając za sobą azyl kampusu. Gdy chłopak zamknął bramę, Jeffrey ogarnął wzrokiem teren, pusty dziedziniec i skromny budynek bursy. Przez ułamek sekundy zastanawiał się, ile czasu mu zostało. Pewnie powinien zadzwonić do żony, ale co ma jej powiedzieć? Sięgnął po telefon i wpatrywał się w klawiaturę przez kilka sekund, zanim wybrał zero.

— Elaine, proszę nie łączyć do mnie rozmów przez resztę dnia. Muszę skończyć ważną robotę papierkową. — Jeffrey usiadł w fotelu i spojrzął przez okno

na chłopców biegających po boisku; niewiele się zmieniło przez lata jego pracy w tej szkole. Świat na zewnątrz był teraz inny, ale tutaj, w murach tego pomnika przeszłości, dawno zapomnianego, nadal czuło się podnoszące na duchu kultywowanie tradycji i rytuały, które oparły się próbie czasu.

To był rutynowy, nudny dzień w szkole — Jeffrey pracował nad papierami, doprowadzał do końca tyle spraw, ile mógł — ale od czasu do czasu wracał myślą do dziwnej książki w szufladzie. Zawsze był ostrożny, więc nikt nie wiedział o jego skłonnościach, bo to oznaczałoby koniec jego kariery, a on naprawdę kochał swoją pracę. Gdyby ktokolwiek dowiedział się, co czuł do tych chłopców. Jeff pracował tu od ponad trzydziestu lat. Trzydzieści lat i żadnych kłopotów, jak dotąd.

Pragnienie ucieczki z kampusu stało się oczywiste na godzinę przed ostatnim dzwonkiem. W klasach robiło się głośniejsze, a podczas ostatniej przerwy tego dnia korytarze huczały od dzieci, które zazwyczaj przestrzegały rygorystycznych zasad dotyczących poziomu hałasu na terenie szkoły. Kiedy w końcu nadszedł czas i mieszkańcy bursy wrócili do swoich pokojów, a dojeżdżający wsiedli do autobusów, by pojechać do domu, w głównym budynku zapadła cisza.

Jeffrey wyciągnął książkę i dotknął okładki. Już od samego dotyku wracały wspomnienia, niczym dobry przyjaciel sprzed lat. Serce mu waliło, gdy wiodł palcami po tytule *Das Geschenk* — „Podarunek”. Otworzył książkę i zaczął czytać; jego niemiecki nie był już taki jak przed laty, ale i tak znał tę książkę bardzo dobrze. Jeffrey, jako wyznawca minionych czasów, nabył ją ze względu na jej historyczną wartość, jej wgląd w jego „stan” i sposób na jego zmianę. Książka nie była już wznawiana, stała się białym krukiem i trudno ją było znaleźć. Ktoś musiał niezle się natrudzić, a on wiedział, kto to taki. Książka towarzyszyła mu, kiedy szukał odpowiedzi na pytania o siebie, o tym, dlaczego jest taki, jaki jest, i dlaczego musi otaczać się dorastającymi chłopcami, dlaczego nawet na zapach kobiety pozostaje obojętny.

Nastał półmrok letniej nocy i Jeffrey otworzył laptop, pewien, że jest teraz sam w budynku; nawet sprzątaczkę już poszły. Podłączył urządzenie mobilne do prądu, nie chcąc korzystać ze szkolnej sieci, i zalogował się na bezpieczną stronę ze zbiorem zdjęć, nerwowo nasłuchując wszelkich odgłosów w szkole, zanim wprowadził hasło. Liczne foldery, każdy z nagłówkiem innej grupy wiekowej, a w środku następne z innymi imionami, w kolejności alfabetycznej: Jason, Marcus, Robert i tak dalej. Ulubieńcy Jeffreya. Nie należał do tych idiotów, którzy przetrzymywali dowody na twardym dysku, był mądrzejszy i płacił grube pieniądze za własne bezpieczeństwo w *dark net*. Kliknął na pierwszy folder o nazwie „Daniel”, ale ten nie chciał się otworzyć, domagając się drugiego hasła — to było niedopuszczalne. Jeffrey, panikując, próbował otworzyć inne pliki, ale nie był w stanie. Chciał ich się pozbyć, usunąć je, ale nie miał do nich dostępu. Nikt nie wiedział o tych zdjęciach, nawet sami chłopcy. Kto mógł je znaleźć i w jaki



sposób?

Zorientował się, że mruczy starą melodię, zamilkł, ale muzyka dobiegała skądś w starym gmachu, cicha i znajoma. Serce mu stanęło, nadszedł jego czas. Mahler, posępny, najlepszy w swoim rodzaju, rozbrzmiewał niczym pogrzebowy dzwon, a dobrze znana melodia wieściła koniec zapisany w gwiazdach od dziesięcioleci.

Jeffrey otworzył drzwi gabinetu i rozejrzał się po korytarzu, nasłuchując. Dźwięki dochodziły z głównej auli. Ruszył w tamtą stronę, a muzyka przybrała na sile i stawała się bardziej zniekształcona z każdym jego krokiem. Dobrze -pamiętał tę symfonię. Dzisiaj przepełniała ją nostalgia za -czasami, których powrotu może nie powinien pragnąć, za czasami, kiedy sprawiał innym tak wiele bólu.

W tym konkretnym fragmencie mieściła się odpowiednia doza dreszczyku i strachu, które Jeffrey wykorzystywał dla swoich celów w tamtych czasach, co z rozmyślną ironią powinno być ostatnią rzeczą, jakiej wysłucha.

Otworzył dwuskrzydłowe, przeszklone drzwi i od natężenia hałasu musiał zacisnąć powieki, a zniekształcone dźwięki przeszywały go na wskroś. Na podwyższeniu z przodu przestronnej sali stało krzesło, a nad nim wisiała pętla. Po lewej stronie stał stół przykryty czerwonym aksamitem, o niemal rytualnym wyglądzie. Na stole spoczywało piękne, czarne pudełko z drewna. Muzyka umilkła, ale nadal podzwaniała mu w uszach, gdy nastroiły się do ciszy.

— Witaj, stary przyjacielu — rozległ się męski głos, którego nie poznawał, ale przecież minęło tyle czasu.

— Czego chcesz?

— Nie chodzi o to, czego chcę. Chodzi o to, co trzeba zrobić.

— Dlaczego dzisiaj, po tych wszystkich latach? — Jeffrey bał się odwrócić i spojrzeć na swe przeznaczenie.

— Nie wiesz, jaki dzisiaj dzień? Minęło osiemnaście lat. Osiemnaście lat od momentu, kiedy zrozumiałem, jaki z ciebie potwór — mówił bardzo powoli, stanowczo; Jeffrey nie tego się spodziewał.

— Jeżeli sądzisz, że się powieszę, musisz wymyślić coś innego. — Jeff spojrzął na stryczek.

— Nie sądzę, ja to wiem — wyszeptał z taką stanowczością mężczyzna, że Jeffrey zrozumiał, iż nie jest to żądanie.

— Będziesz musiał użyć siły, a wtedy zostaną ślady. Będzie widać, że to nie samobójstwo. — W głosie Jeffreya słychać było panikę, kiedy starał się znaleźć wyjście z tej sytuacji, a z każdym słowem czuł się coraz żałośniej.

— Tak czy inaczej, dzisiaj umrzesz. Dla mnie lepiej, jeśli wyglądałoby na samobójstwo, ale z radością się też zabawię.

— Nie!

— Oj, tak! Żadnych wątpliwości. Byłem tam, pamiętasz? Widziałem, co

masz w środku. Widziałem, jaka choroba ciebie toczy.

— Nikomu nie powiesz. Kto uwierzy w twoje słowo przeciw mojemu?

— Zdjęcia, które zrobiłeś, przemawiają same za siebie. Zdjęcia, które mi wtedy zrobiłeś, nie wspominając o innych chłopcach od tamtej pory. Widzę, że zlikwidowałeś ukryte kamery w szatniach. Bałeś się, że ktoś się zorientuje, jak bardzo lubisz młodych chłopców?

— Skąd się o nich dowiedziałeś?

— Obserwowałem cię. Założyłem ci na komputer keyloggera. To znaczy, że widziałem wszystkie klawisze, które naciskasz, każdą wybraną stronę, każde hasło, każdą wiadomość, którą kiedykolwiek wysłałeś. Zainstalowałem też VPN. Prywatną sieć, przez którą mam dostęp do twojego komputera od kilku tygodni, nie tylko dostęp, ale też kontrolę.

Jeffrey powoli podszedł do stołu, świadom, że w pudełku może znajdować się niemal wszystko, a może nawet broń, co byłoby miłosierdziem. Czuł, że mężczyzna stoi blisko za nim, niemal na wyciągnięcie ręki. Przyszło mu do głowy, żeby sięgnąć po pudełko i zamachnąć się nim mocno, aż rozwali mu twarz. A jeżeli się mylił? Jeżeli tamten nie stał tak blisko? Co wtedy mu robi? Jeffrey nie mógł ryzykować.

\*

— Nigdy żadnego z nich nawet nie tknąłem! — wyszeptał Jeffrey, świadom, jak odrażająco tchórzliwie to zabrzmiało.

— Ale w przypadku ludzi takich jak ty, Jeffrey, to tylko kwestia czasu. Znowu to zrobisz, nie oprzesz się temu. A nawet jeśli nie, możesz dostać ataku serca przy biurku, i gdy przeszukają twoje szuflady, to znajdą pendrive. Widziałem zdjęcia z tych plików. Widziałem, jak patrzysz na chłopców. Ile czasu minęło, odkąd przestałeś patrzeć? Ludzie znajdą te pliki i wyciągną własne wnioski. — Głos był tak chłodny, tak całkowicie pozbawiony emocji, nawet nie drwiący, zupełnie nic. — Nie zapominaj, że ja najlepiej wiem, jak bardzo lubisz patrzeć.

Jeffrey gwałtownie wciągnął powietrze, gdy poczuł na krzyżu dotyk ręki, która powoli przesuwiała się ku górze, delikatnie wślizgując się między jego wystające łopatki. Wyobrażał sobie tę dłoń na swojej nagiej skórze, gdy dotarła do karku, głaszcząc czule, przeczesując przepocone kosmyki potarganych włosów. Jego ciało poruszyło się pod ciepłym dotykiem męskich palców.

— Przestań!

— Na pewno wyobrażałeś to sobie setki razy, kiedy byłem młodszy, kiedy jeszcze byłem w twoim typie. Wtedy nie kazałbyś mi przerywać — wyszeptał mu do ucha mężczyzna. — Tak lubisz, prawda, panie dyrektorze? Cóż, przepraszam, że już nie jestem chłopcem. Teraz jestem mężczyzną.

— Co jest w tym pudełku? — zapytał w końcu Jeffrey, wypuszczając

powietrze.

— Idź i zobacz. Wiem, jak bardzo lubisz mieć wybór, więc daję ci go.

Jeffrey zbliżył rękę i zatrzymał ją w powietrzu nad wiekiem. Było kosztowne, ręcznie rzeźbione, wykonane z czarnego hebanu z trudnym do rozszyfrowania wizerunkiem wyrytym na powierzchni. Zaszło mu w ustach, gdy otworzył je i zobaczył, co jest w środku. Musiał wyteńczyć wszystkie mięśnie, aby nie upaść, gdy spoglądał na zawartość. Czuł, jak krew odpływa mu z twarzy, a sala zaczyna wirować.

— Wiesz, co to takiego?

— Tak — odparł Jeffrey, chociaż nie słyszał już własnego głosu. Spoglądał na metalowy przedmiot w kształcie gruszki.

— Piękny, prawda? Zobacz, jakie delikatne tłoczenia, jakie szczegóły na tych liściach — rozległ się głos teraz tak blisko jego ucha, że aż poczuł ciepły oddech na skórze. — Podnieś ją, hm?

— Nie.

Poczuł, jak dłoń mężczyzny zaciska się na jego karku. Był silny. Mężczyzna naparł na Jeffreya ciałem, co jednocześnie podnieciło go i przeraziło. Po raz pierwszy ujrzał mężczyznę, gdy sięgał po instrument w pudełku. Rękę miał dużą i silną, nieznajomą, a jednocześnie pamięć Jeffreya nawiedziło déjà vu.

— To naprawdę jest dla każdego. Myślałem, że to jest szczególnie przydatne tobie. Gruszka do tortur. Wiesz, kiedy ją wynaleziono, ludzie wierzyli, że karę trzeba dobrać do zbrodni i wykonać ją na organie, którym zgrzeszyłeś. — Zbliżył się bardziej do Jeffreya, wzmacniając chwyt i ścisząc głos do głębokiego szeptu: — Jesteś kłamcą i sodomitą... Jak myślisz, gdzie ci ją wsadzę?

— Proszę... — błagał nadaremnie Jeffrey.

— Pamiętaj, jak to działa? — Puścił Jeffreya i cofnął się o krok, zabierając z sobą gruszkę, i zaczął chodzić. — Jak przekręcę tę śrubę na końcu, wtedy boki zaczną się rozszerzać, aż obwód zwiększy się trzykrotnie. Powiedzmy, że na przykład wsadzę ci to do ust. Oczywiście wpierw będę musiał przedostać się przez zęby... wtedy pewnie wybije kilka przednich. A jak gruszka będzie się powiększać, oczywiście, to większość pozostałych wyleci z korzeniami. Na pewno wyobrażasz sobie, że bez znieczulenia to będzie bolało.

— Przestań...

— Wtedy zuchwa ci się zwichnie, przez co prawdopodobnie spuchnie ci gardło, nie wspominając o tym, jak to urządzenie jest stare, więc pewnie pełno tam bakterii. Zanim drogi oddechowe zamkną się, doznasz tyle bólu, że pewnie nawet nie zauważysz braku tlenu. To będzie powolna śmierć, najprawdopodobniej hipoksja, i główne organy ciała będą się po kolei wyłączać. Przepływ tlenu będzie żalorny, ale nadal wystarczy, aby utrzymać cię przy życiu, a raczej w agonii przez dobrych kilka minut. W kategoriach bólu minuta może oznaczać wieczność.

— Dosyć! — krzyknął Jeffrey, aż poniosło się echo. Spojrzał na swoje zaciśnięte pięści. Pobielały ze strachu.

— Oczywiście, tak będzie tylko wtedy, gdy wsadzę ci to w usta... W ten drugi sposób pewnie nie umrzesz, chociaż podejrzewam, że wolałbyś.

— Usuniesz zdjęcia, jak to zrobię? — Jeffreyowi serce podeszło do gardła, kiedy spojrzał na stryczek, rozumiejąc, że nie ma wyboru, że to zawsze było jedyne wyjście dla niego.

— Jeffrey, zaufaj mi, to dla ciebie łatwe wyjście. Obiecuję, że zniszczę wszelkie dowody, jeżeli zrobisz dla mnie tę jedną rzecz. Wolałbym nie wywoływać zbytnej sensacji twoją śmiercią. Tyle jesteś mi winien.

Jeffrey stanął na krześle, ślizgając się po mocno wypolerowanym parkiecie. Kiedy jego szyja znalazła się w pętli, potrzebował tylko dwóch sekund szaleńczej brawury, a decyzja już nie będzie należała do niego.

— Nie mogę. — Jeffreyowi załamał się głos, a oczy zapiekły od łez; ciepła ciecz spłynęła mu po nodze na krzesło i podłogę.

— Koniec przyjdzie w kilka sekund, dasz radę, wierzę w ciebie. — Czyżby odrobina ciepła w zimnym głosie? — Czy nie tak do mnie mówiłeś?

Jeffrey nabrał powietrza głęboko do płuc, jakby to mogło mu w jakiś sposób pomóc. Krzesło zachybotало się lekko, a on schwycił linę. Nie mógł utrzymać równowagi. Mężczyzna w końcu wyszedł zza niego i stali teraz twarzą w twarz. Ściągnął z głowy czarny kaptur i dumnie spojrzał Jeffreyowi prosto w oczy; to będzie ostatnia rzecz, jaką Jeffrey zobaczy. Jeffrey kopnął krzesło i jego stopy zawisły w powietrzu. Przez sekundę myślał, że uda mu się dosięgnąć podłogi, ale stopy wykonywały desperacki taniec, szukając podparcia, jednak trafiały jedynie w pustkę. Lina paliła z każdym szarpnięciem, a Jeffrey czuł, że nie ma wyboru i musi walczyć; jego ciało kurczowo trzymało się życia, obojętnie, czy tego chciał, czy nie. Potem nastąpiła ciemność, oczy zaszły srebrną poświatą, uśmiech.

## Rozdział 2

### Ojciec

W gorącym słońcu Adrian Miles miał policzki rozgrzane do czerwoności. Pościel przykleiła się do niego, gdy przekręcił się na bok w łóżku, plecami do podniesionych żaluzji. Przypomniał sobie, dlaczego ich nie spuścił, gdy zobaczył dziewczynę, która poruszyła się obok niego i otworzyła oczy.

— Dzień dobry. — Uśmiechnęła się. Adrian cieszył się, że słońce świeci jej w twarz, więc nie widzi, jak on szuka w pamięci jej imienia. — Noc była wspaniała.

— Też tak myślę — skłamał. Nie chodziło o to, że nie bawił się dobrze, może i się bawił, ale fakty były trochę zamazane.

Zadzwoił telefon i Adrian był wdzięczny za to wybawienie.

— Ubiorę się — powiedziała kobieta.

— Halo? — rzucił do słuchawki, nie spuszczać wzroku z Hanny — Anny? — gdy wstała z łóżka i szła naga przez pokój, po drodze zbierając rzeczy z podłogi. Zupełnie nie pamiętał, w którym momencie zeszłej nocy udało mu się złapać tę okazję. Sytuacja była dla niego aż nadto -znajoma. Luka w pamięci, bezimienna, na wpół ubrana kobieta i świadomość, że może następnym razem powinien iść do jej mieszkania, żeby nie musiał być rano miły. Mógłby po prostu zniknąć. Nie po raz pierwszy przyszło mu to do głowy, ale wtedy zawsze był zbyt pijany, aby postępować racjonalnie.

— Adrian, musisz zabrać dzisiaj Toma — rozległ się w słuchawce głos Andrei, chłodny i rzeczowy jak zawsze. Nigdy nie dzwoniła, chyba że nie miała innego wyjścia.

— Nie ma szkoły?

— Szkoła zamknięta, coś tam się stało, przepraszam, że dzwonię tak bez uprzedzenia, ale musisz się nim zająć.

— Nie może sam zostać w domu? — Adrian zamilkł, zanim podjął na nowo, nie chcąc zdradzić swojej bylej jakichkolwiek konkretnych informacji dotyczących jego życia osobistego. Nienawidził stawiać się na jej rozkazy, ale wiedział, że nie ma wyboru; nie, jeśli chciał widywać się ze swoim synem. — Muszę pracować później.

— Nie może sam zostać, ma trzynaście lat, Adrian, nie może być sam cały dzień, weź go po prostu do siebie i posadź gdzieś w kącie, zrób, co do ciebie należy, dobrze?

— Ejże, to ty ustaliłaś zasady, a ja ich tylko przestrzegam. Myślałem, że rozumiesz, jaki ważny jest ten dzień dla mnie... — Starał się nie zdradzać

niechęci... nie miało sensu rozdrażniać Andrei, aby zabroniła mu wszelkich kontaktów.

— Nie rób tego dla mnie, zrób to dla niego.

— Mogę użyć twojej szczoteczki do zębów? — zawołała dziewczyna od drzwi do łazienki. Adrian skrzywił się, zanim skinął głową i odgonił ją ruchem ręki, usłyszał w słuchawce, jak Andrea prycha pogardliwie. Chociaż już wcale nie chciała Adriana i od jakiegoś czasu nie była z nim, nadal potrafiła sprawić, że czuł się, jakby ją w jakimś sensie zdradzał.

— Jest ktoś z tobą?

— Będę za dziesięć minut. — Adrian odłożył słuchawkę i westchnął. Poszedł do łazienki. Dziewczyna stała w bieliźnie i myła zęby jego szczotką. Rzuciła mu pienisty uśmiech w lustrze. Adrian zignorował bolesne pożądanie, gdy ogarniał wzrokiem jej ciało. Dziewczyna splunęła do umywalki, a on westchnął, zanim powiedział: — Muszę lecieć, sama wyjdiesz!

Adrian lustrował podłogę w poszukiwaniu najczystszej pary spodni. Dostrzegł własne odbicie w lustrze pełnych rozmiarów. Na piersi miał ślady po zadrapaniach, a kiedy przebiegł palcami po zmęczonym podbródku, zauważył, że zarost niebezpiecznie zaczyna przechodzić w brodę. Powinien pewnie doprowadzić się do porządku, zanim wróci do pracy, ale tak nie miało się stać. Dzięki tym drobnym przejawom zbuntowania w mniejszym stopniu czuł się jak dziwka. Naciągnął przez głowę wczorajszą koszulę i zgarnął klucze z nocnego stolika.

Adrian nie wyłączał silnika samochodu. Nacisnął klakson i zauważył, że zastony w domu obok poruszyły się, więc postanowił zatrzeć ponownie, aby upewnić sąsiadów, że Andrea nie zawsze była księżniczką, za którą uchodzi teraz, przynajmniej raz zadowolona się byle czym. Dziesięć minut jazdy i znalazł się w innym świecie, wystarczą trzy cyfry w kodzie pocztowym, a jakby wyjechał do innego kraju, czystsze i szczęśliwsze. Nie żeby dolne dzielnice miasta tworzyły jakieś getto czy coś w tym rodzaju. Ta dzielnica z okresu regencji wyrastała ponad centrum Exeter, po więzieniu i dzielnicy czerwonych latarni, w pobliżu uniwersytetu. Wszystkie ogródki przed domami rozkwitały żywymi kolorami. Frontowe drzwi, wszystkie świeżo pomalowane, i starannie wykoszone trawniki. Każdy dom miał bezpośredni widok na maluczkich żyjących poniżej. Nawet wydawało się, że tutaj jest słoneczniej. Światło odbijało się od okazałego, białego domu. Słońca nie rozpraszały niekończące się szare terasy, otaczające mikroskopijną działkę, którą zajmował jego skromny dom po niewłaściwej stronie miasta. Tom podszedł do samochodu, garbiąc ramiona, nadal nieszczęśliwy w ciągle rosnącym ciele. Był tylko dzieckiem, a jednak był zaledwie trzy lata młodszy od ojca, kiedy ten spłodził go z Andream. Teraz gdy Tom znalazł się w wieku dojrzewania, Adrian automatycznie porównywał go do siebie. Widział siebie w nim, tylko że Tom nie miał tych samych zahamowań, przynajmniej Adrian

miał taką nadzieję. Mówią, że pierwsze dziecko jest najbardziej podobne do ojca, aby pomóc w procesie scalania, ale to niespecjalnie pomogło w przypadku Adriana, jeśli już, to tylko go trochę zasmuciło.

W drzwiach stała Andrea, marszcząc brwi. Ubrana była w oficjalną garsonkę, więc można by pomyśleć, że jest prawnikiem czy kimś takim, ale nie, pracowała jako osobisty doradca zakupów w wytwornym domu towarowym, więc nie nastalby koniec świata, gdyby wzięła sobie wolne na jeden dzień. Adrian walczył długo i niestrudzenie o kontakt z Tomem i nie mógł zrezygnować z okazji widzenia się z nim, bo wiedział, że ona wykorzysta to przeciw niemu; taka już była. Jednak wyglądała dobrze, zawsze wyglądała dobrze i pewnie zawsze będzie. Niechętnie powiódł wzrokiem po krągłościach jej jędrnego ciała. Zupełnie jakby została wszyta w ten strój. Na idealnie skrojonej garsonce nie było ani jednej fałdy, ani jednego wybrzuszenia. Czarne, gęste włosy były zaczesane w ciasny, jedwabisty koczek, a jaskrawe, diamentowe kolczyki w uszach połyskiwały na tle jej jasnoczekoladowej skóry. Ludzie często brali Andreę za Hinduskę albo Latynoskę, ale faktycznie była w połowie Angielką, a w połowie Irlandką. Adrian spojrzął na jej pełne, czerwone usta i odwrócił wzrok, zanim ona go przychwyciła.

— Odbiorę go później — powiedziała, zanim zmieniła ton. — Kocham cię, skarbie.

— Cześć, mamó.

Tom wszedł i Adrian ruszył. Znajoma, niezręczna cisza wypełniła samochód. Adrian życzyłby sobie przypisać to zjawisko młodemu wiekowi syna, ale prawda była taka, że zawsze tak się między nimi układało, co drugi weekend przez ostatnie siedem lat. Andrea starała się odciąć go całkowicie, nie doceniając, jak zmotywowany jest Adrian szczególnie w tej kwestii. Pokochał Toma od chwili, gdy pierwszy raz go zobaczył. Starał się zapewnić mu wszystko, co tylko mógł, ale cokolwiek robił, to nigdy nie było dosyć. Zanim Tom skończył dwa lata, Andrea wyszła powtórnie za męża, a ten nowy za wszelką cenę starał się całkowicie uniemożliwić Adrianowi kontakt z synem. W końcu kiedy Tom miał sześć lat, udało mu się uzyskać prawo do regularnych odwiedzin, ale krzywda już została wyrządzona. Stosunki między Tomem a Adrianem zawsze były napięte.

— Co to się stało, że szkoła zamknięta? Wiesz coś?

— Tak, kumpel, Alex, przysłał mi esemesa — odparł Tom, podekscytowany. — Jego tata jest tam nauczycielem. Znaleźli pana Stone'a, powiesił się w atrium, zabił się, na samym środku.

— To taka niespodzianka? — Adrian niewiele wiedział o szkole Toma. Andrea zawsze utrzymywała, że to najlepsza szkoła w okolicy, więc tam go posłała, i to wszystko. Postarała się, aby Adrian zrozumiał, że jego wkład w tej kwestii nie będzie konieczny, więc wszelkie szkolne sprawy pozostawił w gestii Andrei.

— Kurde! — Tom spojrział na ojca, jakby ten oszalał. — Na pewno będzie jakieś dochodzenie.

— Nie, to znaczy, czy był w depresji, miał tendencje samobójcze, czy coś w tym rodzaju?

— Był dość nieszczęśliwy, ale w sumie większość belf-rów w szkole taka jest, wszyscy są spięci, no, wiesz.

— Nadal ci się tam nie podoba?

— Jest spoko, trochę pedalsko.

— Hm, wiele dzieciaków chciałoby chodzić do tej pedalskiej szkoły, Tom. — Chociaż sam Adrian miał dokładnie takie samo nastawienie do tej placówki i na pewno Tom nie poszedłby do niej, gdyby nie pieniądze jego ojczyma.

— Wiem — burknął Tom, osuwając się na siedzeniu.

Wróciła cisza i Adrian skarcił się za taki rodzicielski tekst, nie wiedział zupełnie, jak ma postępować z Tomem. Jego jedyne doświadczenie to własne dzieciństwo i wiedział, że to nie jest norma, więc korzystał z różnych kwestii zasłyszanych w tandetnych serialach. Aby rozproszyć ciszę, włączył radio, wyczuł niechęć Toma do folkowego dżingla, więc zmienił stację. Po kilku minutach manipulowania przycis-kami zrezygnował i wyłączył radio, bo już zajechali przed jego dom.

Jedynie salon Adriana pozostawał na przyzwoitym poziomie. Tom starał się tego nie okazywać, ale nie mógł się doczekać, aby spędzić czas z konsolą do gier taty, choćby z tym. Adrian wydawał znaczną część pieniędzy na zabawki, jak to określało większość dorosłych. Andrea nigdy nie prosiła o alimenty, ponieważ gdy się rozstali, ona prawie natychmiast weszła w związek z dużo starszym, zamożniejszym przedsiębiorcą. Od narodzin Toma, co miesiąc, Adrian wydawał część swoich zarobków na zabawkę dla syna, ale nie byle jaką, tylko kąski dla koneserów. *Star Wars*, *Star Trek*, DC Comics albo Marvel, cokolwiek, co było poszukiwane na rynku, a pewnego dnia będzie należeć do Toma, kiedy będzie na tyle duży, aby to docenić. Co roku Adrian musiał to wszystko ubezpieczać, robiąc szczegółowe zdjęcia i sporządzając spisy wszystkiego, co posiadał, na wypadek pożaru, z czego większość była zdecydowanie nie do odzyskania, ale też niewiarygodnie kosztowna. Ściany w całym jego salonie zajmowały półki od podłogi po sufit wypełnione szczelnie nieskazitelnymi pudełkami. Spróbujcie wytłumaczyć sześciolatkowi, że nie wolno mu się bawić żadną z tych fajnych rzeczy.

Tom usiadł przed wielkim ledowym telewizorem i włączył go. Uruchomił się system surround i cały pokój ożył. -Adrian wiedział, że telewizor jest za duży na to pomieszczenie, ale skusiły go punkty lojalnościowe, więc mimo to go kupił.

— Masz „Zombie Flesh Hunters 2”?

— Ta gra jest od osiemnastu lat.



— Wszyscy koledzy w to grają, pewnie dzisiaj będą grali online, nie powiem nic mamie — powiedział Tom.

— Hm, masz tylko dwie godziny, zanim będę musiał jechać do pracy — odparł Adrian.

— Do kurwy nędzy!

— Tom! — krzyknął Adrian, a siła jego głosu zatrzęsała nim całym, wziął głęboki oddech, syn wytrzeszczał na niego oczy. Adrian poczuł, że stoi za nim duch jego ojca, otrząsnął się. — Kolego, uważaj na swój język, proszę.

— Nie jestem twoim kolegą — zasyczał Tom.

Adrian otworzył szafkę i rzucił grę synowi, dostrzegając zwycięski cień w uśmiechu Toma. Wyszedł z pokoju, nienawidził podnosić głos, ale jeszcze bardziej nie cierpiał, jak nim się manipulowało.

Wszystkie ślady kobiety zniknęły z sypialni, jedyny dowód jej bytności to zasłane łóżko, a jego ubrania leżały nie na podłodze, tylko w koszu. Nawet ten mały gest sprawił, że czuł się jak w pułapce. Oczywisty podtekst to strach przed związkiem. W przypadku Adriana była to fobia. Kiedy Andrea od niego odeszła, zabierając syna, obiecał sobie, że nigdy więcej nie znajdzie się w takiej sytuacji; czuł się, jakby wyrwano mu serce. Ktokolwiek powiedział, że lepiej jest kochać i stracić, nie miał najwyraźniej bladego pojęcia, o czym mówi. W łazience znowu spojrzął w lustro. Sprawdził, czy oczy jeszcze ma przekrwione. Jako że minęło pół roku, odkąd wolno mu było wejść na posterunek, to nie powinien wracać do pracy jak pijak, nie po tym, jak stamtąd odszedł... a raczej jak poproszono go, aby się wyniósł. Zeszłej nocy jednak musiał sobie dodać odwagi, więc się napił, poznał kobietę. To ta sama stara historia, tylko jedna noc. Wszedł pod prysznic. Przez drzwi dochodziły do niego mrozące krew w żyłach wrzaski i wystrzały, gdy zmywał z siebie kaca i cokolwiek, co jeszcze pozostało po tym wyskoku.

Adrian stał przed posterunkiem policji i żałował, że rzucił palenie. Wziął głęboki oddech i wszedł przez przeszkolone drzwi, ciągnąc za sobą Toma.

— Cześć, Tommy. — Denise Ferguson rozpromieniła się za biurkiem, najwyraźniej starając się uniknąć kontaktu wzrokowego z Adrianem. Podejrzewał, że nie będzie to ostatnie niezręczne spotkanie tego dnia.

Gdy pchnął kolejne dwuskrzydłowe drzwi, zauważył, że zmieniła się głośność dyskusji, a wraz z nią tempo, wszyscy jakby zwolnili. Poczuł na sobie spojrzenia, więc spuścił wzrok na podłogę i podszedł do swojego biurka.

— Detektywie Miles? — Adrian podniósł głowę. Główny detektyw inspektor Morris stał w drzwiach swojego gabinetu. — Możesz tu przyjść?

Adrian dał znak Tomowi, aby poczekał, zanim wszedł do biura szefa. Tom wyciągnął swój telefon i zaczął się bawić, podłączając słuchawki, aby uniknąć nadgorliwej opiekuńczości ze strony kolegów taty. Morris zamknął drzwi za Adrianem, który z wdzięcznością na moment opuścił tamten pokój.

— Inspektorze Morris — zaczął Adrian.

— Siadaj, proszę, Adrian.

Adrian usiadł, czując się jak winowajca, bo nie zapraszano tu nikogo bez powodu, czekała go poważna rozmowa. Główny detektyw inspektor Morris nie wyglądał choćby na o dzień starszego niż wtedy, kiedy Adrian poznał go przed ponad dwudziestu laty. Oczywiście wtedy Morris wyglądał na sześćdziesiąt lat. To przez łysinę; trudno jest ocenić wiek mężczyzny, który wcale nie ma włosów. Adrian uświadomił to sobie, kiedy na początku pracy spisywał zeznania świadków — jeżeli wplątany był łysy mężczyzna, można było sobie darować nadzieję na rzetelny opis; zeznania obejmowałyby nastolatków, emerytów i wszystkich pomiędzy, w zależności od wizualnych zdolności samych świadków.

— Inspektorze.

— Dobrze, że wróciłeś, brakowało nam ciebie.

— Inspektorze, w kwestii tego, co się stało...

— Adrianie, jeżeli chodzi o mnie, to sprawa zamknięta, zdarzają się takie rzeczy, może nie powinny, ale zdarzają się. Śledztwo zakończone, a pół roku to według mnie dosyć, abyś doprowadził się do porządku. Rozkaz „Żadnych więcej działań” jest lepszy niż nic. Przynajmniej następnym razem będziesz wiedział, że trzeba bardziej uważać przy zapisywaniu dowodów.

— Nie będzie następnego razu. — Adrian wzdrygnął się. — I dziękuję za to wstawiennictwo za mną na komisji.

— Odbyłeś karę, wszyscy popełniamy błędy, sam przez te lata miałem parę potknięć. — Morris podniósł głowę, gdy do szklanych drzwi ktoś delikatnie zastukał. — Ach, mówiąc o błędach. — Wziął głęboki oddech i dał znak kobiecie stojącej za drzwiami. — Wejdz!

— Detektyw Morris? Jestem Imogen Grey.

— Tak, wiem, kim jesteś. Idealne wycucie czasu, wejdz i siadaj, proszę, sierżant Grey.

Zaniedbana brunetka usiadła obok Adriana i natychmiast zaczęła nerwowo skubać paznokcie u kciuków i zagryzać wargę. Miała na sobie bezkształtną bluzę dresową i workowate bojówki. Założyła nogę na nogę, odsuwając się od Adriana, i nie spojrzała na niego choćby raz.

— Przepraszam za spóźnienie.

— Sierżant Grey, poznaj detektywa sierżanta Milesa, będziecie razem pracować przez jakiś czas.

— Szefie? — wtrącił Adrian. Czy jej zadaniem było pilnować, aby on znowu nie narobił bałaganu?

— Wiem, że to nie jest idealne, ale Grey właśnie przeniosła się z Plymouth i potrzebny mi ktoś godny zaufania, aby wprowadził ją w procedury.

— To znaczy, żeby niańczył? — Grey zmarszczyła czoło. Adrian

uświadomił sobie, że to nie on jest tutaj pod nadzorem; ona najwyraźniej miała wrogi i obronne nastawienie względem czegoś. Też miała przechlapane.

— O, dobrze, para naburmuszonych nastolatków, powinniście się dogadać.  
— Morris podszedł do drzwi. — Zostawię was, żebyście się sobie przedstawili.

Grey nie spojrzała na Adriana. Zamiast tego udawała zainteresowanie przydziałowymi policyjnymi plakatami. Adrian wiedział, na co ona czeka — aż on pierwszy się odezwie. To było dziecinne. Szanował to.

— Hm, musiałaś coś poważnie spieprzyć, skoro przydzielili cię do mnie. — Adrian zaśmiał się i wstał. — Chodź, załatwimy ci kody dostępu.

— Dlaczego? A co zrobiłaś? — Po raz pierwszy od wejścia do pokoju spojrzała na niego, a on dokładnie przyjrzał się jej twarzy. Piegowata skóra łuszczyła się na nosie i policzkach, kobieta dużo czasu spędzała na powietrzu. Jej piwne oczy ocieniały najdłuższe i najciemniejsze rzęsy, jakie kiedykolwiek widział. Ani śladu makijażu; i nie miał pojęcia, ile może mieć lat, a po ubraniu wnosił, że to piętnastoletni chłopak.

— Zgubiłem parę dowodów i pozwoliłem dużemu dilerowi ująć bez kary. Widzisz, prawdziwy moment przełomowy w karierze.

— Zawsze jesteś taki szczery? — Twarz Grey rozluźniła się i pojawił się na niej beczelny uśmiech. Adrian podejrzewał, że ulżyło jej, że on też popadł w niełaskę.

— Zdecydowanie nie. Ale skoro mamy pracować razem, to wolę, abyś dowiedziała się tego ode mnie, Grey.

— To chyba sensowne. — Uśmiechnęła się niechętnie.

— Więc co takiego zrobiłaś? — Adrian przytrzymał drzwi, natychmiast pojmując swój błąd, gdy ona je chwyciła i dała mu znak, aby przeszedł pierwszy.

— Nie twój interes. — Puściła oko. Adrian już spodziewał się, że zaraz klepnie go w tyłek, i chociaż się mylił, to pomyślał, że jej też to przyszło do głowy.

## Rozdział 3

### Wypychacz zwierząt

Spoglądała w paciorki oczu martwego kota, jego lśniące futro nadal było miękkie w dotyku. Kiedy przesunęła palcem po jego utwardzonym brzuchu, zauważyła, że unoszą się pod nim obłoczki kurzu. Nakleiła żółtą nalepkę na zwierzę, żółta oznaczała „odnowić”, temu zwierzęciu należało przywrócić dawną świetność albo jak najlepiej przybliżyć coś nieżywego do czegoś, co kiedyś żyło. Abbey Lucas od pięciu lat pracowała w Eden House Memorial Museum, nigdy nie wybrała się na żadną z czterech głównych wystaw, prawie wcale nie rozmawiała z innymi pracownikami i nigdy nie zajmowała się zwiedzającymi, po prostu pozostawała tutaj, w pomieszczeniach archiwum. Przez ostatnie pięć lat pracowała z tysiącami wypchanych zwierząt, począwszy od kangura po dziobaka, od pospolitej kozy po ten niesamowity przykład ewolucji, geparda. Zastanawiała się, dlaczego nigdy nikomu nie chciało się wypychać krów albo owiec, może były zbyt nudne, aby marnować na nie pieniądze. Chociaż Abbey zawsze uważała krowy za piękne, z tymi wielkimi, smutnymi, brązowymi oczyma.

Abbey poszła do głównego holu, gdzie uwijali się tragarze. Ustawiali na nowo hol po tygodniowym zamknięciu na remont. Cały budynek przechodził renowację, gdy muzeum otrzymało w darowiźnie dużą sumę pieniędzy po śmierci poprzedniego dyrektora przed kilkoma miesiącami. O fundusze na odbudowę muzeum starali się od piętnastu lat. Od dłuższego czasu tylko czternaście z możliwych trzydziestu dwóch sal wystawowych było otwartych dla publiczności, a większość mniejszych na drugim piętrze była zamknięta. Przed dwudziestu laty muzeum spustoszył pożar, wynik spięcia, wadliwej instalacji i нефункционującego bezpiecznika, co spowodowało zniszczenia w przynajmniej jednej czwartej budynku. Jako że właściciele nie byli w stanie natychmiast przeprowadzić napraw, niektóre z pomieszczeń zostały wyłączone z użytkowania albo wykorzystywane jako magazyny, dopóki nie zostanie zebrana odpowiednia ilość środków na remont. Neogotyckie muzeum, wybudowane w osiemnastym wieku, mieściło przeróżne celtyckie i rzymskie artefakty odnalezione w okolicy. Stanowiło ono także dom dla wielkiej menażerii rozmaitych zwierząt, kostiumów i skamielin. Na szczęście zniszczenia w dużej mierze były powierzchowne. Nowy kolor ścian to czerwień cynobrowa, prawie jaskrawy pomarańczowy. Abbey uważała, że nie pasuje do miejsca takiego jak to. Było krzykliwe i bez gustu. Czerwień w każdym razie miała się nijak do burej georgiańskiej szarości, która dominowała w każdej sali, od kiedy Abbey zaczęła tu pracować. Teraz każde pomieszczenie miało swój kolor, wybrany przez projektanta. Oczywiście najbardziej uderzające musiało być wejście. Nie był

to zaledwie kolor zaakcentowany, ale pełen atak na zmysły.

— Abbey! — wykrzyknął z tryumfującym uśmiechem pan Lowestoft, dyrektor. Był to łagodny starszy pan. Jak dziadek, w okrągłych okularach, o rumianych policzkach i z zabawną muchą, zawsze darzył ją ciepłym uczuciem. Było tak od samego początku. Nie tylko przywitał ją, ale sprawił, że czuła się tu jak w domu. Za każdym razem witał się z nią jak z ukochaną krewną. Pan Lowestoft był jedną z niewielu osób, przy których odczuwała spokój.

— O, dzień dobry. — Uśmiechnęła się, naprawdę szczerze i ciepło. Rzeczywiście ucieszyła się na widok staruszka. Rzadziej zjawiał się w muzeum, od kiedy zdiagnozowano u niego nowotwór. Skończone, w pełni funkcjonujące muzeum miało stać się jego spuścizną.

— Ach, Abbey, miałem nadzieję, że tu będziesz. Co sądzisz? Podoba ci się?  
— Lowestoft promieniał dumą.

— Wygląda niesamowicie. — Nie miała serca zareagować inaczej.

— Uniwersytet zapytał mnie, czy w niedalekiej przyszłości znaleźlibyśmy miejsce dla jednego z ich doktorantów, gdy będzie pisał pracę z ochrony dóbr historycznych, czy czegoś w tym rodzaju. Pomyślałem, że byłabyś najlepszą osobą, która mogłaby się nim zająć.

— Ja? — Nie wiedziała, jak mogłaby inaczej zareagować. Przywykła do samodzielnej pracy, tak jej się podobało.

— Ach, i mam jeszcze jedną niespodziankę dla ciebie! Chodź, zobacz! — Starszy pan podszedł do czegoś dużego przykrytego płachtą, ona podążyła za nim niechętnie. Nie cierpiała niespodzianek. Lowestoft pociągnął za płachtę, a przed nią pojawiła się maska samuraja w grymasie, spoglądająca na nią z wysokiego szkieletu. Jego zbroja ze sztywnej skóry była wypolerowana do tego stopnia, że Abbey widziała w niej swoje odbicie. — Nigdy nie rozumiałem, dlaczego trzymamy to ukryte na górze. To jeden z moich ulubionych eksponatów.

Na masce widniał złowieszczy uśmiech, a w miejscu oczu ziały dwie czarne dziury. Dwa demoniczne, czerwone rogi sterczały z hełmu, górując nad twarzą, i były ostre jak brzytwa, groźne. Zapomniała już, jak paskudna jest twarz wojownika. Minęły lata, od kiedy ją ostatni raz widziała. Zawsze wybierała dłuższą drogę, aby tylko nie znaleźć się obok niego. Jego twarz zawsze wydawała się taka nieludzka, a ona czuła, jak wpatruje się w nią czarna nicość. Zorientowała się, że odruchowo cofnęła się o krok. Nie chciała doznać ataku paniki; musiała się od niego oddalić.

— Tu wygląda idealnie. — Cofnęła się jeszcze bardziej, zdenerwowana i zdezorientowana.

— Nic ci nie jest, Abbey?

— Nie, wszystko dobrze. Muszę iść do toalety.

Abbey pobiegła do łazienki zarezerwowanej dla zwiedzających i spryskała

twarz zimną wodą, próbując znormalizować temperaturę skóry. Czują, jak ją pali. Naprawdę nie lubiła niespodzianek.

Wyszła z łazienki na pusty korytarz. Cisza muzeum potęgowała jej samotność, cichy poszept nastrojowej muzyki w odległym zakątku muzeum na granicy słyszalności. Odwróciła się i wpadła wprost na ochroniarza.

— Dużo pracy? — Shane Corden stał na jej drodze. Utlenione włosy przyklejały się mu do połyskującego czoła.

— Tak. — Próbowала go wyminąć, ale on znowu zastąpił jej drogę. Lubił takie gry tylko dlatego, że wiedział, jak bardzo ją denerwują. — Przepraszam, muszę pomagać w przygotowaniach do otwarcia. Zostały nam tylko dwa miesiące. Nie musisz gdzieś być?

— To ci nie przeszkadza? Cały dzień dotykać martwych zwierząt? — Zassał dolną wargę powoli i wbił w nią wzrok.

— Właściwie to nie. — Znowu spróbowała go obejść, ale tym razem ochroniarz zbliżył się bardziej. Wyczuwała w jego oddechu papierosy i alkohol, gdy niemal dotykał stopami jej stóp. To tylko gra, on nic nie wie, powtarzała sobie ciągle na nowo. Musiała zdecydować, czy spojrzeć mu w oczy, czy spuścić wzrok. Chciała zrobić to drugie, ale właśnie tego on też chciał. Wytrzymała więc jego spojrzenie, mając nadzieję, że on nie zobaczy ciemności w jej oczach. Wiedziała, że chce jedynie, aby poczuła się nieswojo. Chce wykorzystać tę odrobinę władzy, jaką ma na tym świecie wobec drugiej osoby, która będzie musiała zareagować. Lubił bawić się w to z kimś, kto łatwo się denerwował.

Spuścił wzrok na jej piersi, ukryte pod oliwkową bluzką. Abbey starała się nie oddychać mocno, aby nie karmić jego myśli. Czują, jak płuca jej się zaciskają, a usta pragną wciągnąć powietrze. Wolałaby raczej zemdleć, niż dać mu satysfakcję. On jednak wycofał się, nadal wbijając wzrok w jej ciało.

— To miłego. — Uśmiechnął się, zaciskając dłoń mocno na pałce, końcówkę oplatając palcami. Abbey powoli odetchnęła, tak lekko, jak to tylko możliwe. Była z niego prawdziwa menda, ale przynajmniej nie krył się z tym. Zanim zdążyła nabrać w pełni powietrza, już go nie było. Czmychnęła z powrotem do swojego ciemnego zakątka w muzeum. Jak na jeden poranek tyle interakcji społecznej jej wystarczyło.

W południe Abbey poszła do stołówki, jak zawsze, po swój lunch, który codziennie spożywała przy tym samym stoliku. Rutyna obejmowała wszystko, łącznie z brązową spódnicą ze sztruksu, którą nosiła pod koniec każdego tygodnia. Dużo nie było trzeba, aby wzbudzić w niej niepokój. Na szczęście to muzeum nie było ani popularne, ani tłoczne, jeżeli ludzie interesowali się czymkolwiek w dzisiejszych czasach, to sprawdzali to w internecie, co Abbey bardzo odpowiadało. Dzisiaj wzięła kanapkę z tuńczykiem; w piątek w muzeum serwowano ryby, pan Lowestoft nalegał, aby trzymać się tego religijnego reliktu

z czasów, kiedy ludzie mieli zasady.

Abbey szczerze lubiła swoją pracę. Nie wyobrażała sobie, aby mogła robić coś innego. Lubiła pracować codziennie z dobrze poznanymi, dobrymi ludźmi, a poza Shane'em były to w większości rozsądne osoby. Abbey podobało się też to, że może spędzać większość dni samotnie, jedynie w towarzystwie martwych zwierząt.

— Czy to miejsce jest zajęte?

Abbey podniosła wzrok na nieznajomego. Usta miała pełne jedzenia, więc przełknęła szybko, aby odpowiedzieć. W stołówce było pusto, więc nie mogła powiedzieć, że jest zajęte. Czy on potrzebował tego konkretnego krzesła? Czy zamierzał usiąść razem z nią?

— Nie — w końcu udało jej się wydobyć głos.

Mężczyzna postawił tacę obok niej i usiadł, uśmiechając się. Rozgościł się, zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła. Był młody, szczupły, o długich, czarnych włosach. Chociaż był zdecydowanie starszy od niej, Abbey nie potrafiła określić jego wieku. Wyglądał dziwacznie, odmiennie. Szczególne były jego oczy, zimne i szare jak rżnięte w szkło. Abbey musiała zapanować nad sobą i nie wpatrywać się w niego.

— Parker, Parker West. — Wyciągnął rękę nad stołem. Abbey wytarła dłoń w spódniczkę, aby usunąć ślady tuńczyka z majonezem, i podała mu.

— Dzień dobry.

— Jesteś Abigail Lucas? — Mężczyzna znowu się uśmiechnął, ona nie mogła ukryć zaskoczenia... Skąd znał jej nazwisko?

— Kim...

— Nie powiedzieli ci? Będę pomagał ci w archiwum. Zrobiłem magistra z archeozoologii, a teraz piszę doktorat — wyjaśnił, niemal zażenowany.

— Ach, tak, pan Lowestoft wspominał. Nie wiedziałam, że to będzie dzisiaj.

Sama już przerobiła Australazję i Amerykę Południową, katalogując każde zwierzę osobno, zapisując region pochodzenia oraz miejsce w łańcuchu pokarmowym. Aż do teraz miała pełną władzę, by decydować o losie tych stworzeń. Mogła oznaczyć zwierzęta do restauracji albo do zniszczenia. Gdy tylko było to możliwe, decydowała się, by je zachować, chociaż wydawało się to daremne — jak dotąd skazała ponad dwieście zwierząt na spalarnię, miejsce ich ostatecznego spoczynku. Najgorsze przypadki znajdowały się w -północno-wschodnim narożniku budynku, gdzie przeciekał dach, czego nazbyt długo nikt nie zauważył. Nie udało jej się uratować żadnych z nich; pleśń i zgnilizna wniknęły zbyt głęboko i rozkład zaszedł za daleko. Nie była pewna, czy może zaufać nieznajomemu i powierzyć mu tak odpowiedzialne zadanie.

— Właśnie mówił, że przyda ci się pomoc. To muzeum mieści szczególnie duże zasoby gatunków i podgatunków; to dużo jak na jedną osobę... aby uporała

się w dwa miesiące, prawda?

— Dam sobie radę — powiedziała przepraszająco, w głębi duszy łając siebie za jednoczesne przepaszanie.

— Och, nikt nie twierdzi, że nie dasz. Szczerze mówiąc, zgłosiłem się jako wolontariusz, nikt mi nie płaci. Piszę artykuł do doktoratu, rozumiesz, hm, nie będę cię zanudzał szczegółami, ale zrobisz mi wielką przysługę, jeżeli pozwolisz się przyłączyć, może nawet przysłużę się swoją wiedzą w oznaczaniu, przynajmniej tyle, ty oczywiście będziesz musiała zająć się samym odnawianiem.

— Jeśli uważasz...

— Ostateczna decyzja należy do ciebie, mój los jest w twoich rękach. — Spojrzenie miał lekko błagające, ale łobuzerskie. Chciała się do niego uśmiechnąć, ale nie mogła, bo to nie było w jej naturze. Ludzie, jak wiedziała, rzadko są tacy, na jakich pozują. Zawsze pojawia się kłamstwo, zawsze zasłaniają się maską.

— Witaj, Parker, mów mi Abbey — zdecydowała po chwili. Będzie musiała z tym się zmierzyć.

— Miło mi ciebie poznać. — Uśmiechnął się lekko. Jego niecierpliwość była widoczna, kiedy zmagął się z lunchem, spiesząc się, aby już pójść do jej małych martwych przyjaciół.

Pomyślała o tych wszystkich zwierzakach, które samodzielnie przejrzała, i postanowiła, że może to wcale nie koniec świata. To nie znaczyło przecież, że pan Lowestoft nie ufa jej, a jedynie, że nie musi się spieszyć i tak bardzo przejmować terminami wyznaczonymi samej sobie. Najtrudniejsza decyzja, jaką podjęła, dotyczyła małego stworzenia, którego numery identyfikacyjne zrujnowała woda i wilgoć. Nie potrafiła zidentyfikować tego zwierzęcia ani odnaleźć go w jakiegokolwiek encyklopedii. Może zostało zmagazynowane w niewłaściwym dziale geograficznym, ale to jej nie ratowało — wiedziała, że to samica, bo sutki miała jeszcze powiększone po niedawnym macierzyństwie. Abbey zastanawiała się, jaki był los tego małego zwierzaka. Policzki miał zniszczone przez mole, ale ciemne oczy były spokojne. Gdy Abbey dotykała palcami drobnej dziury po kuli na piersi zwierzęcia, wypełził z niej pajak i przestraszona Abbey upuściła eksponat, roztrzaskując resztki pyska. Abbey nie mogła powstrzymać łez, gdy przyklejała czerwony znaczek. Zastanawiała się, czy potomstwo tego stworzenia spotkał taki sam los, czy przeżyły choć odrobinę dłużej. Może udało im się odchowić własne potomstwo. Chciała w to wierzyć.

Kiedy zabrała Parkera na piętro, gdzie przechowywano wszystkie azjatyckie zwłoki, zauważyła, jak bardzo to na niego działało. Nie mógł od nich oderwać oczu, jak dziecko podczas pierwszej wizyty w sklepie z zabawkami, które nie wie, od czego zacząć, co zepsuć najpierw.

— Chodź za mną. — Poprowadziła go w odległy kraniec sali, jej głos niósł się echem, podobnie jak jej kroki, gdy stuknęła obcasami o wypolerowany parkiet.



Pomieszczenie oświetlał podwójny rząd zielonych luksferów umieszczonych w miejscu pierwotnych okien, kiedyś zabitych deskami, gdzie po pożarze umieszczono metalowe regały; metal nie palił się jak drewno. Wszystko w pomieszczeniu spowijał lekki odcień zieleni, jakby zamoczono je w chartreuse, miodowozielonym likierze. Słyszeli muzykę sączącą się z sąsiedniej sali przez metalowe kratki wentylacyjne osadzone ponad dębową listwą. Ta sama muzyka grała codziennie, od kiedy zaczęła tu pracować. Nie знаła tytułu, ale była to muzyka klasyczna. Czasami melodię odtwarzała w myślach, gdy próbowała zasnąć w nocy. Spojrzała na Parkera i zauważyła, jak stara się to wszystko ogarnąć, patrząc w górę i w dół, czasami wydając okrzyk na widok czegoś.

— To niewiarygodne — mruzczał. Abbey odniosła wrażenie, że nie zamierzał tego wypowiedzieć głośno. Zazwyczaj kiedy ludzie dowiadywali się, z czym ma do czynienia na co dzień, robili zdziwioną minę i mówili coś w rodzaju: „O, to fajne”, z trudem markując szczerłość, gdyż myśl o wypychaniu martwych zwierząt była dla nich zdecydowanie odrażająca, chociaż byli w kompletnym błędzie. Reakcja Parkera stanowiła miłą odmianę, Abbey była dumna ze swojego zajęcia. To jedyne, co miała.

— Zasadniczo pracujemy, opierając się na klasyfikacji dziesiątej Deweya, więc pierwsze dwie cyfry oznaczają kontynent, następne trzy to gatunek, a za nimi...

— Tak, wiem, jak to działa.

— Dobrze, przepraszam.

— Nie, nie chciałem być niegrzeczny, proszę, nie zwracaj uwagi na moją... osobowość, czasami potrafię być trochę... Przepraszam. Dziękuję, że poświęcasz swój czas, aby mi wyjaśnić. Mów dalej. — Szukał słów, tym razem ona nie mogła opanować uśmiechu.

— Trzeba oznaczać zwierzęta według numerów w rejestrze, a potem zdecydować, czy są do zachowania, czy nie. Wszystkie, które mogą być odświeżone, trzeba oznaczyć żółtą nalepką, a czerwoną te, których nie ma sensu zachowywać. — Podała mu nalepki.

— Wszystko jest sens zachować — odpowiedział z namysłem, spoglądając na kolorowe kartki w dłoni, na wskroś przez papier. Ona przyglądała się jego twarzy, nie potrafiła odwrócić wzroku. Skórę miał bladą, a włosy tak czarne w zestawieniu z nią. Delikatne loki podkreślały jego kościste rysy. Parker szybko podniósł wzrok, biorąc głęboki wdech, jakby na moment zapomniał, że nie jest sam.

Abbey przyglądała się, jak Parker pracuje. Gdy już zaczął, nie odzywał się do niej ani słowem. Czasami słyszała, jak coś mamrocze do siebie, ale zasadniczo było tak, jakby pracowała sama. Cisza nie była wcale napięta czy niezręczna, była po prostu ciszą, z którą obojgu najwyraźniej było dobrze. Od czasu do czasu

wyciągał mocno podniszczony notes w skórzanej oprawie i notował coś, po czym chował go do kieszeni. Abbey zastanawiała się, co pisze, o czym jest jego artykuł.

Dzień zbliżał się ku końcowi, naturalne światło ze szklanych luksferów przeszło w pomarańczową poświatę wraz z nadciągającym zachodem słońca.

— Parker! — Abbey zawołała po raz czwarty, próbując zwrócić jego uwagę, gdy zacięcie skrobał w notesie, całkowicie tym pochłonięty. Zaskoczony, niemal przestraszony, podniósł wzrok, a potem na jego twarzy pojawił się łagodny uśmiech, jakby właśnie śniło mu się coś koszmarnego, a teraz wrócił do rzeczywistości.

— Która godzina? — Spojrzał w świetliki, nieomal zaskoczony ciepłym zmierzchem, który podpełzł do nich powoli.

— Już siódma wieczór. Normalnie nie pracuję do tak późna, ale mocno nadrobiliśmy pracę, jesteś bardzo pomocny.

— Aj! Siódma! Muszę wracać do domu.

— Przepraszam, powinnam była pomyśleć, żona musi się martwić.

— Tak, Sally będzie zmartwiona... i pewnie trzeba ją nakarmić i wyprowadzić. — Parsknął na widok zaskoczonej i lekko zażenowanej miny Abbey. — To mój pies.

Abbey zarumieniła się, mając nadzieję, że nie pomyślał, że chce go wypytywać o życie osobiste, wcale nie, nie chciała. Wyczuwała, że to nawet nie przyszło mu do głowy.

Po wyjściu Parkera muzeum zrobiło się wymarłe. Wychodząc, Abbey minęła recepcję. Samuraj stał znieruchomiały w szklanej gablocie przy wejściu. Włosy jej się zjeżyły na karku, gdy spojrzała na niego bacznie w tym świetle. Był nieruchomy, nie mógł jej skrzywdzić ani nikogo innego, ale nadal czuła, że na nią patrzy, opierając dłoń o kataną.

— Jeszcze tu jesteś?

Okręciła się na pięcie i zobaczyła Shane'a stojącego tuż za nią. Miał na sobie biały podkoszulek; tatuaże tworzyły antologię jego życia. Oddane w tuszu tribale i kolczaste róże, banalny asortyment. Napiął mięśnie, naciągając koszulę. Abbey nie była pewna, co chciał tym osiągnąć, czyżby próbował ją przestraszyć? Chociaż była sama, nie bała się go.

— Właśnie wychodzę. — Ruszyła do drzwi.

— Widziałem cię z tym dziwakiem, z tym nowym. — Shane uśmiechnął się i zbliżał się do niej, zapinając guziki koszuli. — Jest za dobry dla ciebie. Wiesz o tym, co?

Abbey położyła rękę na torebce. Wystarczyło tylko, że wsunie palce do środka, a tam znajdują się jej narzędzia, razem z zaufanym skalpelem. On nawet nie poczuje, jak ostrze zatopi się w jego skórze. Stał była tak ostra, że zorientuje się dopiero, kiedy zobaczy krew i chwyci się za szyję, despe-racko próbując zatrzymać

życie, zanim odejdzie. Wiedziała, jak ciąć, żeby było szybko; potrafiła operować skalpelem. Zastanawiała się, czy tryskająca krew będzie widoczna na tych okropnych czerwonych ścianach. Odsunęła rękę i chwyciła klamkę drzwi wyjściowych.

— Nie zapomnij zamknąć na klucz — powiedziała i z bijącym sercem wymknęła się na zewnątrz. Spojrzała z góry stopni przed muzeum i zobaczyła Parkera, który stał w dole i czekał. — Myślałam, że poszedłeś do domu.

— Pomyślałem, że będziesz tam sama z Shane'em, a widzę, że nie bardzo za nim przepadasz.

— Skąd wiesz? — spytała Abbey, schodząc do niego. Nie podobało jej się, że ktoś może wiedzieć, co ona myśli lub czuje, że takie rzeczy mogą być oczywiste, bo wtedy czuła się obnażona.

— Po prostu dostrzegam takie sprawy — odparł cicho i wziął głęboki oddech. — Pomyślałem, że odprowadzę cię do domu, już prawie ciemno. — Zrobił niezdarny krok.

— A co z twoim psem? — Abbey spojrzała na muzeum i zauważyła, jak Shane wychodzi stamtąd pospiesznie. Widziała jego przenikliwe spojrzenie, które szukało jej oczu, a kiedy je dostrzegł, rozpromienił się nieco, zanim przeniósł je na Parkera stojącego obok. Rozczarowanie Shane'a było oczywiste, kiedy szydery uśmiezek zamienił się w gniewną minę.

— Nie pogniewa się, jest między nami porozumienie. — Uśmiechnął się i poszedł za nią. Abbey odwróciła się i zobaczyła, jak Shane idzie w przeciwną stronę, a Parker pozostawał nieświadomy jego obecności.

Przez następne kilka tygodni Abbey i Parker pracowali w milczeniu. Jego entuzjazm do tego zadania nie słabł. Codziennie zjawiał się wcześnie, w pełnej gotowości do pracy, a na koniec dnia czekał na nią przed muzeum, aby odprowadzić do domu. Nigdy nie męczył jej głupimi pytaniami ani bzdurną rozmową. Przez większość czasu Parker był pochłonięty własnym światem. W pracy często wyciągał swój mały czarny notes. Czasami Abbey obserwowała go i uśmiechała się, kiedy w podnieceniu starał się zapisać słowa na stronie jak najszybciej.

— Więc dlaczego tutaj? Jest wiele innych muzeów z dużymi archiwami, takimi jak to, a nawet większymi — przerwała w końcu ciszę któregoś dnia podczas teoretycznej przerwy na lunch. Zaczęła przynosić kanapki do zapylonego, starego magazynu, czując się winna, że on będzie tu siedzieć sam, gdy ona pójdzie do stołówki.

— Kiedy byłem mały, rodzice przywieźli mnie do tego muzeum. Sporo czasu tu spędzałem. Lubiłem rekonstruowanie rzymskich zawodów, artefaktów i relikwów znalezionych w okolicy, ale one nie skłaniają do myślenia tak, jak robią to zwierzęta. Siadywałem i gapiłem się na dioramy; całkowicie mnie pochłaniały.

Przed wystawą z afrykańską pustynią stała ławka, gdzie lew zatapiał kły w bawole. Wyobrażałem sobie, że jestem albo myśliwym, albo ofiarą, i jakby to było być jednym albo drugim, o ile w ogóle możliwe jest zrozumieć obie strony. — Przełknął i zamknął oczy, nie mógł pozbyć się tej myśli. Wziął głęboki oddech, zanim zaczął na nowo, zmuszając się do uśmiechu. — Wtedy to się dla mnie zaczęło, tutaj zdecydowałem, co chcę zrobić z życiem, to jak moment olśnienia. To miejsce zawsze gościło w moim sercu — mówił tęsknym tonem. Abbey niemal widziała jego wspomnienia i jaką czerpał przyjemność ze wspomniania, i jeszcze coś innego, przelotny smutek, mniej przyjemne myśli, być może.

— Ja zawsze chciałam być weterynarzem, ale wyleciałam ze studiów i wylądowałam tutaj. — Ugryzła kanapkę, nie chcąc dalej rozmawiać, żeby nie powiedzieć czegoś, czego by potem żałowała.

Prostolinijność Parkera działała na nią magnetycznie. Już od lat nikt nie fascynował jej tak bardzo. On był niemal jak dziecko, gdy poruszał się i mówił w ożywiony sposób, a jednocześnie, jak w tej chwili, dostrzegała czasami u niego melancholię, coś, czego nie potrafiła określić, ale coś tak cennego, że chciała mu powiedzieć, że wszystko będzie w porządku; pewnie, że to kłamstwo, ale wiedziała, że trzeba go pocieszyć po czymś, co przeżył, tylko nie miała pojęcia, po czym. Działał na nią kojąco, a ona ufała mu, chociaż nie znała go długo. Był inny od wszystkich jej znajomych, chociaż minęło sporo czasu, od kiedy poznała kogoś nowego.

— O co chodzi? — zapytał. Abbey zorientowała się, że wpatruje się w niego. Zarumieniła się i odwróciła wzrok.

— Przepraszam. Nie przywykłam do pracy z ludźmi. Przeważnie jestem tu sama i nie chciałam się gapić.

Nic nie odpowiedział, jedynie uśmiechnął się pocieszająco. Nie drażył tematu, ale było już za późno, Abbey poczuła, jak się rumieni.

Reszta dnia minęła im bez rozmów, bez zdarzeń, i Parker wyszedł dokładnie o piątej po południu. Abbey zastanawiała się, czy obraziło go jej pytanie, czy on nie chciał wracać do swojej przeszłości. Ona naprawdę nie przywykła do kontaktów z ludźmi, a szczególnie z mężczyznami. Kiedy w końcu zebrała się do wyjścia, Parker na nią czekał, opierał się o latarnię, marszcząc brwi, koncentrując się na notesie w dłoniach. Kiedy podniósł wzrok i zobaczył ją, napięcie znikło z jego twarzy, stopniało, zastąpił je naprawdę szczery uśmiech. Przez chwilę Abbey poczuła się wyjątkowo. Minęło sporo czasu, od kiedy tak się czuła. Gdyby miała określić dokładnie, to było to przed pięciu laty. Pięć lat temu rzuciła studia, pięć lat, odkąd musiała na nowo rozpocząć życie.

## Rozdział 4

### Świeża studentka

Wtedy

Radio grało cicho, ledwo słyszalnie, ale wystarczająco głośno, aby usunąć jakikolwiek strach Abbey przed samotnością.

Przez okno wpadało światło latarni i rozświetlało pokój, przez co Abbey nie mogła się zrelaksować. I tak słabo sypiała, a to szkoda, bo nie prowadziła żadnego życia towarzyskiego.

Spojrzała na łóżko Dani, jej współlokatorki, było puste i pościelone; przekleństwo ładnej dziewczyny. Łóżko Dani było ciemnopurpurowo-złote z sari udrapowanymi u sufitu. Nawet kolorowe plakaty były oprawione i zawieszane w starannym szyku, nie jak plakaty z koncertów z oślimi uszami po stronie pokoju należącej do Abbey.

Dani otworzyła z rozmachem drzwi i padła na łóżko. Z uśmiechem przyklejonym do twarzy zrzuciła szpilki.

— Poznałam kandydata na męża.

Abbey usiadła. Kiedy po raz pierwszy zobaczyła Danielle, nieświadomie obciągnęła sweter, dla pewności, że zakrywa ją jak najpełniej. W tym momencie Abbey zrozumiała swoją rolę na resztę roku akademickiego — dziwaczka, która trzymała się z superlaską. Sprawy na dodatek pogarszał fakt, że Abbey nie poznała dotąd nikogo tak miłego jak Dani, pewnie dlatego, że Dani nie miała żadnych powodów, aby bać się kogokolwiek czy czegokolwiek. Niemal od razu stały się dobrymi przyjaciółkami.

— Ma na imię Christian, takie ciacho z niego, właśnie poznałam go w Bar 42.

— Christian Taylor? — Abbey знаła go, pewnie że tak, każda dziewczyna na kampusie wiedziała, kto to jest.

— Uhm, dał mi swój numer, umówimy się w tym tygodniu — piszczała Danielle.

Christian to ten chłopak na uniwersytecie, TEN chłopak, ten, którego wszystkie pożywały, upragniony, jedyny. To dla niego nosiło się spódniczki mini i starannie układało włosy. Miał darmowy wstęp do wszystkich najfajniejszych barów, kelnerki podsuwały mu darmowe drinki, a kierownictwo przymykało na to oko, wiedząc, że tam, gdzie on bywa, przyjdą inni. Abbey była nieomal pewna, że Danielle ustawiła się tak, że Christian nie mógł jej nie zauważyć, a potem sprawiła, że niby przypadkiem wpadli na siebie. Dani właśnie wspięła się o kilka szczebli

wyżej na drabinie społecznej.

Kiedy Abbey obudziła się nazajutrz, Danielle brała prysznic. Spojrzała na zegar, była spóźniona. Wskoczyła z łóżka i nałożyła pospiesznie wczorajsze rzeczy, które jeszcze leżały w stercie obok łóżka. Kręciła się po wspólnym pokoju, gorączkowo szukając lewego buta wojskowego.

— Cześć. — Abbey zakręciła się i zobaczyła Christiana w drzwiach. Zamarła, a serce jej waliło. Nigdy dotąd nie widziała tak przystojnego mężczyzny. Miał dwadzieścia lat, a jego ciemne blond loki opadały na ramiona, okalając idealną twarz. Wzbudzał w Abbey pożądliwość, czego wcześniej nie doświadczyła — czyste pożądanie. Od samego patrzenia na niego nabiegła jej ślina do ust. Jego kolega, Jamie, kręcił się za nim nerwowo, świadom, że z Christianem nie może się równać, najwyraźniej rozdarty między zazdrością a uwielbieniem.

— Cześć — udało się jej w końcu wykrztusić. — Dani bierze prysznic.

— A ty pewnie jesteś Abbey. — Pochylił się i podał jej rękę, obdarowując ją takim uśmiechem, że aż ugięły się pod nią nogi. Nawet osoby, które uważała za swoich najbliższych przyjaciół, z trudem pamiętały jej imię.

W tym momencie weszła Dani, z idealną opalenizną, nadal połyskującą od gorącej wody, z mokrymi włosami.

— Och, cześć, nie spodziewałam się ciebie tak wcześnie — zachichotała. Abbey nie знаła jej takiej, zazwyczaj Dani lubiła dominować, ale tym razem pozwalała mu poczuć się mężczyzną i odgrywała słodką idiotkę.

Jamie całkowicie nie przyjmował do wiadomości istnienia Abbey, tylko gapił się na Danielle jak na nietykalną boginię. Abbey aż nadto dobrze znała ten typ chłopaka; wyglądał przeciętnie, niebrzydki, ale wystarczyło, aby ktoś spojrzął na niego dwa razy, a już nękały go niepewność i złość. Pragnął tylko dziewcząt takich jak Danielle, nie takich jak Abbey, i opierał się myśli, że przez resztę życia skazany jest na zadowalanie się, hm, samym sobą. Dla niego dziewczyna w twoich ramionach określała to, kim jesteś jako osoba, nieważne, co ona robiła albo myślała, ważne było, jak wygląda. Chciał, aby inni mężczyźni byli zazdrośni, tak jak on zazdrościł Christianowi. To trudne być najlepszym przyjacielem adonisa. Abbey wiedziała o tym nader dobrze, ona była takim Jamiem w relacji z Dani, a nie chciała mieć z nim nic wspólnego. Nie chciała usłyszeć, że nie może mieć kogoś takiego jak Dani czy Christian, nawet jeśli tego pragnęła.

Mieli na głowie semestr letni i gorączkę egzaminów. Wszędzie organizowano prywatki — jedyny sposób, aby poradzić sobie ze stresem wśród tych, którzy traktowali swoje przedmioty poważnie, dla obiboków zaś była to idealna wymówka, aby się upić. Dla każdego coś miłego. Lato było okresem jedności na uniwersytecie — „wszyscy w tym tkwimy” — jeden drugiemu współczuł stresu i narzuconych sobie oczekiwań. Semestr był krótki, kampus często świecił pustkami w tym okresie. Abbey był ubrana wyjątkowo niestosownie

jak na tak ciepły dzień, wytarte, wąskie džinsy, a do nich biały, dziergany sweterek, nie za bardzo biały tak w ogóle, bo biel poszarzała od prania. Strój nie pomógł jej rumianym policzkom i myszaty włosom. Pod ubraniem miała ponadprzeciętne ciało, ale patrząc na nią, nikt by tego się nie domyślił; jej strój bardziej nadawał się na zebranie koła gospodyń wiejskich.

— Abbey, czekaj. — Christian pospieszył do niej, gdy wychodziła z pokoju, i zdała sobie sprawę, jak idiotycznie musi wyglądać. Żałowała, że nie ma gdzieś tu budki telefonicznej jak w *Doktorze Who*, do której mogłaby wbiec, a potem wyjść jako superbohater, bo kiedy on do niej by doszedł, ona miałaby już na sobie coś ładnego, modnego albo atrakcyjnego, ale tak nie miało się stać.

— Cześć — mruknęła, nie mając pojęcia, co może innego powiedzieć. „Kocham cię” wydawało się trochę zbyt ekstremalne, zważywszy na okoliczności.

— Wieczorem jest u mnie impreza. Dani idzie, ty też powinnaś. — Osobiste zaproszenie, nie mogła odmówić. Chciała, ale wiedziała, że się nie zdecyduje. Więc lepiej po prostu przyjąć je teraz.

— Świetnie. — Z trudem wydobyła z siebie sensowną odpowiedź, stać ją było tylko na zdania składające się z jednego słowa.

\*

Abbey spoglądała na siebie w lustrze. Mogłaby się ubrać jedynie w bikini, a i tak jej obecność przyćmi supernowa, którą jest Danielle. Nienawidziła siebie za to, że jej zazdrości, ale chociaż raz chciała wiedzieć, jak to jest być pożądaną, wyjątkową.

— Załóż to. — Dani rzuciła jej purpurową sukienkę. — Zaufaj mi, ta mi przynosi szczęście.

Abbey dotknęła delikatnego jedwabiu i zastanawiała się, jakby to było poczuć go na jej masywnych udach. Nosila ten sam rozmiar co Danielle, ale wszystko pasuje lepiej, gdy ma się pewność siebie. Ta purpurowa sukienka nie miała pleców i była krótsza od wszystkich, które dotąd Abbey ośmieliła się nałożyć.

— Nie myślisz, że w niej będę wyglądać jak...

— Jak kto? — Dani spojrzała na nią. Abbey była świadoma, że powinna starannie dobrać słowa.

— Nie wiem, jakbym próbowała być tobą? Niezależną i w ogóle.

— Naprawdę obchodzi cię, co ci ludzie myślą? — Abbey podobało się, jak Dani określała swoich przyjaciół jako „ci ludzie”. Po części dzięki temu Dani przyjaźniła się z wszystkimi; potrafiła sprawić, że przy niej czułaś się ważna, chociaż wcale taka nie byłaś. Abbey wpięrow postrzegala Dani jako jedną z tych z pozoru przejrzystych osób, która była taka sama wewnątrz, jak i na zewnątrz, ale im więcej czasu spędzały razem, tym bardziej sobie uświadamiała, że Dani to

przebiegły polityk, lubi otwarcie prezentować swoje opinie, nigdy nikogo nie martwić, nigdy nie opowiadać się po niczyjej stronie. Na tę cechę Abbey powinna zwrócić szczególną uwagę, gdyż ona zawsze pokazywała swoje karty i odsłaniała się na atak.

Abbey wsunęła sukienkę przez głowę, świadoma, że jej krój wykluczał założenie stanika. Poczowała, jak sutki napierają na materiał; wiedziała, że przy ruchu i tarcu nie tylko będą się odznaczać, ale nie pozostawi zbyt wiele dla wyobraźni.

— Jamie nie będzie mógł się opanować na twój widok. — Dani uśmiechnęła się.

Jamie. Świetnie. Abbey była pewna jednego: otóż dla Jamie'ego będzie niczym innym jak nagrodą pocieszenia. Próbowwała zignorować hipokryzję faktu, że Jamie jej nie interesuje, bo nie jest wystarczająco dobry, on to nie Christian. Abbey nadal odczuwała wyrzuty sumienia, gdy o nim pomyślała. Zastanawiała się, czy Dani pożyczą jej sukienkę, gdyby wiedziała, co ona sobie myśli, i doszła do wniosku, że pożyczą. Dani nie martwiła się, że którakolwiek dziewczyna skradnie jej mężczyznę, a co dopiero Abbey.



## Rozdział 5

### Biznesmen

Ian spojrział nerwowo na zespół kontrolujący księgi rachunkowe w przeszklonej sali konferencyjnej. Z zaskoczonymi twarzami wskazywali sobie liczby, gdy najwyraźniej silili się, aby odnaleźć sens w rachunkach. Był to ich drugi tydzień w budynku i nie minie wiele czasu, zanim dotrą do sedna problemu, zanim zorientują się, jak skorumpowany naprawdę był Ian. Umiał liczyć naprawdę dobrze, może trochę za dobrze, gdyż wierzył we wzory, w matematyczne furtki dla każdej sytuacji, przez co właśnie wpakował się w kłopoty. W zasadzie to dziwił się, że tak długo uchodziło mu to na sucho. Tak wiele razy przesuwiał granice i kiedy nikt nie widział, przesuwiał je jeszcze bardziej, aż przestał nad tym panować.

Próbował czytać z ruchu ich warg, aby dowiedzieć się, jak blisko dotarli do sfalszowanych sum. Jeden z mężczyzn podniósł wzrok i spojrział na niego. Kiwnął głową do Iana, a potem zgarbił się pilnie nad stertą papierów. Firma od kilku już lat znajdowała się na krawędzi. Ian dostrzegł okazję i skorzystał z niej. Chociaż był właścicielem, nadal pozostawali inni udziałowcy, przed którymi odpowiadał, a im niespecjalnie podobało się, aby ryzykowano firmowymi pieniędzmi, dużymi czy małymi. Ian brał pożyczki pod firmę i przepuszczał pieniądze na cokolwiek. Wierzył, że opracował system potrojenia inwestycji i odłożenia pieniędzy na miejsce, zanim ktokolwiek zauważy ich brak. Kilka razy powiodło mu się, ale zdecydowanie przegranych było więcej, tak więc pożyczał pieniądze od przyjaciół i wspólników, aby spłacać pożyczki. Gdyby na tym poprzestał, może uszłoby mu to w jakiś sposób, ale oczywiście tak nie uczynił, bo jego spryt tylko przysporzył mu kłopotów.

— Panie Markham? — Jego sekretarka w szóstym miesiącu ciąży stała obok niego, wspierając karton z dokumentami na brzuchu. Spojrział na nie, czując, jak krew odpływa mu z twarzy.

— Co to takiego, Emma?

— Znalazłam je na zapleczu starego biura Dona, musiał je tam zostawić przypadkiem. Mam zanieść im to?

Ian szeroko się uśmiechnął i schwycił karton.

— Nie, idź na przerwę, już dosyć się nadźwigałaś jak na jeden dzień. Ja zaniosę.

— Ślicznie dziękuję.

Odprowadził ją wzrokiem, gdy kaczkowatym chodem wróciła na swoje stanowisko, aby napić się odżywczego koktajlu. Poczuł, jak paniczny strach

weszła mu w gardło, gdy szedł do sali konferencyjnej. Zamiast wejść tam, skręcił na klatkę schodową i rzucił się biegiem na parking.

Ścisnął kurczowo karton pełen obwiniających dowodów, zbiegając jak najszybciej po schodach, szczęśliwie bez upadku. Przed rokiem rozpoczął budowę na Malcie, wakacyjne domy przy plaży, luksusowe apartamenty z miejscem na przycumowanie jachtu w marinie na dokładkę. Okazja za połowę ceny, co jest śmiesznym stwierdzeniem, którego nigdy nie rozumiał, ale najwyraźniej działało, kiedy używał go w stosunku do ludzi, pokazywał im plany, dokumenty i oficjalne artystyczne makiety oszałamiającego kompleksu, a raczej pomysłu na niego. Kłopot polegał na tym, że Ian nie tylko sprzedawał apartamenty, on sprzedawał ziemię ze zgodą na budowę, więc praktycznie oferował coś, czego już nie był właścicielem. Nawet kiedy zażądają odpowiedzi, zanim przebrną przez cały ten biurokratyczny nonsens, miną miesiące, zanim ktokolwiek zorientuje się, co się stało. Ian odprowadzał te pieniądze przez nieistniejącą firmę i kupował za nie akcje, kilka złych decyzji później wracał do punktu wyjścia minus dwadzieścia procent, będąc winnym wielu ludziom piekielnie dużo pieniędzy.

Spojrzał na plakat wiszący na obskurnym parkingu. „Nie dla narkotyków”. Powieszono go po serii napadów dokonanych przez kokainistów w tym obszarze. Ian lepiej by na tym wyszedł, gdyby był narkomanem — a przez swój problem stracił dużo więcej pieniędzy w o wiele krótszym czasie. Setka na psy, potem tysiąc na konie, i jeszcze dziesięć tysięcy funtów na bezużyteczne udziały o dużym ryzyku. Kłopoty narastały szybko i niewyobrażalnie. Problem polega na tym, że nie potrafisz się przyznać, że go nie kontrolujesz, a wtedy on zaczyna kontrolować ciebie.

— Cholera — mruknął, siłując się z kartonem, próbując sięgnąć do wewnętrznej kieszeni marynarki po kluczyki do astona. Upuścił karton na ziemię, a jego zawartość rozsypała się w kałuży. Zebrał to wszystko i otworzył drzwi. Wepchnął karton pod siedzenie pasażera i przykrył go marynarką, sprawdzając nieustannie we wstecznym lusterku, czy nikt go nie widzi. Była pora lunchu, więc nie zorientują się przez jakiś czas, a potem będzie za późno. Wyjechał z miasta, aby schronić się w zaciszu swojego domu przerobionego ze stodoły pośród wzgórz Devonshire.

Poczuł ukłucie żalu, gdy jechał do domu — nie z powodu pieniędzy, wziął je i wydał, tego nie żałował; po części ulgę przyniósł mu koniec tego wszystkiego. Żałował swojej żony, Debbie. Razem starannie odnowili stodołę, jeszcze przed tymi wszystkimi pieniędzmi, nawet przed tą pracą, przed wszystkim. Debbie była na zakupach, kiedy jej karta do wspólnego konta została odrzucona. Zadzwoiła więc do banku, aby sprawdzić dlaczego, i dowiedziała się, że konto nie tylko jest puste, ale z długami. Rozmawiała o tym z Ianem, a on jej skłamał prosto w oczy, tłumacząc, że to na pewno jakaś pomyłka. Następnego dnia z powrotem przelał

pieniądze na konto. To uspokoiło Debbie na tyle, że nie zajmowała się dalej sprawą, aż kilka miesięcy później, kiedy przypadkiem otworzyła pocztę Iana z informacją o umowie na powtórny hipotekę, o niespłacaniu przez niego zadłużenia oraz o tym, że dom ulegnie konfiskacie, jeżeli nie wyłoży gotówki. Zadzwoiła do banku i dowiedziała się, że wziął pożyczkę pod zastaw domu, ich domu. Trochę bardziej pogrzebała i odkryła, że ich letni dom na południu Francji także przepadł, został sprzedany.

Ian zajechał przed dom i zobaczył meble z jadalni ułożone w stos na trawniku tam, gdzie zostawiła je Debbie. Zabrała wszystko inne poza stołem, stołem, który przetrwał z nimi ciężkie czasy, wielki dębowy kłoc, który obrobiono dokładnie według ich instrukcji, teraz porąbany na kawałki, na rozpałkę.

Spojrzał za siebie, wyczuwając na sobie czyjś wzrok, chociaż wiedział, że nikt za nim nie jechał, jego paranoja przybrała nowy rozmiar. Oglądał się za siebie już od dawna, adrenalina płynęła mu w żyłach. Zastanawiał się, co z nim będzie, jak w końcu go złapią. Teraz, kiedy Debbie odeszła, był przekonany, że nikt nie przejmie się jego losem, a może wszyscy ustawią się w kolejce, żeby dźgnąć go nożem, kiedy zorientują się, że stracił wszystko. Spojrzał na wspaniały dom, który nadal podziwiał, i zastanawiał się, jak mógł spieprzyć wszystko tak dokładnie. Był zdolny, nie? Rozejrzał się po terenie, który razem z Debbie kupił dla ich psów, psów, które ona też zabrała. Gdyby nie stracił wszystkiego, ona dostałaby połowę domu i połowę ziemi. Mogła mieć to wszystko, nie dbał o to, bez niej to wszystko straciło znaczenie. Nie miał ochoty teraz wchodzić do domu, nawet żeby spać. Było tam zimno i pusto, nie tylko pusto, ale głucho. Do tego Debbie zabrała wszystkie łóżka.

Wyciągnął karton z samochodu i podszedł do wielkiej sterty ręcznie obrobionego drewna na trawniku, która była dla niego symbolem tego, kim się stał, niegdyś szanowany, teraz bez wartości. Popatrzył na zaniedbany ogród i -znowu pomyślał o Debbie, wylewając ciekłą parafinę na szczątki. Zniszczy trawnik, trawnik, który był teraz cieniem swojej poprzedniej świetności, kiedy ona odeszła, znikła cała miłość, przestało go to wszystko obchodzić. Rzucił zapałkę i obserwował, jak ogień pochłania lata wspomnień, które skrywał stół. Pamiętał, jak siedzieli przy nim, gdy nie mieli innych mebli, omawiali dom, jak zrobią z niego swoje miejsce, jak wspólnie będą w nim żyć. Jęzory płomieni sięgały coraz wyżej na tle bladoniebieskiego nieba, które wydawało się matowe w zestawieniu z intensywną żółcią płomieni i pulsującymi falami gorąca uchodzącymi w eter.

Ian otworzył karton i pospiesznie przewertował zawartość, sprawdzając, czy ma wszystkie stosowne dokumenty. Kiedy był pewien, wrzucił cały karton w płomień i patrzył, jak ogień ogarnia go wraz z zawartością. Natychmiast poczuł, jak niepokój znika. W dzisiejszych czasach nawet dokumenty, które przeszły przez niszcarkę, można było odtworzyć, a przy tak dużych pieniądzach,

które był winien, zadaliby sobie trud, aby je odzyskać, będą bardzo dokładni w śledztwie. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął pendrive'a z zapasową kopią — jego doradca finansowy polecił mu, aby -nigdy nie przechowywał niczego trefnego na twardym dysku w pracy, lepiej gdzieś osobno. Tamten nigdy nie wyjaśnił, co rozumiał przez „trefne”, ale zważywszy na jego działalność, Ian uznał, że chodziło mu o finansowe niedokładności, a nie twardą pornografię, chociaż te zasady mogą być przydatne w obu scenariuszach.

— Halo.

Ian odwrócił się i zobaczył wysokiego mężczyznę opierającego się o frontową bramę. Był cały ubrany na czarno i miał naciągnięty na głowę kaptur, po części zakrywający twarz. Nie był rewidentem, z pewnością nie.

— Czego pan chce?

— Masz dwie minuty. — Mężczyzna wyprostował się i sprawdził zegarek.  
— Sto osiemnaście sekund.

— Dwie minuty do czego? Kurwa, ktoś ty?

— Sto dwanaście, sto jedenaście.

Ian był zdezorientowany, potem spojrzał na prawą rękę mężczyzny i zobaczył kuszę.

— Kurwa, zwariowałeś?

— Sto siedem. — Mężczyzna uniósł kuszę i wycelował wprost w głowę Iana. Ten pobladł, kiedy zobaczył broń dokładniej — strzały miały grot z pięcioma ostrzami — widział to już wcześniej, teraz po raz pierwszy dokładniej przyjrzał się twarzy mężczyzny.

— To ty?

— Sto jeden.

Ianowi nie trzeba było powtarzać, pobiegł. Nie należał do szczupłych, ale chodził regularnie na siłownię i był sprawniejszy od innych mężczyzn w jego wieku, był więc przekonany, że potrafi pobiec wystarczająco szybko, przynajmniej na tyle, aby dotrzeć do lasu, gdzie drzewa zapewnią mu jakieś schronienie. Nie chciał się odwracać, nie chciał wiedzieć, jak blisko jest jego prześladowca.

Wspiął się przez drewniane ogrodzenie do gęsto zalesionego terenu. Wiedział, że musi znaleźć się w środku plantacji. Znał tam wszystkie dziury i nory, wszystkie zakątki i wykroty. Ośmielił się spojrzeć za siebie i zobaczył ciemną sylwetkę przemierzającą pole, niespiesznie, mężczyzna po prostu szybko maszerował. Ian uśmiechnął się do siebie, biegnąc naprzód. Pokonał jakieś sto metrów, kiedy usłyszał brzęk, a potem przeszył go niewyobrażalny ból, upadł twardo na ziemię z krzykiem. Spojrzał na nogi i zobaczył wielki żelazny potrząsk zaciśnięty na łydce. Krew wylewała się z rany, sterczała z niej kość i ścięgno. Usiadł i szarpnął żelazo. Kątem oka dostrzegł, jak mężczyzna wspina się przez ogrodzenie z kłód, aby pokonać zamkniętą bramę. Ianowi udało się rozchylić

kleszcze na tyle, aby wysunąć nogę, wrzeszcząc, gdy zęby ciągnęły ciało, rozrywając je.

Ian dźwignął się znowu na nogi, łyzy łały mu się po twarzy, gdy próbował biec, wkładając wszystkie siły w posuwanie się do przodu, chociaż w głębi serca wiedział, że jest skończony, ale nadal próbował. Usłyszał nieomylny odgłos zwolnionej cięciwy kuszy, znał ten odgłos bardzo dobrze i milisekundzie przed trafieniem Ian wziął głęboki oddech i zamknął oczy. Wszystko poruszało się w zwolnionym tempie, a on czekał, aż życie się skończy. Zamiast tego poleciał do przodu, gdy bełt wbił mu się w bark. Z tyłu zaszeleściły liście i na moment zanim zemdłał, zobaczył zbliżające się miarowo dwa czarne buty.

Ian obudził się gwałtownie, gdy lodowata woda uderzyła go w twarz. Pierwsza rzecz, która go zaskoczyła, to ból w nadgarstkach. Skupił wzrok na tyle, aby zorientować się, że jest rozpięty między dwoma drzewami, z dala od ścieżki wydeptanej przez ludzi, bardzo daleko.

— Czego chcesz ode mnie?

— Naprawdę? Mam ci to wyjaśnić?

— Już nie jestem tą osobą, zmieniłem się — błagał Ian, a słowa więzły mu w gardle. Chciało mu się pić.

— Ale ja nadal jestem tą osobą. Ty ze mnie zrobiłeś tego, kim jestem. Ian... przykro mi, proszę pana... panie Markham. — Tryskał jadem, gdy wymawiał jego nazwisko.

— Nie nazywaj mnie tak.

— Dlaczego nie? Tyle mnie nauczyłeś, przecież wypada, abym okazał ci należny szacunek.

— A co z innymi? — Ian spuścił głowę i zobaczył, że ma rozerwaną koszulę, spojrzął dalej, a z okaleczonej nogi łała się krew. — Dlaczego nie czuję nogi?

— Czas już zamilknąć. — Mężczyzna podszedł szybko do Iana i wbił mu nóż w podbrzusze. Ian krzyknął, gdy ostrze powędrowało poziomo, ale nie z bólu, czuł wszystko, ale bólu nie było. Patrzył, jak krew pompuje się, wtedy poczuł dłoń mężczyzny w sobie, poruszające się palce, jakby czegoś szukały, czuł to wszystko, ale nadal bez bólu.

— Co ty mi, kurwa, zrobiłeś?!

— Dałem ci anestetyk, abyś wytrzymał ból, zastrzyk do rdzenia. Nie chcę, żebyś zemdłał; musisz patrzeć na przedstawienie. — Wyciągnął cienką, zakrwawioną rurkę z jego brzucha, jelito grube. — Gratulacje, to chłopiec.

Wtedy właśnie Ian zauważył korbkę. Patrzył, jak mężczyzna zaczepia jelito na haczyk i podchodzi do długiego, metalowego pręta stojącego równolegle do niego, który zaczął obracać się powoli na jakimś mechanizmie, zbierając linę przyczepioną do haka i nawijając ją na pręt, a za nią wnętrzności Iana, które

oblepiały wielki metalowy drąg jak wata cukrowa. Mężczyzna zatrzymał się i podniósł kuszę. Zaczął odchodzić.

— Nie możesz mnie tu zostawić. Lisy mnie dopadną.

— Lepiej módl się, żeby wykończyły cię w ciągu ośmiu godzin. Tyle masz, zanim środek przestanie działać!

— Jesteś chory! — krzyknął Ian, ale wtedy zapanowały nad nim emocje i rozplakał się, świadom, że ogarnie go ciemność. Nagle więzienie o złagodzonych rygorze nie wydawało się takie złe. Wiedział, że jeżeli będą go szukać w domu, znajdą jego rezerwację na samolot do Ameryki Południowej i uznają, że zwiął, co właśnie planował. Nikt nie będzie go szukał, a ludzie rzadko zapuszczali się w las, więc szansa, że ktoś będzie tu przechodził w ciągu następnej godziny, była bliska zeru. Parzył, jak jego jedyna nadzieja na ocalenie znika w lesie. Był sam, opuściła go nadzieja.

Rozdział 6

## Wdowa

No to chodź, ruszamy. — Grey postawiła z rozmachem na biurku przed Adrianem kubek letniej kawy. Dziewczyna jęknęła i dopiła zawartość własnego kubka, wykrzywiając się. — Jakaś kobieta lamentuje na temat swojego męża. Mówi, że zaginął i wyczyścił jej konto.

— I dlatego nigdy się nie ożenię.

— A pewnie. — Grey odsunęła krzesło Adriana do tyłu, aż jego nogi ześlizgnęły się z biurka na podłogę. — Chodź, kupię ci po drodze prawdziwą kawę.

— Dobra, niech będzie, cholera. — Adrian dźwignął się z krzesła, a w głowie nadal mu pulsowało po licznych kieliszkach, które pochłonął poprzedniej nocy. — Chyba ty musisz prowadzić.

— Zdecydowanie ja. — Wyrwała mu kluczyki z ręki.

Pomimo wrażenia, jakie wywarła detektyw Grey na Adrianie, miała zadziwiającą motywację — cofnij, denerwującą motywację. Każdej sprawie, bez względu na to, czy to było jakieś nielegalne wyrzucanie śmieci czy poważny napad z użyciem siły, poświęcała dokładnie taką samą dozę profesjonalizmu i uwagi. Pracowali razem od trzech tygodni, wypełniając swoje role w tym układzie. Adrian pozwalał jej rządzić sobą, a ona czyniła go celem wszystkich swoich żartów, i wszyscy byli zadowoleni. Była pierwszą partnerką Adriana w pracy. W przeszłości pracował z detektywem Mikiem Danielsem i detektywem Jonathanem Fraserem, a nigdy nie był z niego wielki gracz zespołowy. Wiedział, że teraz musi się tego nauczyć. Znajdował się pod lupą i nie powinien sobie robić więcej wrogów. Poza tym z Grey łatwo się pracowało, po prostu jakoś pasowali do

siebie.

W nieoznakowanym wozie policyjnym Adrian założył ciemne okulary i oparł głowę o okno, pozycja, której wkrótce pożałuje. Grey prowadziła, jakby uczestniczyła w gorącym pościgu za złodziejem po napadzie na bank, gaz do dechy. Taka jazda mogła ująć w mieście, ale w tej części -Devonshire mogłeś zabić przedstawiciela handlowego i wjechać prosto do rowu.

— Jezu, w Plymouth nie mają wiejskich dróg? — Adrianowi strzeliło coś w karku. — Będę miał wstrząs mózgu przez ciebie.

— Nie użalaj się jak dziecko, Miley, nic ci nie jest.

— Po co się tak spieszysz? Nasza jedyna sprawa to kradzież kosiarki.

— Chcę dzisiaj wcześniej skończyć. Mam randkę.

— Poważnie? Myślałem, że jesteś... jak się nazywa kobieta bez narządów, chyba nie eunuch?

— Miley, proszę, przestań myśleć o mojej cipie. — Skręciła na podjazd i pojawił się przed nimi wielki dom w stylu art deco.

— Ale nora! — mruknął Adrian.

— Jak żyje druga połowa.

\*

Na luksusowej kanapie z kremowego aksamitu kobieta szlochala w chusteczkę. Oczy miała czerwone i zapuchnięte.

— Dzwoni do mnie codziennie... hm... dzwonił.

— I po prostu przestał? — zapytał Adrian, gdy Grey chodziła po pokoju, zbliżając palce do każdej powierzchni. Było tu tak czysto i lśniaco, zupełnie jak w domu pokazowym, każdy przedmiot umieszczony starannie, a jedynym osobistym elementem był niepokojący zbiór figurek kotów.

— Tak, przestał. Nie miałam od niego wiadomości od tygodnia.

— Ale jesteście w separacji?

— Tak.

— Czy zna pani kogoś, kto chciałby wyrzucić krzywdę mężowi?

— To znaczy, poza mną?

— Rozstanie nie było miłe?

— Nie, a lista osób, które mają porachunki z Ianem, jest długa. Kradł pieniądze, dużo pieniędzy, wielu ludziom. Rewidenci nadal tkwią po uszy w tym bałaganie, jaki po sobie zostawił.

— O jakich pieniądzach mówimy?

— Tysiącach? Milionach? Kto wie?

Grey w końcu usiadła obok Adriana i oparła się plecami o kanapę, przyjmując pozycję niemal horyzontalną. Adrian obawiał się, że zaraz położy nogi na ławie, ale ona tylko splotła ręce na piersi i wbiła wzrok w Deborah Markham.

— Musi pani zdawać sobie sprawę z tego, jak to wygląda — odezwała się Grey.

— Wiem, jak to wygląda, nie jestem idiotką.

— Więc czego właściwie spodziewa się pani po nas? — Grey pozostała w rozluźnionej pozie i wyglądała bardziej na zaszępionego nastolatka niż oficera policji. Najwyraźniej wytrącała kobietę z równowagi. Adrian widział, jak zza łez wylania się złość.

— Macie znaleźć tego drania! Spieprzył, cholera, do Rio albo gdziekolwiek, a ja zostałam z tym całym bagnem!

— Zatem nie myśli pani, że coś mu się stało? Chodzi tylko o pieniądze? — zapytał Adrian i dostrzegł kątem oka, że Grey się uśmiecha.

— O nic nie chodzi! Straciłam wszystko! Dlaczego on musi uciekać i udawać, że nic się nie stało? Dostawałam pogrozki przez telefon i na maila! — Łzy zniknęły i twarz Deborah Markham płonęła gniewem. — Ian zabrał masę pieniędzy tak wielu ludziom. Widzą mnie i myślą, że to ja mam ich pieniądze albo coś w tym rodzaju!

Grey pochyliła się do przodu i oparła łokcie o kolana. Podniosła kryształowego kota, element zestawu ustawionego starannie na ławie z oliwkowego drewna.

— Ma pani ich pieniądze? — Grey uśmiechnęła się, przesuwając palcami po kocich uszach w kształcie pryzmatów.

— Ten dom należy do mojej ciotki. Pozwoliła mi tu zamieszkać, dopóki nie stanę na nogi, żeby odzyskać godność, tylko tego mi nie zabrał. — Znowu dławiła się łzami.

— Dobrze, pani Markham, zajmiemy się tym. — Adrian przerwał, zanim Grey zdążyła się odezwać. Wstał, ale ona nadal siedziała, wbijając wzrok w kobietę.

— Gdzie on mieszkał? — zapytała. Deborah Markham wyciągnęła z torebki u boku pęk kluczy.

— Przy drodze do ujścia rzeki stoi przerobiona stodoła, adres jest na breloku.

Adrian przejął klucze, a Grey odstawiła kota. On czuł się, jakby właśnie był świadkiem negocjacji z porywaczami. Panowało między nimi napięcie, gdy szli do samochodu.

— Co to było, do diabła?

— Miała dosyć. — Grey uśmiechnęła się.

— Była zrozpaczona.

— Rozpacz dla moich oczu. Ona nadal ma pieniądze, i to dużo. Widziałeś, jak była wypielęgowana. To ubranie z tego sezonu, nowe buty... naprawdę drogie... a na taką torebkę musisz wydać minimum patyka. Nie zdziwiłabym się, gdyby to zniknięcie nie było ukartowane.



Adrian spojrział na nią zaskoczony.

— Skąd znasz się na ubraniach i tych wszystkich rzeczach?

— Myślisz, że nic nie wiem o modzie? Mówisz serio, Miley? — powiedziała z niedowierzaniem i z udawanym oburzeniem.

— Nie, po prostu nie sprawiasz wrażenia tego rodzaju kobiety.

— A jakie wrażenie sprawiam?

— Nie wiem, ubierasz się jak Tony Hawk — odparł i dodał: — Ten miliarder, co jeździ na deskorolce.

— Co to, cholera, ma znaczyć?

— Zostaw to już, nieważne.

— Dobra, zapytam cię o coś. — Przysunęła się do przodu.

— Dobra, strzelaj. — Adrian westchnął, co on takiego zrobił?

— Jakim jeździsz wozem?

— Wiesz przecież. Fordem granadą.

— Granadą? Jezu, Miley, przestali go produkować piętnaście lat temu.

— Ma sentymentalną wartość!

— Obojętnie, pewnie znasz mustanga albo ferrari. Oglądasz te idiotyczne programy motoryzacyjne w telewizji. Pewnie myślisz, że znasz się na samochodach.

— To co innego.

— Ja dużo wiem o ubraniach, szczególnie z wysokiej półki, drogich. Można dużo o kimś powiedzieć po tym, jak się ubiera.

Adrian nie mógł się opanować i zlustrował ją od stóp do głów, natychmiast pożałowawszy tej decyzji, gdy znowu zobaczył ten jej uśmiech. Zaczynał pojmować, że uśmiechała się w taki sposób, kiedy wygrała w myślach jakąś urojoną bitwę. Z każdym razem, kiedy widział ten uśmiech, przypominał sobie, że ona nie jest niechlujnym luzakiem, za jakiego uchodzi.

— Mój ubiór to mój wybór, wyrachowany. Wiem, co robię.

— Chcesz, żeby wszyscy myśleli, że jesteś lesbą?

— Może jestem.

— Pfff, proszę... wiem, że nie jesteś, widziałem, jak na mnie patrzysz.

— Chyba ci się śniło! — Uśmiechnęła się i walnęła go w ramię, nieznacznie się rumieniąc. — Głównie to nie chcę, żeby ludzie myśleli, że jestem zbyt kompetentna. Nie chcę, żeby ludzie pokładali we mnie nadzieję. Niech myślą, że jestem nieudacznikiem, a udowodnię im, że się mylą.

— Bardzo to sobie komplikujesz, co, Grey?

— Lubię, jak ludzie myślą, że są ode mnie lepsi. Ludzie opuszczają gardę, gdy nie czują zagrożenia, łatwiej ich zaskoczyć.

— To wyjaśnia twój niesamowity pokaz biernej agresji przed chwilą.

— Wszystko, żeby tylko wykonać robotę!

— Czy za to przeniesiono ciebie z Plymouth? — zapytał Adrian. Było to szczerze pytanie, chociaż jej mina definitywnie kładła kres wszelkim nadziejom Adriana, że zapanuje między nimi zgoda. Ułożyła ręce na kierownicy w pozycji za dziesięć druga i skupiła się na drodze. Stracili porozumienie. Koniec rozmowy.

Stodoła była duża i robiła wrażenie. Podeszli podjazdem wysypanym żwirem i zastukali do drzwi. Zachwyciło ich tło — niewiarygodnie różowe niebo. Panował tu wyjątkowy spokój.

— Panie Markham? — zawołał Adrian.

Grey obeszła dom i zniknęła Adrianowi z oczu. Adrian próbował wszystkie klucze od Deborah Markham po kolei, aż znalazł ten pasujący do zamka. Absolutna cisza mówiła mu, że są tutaj sami.

— Wygląda na to, że z tyłu urządził sobie ognisko. — Grey stała w drzwiach, trzymając karton z dokumentami. — Najwyraźniej to też zostawił w pośpiechu.

Adrian wziął pudło od Grey, plik papierów pozostał na dnie. Jakies kwity od różnych bukmacherów, jakies zielone dokumenty, które mogą złożyć w laboratorium, dwa zaproszenia do udziału w zbieraniu funduszy, ale nic poważnie obciążającego.

— Spakuj to wszystko, zabierzemy to na posterunek.

— Zobacz to. — Grey wyciągnęła rachunek z karty kredytowej, jeden z odbiorców był określony jako LHRBOOKINGS. — LHR to skrót w Heathrow oznaczający połączenia długodystansowe, w dowolne miejsce na świecie, skąd nie ma ekstradycji. Zwiął.

— I tak to zabierzemy, kurwa, masz coś lepszego do roboty?

Wyszli z domu-stodoły i znowu ogarnęli wzrokiem piękną okolicę. Bez wątpienia dom zostanie przejęty i sprzedany. Słońce przygasło na popołudniowym niebie i wezbrał chłodny wiatr, poruszając drzewami dookoła, jakby miały własne tętno. Niedaleki las podkreślał piękne, pomarańczowe niebo.

Adrian zaciągnął się tym wszystkim i skierował na powrót do miasta, aby zmierzyć się z sobotnią nocną zmianą walczącą z tymi, co chłają na umór, częściowa pokuta za oszukiwanie kolegów. Nie był dumny z faktu, że nakłaniał ludzi, aby kłamali na jego rzecz, na temat miejsca jego pobytu oraz jak bardzo jest trzeźwy albo nie jest, i na różne inne tematy. Tyle miał do odpokutowania i tylu ludzi musiał przeprosić. Obiecał pomóc Denise w spisywaniu pijaków w sobotnie noce. Był jej winien dużo więcej, ale to na początek. Grey niecierpliwie nacisnęła klakson. Wsiadł.

## Rozdział 7

### Outsider

Sally czekała przy drzwiach, machając ogonem. Wiedziała, że jej pan już wraca. Poznawała jego kroki, jego oddech i zapach. Parker wszedł i przywitała go nieposiadająca się z radości labradorka. Sally była towarzyszką jego życia, jego najlepszym przyjacielem, który nigdy go nie opuści. Parker i Sally poznali się niemal przed siedmiu laty i była to miłość od pierwszego wejrzenia, potrzebowali siebie nawzajem i wiedzieli o tym.

Jego dom prawdziwie odzwierciedlał jego charakter, książki wszędzie dookoła, stos notesów w czarnej skórze przepelnionych słowami, mała brązowa kanapa, ulubione miejsce Sally, sądząc po złotym puchu na obiciu. Natychmiast nakarmił psa i gdy tylko skończył, zabrał go na spacer, przechodząc obok muzeum, dla którego powrócił do tego miasta. Zobaczył, jak Abbey wychodzi z pracy, i podszedł do niej.

— Abbey, to moja Sally.

Abbey odwróciła się i uśmiechnęła do psa szeroko. Parker nie widział wcześniej u niej takiego uśmiechu. Czuł, że jedynie patrząc na niego, narusza jej prywatność; nie był przeznaczony dla niego. Abbey przyklękła i czule potar mosiła psie uszy.

— Jest kochana... Parker, mam nadzieję, że nie obraziłam cię wcześniej. Zmartwiłam się, gdy wyszedłeś tak szybko. — Spojrzała na niego poważnie, kiedy gorączkowo zastanawiał się, o czym ona mówi.

— Och, nie obraziłaś, musiałem lecieć. Przepraszam, ale ona z trudem wybaczyła mi, że wczoraj wróciłem tak późno. Nie chciałem popadać w niełaskę dwa razy z rzędu. Pomyślałem, że skoczę do domu i zdążę wrócić, zanim ty wyjdiesz. — Nie kłamał. Wyjaśniał już wcześniej, że Sally była niezadowolona z jego późnego powrotu poprzedniej nocy i zostawiła mu prezent na podłodze w salonie. — Hm... chciałem cię przedstawić Sally.

— Rozumiem w takim razie. Całkowicie. — Uśmiechnęła się do niego promiennie, tak samo jak chwilę wcześniej. Miał nadzieję, że nie zauważyła, jak się rumieni.

— Możemy odprowadzić cię do domu? — spytał Parker.

Abbey przejęła od niego smycz, jej ciepłe palce otarły się o jego dłonie. Uśmiechnął się do niej w odpowiedzi i schował ręce do kieszeni, idąc za nimi.

Parker nie umiał obchodzić się z ludźmi, wiedział o tym, i oni wiedzieli. Jeżeli nie miałeś dwustu lat i nie byłeś włochaty, to istniała mała szansa, że zdoła nawiązać z tobą kontakt na jakimkolwiek poziomie. Parker był celowo

powściągliwy, nie chciał, aby ludzie zbyt się spoufalali. Nie podobała mu się myśl, że ktokolwiek mógłby zajrzeć do jego wnętrza pod cienką warstwę osobowości dzielącą jego umysł od reszty świata. Odnosiło się to prawie do wszystkich osób, które poznał, ale ta dziewczyna, Abbey, była inna.

Parker obserwował, jak Abbey utrzymuje dystans, zdecydowanie odwracając głowę. Wiedział, że nie chce się do niego zbyt zbliżyć, była równie zadowolona jak on z przedłużających się okresów ciszy — ludzie przeważnie mają potrzebę wypełniania ich gadaniem o Bóg wie czym. W pewnym sensie Parker był nieco urażony brakiem zainteresowania z jej strony. Przywykł do tego, że ludzie chcieli go zrozumieć, co było dziwne, bo nigdy nie potrafili, starał się o to. Może było coś w zajmowaniu się zmarłymi, co przyciągało ludzi tego typu, był to swego rodzaju hołd wobec entuzjasty. Lecz nie, to nie to, ona była inna. Natychmiast dostrzegł oznaki złamanego ducha. Jej postawa mówiła mu więcej, niż mogły opisać wszystkie słowa. Nie chciał jej zniechęcać, miała swój urok. Nie była podobna do większości dziewcząt, jakie spotkał, była spokojna, wycofana i ostrożna. Wiedział, że niewiele wystarczy, aby ją przestraszyć, ale lubił ją za nieśmiałość i jej instynktowną ostrożność wobec ludzi — rozumiał to uczucie nader dobrze.

Parker czuł się dziwnie, spacerując z Abbey. Znowu nie rozmawiali, tylko szli, ona trzymała smycz, a Sally z radością akceptowała nowy nadzór, podskakując ku rzece z typowym dla siebie wigorem. Przeszli Iron Bridge i skierowali się ku miastu, mijając kilka starych pubów i salonów tatuażu, którym już dawno przydałoby się odnowienie wizerunku. Tym razem to Parker odczuł potrzebę wypełnienia ciszy, szukając w myślach jakiegoś tematu.

— Długo pracujesz w muzeum? — Najlepiej jest trzymać się pytań o pracę.

— Pięć lat — odpowiedziała i zdawało się, że na tym skończyła rozmowę, kiedy przeszła ruchliwą ulicę i skierowała się na South Street. Przyspieszył kroku, aby ją dogonić.

— I nie masz żadnych zawodowych kwalifikacji?

Spojrzała na niego, unosząc brwi, po czym odwróciła się i poszła dalej.

— Przepraszam, nie chciałem być niegrzeczny, naprawdę wykonałaś świetną robotę, nie żebyś potrzebowała jakiegoś potwierdzenia czy czegoś podobnego. — Powinien się zamknąć.

— Hm, muzeum nie ma za dobrych funduszy, przyjaciel przyjaciele załatwił mi rozmowę kwalifikacyjną, a ja tylko przekonałam dyrektora, pana Lowestofta, że wiem, co robię. Płacą mi dużo mniej od obowiązującej stawki, a ja mam pracę, którą kocham. Wiem, że taksydermia nie jest już modna, ale... — Odwróciła się i uśmiechnęła do niego. Widział, że Abbey rzeczywiście kocha swoją pracę, oglądał jej dzieła i był pod wrażeniem.

Abbey zatrzymała się przed zabrudzonymi, podniszczonymi, czarnymi drzwiami i oddała smycz Parkerowi.

— Podziękuj, Sally — Parker zwrócił się do suczki, która dyszała energicznie przed Abbey.

— Zaprosiłabym cię, ale do budynku nie wolno wprowadzać zwierząt.

— Nie nazwałbym siebie zwierzęciem! — Parker obdarzył ją figlarnym uśmiechem, by zmusić ją do odwzajemnienia się, czego nie zrobiła. Jedyne spuściła wzrok na stopy. Wyjęła klucze i weszła do domu, a on stał i patrzył.

— Do zobaczenia jutro — dobiegło do niego zza drzwi; odetchnął z ulgą. Spojrzał na Sally, która dyszała o wiele za mocno, zważywszy na to, że przeszli zaledwie półtora kilometra.

— Tak, mi też się podoba — powiedział do psa i pociągnął za smycz, zachęcając do dalszego spaceru.

Nazajutrz rano, idąc do pracy, minął dom Abbey. Nie było mu po drodze, ale coś skłoniło go, aby wybrać taką trasę. Przybył do muzeum przed nią i musiał na nią czekać, aby wpuściła go do pomieszczeń, w których mieli dzisiaj pracować. Gemma, dziewczyna z recepcji, właśnie zajmowała swoje stanowisko.

— Hej! — przywitała się nieco głośniej, niż to było konieczne.

Podszedł do niej.

— Jestem Parker, pracuję w archiwum. — Podał jej rękę. Gemma należała do tych osób, które zaprzyjaźniały się z wszystkimi, a nadmiar radosnej dobrej woli wylewał się jej każdym porą. Jak się domyślał, pewnie dlatego pracowała w recepcji.

— Zastanawiałam się, kiedy się przedstawiś. Jak ci tu się pracuje? Te sale mnie przerażają, te wszystkie martwe zwierzęta, brr.

— Przynajmniej nie odpyskują. — Uśmiechnął się niezdarnie, a ona zaśmiała się głośniej i mocniej, niż na to jego żart zasługiwał. Zauważył, że Shane obserwuje go z drugiego końca holu. Gemma i Shane, kiedy uznają, że nikt nie widzi, wykradają się na zaplecze, żeby mieć trochę prywatności. Czuł, jak zazdrosne spojrzenie Shane'a rozpała gniew.

— Dobrze ci się pracuje z Abbey? — powiedziała w końcu, kiedy się uspokoiła, a Parker był przekonany, że ona już zna odpowiedź na swoje pytanie; na dodatek wyczuł drwinę w jej głosie, gdy wypowiadała imię Abbey. Po raz pierwszy uświadomił sobie, że nie jest najdziwniejszą osobą w tym budynku.

Kiedy człowiek znalazł się w pobliżu stołówki, słychać było, jak pracujące tam kobiety plotkują niemal bez przerwy. Czasami wychwytywał słowa, ale głównie były to odgłosy niedorzecznych rozmów o tasiemcowych serialach, kto opuszcza „dżunglę”, cokolwiek, byle tylko czas szybciej leciał. Shane i Gemma tulili się do siebie bez względu na okoliczności, obojętnie, czy się kłócili, czy flirtowali, to zawsze szeptem. Pan Lowestoft czasami wędrował po salach, przyglądając się postępowi prac, i rozmawiał z malarzami, którzy stawali się niemal niewidzialni. Poza panią, która oprowadzała wycieczki szkolne,

a tragarzami przesuwającymi bezgłośnie artefakty, Parker nigdy nie zauważył, aby ktokolwiek inny rozmawiał z Abbey. On zaprzyjaźnił się z nią, jeżeli tak można to określić, bo oboje byli wyrzutkami. W zasadzie to nawet raz pomyślał, że jedynie on z ich dwojga jest normalny.

— Tak, o wilku mowa. — Oboje podnieśli głowy, gdy Abbey pojawiła się w dwuskrzydłowych, szklanych drzwiach. Parker uśmiechnął się. Czuł się swobodniej przy niepewnym spojrzeniu Abbey niż przy zbytniej poufałości Gemmy. Wyczuwał u Gemmy szyderstwo, gdy podszedł do Abbey i wziął od niej ciężką torbę, po czym podążył za nią nieoświetlonym korytarzem do tej części, w której mieli dzisiaj pracować. Kiedy szedł obok niej i obserwował jej twarz, widział, że jest skupiona.

— Jeżeli zaczniesz od tego narożnika, to popracuję dzisiaj z tymi — powiedziała. Parker poczuł się, jakby go zbywała.

— Mogę cię prosić o małą przysługę?

— Dobrze. — Odwróciła się twarzą do niego z rzeczowym spojrzeniem. Abbey stąpała twardo po ziemi, a on zastanawiał się, co dla niej jest zabawą.

— To dziwna prośba, zważywszy na to, że nie znamy się zbyt długo, ale muszę cię poprosić, abyś popilnowała Sally w następny weekend. Mam sprawę rodzinną, a nie lubię oddawać jej do schroniska. Adres jest na breloczku, możesz go wziąć już teraz, póki pamiętam. — Wręczył jej klucz do swojego domu. Abbey wpatrywała się w jego dłoń, a on nadal z uporem trzymał przed nią klucz. — Tylko nałóż jej trochę jedzenia i weź na spacer, jeżeli nie masz nic przeciw temu.

— Och...

— Nie prosiłbym o to, ale nie znam tutaj nikogo innego, a Sally naprawdę ciebie lubi... Ja lubię ciebie... To znaczy, ufam ci, że się nią zaopiekujesz. — Poczul się głupio, mówiąc to, wiedząc, że teraz nie jest właściwa pora na jeden z jego nieszczerych uśmiechów, wiedział, że ona potrafi go przejrzeć. Abbey znowu się zarumieniła i wzięła od niego klucz. Otarła się dłonią o jego dłoń, a on zdziwił się, jak ciepłą ma skórę. Abbey wyrwała rękę podświadomie, gdy on nie spuszczał z niej oczu. Przy niej, w przeciwieństwie do innych osób, nie odczuwał potrzeby, by być normalnym. Nie czuł potrzeby fałszywych uśmiechów ani potrzeby mówienia, kiedy ona milczała. Od momentu, kiedy się poznali, coraz częściej dostrzegał, że konieczność bycia nieszczerym wobec niej -słabła. W zasadzie wszystko, poza szczerością, przychodziło mu z trudem. We wszystkich scenariuszach, jakie sobie wyobrażał po powrocie do miasta, nie było w nich miejsca na szczerzy związek. Tego nie planował.

— Lepiej bierzmy się do roboty. Ta sala ma być gotowa na za dwa tygodnie do remontu przed obchodami setnej rocznicy — Abbey przerwała mu tok myśli.

Pospieszyła do swojego kąta, wpychając klucze do tylnej kieszeni. Parker uznał, że przyjęła jego prośbę.

Potrafił sprawić, że kobiety go lubiły. Może dlatego, że był taki bystry, kobiety to lubią, ale poza tym był przystojny w niezdamny sposób. Nie interesowały go związki. Często w towarzystwie kobiet czuł się wygodnie, bo nie był przeciętnym mężczyzną. Wygodnie może nie było właściwym słowem, trochę zbyt silnym w stosunku do tego, jak inni wpływali na jego samopoczucie. Parker jedynie nie potrafił przekonać kobiety do siebie, kiedy ona naprawdę mu się podobała, chociaż taka sytuacja zdarzała się nieczęsto. Posiadał dar manipulowania; kiedy dorastał, obserwował go u ludzi dookoła siebie. Obiecał sobie jednak, że użyje go jedynie w ostateczności. Nie chciał stać się jak ci, którzy mieli na niego największy wpływ. Widział, jak ci ludzie nieustannie kłamali, żeby dostać to, czego chcieli, bez względu na to, kogo ranili. Nie, nie wykorzysta tej umiejętności zwodzenia, manipulowania i korumpowania; chciał być ponad to, chciał być dobry. Najwyraźniej odpychał od siebie kobiety, które go fascynowały, może dlatego, że próbował flirtować, chociaż nie był w tym dobry. Wiedział, że jego niezdarne próby lekkiego humoru nigdy nie były przyjmowane tak, jak sobie to planował. Dziewczyny, które znał wcześniej, chciały go naprawiać, więc je odpychał, bo wiedział dobrze, że jego nie da się naprawić. Zauważył także wspólną cechę u wszystkich kobiet, które mu się podobały: były dobre, za dobre dla niego. Zawsze miał o nich zbyt wysokie mniemanie, aby narzucać im siebie. To był jego „typ”, dziewczyna, na związek z którą nigdy nie mógł sobie pozwolić. Kładł to na karb wrodzonego desperackiego sabotowania szansy na szczęście, którą może jeszcze będzie miał w przyszłości. Jego przeszłość była tak ciemna, tak niewyobrażalnie ponura, że czasami myślał, że lepiej się czuje w sytuacjach całkowicie pozbawionych nadziei.

## Rozdział 8

### Gospodarz

#### Wtedy

Gdy taksówka zajeżdżała przed dom, drzwi były już otwarte. Znajoma Abbey wymiotowała w krzewach przed sąsiednim domem, a para z jej roku obściskowała się w zaułku, bez zahamowań. Abbey wyobraziła sobie siebie i Christiana splecionych w takim samym uścisku i nagle spojrzała na to inaczej.

Poczuła podniecenie, gdy weszli do środka. Dolną część ciała ogarnęło dudnienie wibrującej muzyki, potęgując niepokój. Lustrowała każdy kąt we wszystkich pokojach, przez które przechodzili. Wszyscy witali Dani, która po drodze wdawała się w rozmowy z niektórymi dziewczynami, a Abbey szła dalej sama. Po raz pierwszy poczuła na sobie oczy, nie drwiące czy szydercze, ale wygłodniałe i pożądlive. *Więc takie to uczucie.* Już po chwili ktoś podał jej drinka. Abbey wypijała go z pewnością osoby, która radzi sobie z alkoholem lepiej, niż faktycznie potrafi. Tego wieczoru nie czas, aby była sobą, co w tym zabawnego? Dzisiaj będzie lepsza. *Przestań się hamować i zabaw się!* Zawsze była świadoma, że sama stwarza sobie problemy z samooceną. Wychował ją samotny ojciec. Nigdy nie uświadamiała sobie społecznej -etykiety, według której powinna postępować dziewczyna, dotarła do tego miejsca, jedynie zgadując i naśladowując innych.

Wyszła do ogrodu, w tle leciało *Firework* Katy Perry, na drzewach i wiklinowym ogrodzeniu wisiały lampiony, migające i magiczne. Mrowienie w żołądku było gorsze niż zwykle, a gdy mały tłum rozstał się, dostrzegła Christiana. Poczuła się, jakby grała w filmie. Wzięła głęboki wdech i skierowała się w jego stronę, modląc się, aby dostrzegł prędzej ją niż Danielle. Jamie zobaczył ją pierwszą i szepnął coś Christianowi, a ten odwrócił się. Abbey niemal czuła, jak lustruje ją wzrokiem z góry do dołu, a ona sama udawała, że jeszcze tego nie zauważyła.

— Cieszę się, że udało ci się dotrzeć. — Uśmiechnął się, kiedy podeszła bliżej, i zobaczyła coś, czego nie widziała nigdy wcześniej, podniecenie, żądę. W końcu dostrzegł w niej kobietę, poczuła, jak jego spojrzenie wędruje po jej piersiach, gdy uśmiechała się do Jamie'ego, który odwzajemniał jej uśmiech. Abbey pomyślała, że nigdy nie widziała, żeby Jamie się uśmiechał, i cieszyła się z tego, bo nie uśmiechał się z zadowoleniem, ale niezręcznie, na siłę. Otrząsnęła się z nieprzyjemnego uczucia, o jakie ją przyprawiał, i skupiła się z powrotem na Christianie, który nadal udawał, że jej nie lustruje wzrokiem. Czekał, aż Abbey odwróci się z powrotem do niego, czuła to, pewnie widział już wcześniej Dani



w tej sukience, więc wiedział, czego się spodziewać. Kto by przypuszczał, że wycięte głęboko plecy mogą wywołać tyle samo kłopotów, co głęboki dekolt. Po szelmowsku zagryzła wargę, podchodząc do wazy z ponczem, czując na sobie jego spojrzenie, aż przeszło ją mrowienie i łaskotanie na myśl, co on może sobie teraz wyobrażać. Pomyślała o jego ustach na swoich plecach i zarumieniła się, pospiesznie wychylając kolejnego drinka.

\*

Cztery kieliszki ponczu później śmiała się swobodnie. Dlaczego ukrywała się przez te wszystkie lata? Uwaga, jaką przyciągała, wydawała się zasłużona. Dzisiaj była śliczna. Niemal wyczuwała pożądanie chłopaków, którzy z nią gawędzili, nie szczędzili pochlebstw. Dzisiaj wszyscy chcieli tego, co ona miała. Już wkrótce siedziała na kanapie wtulona między trzech chłopaków z drużyny krykieta, wychylając kieliszek tequili za kieliszkiem. Mało ją to obchodziło, ale zbyt dobrze się bawiła, aby nagle znowu być rozsądną. Dani siedziała naprzeciw niej, najwyraźniej zadowolona z przyjęcia swojej protegowanej.

— Abbey, chodź, zrobimy to inaczej — zawołała Dani, widząc, jak koleżanka wykrzywia twarz przed propozycją kolejnej tequili. Chłopcy przyglądali się czujnie, jak Dani odgarnia włosy na bok, odsłaniając szyję, i oblizuje spód dłoni, pozostawiając wilgotny ślad, a potem obsypuje się solą. Ustawiła się, jakby była gotowa na atak wampira. Abbey pochyliła się nad stołem, nie do końca świadoma, że jej sukienka jest o wiele za krótka na taką pozycję, chociaż dobrze, że nie posłuchała Dani i nie założyła stringów. Opierając jedno kolano o ławę, Abbey zlizwała powoli sól z szyi Dani, która wlała tequilę prosto w usta Abbey, a potem uśmiechnęła się do niej, ukazując cytrynę trzymaną zębami. Abbey wyczuwała wycelowane w nią komórki, gdy ujęła ustami cytrynę w ustach Dani, zassała sok i dalej całowały się nad stolikiem, wywołując hormonalną reakcję u chłopaków. Gdy Abbey odsunęła się, zauważyła, jak Christian im się przygląda, i nagle poczuła się, jakby zdradzała go, jakby nie była mu wierna, chociaż on miał Dani. Może źle zinterpretowała jego -sposrzenie, może przeznaczone było dla Dani, ale nie, było dla niej. Pohukiwania i krzyki jedynie potęgowały zamęt w jej głowie, gdy tequila mieszała się z ponczem w żołądku. Musiała wyjść z pokoju, uciec przed tą wrzawą.

Abbey gramoliła się na górę po schodach, wczepiając się w poręcz i ciągnąc coraz cięższe nogi, do łazienki, nie do końca przekonana, że jej się uda. Wpadła przez drzwi i osunęła się przed muszlą, chwytając ją mocno, gdy zawartość żołądka wystrzeliła ustami. Tequila miała tak samo niemiły smak, gdy wychodziła z niej, jak przy picciu, jedynie bez cytrynowej popitki, która paliła jej gardło. Poczowała dłoń na karku, gdy ktoś odgarnął jej włosy.

— W porządku. Jestem tu. — Abbey za bardzo mdliło, aby zdziwić się,

słyszając głos Christiana, ale była wdzięczna za wsparcie. Świadoma, że to prawdopodobnie koniec jakiegokolwiek przyszłości między nimi, domyśliła się, że bardziej martwi się losem łazienki niż nią. Pomógł jej wstać i podał ręcznik.

— Dzięki — wydobyła z siebie z trudem, zażenowana.

— Zdarza się! Proszę, możesz użyć mojej szczoteczki, jak chcesz, i tak mam drugą.

W pożyczeniu komuś własnej szczoteczki do zębów jest coś dziwnie intymnego. Poczula się bezbronna i odkryta, jakby to miało cokolwiek oznaczać. Abbey nigdy nie potrafiła zbyt dobrze odczytywać sygnałów, ale to było takie zdecydowane, to, jak na nią patrzył. Nie było to zatroskane spojrzenie przyjaciela, a raczej coś innego, coś zdecydowanie bardziej znaczącego.

Abbey położyła się na łóżku Christiana, wskazał jej swój pokój, a sam poszedł po wodę i paracetamol na pękającą z bólu głowę. W skromnym pokoju nie miał żadnych plakatów. Mało co wskazywało, że mieszka tu metodyczna i zorganizowana osoba. Abbey dziwił brak charakteru w pokoju. Nie wiedziała, czego się spodziewała, ale nie takiej bezosobowej i chłodnej przestrzeni. Musiała zasnąć, bo po przebudzeniu zobaczyła, że Christian siedzi na brzegu łóżka ze szklanką wody i tabletkami. Usiadła i wypila wodę łączywie, połknawszy tabletki.

— Lepiej się czujesz? — Christian odgarnął jej włosy z oczu i uśmiechnął się do niej ciepło, kładąc jej rękę na ramieniu.

— Przepraszam, zazwyczaj nie piję tequili.

— Dobrze, że przyszłaś... a wyglądasz niesamowicie dzisiaj. — Jego dłoń powędrowała w dół jej pleców, palce ledwo muskały jej skórę. — Naprawdę jesteś ładna. — Pochylił się i pocałował ją, lekko rozchylając usta, na tyle, by poczuła jego gorący, wilgotny oddech na ustach. A co z Dani? — pomyślała, gdy odwzajemniła pocałunek. Czy nadal śpi? Czy to sen? Czy on naprawdę ją pocałował? Zacisnęła mocno powieki w obawie, że jak je otworzy, on uświadomi sobie swój błąd i odskoczy z odrazą.

Teraz położył rękę na jej kolanie. Ona instynktownie chciała zacisnąć uda, aby nie mógł posunąć się dalej, ale coś w środku nie pozwoliło na ten odruch, więc kiedy jego dłoń wędrowała w górę jej ud, ona na to zezwalała, chociaż każdy nerw podpowiadał jej, aby powstrzymała go. Dani da sobie z tym radę, prawda? Czy znienawidzi ją? Obwini? Czy w ogóle dowie się o tym?

## Rozdział 9

### Sztuczka

Kevin Hart spoglądał na swoją obrączkę, pociągając za nią. Była matowa i porysowana. Wyblakłe złote kółko zatopilo się między spuchnięte stawy palców. Teraz był o wiele cięższy niż wtedy, kiedy się żenił, lata popijania wina i ucztowania miały swoją cenę, która odbijała się na jego ciele. Ten fakt był w stanie ignorować, dopóki nie próbował zdjąć obrączki. Zahaczała za włosy na knykciach, gdy zsunął ją i schował do kieszeni. Sięgnął po whisky, gdy w tyle głowy poczuł dudnienie różowych światełek, i łyknął tabletkę na migrenę.

Kevin stanowił znajomą, starą twarz pośród świeżego mięsa w ofercie. Siedział w swoim boksie przy końcu baru i przyglądał się pijanym, młodym mężczyznom, gdy tańczyli przed nim na parkiecie; lustrował tłum w poszukiwaniu maruderów, tych, którzy przegrali i czuli, że opuściło ich szczęście. Barman Don przywykł do taktyki Kevina i znał jego typ. Czasami, kiedy młody desperat osuwał się na bar, Don zerkał na Kevina i czekał na zielone światło. Kevin nie miał tego, co mieli ci młodzi mężczyźni, nie miał młodości po swojej stronie ani nawet urody, ale miał pieniądze i władzę — obie rzeczy o wiele wartościowsze w tej grze.

Kevin obserwował, jak lśniący paw dominuje na parkiecie, jak przyciąga spojrzenia, a każda jego poza ma zwracać maksymalną uwagę. Sprawdzała się, gdyż niektórzy mężczyźni odwracali się od mniej interesujących i chcieli podchwycić jego spojrzenie. Spocony, młody byczek usiłował wydostać się z hordy, pokonany po stracie swego towarzysza pochłoniętego przedstawieniem. Przedostał się do baru i zamówił sobie drinka. Don spojrział na Kevina, który z zaciekawieniem wpatrywał się w nową ofiarę; oderwał mały palec od szklanki, popijając łyk, i Don zorientował się, o co chodzi.

— To na koszt dżentelmena z części dla VIP-ów — oświadczył Don, stawiając drinka na barze i wskazując Kevina. Młody mężczyzna natychmiast wyprostował się i wypiął pierś, wiedząc doskonale, że boksy zajmowali wyłącznie faceci z forszą. Kevin wskazał puste miejsce obok siebie, a jego nowy przyjaciel skierował się do niego.

— Martin. — Mężczyzna wyciągnął rękę. Kevin zignorował ją. Nie lubił ich uspokajać. Martin nadal był na tyle zainteresowany, by usiąść, chociaż stracił trochę odwagi, a z jego twarzy znikł uśmiech. Kevin chciał pokazać Martinowi, że ten nie ma tu nic do gadania; jego młodość i uroda nie wystarczały, aby Kevin płacił za to okup. Kevin chciał, aby młodzieniec czekał na każde jego słowo, a żeby tak się stało, będzie musiał używać słów oszczędnie.

— Chciałbyś trochę zarobić? — w końcu zaproponował Kevin.

— Och, nie jestem płatnym... to znaczy, nie... ja nie... — wybełkotał Martin.

— Zrelaksuj się.

Kevin wiedział, że każdy ma swoją cenę, na wszystko. Lata negocjacji biznesowych nauczyły go, że można zmusić kogoś, aby sprzedał swoje pierwotne dziecko, o ile wiedziałeś, czego ta osoba tak naprawdę pragnie. Martin był dobrze ubrany, ale zdradzały go wystrzępione nogawki designerskich dżinsów i rozciągnięty, modny T-shirt. Martin pragnął być utrzymankiem, dlatego właśnie usiadł przy nim, i przynajmniej tymczasowo Kevin mógł się tym zająć. Martina łatwo da się zaspokoić.

— Zapłacę ci dwa tysiące funtów za spędzenie ze mną weekendu. — Kevin sięgnął po butelkę szkockiej i nalał sobie. Wyczuwał rozterkę Martina, kiedy podał mu butelkę. Ich spojrzenia spotkały się, oczy chłopaka szukały odpowiedzi, kim jest ten drugi mężczyzna. Dla Kevina była to część zabawy, część gry; tajemnica, wyczekiwanie i strach przed nieznanym. Kiedy w końcu Martin wziął butelkę, obaj wiedzieli, że to nie whisky przyjmuje.

Klucz zgrzytnął w zamku i Kevin pchnął drzwi, przepuszczając gościa, aby wszedł pierwszy do mieszkania. W środku było ciemno, ale Kevin zauważył, jak Martin uśmiechnął się, gdy jego wzrok dostosowywał się do światła. Pokój oświetlał blask odbity od imponującej gotyckiej katedry wznoszącej się dokładnie na wprost mieszkania. Mężczyźni, których tu przyprowadzał, zawsze podziwiali smukłe linie mebli, wykuszowe okno wychodzące na plac z katedrą, woń zapachowej świecy Egyptian cotton i nierdzewną stal. Kevin wiedział, że to urzeknie Martina, takie mieszkanie to wabik; dopełniało jego upragnionego wizerunku — tego, że miał pieniądze, że miał władzę. To był azyl Kevina, jego dom z dala od domu, miejsce, gdzie był sobą, gdzie robił rzeczy, które musiał robić, aby zachować zdrowie psychiczne. Żona Kevina, Mary, przywykła do jego weekendowych nieobecności. Lubiała w życiu rzeczy wysokiej jakości i Kevin wiedział, że jest bezpieczny i ona nie będzie się wtrącać, dopóki będą płynąć pieniądze. Nikt mu nie będzie przeszkadzać.

— Zapłacę ci teraz. — Kevin rzucił zwitek banknotów na stół przed Martina, który nerwowo podniósł wzrok, zanim chwycił pieniądze i wepchnął je do tylnej kieszeni.

— Ładne mieszkanie, naprawdę ładne — powiedział Martin szorstkim, wiejskim akcentem, wpatrując się w rodzinny portret na ścianie. Jowialna twarz sportretowanego mężczyzny; był młodszy i szczuplejszy. Na obrazie było dwoje nastolatków, szczupły, wysoki chłopiec z nieszczęśliwym uśmiechem i nieco młodsza dziewczynka w niepokalanej, białej sukience. Kevin trzymał ten obraz ze względu na żonę; kiedy go tu odwiedzała, mogła się czuć jak w domu i oboje mogli udawać, że nie dzieje się nic niestosownego.

Kevin uderzył Martina w twarz otwartą dłonią. Chłopak podskoczył i uniósł rękę, aby oddać. Kevin przechwycił ją i spojrzał Martinowi w oczy. W przypadkach, kiedy reagowali w ten sposób, zastanawiał się, czy rzeczywiście byli zaskoczeni, czy może tylko odgrywali przed nim scenę. Jednak tak naprawdę wcale go to nie obchodziło. Po części musieli domyślać się, za co im płaci, czy może byli naprawdę tak naiwni? Uwielbiał to spojrzenie, zaszokowanie, zdziwienie, oburzenie. Martinowi do oczu nabiegły łzy, gdy Kevin mierzył go wzrokiem.

— Zawsze mogę odebrać pieniądze, a ty sobie pójdiesz — wyszeptał. — Albo będziesz robił, co ci każę, i je zatrzymasz.

Jedną rzeczą jest odmówić sporej sumy pieniędzy, a drugą oddać, gdy już miałeś je w ręku. To bardzo kręciło Kevina, ten moment, kiedy akceptowali, ten moment, kiedy wiedzieli, co się stanie, i nadal zgadzali się, dla tej chwili żył; dla uległości.

— Co mam zrobić? — Martin opanował łzy i opuścił rękę.

— Rozbierz się. — Kevin cofnął się o krok i patrzył, jak Martin niechętnie rozebrał się do slipów; domyślał się, że to szczęśliwa para majtek albo coś w tym rodzaju, jaskrawe i tandetne, dopasowane, markowe, pewnie drogie. — Wszystko.

Gdy Martin stał tak, Kevin napawał się jego niewygoda, jego jędrną, złotą sylwetką w poświęceniu katedry. Martin skrzyżował dłonie z przodu, starając się zachować choć odrobinę skromności. To sprawiło, że Kevin uśmiechnął się w duchu. Zanim skończy z Martinem, jego wstydlivość będzie jego najmniejszym problemem.

W sypialni było ciemniej niż w salonie. Jedyne łóżko stało dostojnie pośrodku pokoju. Martin potknął się i upadł do przodu, a Kevin wepchnął jego twarz w materac. Kevinowi podłoga wydała się jakaś inna, było w niej coś dziwnego, ale odpędził to wrażenie, uznając je za efekt uboczny podniecenia. Jedną ręką rozpiął pasek i z łatwością wyrwał go ze szlufek, a potem zrobił z niego pętlę i założył Martinowi na szyję, jakby był nieposłusznym psem, żadnych pogaduszek, żadnej gry wstępnej. Napluł na dłonie i wepchnął palce w Martina, który przestał się wiercić, kiedy zrozumiał, że im bardziej się opiera, tym bardziej zaciska się pasek. Minęły miesiące, odkąd Kevin podjął tę grę, zawsze zbyt zajęty pracą albo rodziną, ogłupiającymi konferencjami albo przedstawieniami teatralnymi córki. Kevin rozsmakowywał się widokiem ciała Martina, drobnymi skurczami, gdy wchodził w niego mocniej i głębiej.

Martin zaskowyczał, gdy Kevin szarpnął za pas i wyprostował go, a potem sięgnął do przodu, aby zbadać jego erekcję. Nawet bez współpracy chłopaka Kevin wiedział, jak poznawać ich ciała. Znał wszystkie sztuczki.

— Przestań! Za ciasno! — Martin chrypiał, na co Kevin pociągnął jeszcze mocniej.

— Nie martw się, nie uszkodzę cię — odparł, zastanawiając się, czy Martin wie, że on się uśmiecha.

Gdyby Kevin był bardziej spostrzegawczy, zauważyłby, że to dziwne uczucie pod stopami, które wcześniej zlekceważył, nie było wywołane gęstym włosiem dywanu, ale grubą, mocną plandeką. W zasadzie, gdyby Kevin był mniej upojony własną wspaniałością, a bardziej wyczulony na otoczenie, zauważyłby także cień sylwetki w kącie pokoju, ale nie był; i nie zauważył.

Kiedy w niepohamowany sposób przesuwiał dłonie w górę i w dół prącia Martina, sam dostał erekcji. Już nadeszła pora, aby pokazać Martinowi, na co go stać. Oczywiście był to zaledwie wstęp, rozgrzewka. Martin należał do niego przez następne czterdzieści osiem godzin, jeżeli wytrwa tak długo — przeważnie im się udawało, bo zawsze myśleli o pieniądzach. Kevinowi nie był obcy sadyzm, od lat sprowadzał do tego mieszkania młodszych mężczyzn. Jak każdy dobry drapieźnik, nakłaniał ich, aby się zgodzili, aby mieć pewność, że nikomu nie powiedzą, zapewniał ich, że mogą odejść w każdej chwili, musieli jedynie oddać pieniądze. Dlatego właśnie wybierał takich mężczyzn, wiedział, którzy są tak bardzo zdesperowani, aby na to przystać. Co dwa miesiące planował to tak, aby zbiegało się z jego służbowym wyjazdem do filii w Exeter, tłumacząc żonie, że jest to regularna kontrola. To wystarczało, aby zaspokoić jego apetyt na rzeczy niemiłe.

Kevin nagle poczuł ostry ból u podstawy czaszki, zbyt mocny jak na migrenę. Z trudem utrzymywał pasek, ale jego ręka ześlizgnęła się do boku i chociaż bardzo się starał, nie mógł już jej podnieść. Martin chwycił powietrze i rzucił się do przodu. Kevin upadł na kolana, czując w głowie całkowity mętlik. Próbował rozumować logicznie, próbował mówić, ale do jego uszu docierało tylko pienne bulgotanie. Drugą ręką sięgnął do szyi i pomacał ją; była mokra i ciepła. Próbował zakaszleć, ale zamiast kaszlu rozległ się trudny do zidentyfikowania świst. Szukał odpowiedzi u Martina, ale ten siedział w drugim końcu łóżka i patrzył na niego szeroko otwartymi oczyma, śmiertelnie przerażony, podciągnąwszy kolana pod brodę.

— Wynoś się stąd. — Czyjś głos, męski, rozległ się za nim. Bezskutecznie próbował odwrócić głowę. Martin jak najszybciej wygramolił się z łóżka, zrywając pasek z szyi. Twarz miał wykrzywioną ze złości, z cieniem uśmiechu. Cisnął pasek w Kevina. Sprzączka trafiła go w policzek, aż zadzwoniły mu zęby. Kevin spuścił wzrok i zobaczył, że koszula zrobiła się czerwona.

— Ty chory skurwielu! — krzyknął Martin, wybiegając z pokoju i rozcierając szyję.

Kevin zawsze zastanawiał się, kiedy dopadnie go jego przeszłość, i okazało się, że ten dzień właśnie nastąpił. Jak przez mgłę zobaczył mężczyznę, który spoglądał na niego z góry. Czy był to jeden z licznych młodzieńców, których sprowadzał tu przez lata, który teraz wrócił, aby się zemścić? Kevin zawsze

przesuwał wcześniej ustalone granice. Odnajdował większą przyjemność w opieraniu się niż w posłuszeństwie, więc po części spodziewał się, że trafi na któregoś z nich ponownie. Nie, ten nie był w jego typie, ale coś w nim było znajomego. Zobaczył obrzędowy, sierpowaty nóż w ręku mężczyzny, i jego ciało napięło się mimowolnie. Automatyczna reakcja na strach, gdy nagły przyływ adrenaliny napinał mięśnie tak mocno, że wszystkie mieszki włosowe stawały dęba — dostał gęziej skórki. Obserwował stalowe ostrze, gdy rozcinało skórę na jego brzuchu. Poczł kolejny przyływ adrenaliny, gdy mężczyzna powoli pociągnął nóż ku górze za ręcznie rzeźbioną rękojeść i pochylił się nad nim. Kevin poczuł na uchu jego gorący oddech.

— Odniosłem ci nóż.

## Rozdział 10

### Morderstwo

Adriana obudziło łomotanie do drzwi.

— Idę! — jęknął i znowu zapadł w sen.

— Obudź się, Miley — zawołała Grey przez szczelinę na listy.

Stoczył się z łóżka i uderzył o podłogę. Przeciągnął się, a potem wstał.

— Idę! — zawołał, zbiegając ze schodów w slipach, aby otworzyć drzwi, zanim Grey je wyważy. Otworzył drzwi, a Grey chlusnęła mu kawą w twarz.

— Ubieraj się, księżniczko, ruchy.

— Która godzina? — Adrian zauważył, że jeszcze palą się uliczne latarnie, chociaż wyraźnie był już poranek; na pewno wczesny, skoro same się jeszcze nie wyłączyły.

— Szósta trzydzieści, ale uwierz mi, będziesz chciał zaraz jechać. — Była wyraźnie podniecona, kiedy wyminęła go i weszła do salonu, wypijając resztkę swojej kawy.

Adrian zauważył, że kobieta ma na sobie to samo ubranie co poprzedniego dnia. Przyszło mu do głowy, że chociaż pracują razem trochę ponad miesiąc, ona po raz pierwszy jest u niego w domu. Czuł się obnażony, i to nie dlatego, że był prawie nagi.

— Kładłaś się w ogóle spać?

— Wyśpię się po śmierci. Nie wiem, jak ty, Miley, ale mam już dosyć tego, że u wszystkich mam przerąbane.

— Musimy to znosić, aż znajdą sobie inny cel.

— Tak, hm, może ty możesz czekać tak długo, ale ja mam już tego gówna po uszy.

— Co więc z tym zrobimy? Nie wiem, co się działo u ciebie, ale naprawdę musimy tu siedzieć cicho.

— Chrzanić to. Nastawiłam ucha, coś dużego się szykuje.

— Jak dużego?

— Nie wiem, teraz jest bardzo cicho, ale wezwali -spory zespół techników sądowych i... nie wiem... na pewno to jest duża sprawa.

Adrian sięgnął po czarne bojówki ze stosu świeżo wypranych rzeczy na kanapie. Zauważył, że Grey w typowy dla siebie sposób przeszukuje pokój opuszkami palców. Odwróciła się od niego, kiedy się ubierał, i schowała ręce do kieszeni.

— Już widziałas mnie w majtkach.

— Ładny dom.



— To sarkazm?

— Te zabawki, twoje czy dziecka?

— Jeszcze moje. — Adrian zasznurował buty, łypiąc okiem na Grey w nadziei, że nie sięgnie po nic i nie zepsuje.

— Ubrałeś się? Idziemy.

Adrian wsiadł do czarnego mini. Gdy Grey włożyła kluczyk do stacyjki, włączyło się radio, głośny, progresywny rock ryknął z głośników, bas dudnił w tapicerce z brązowej skóry. Wrzuciła pierwszy bieg i ruszyła tak szybko, że Adrianowi głowę wciskało w zagłówek. Mógł sobie jedynie wyobrażać, co myślą sąsiedzi.

Zaparkowali jak najbliżej katedry przy brukowanej uliczce. Adrian natychmiast zrozumiał, że Grey nie myliła się, zanosilo się na coś wielkiego. W tym mieście nie było wiele problemów, które wymagały więcej niż dwóch wozów patrolowych naraz, chyba że w sobotę wieczór, kiedy wzywano karetkę. To było zajęcie dla pięciu wozów policyjnych, a do tego trzy nieoznakowane radiowozy i detektywi, a Adrian nie mógł wytrzymać z ciekawości.

— Co tu robisz? — Morris zawołał przez innych oficerów do Adriana. Stał w drzwiach obok sklepu ze starociami i pamiątkami; w mieście było ich zatrzęsienie. Światło latarni padało prosto na twarz Morrisa, Adrian widział, że nie jest uszczęśliwiony. Prawdę mówiąc, kipiał złością. Adrian przeniósł wzrok wyżej i dostrzegł sylwetki ludzi krzątających się w mieszkaniu na piętrze. Oficerowie, techniczni i kilku innych, których Adrian nigdy wcześniej nie widział.

— Co się stało?

— Musisz wracać na posterunek. — Morris podszedł do niego, grożąc mu palcem dla podkreślenia słów.

— Hola, szefie, to mój wolny czas. Nawet nie mam teraz zmiany, dopiero za cztery godziny.

— Miles, to nie twoja sprawa.

Grey rzuciła Adrianowi znaczące spojrzenie. Najwyraźniej myślała to, co on. Zdecydowanie morderstwo, bez wątpienia. Szef był zły, nie zatroskany, więc Adrian wiedział, że ktokolwiek zginął w tym mieszkaniu, nie ma to osobiście żadnego znaczenia dla niego samego. Więc kto to był, do diabła?

— Oboje się stąd wynoście, natychmiast! — rozkazał Morris, a jego siwe brwi zbiegły się u nasady nosa w jeszcze agresywniejszym wyrazie niż zazwyczaj.

— Dobra, idę — powiedział Adrian, wycofując się. Morris odwrócił się i poszedł pospiesznie do mieszkania. Zatrzymał się i sprawdził, czy Adrian rzeczywiście się zabiera, a potem zniknął w środku.

Adrian podszedł do Grey.

— Coś się dzieje?

— Coś, co ma związek z tobą, najwyraźniej. — Rozglądała się podejrzliwie,

marszcząc czoło, koncentrując się.

— Ze mną? Nie rozumiem.

— Popatrz na oczy, Miley, wszyscy patrzą na ciebie, jakby czekali, aż zwariujesz albo coś w tym rodzaju. Poważnie, zwracaj uwagę na język ciała.

Adrian odwrócił się, aby popatrzeć na innych oficerów. Miała rację — gdy jego koledzy wychodzili z budynku i widzieli Adriana, odwracali wzrok zaalarmowani.

— Nie rozumiem.

— Chodź. — Grey wyciągnęła papierosa i zapaliła. Podeszła do jednego z mundurowych na czatach, który opierał się o radiowóz. — Cześć, Jake.

— Cześć, Imogen. — Policjant uśmiechnął się, przenosząc ciężar ciała na drugą nogę i krzyżując ramiona, typowy odruch obronny.

— Kim jest denat? — zapytała.

— Jakiś biznesmen, nie wiem. — Chciał wyglądać obojętnie, ale było oczywiste, że starał się na nich nie patrzeć.

— Jaki to ma związek z detektywem Milesem?

— Najlepiej to zostawcie, nie mieszajcie się.

— To śmieszne, dowiemy się za pół godziny, jak wprowadzą do systemu! — Frustracja Adriana była oczywista.

— Nie dowiedzieliście się tego ode mnie. — Jake rozejrzał się dookoła, aby sprawdzić, czy nikt ich nie obserwuje, a potem spojrzał wprost na Adriana. — To Kevin Hart, niezła, kurwa, jatka, pocięty na cacy.

— Kevin Hart, ojciec Ryana Harta?

— Dokładnie ten.

— Mówisz poważnie? — Adrian zacisnął szczękę i wyciągnął papierosa z ręki Grey, zanim skinął Jake'owi. — Dzięki, stary.

Adrian wrócił do samochodu, a Grey poszła za nim. Wsiadł i czekał, aż ona zacznie prowadzić. Zaciągnął się papierosem; nikotyna będzie musiała wystarczyć, dopóki nie wprowadzi do organizmu czegoś mocniejszego. Grey wskoczyła na siedzenie obok.

— Powiesz mi, kim jest ten denat? Zdaje się, że to nazwisko coś ci mówi.

— Jedź, powiem ci.

— Dokąd?

— Ryan Hart to diler, pamiętasz, mówiłem ci o dilerze, któremu pozwoliłem uciec. Sprowadza większość amfy na ten teren i kontroluje w dużym stopniu całą marihuanę w mieście.

— Brzmi jak facet, którego warto znać. — Uśmiechnęła się i ruszyła.

— Miałem go. Rozbiliśmy laboratorium amfy za miastem i było dużo dowodów, mieliśmy świadków, którzy mieli przeciwko niemu zeznawać.

— Więc przez tę sprawę zostałeś zawieszony?

— Były dokumenty, nagrania rozmów telefonicznych, umowy najmu miejsca, ale zaginęły. Świadkowie zrezygnowali albo zniknęli. Dużo piłem. Nie wiem, co się stało, ale sprawa się rozsypała. — Adrian wyciągnął kolejnego papierosa z paczki ulokowanej w popielniczce. — Była broń...

— Cholera.

— Nadal nie wiem, jak to wszystko zaginęło, ale byłem odpowiedzialny za śledztwo, więc wziąłem winę na siebie. Przepadłem na jakiś czas. Wtedy Kevin Hart zagroził, że złoży na mnie skargę za nękanie jego syna. Już prawie mnie zwolnili za wykroczenia. Szef wziął moją stronę, naprawdę nadstawił karku. Straciłbym pracę, gdyby nie on. Nie miał wyboru, tylko mnie zawiesić. Kazał mi się wziąć w garść.

— Ostro. Myślisz, że to ma związek z Ryanem?

— Sypiał z paroma podejrzanymi typami, więc tak, nie zdziwiłbym się. Muszę porozmawiać z...

— Czekaj, Miley, chyba nie powinieneś się w to mieszać!

— Zobaczymy.

Zatrzymali się przed rzędem szeregowców w bocznej uliczce, niecałe trzy kilometry od miejsca, gdzie znaleziono ciało Kevina Harta.

— Przez ciebie zawieszają nas oboje. — Spojrzała na niego.

— Myślałem, że masz już dosyć pracy w ogródku?

— Tak, ale to co innego. Dlaczego ten gość tak się ciebie czepiał?

Adrian zamilkł, rozważając, czy w ogóle coś mówić. Musiał komuś zaufać w jakimś momencie, a jeśli nie Grey, to komu? Nie mógł znowu się wycofać.

— Widziałaś kiedyś, co amfa robi z człowiekiem? To jak patrzeć, jak ktoś się rozkłada za życia. — Adrian wciągnął głęboko powietrze i odwrócił się, zanim Grey dostrzegła, jak mu się oczy szklą.

— Nic ci nie jest? — Położyła rękę na jego dłoni.

— Mój tata przez całe życie był od czegoś uzależniony. Kobiety, hazard, alkohol, wybieraj. Ale kiedy zajął się amfą, sprawy miały się milion razy gorzej. Ryana nie obchodzi, czy ludzie, którym sprzedaje, mają rodziny, nie obchodzi go, czy są dziećmi. Wstąpiłem do policji między innymi dlatego, żeby usuwać z ulic takich ludzi jak Ryan Hart.

— Przepraszam, musiało być ciężko. — Imogen spojrzała na dom, a potem z powrotem na Adriana, zanim skinęła głową na zgodę.

— Obiecuję, że będę uważał — powiedział Adrian, wysiadając z samochodu. Zajrzał z powrotem przez okno. — Idę się rozejrzeć, czy coś śmierdzi.

— Dobra! — zgodziła się. — Tylko żeby mnie nie zwolnili przez ciebie.

— Słuchaj, przysięgam, że będę dyskretny. Nie będę z nim rozmawiał, obiecuję. — Podał niedopalonego papierosa Grey i ostrożnie podszedł do domu,

próbując zajrzeć do środka. Światła były zgaszone, żadnego ruchu. Podeszedł bliżej, aby lepiej się przyjrzeć. W zasłonach w pokoju od frontu była przerwa. Żwir chrząkał pod stopami. Gdy Adrian znalazł się przy oknie, w środku pies zaczął szczeleć i wyć, jego masywna sylwetka była widoczna za panelem pleksiglasu we frontowych drzwiach. Adrian widział, jak trzęsie się framuga, gdy pies stawał się coraz bardziej rozochocony.

— Cholera! — Adrian mruknął do siebie, gdy próbował wymknąć się z powrotem przez bramę niezauważony; samochód Grey wydawał się taki odległy. Było za późno, drzwi się otworzyły. Ryan Hart stanął w nich kompletnie nagi. Miał posturę charta; jedynie cienka warstwa wytatuowanej skóry pokrywała muskulaturę pozbawioną tłuszczu. U jego boku siedział i dyszał owczarek niemiecki, siedział i czekał na rozkaz.

— A ja myślałem, że detektyw już mnie nie kocha. — Ryan obnażył zęby w uśmiechu. Adrian, między tym uśmiechem, psem i niebezpiecznym dla otoczenia nagim mężczyzną, uświadomił sobie, że jeszcze nigdy nie znajdował się w tak niewygodnej sytuacji.

— Ryan. Nowy piesek?

— Tak, to Spike. Chyba się jeszcze nie znacie. Czy to oficjalna wizyta, panie władzo? Tylko zdaje się, że nie wolno ci zbliżać się do mnie na sto pięćdziesiąt metrów.

— Gdzie byłeś wczoraj w nocy, Ryan?

— Z twoją matką. — Adrian patrzył, jak Ryan otwiera szufladę sekretarzyka w korytarzu i sięga do środka. Adrianowi życie przeleciało przed oczyma, gdy wyobraził sobie dwururkę wycelowaną w swoją twarz. Ryan wyciągnął wizytówkę i podał mu. — Masz, jak chcesz mnie wplątać w jakiś drobny dil, to byłem u tego gościa całą noc.

— I on to potwierdzi? — Adrian zauważył wóz policyjny skręcający w uliczkę. Musiał uciekać.

— Tak, on i pięciu innych ludzi, mieliśmy turniej pokera.

— Dobra, dzięki za twój czas. — Adrian próbował wrócić do samochodu w naturalny sposób, zanim zauważą go policjanci. Tylko tego jeszcze potrzebował, aby zobaczyli go z Ryanem. Z tej małej relacji wyciągnął jeden ważny wniosek. Dobrze znał Ryana. Śledził go miesiącami, obserwował każdy jego ruch, przesłuchiwał go — całe to nękanie — i stąd wiedział, kiedy Ryan kłamie. Znał jego sztuczki. Tylko tym razem był całkiem pewien, że facet mówi prawdę i, co więcej, Ryan nie miał pojęcia, że jego ojciec nie żyje.

Miles i Grey weszli do centrum koordynacyjnego, gdzie ze wszystkich stron atakowała ich fala czerwieni. Ściana zdjęć zwłok Kevina Harta, nawet nie jego ciała, ale części ciała.

— Zbierzcie się, ludzie — zawołał Morris i rozmowy przycichły; wszystkie

oczy zwróciły się na niego. — Kevin Hart został zamordowany, a potem najwyraźniej poćwiartowany, nie do końca w tej kolejności. Koroner ma pewne trudności z wyznaczeniem godziny śmierci.

— Dlaczego?

— Ponieważ brakuje wszystkich głównych organów. — Morris przerwał i wciągnął powietrze, zanim podjął dalej: — Wypada gdzieś między osiemnastą i dzisiejszym rankiem, ale sądząc po krzepnięciu krwi, minęło ładnych kilka godzin. Kevina Harta widział o osiemnastej strażnik miejski, któremu się oberwało, bo próbował wlepić mu mandat.

— Jest ktoś podejrzany? — zapytał Adrian

— Miles, zbliżysz się do tej sprawy choćby o włos, a wyeksponuję cię do wioski rybackiej w Kornwalii, gdzie przez resztę życia zawodowego będziesz ścigał kłusujących na kraby.

— A gdzie te narzędzia?

— Absolutnie, kurwa, ani śladu, możesz zgadywać. Mundurowi zgarnęli Ryana, syna Kevina; trzymamy go. — Morris spojrzał wprost na Adriana, ostrzeżenie. — Daniels, pojedziesz spisać zeznania żony, jest w North Devon. Stawiam na syna, niezły z niego numer. Fraser, możesz go przesłuchać. Mamy parę brutalnych przestępstw, które łączą się z nim.

Po raz drugi zmierzył wzrokiem Adriana.

— Zróbmy to porządnie, ludzie! Niech temu skurwielowi to nie ujdzie tym razem.

W sali zrobił się rejwach, gdy wszyscy wracali na swoje stanowiska. Grey siedziała na brzegu biurka Adriana, a on czuł jej spojrzenie na swoim czole.

— Co teraz? — zapytała, gdy Adrian oparł się, pokonany, nie wiedząc, co począć dalej. O Ryanie Harcie wiedział więcej niż ktokolwiek, ale zdawał sobie również sprawę, ile spieprzył ostatnim razem. To przez niego Ryan był jeszcze na wolności. Chciał się w to zaangażować, chciał go dorwać i usunąć, ale tak to się zaczęło ostatnim razem, kiedy miał absolutną pewność, jak zgarnąć Ryana z ulicy. Podążał ze wściekłą determinacją, przez którą omal nie zwariował. Nie mógł znowu narażać na to samo siebie ani żadnej bliskiej osoby. Chociaż nie miał ochoty przyznać się do tego, jego pomoc w tej sprawie bardziej okazałaby się przeszkodą. Musiał oddać pierwszeństwo instynktom innych; kiedy w grę wchodził Ryan Hart, jemu brakowało dystansu.

## Rozdział 11

### Matka

Sala azjatycka była gotowa. Porządki zajęły prawie sześć tygodni, ale udało im się, i jeszcze zaoszczędzili czas. Była to stara, nieużywana sala balowa, którą przywracano do użytku na obchody setnej rocznicy. Przez następne dwa tygodnie będą przenosić zwierzęta oznakowane do odnawiania do mniejszych magazynów, aby tej sali znowu przywrócić świetność, przygotować na specjalny obiad, na który przybędzie burmistrz, byli dyrektorzy i kilku miejscowych znakomitości w odpowiednich dziedzinach, w tym kilku członków zarządu Szkoły Męskiej imienia Churchilla.

Abbey była wdzięczna za wiedzę Parkera. Dzięki niej praca szła szybciej. Teraz lubiła z nim pracować, był inny. Z biegiem czasu coraz rzadziej prowadził zapiski w notesie, a więcej gawędził z Abbey, był mniej powściągliwy, a ona czuła się, jakby byli przyjaciółmi. Gdy aranżowali dioramy, wybierał piźmoszczura albo łasicę i zaczynał szczegółowy wywód na temat tego, gdzie i kiedy, rzeczy, o których ona nie wiedziała, obyczaje i zachowania małych istot. Dużo wiedział o rytuałach polowań, tak zatracał się w opisie zwierząt, w ich naturalnym środowisku, aż Abbey z trudem opanowywała uśmiech. On tego u niej nie widział, bo był zahipnotyzowany wymyśloną gonitwą albo zatracał się w jakimś odległym raj.

Abbey i Parker stali obok siebie i patrzyli, jak zwierzęta oznaczone na czerwono są od niechcienia wrzucane do kartonów. Abbey wstrzymywała oddech, starając się powstrzymać łzy na widok ich bezceremonialnego końca. Zespół likwidacyjny nie był ostrożny; ludzie nie szanowali historii, którą brali do rąk, po prostu bezlitośnie wrzucali stworzenia do pudełek, szykując je do spalenia. Gdy Abbey bezradnie spuściła ręce, poczuła palce Parkera, jak delikatnie oplatają jej dłoń i trzymają. Była wdzięczna, chociaż nie przyznawała się do tego, ale czuła, że w tym momencie on to rozumie. Ścisnął jej dłoń delikatnie, gdy po jej twarzy spłynęła jedna łza. Jego palce były takie delikatne i gładkie na jej skórze. Nagle Abbey przypomniała sobie małego przyjaciela z Ameryki Południowej, matkę, której nie potrafiła zidentyfikować. Nadal trzymając Parkera za rękę, pociągnęła go za sobą i pobiegła szybko przez muzeum do pokoju, gdzie ją zostawiła. Pracownicy mieli tam wejść w następnej kolejności. Musiała się dowiedzieć, co to za zwierzę. Parker na pewno wie. Zatrzymali się, aby złapać oddech. Zauważyła, że Parker jest zaskoczony, ale nie miała czasu mu wyjaśniać, gdy sobie przypomniała, że w świetle wpadającym przez witraż trudniej było rozszyfrować numer identyfikacyjny, który i tak był rozmazany. Znowu zaczęła biec i znalazła korytarz

z oknem na końcu. Zatrzymali się i Abbey puściła Parkera, gdy zobaczyła ją, starannie ułożoną tam, gdzie ją zostawiła.

— Co to za zwierzę? — Abbey w końcu udało się wydobyć głos.

Parker ostrożnie wziął stworzenie i obejrzał je z taką samą czułością jak Abbey.

— To gatunek Lynx, zdaje się. Trudno powiedzieć, bo nie ma sierści, a to ich najbardziej wyróżniająca cecha. Jest też bardzo młoda. Przeważnie są dużo większe. Pochodzi z Ameryki Północnej, z Minnesoty, zdaje się, albo okolic. Wiedziałaś, że nazwa Minnesota wzięła się z języka Siuksów, oznacza wodę zabarwioną niebem...

Abbey nie hamowała łez, gdy Parker opisywał jej piękne okolice. Była wyczerpana, nie tylko pracą, ale także byciem sobą, byciem tą Abbey przez ostatnie pięć lat. Czuła, jak mury, które wzniosła wokół siebie, kruszeją wbrew jej woli. Chciała być z Parkerem, chciała go słuchać, oglądać, nie czuć się manipulowaną lub wykorzystywaną, chciała wpuścić kogoś do swojego świata.

Zanim zorientowała się, co robi, chwyciła Parkera za kłapy i przyciągnęła blisko, całując w usta. On się odsunął, zaskoczony, a potem jego spojrzenie zrobiło się tak bardzo łagodne, tak kompletnie szczere. Przeniósł spojrzenie na jej usta, ona wstrzymała oddech na całą wieczność, gdy on zbliżał się powoli, a wielobarwne światło wpadające przez okno odbijało się od jego idealnych kości policzkowych. Scałował łzę drżącą na jej ustach, a potem pocałunek stał się głębszy i odmienny od jej wszystkich doświadczeń, powściągliwy i wyczekujący.

Gdy Abbey stała w jego objęciach, nie czuła już więcej ciężaru wspomnień. Parker nie próbował jej mieć, nie starał się jej uspokajać. Podobała się jej jego elokwencja, jednak kiedy czasami coś jej opowiadał, to potykał się o słowa, przepraszając za to, co w nim najatrakcyjniejsze. Abbey wiedziała, że każde jego słowo jest wyczelowane i przemyślane, nawet kiedy miał problem z wypowiedzeniem go. Wiedziała, że też nie jest z nią do końca szczery, ale jej to nie przeszkadzało. Rozpoznawała kłamstwa takimi, jakimi były, małym miłosierdziem, by chronić ją przed... czym? Przed skrępowaniem? Przed prawdą, której według niego ona nie zniesie? Nie był wygładzony, nie był czarujący, był niezdarny, wyniosły i nieco naiwny. Gdyby Abbey mogła, zatrzymałaby czas na zawsze i zaistniała poza rzeczywistością, poza strachem, poza rozczarowaniem. Zamroziłaby ten właśnie moment i nigdy nie posunęła do przodu. Wyobrażała sobie siebie i Parkera, jak całują się przed witrażem, uwięzieni w śnieżnej kuli, gdzie czyste piękno można by podziwiać już na wieki.

Jednak zawsze przychodziło rozczarowanie, może nie natychmiast, ale ostatecznie pojawi się coś, zawsze tak jest. Próbowwała zbliżyć się do ludzi, do mężczyzn, od kiedy rzuciła studia, ale związki nigdy nie przetrwały. Mężczyźni zawsze chcieli czegoś, czego Abbey nie była gotowa dać. Zawsze po części

wyobrażała sobie siebie, jak siedzi na łóżku Christiana; nigdy go tak naprawdę nie opuściła.

Parker w końcu odsunął się od niej. Abbey brakowało tchu, kręciło się jej w głowie. Jego oczy, po raz pierwszy pozwoliła sobie spojrzeć w nie, takie zimne, takie czyste. Przyszedł jej do głowy zwrot, którego on użył wcześniej; tak idealnie je opisywał. Woda zabarwiona niebem. Splótł palce z jej palcami. Opuszkami czuła jego puls, mocny i szybki.

— Teraz zabieramy się za ten zbiór. — Zaczarowaną chwilę przerwał głos i Abbey przypomniała sobie, gdzie jest, niewidzialny magnes między nimi osłabł. Puściła jego dłonie i wróciła do roli przełożonej w tej operacji. Kiedy odwróciła się, Parkera już nie było.



## Rozdział 12

### Przyjaciel

Wtedy

Pocałunki Christiana były teraz głębsze i bardziej namiętne. Abbey otworzyła oczy i sprawdziła, czy w pijanym widzie nie zaczęła przez pomyłkę całować kogoś innego. On przesunął dłonią po jej majtkach, a ona pomyślała o swoich brązowych figach i natychmiast pożałowała, że nie założyła stringów.

Usłyszała otwierane drzwi i poderwała się, zaskoczona. Poczowała ulgę, widząc, że to nie jest Dani, tylko Jamie. Wtedy zarumieniła się, bo dłoń Christiana nadal znajdowała się między jej nogami. Chwyciła go za nadgarstek i spróbowała odciągnąć, ale on oparł się i został tam, nadal delikatnie gładząc jej udo. Spojrzała na Jamiego, spodziewając się, że wyjdzie z pokoju, kiedy zorientuje się, że jest intruzem, ale zamiast tego wszedł do środka i zamknął drzwi.

— Christian? — Znowu pociągnęła chłopaka za rękę, ale bez rezultatu.

— Nie przejmuj się nim. — Christian pochylił się i pocałował ją mocniej niż wcześniej, tym razem mrowienie w jej żołądku przybrało na sile, były to wielkie czarne mrówki, uwięzione i niespokojne.

— Muszę iść. — Chciała wstać, ale on chwycił ją mocno za ramię. Jamie zbliżył się, rozpinając koszulę. W tym momencie Abbey uświadomiła sobie, że nie ma szans na wyjście z pokoju, nie w tej chwili. Spojrzała Christianowi w twarz w poszukiwaniu znaku, że jest w błędzie, ale nic tam nie znalazła. Nie rozpoznawała jego twarzy.

— Dani będzie mnie szukać.

— Ona już wyszła, powiedziała, że musi się przespać. — Christian z łatwością rozpiął jej sukienkę. W ciągu wieczoru na pewno robił to wielokrotnie, ale jej fantazje nie uwzględniały akurat takiego scenariusza. Skrzyżowała ręce, aby się zasłonić, ale to, co przed kilkoma godzinami uchodziło za najbardziej śmiały strój, teraz okazało się jej najgorszą decyzją. Przeniosła uwagę na hałas poza pokojem, śmiech i muzykę, jej ulubioną piosenkę. Przez ostatnią chwilę cieszyła się tą melodią, bo wiedziała, że w przyszłości już zawsze będzie się kojarzyć z tym konkretnym momentem i dalszymi. Z chwilą, w której straciła wiarę w ludzkość, kiedy odkryła kruchość fantazji i zrozumiała, że im wyżej stawiamy kogoś na piedestale, tym drastyczniejszy będzie jego upadek.

Ogarniało ją rozpaczliwe rozczarowanie, głównie samą sobą, tym, jak była naiwna. Spojrzała na drzwi, wydawały się tak odległe. Jej ciało drżało z przestachu, gdy Jamie zbliżał się coraz bardziej. W ustach jej zaschło

i oddychała z trudem, starając się nie wpadać w panikę. Nie wiedziała, dlaczego, ale nie chciała, aby pomyśleli, że jest bezbronna. Musiała trzymać się w garści. Chciała wyjść, ale nie mogła. Chciała się wydostać. Musiała. Zamknęła oczy i starała się nie myśleć o tym, co się z nią dzieje. Jamie usiadł po jej drugiej stronie i zaczął całować ją w szyję; usta miał zimne i wilgotne. W tle leciała jej piosenka. Romantyczne słowa zlewały się w złowieszczą groźbę, gdy ona coraz bardziej oddalała się z każdym pocałunkiem, z każdym dotykiem. Co by się stało, gdyby spróbowała wyjść? Naprawdę chciała.

— Muszę iść, jutro mam test, muszę się uczyć. — Jej głos był taki słaby i zagubiony w cichym pokoju; słychać było jedynie ciężki oddech i stłumioną muzykę za drzwiami. — Proszę... przestańcie...

Nikt nie słuchał. Jamie przyciskał do niej usta i pchnął ją na łóżko. Abbey próbowała się podnieść, ale jej ramiona były przygwożdżone po obu stronach. Jamie odsunął się, a Christian przycisnął usta do jej ust, nie pamiętała już, co czuła, kiedy pocałował ją po raz pierwszy zaledwie chwilę temu. Wszystko się zmieniło od tamtego momentu, świat stał się tak inny w tym krótkim czasie. Kiedy pocałunki przeszły w pieszczoty, a pieszczoty w coś całkowicie innego, Abbey mogła tylko myśleć: głupia, głupia, głupia. Pomyślała, czy gdyby krzyknęła, ktoś by usłyszał. Nie tyle, że krzyk wydał się potężnie przesadzoną reakcją, jakby robiła wiele hałasu o nic. Głupia. Zamknęła oczy i starała się nie myśleć o tym, co się z nią stanie. Poczowała nacisk kolana wpychającego się między jej nogi, które rozboleły ją od trzymania razem. Wiedziała, że to Christian, nie pozwoliłby sobie, aby być drugim po Jamie. W ustach poczuła dziwny, metaliczny smak i uświadomiła sobie, że zagryzała wargi. Jeszcze bardziej skupiła się na muzyce zza drzwi, kiedy on szarpał się ze swoimi spodniami, a potem pociągnął mocno za jej majtki, rozrywając je. Wstrzymała oddech, kiedy wepchnął się. Czy wiedział, że to jej pierwszy raz? Spięła się w sobie, gdy on wpychał się w nią, aż wydał z siebie odgłos, coś między stęknieniem a jękiem, zanim legł na niej całym swoim ciężarem. Słyszała, jak dyszy jej do ucha, i znowu zrobiło jej się niedobrze. Ośmieliła się wziąć oddech. Kiedy w końcu wstał, otworzyła oczy i zobaczyła, jak Jamie rozpina rozporek, a Christian klepie go w plecy. Tym razem nie bolało. Zastanawiała się, czy to dlatego, że przestała czuć cokolwiek. Jamie był szybszy, bardziej oszalały, żałowała, że nie potrafiła patrzeć mu w twarz, kiedy to robił, tylko zaciskała powieki i czekała, aż skończy. Usłyszała, jak obaj rozmawiają, ale nie rozróżniała słów, wirowały i mieszały się jej w głowie, aż stawały się nonsensowne. To, co się stało, było wyłącznie jej winą, to, że obaj wykorzystali jej ciało, ciało, z którym już dłużej nie czuła związku, jakby oddzieliło się od jej umysłu, a ona sama panowała nad nimi niezależnie.

Kiedy zrobili swoje i poszli, Abbey leżała na łóżku przez chwilę sama, mogła zaledwie zapiąć sukienkę i wytrzeć się do czysta koszulką z jego kosza na

brudne rzeczy. Pokój Christiana, tak zimny, jak wydał się jej, gdy tu weszła, teraz wyglądał niemal szpitalnie, sterylnie, pusto. Nie miał ani charakteru, ani osobowości, bo Christian nie miał duszy. Pokazał jej swoją prawdziwą twarz — była groteskowa.

Abbey leżała tam obolała, pusta i rozbita. Głupia. Tego popołudnia pragnęła, aby Christian przywarł nagim ciałem do niej nagiej, ale teraz, kiedy to się stało, nienawidziła siebie za to, że w ogóle go polubiła.

Jeszcze bardziej nienawidziła tego, że będzie musiała wracać do domu sama, w tej sukience, jakby nic na sobie nie miała. Sięgnęła po jeden ze swetrów Christiana z krzesła i spróbowała zakryć się, aby dostać się z tego więzienia do swojego pokoju, swojego azylu. Całkowicie trzeźwa, gdy szła przez zgłiszcza po imprezie, przez ciągle leżących gdzieś tam ludzi, i drzwiami balkonowymi na dwór, zauważyła, jak Christian i Jamie śmieją się z jedną z koleżanek Dani.

— Tu jesteś! — Zakręciła się na pięcie i zobaczyła Dani otuloną w za dużą marynarkę Christiana, sygnał dla innych chłopaków na przyjęciu: ręce precz, ona należy do niego. Abbey pomyślała o swetrze, który miała na sobie i chciała go zerwać, nie chciała czuć się jak jego własność, nie chciała, aby ludzie tak o niej myśleli.

— Myślałam, że wyszłaś — Abbey udało się wydobyć z siebie po chwili wahania. W tym momencie rozważała, czy załamać się, czy po prostu zabierać się stąd do diabła.

— Nie, miałam właśnie ciebie poszukać. Byłaś nieźle wstawiona, więc pomyślałam, że musisz trochę odpocząć.

Powinna iść do szpitala i wziąć pigułkę „dzień po”, powinna coś zrobić.

— Już mi lepiej, chodźmy do domu.

Dom. Dom to nie kwatera z Dani, jej dom był u taty. O mój Boże, jej tata będzie tak nią rozczarowany. Chciała zwinąć się w kłębek w swoim różowym pokoju, a on przyniósłby jej szklankę mleka z miodem i masłem i oglądaliby razem czarno-białe filmy przez cały dzień. Jutro była niedziela, wiedziała, że przyjechałby po nią, gdyby zadzwoniła, koniecznie chciała zadzwonić. To tylko godzina jazdy. Czy zorientuje się, że coś się stało, gdyby zadzwoniła bez powodu? Może mogłaby udawać, że musi zrobić pranie, tak, właśnie; zadzwoni rano.

## Rozdział 13

### Pastor

Jak na sierpień w Paryżu wieczór był niezwykle gorący; parny żar stawał się jeszcze bardziej nieznosny przez fakt, że gdziekolwiek wielebny Stephen Collins próbował pójść, otaczali go rozgrzani i spoceni obcokrajowcy. Przedzierał się przez dzielnicę Pigalle do hotelu Shangri--La, byłego domu rodziny Bonaparte z widokiem na Sekwanę i wieżę Eiffla, która nie równała się z tą zapuszczoną i swojską częścią miasta. Zazwyczaj nie chodził tędy, wiedząc bardzo dobrze, że to epicentrum rozpusty w Paryżu, ale dzisiaj odwiedził bazylikę Sacré Coeur na Montmartrze. Powietrze było tak ciężkie, że niechybnie nadciągała burza; spodziewał się tego tak jak spacerowicze, którzy pobiegli się schować, gdy powietrze rozdarła błyskawica, i stłoczyli się pod markizami obskurnych klubów wraz z pierwszymi -kroplami deszczu.

Nie był to pierwszy pobyt Stephena w Paryżu i nie będzie ostatni. Kiedy w końcu opuścił szkolną parafię i odrzucił wiarę w Boga, szukał czegoś, co by na nowo obudziło w nim oddanie dla Kościoła, ale odnalazł jeszcze więcej powodów, by wątpić w istnienie Boga, a on sam pozostawał wyraźnym tego przykładem. Odwiedzał kościoły w całej Europie, ale szybko znalazł się w niewłaściwej części miasta, jakby jakiś wewnętrzny instynkt odkrywał te miejsca bez jego udziału. W przeciągu sekund zaskoczyła go ulewa, przygważdżając go, przemaczając do nitki. Kałuże na nierównym gruncie tworzyły się tak szybko, jakby odkręcono kurek. Omijał je i przeskakiwał, aż znalazł się na chodniku.

Żona Stephena, Ellen, zmarła na raka przed kilku laty, a samotność nazbyt mu doskwierała. Nie miał szans znowu znaleźć kogoś takiego jak ona, kogokolwiek, kto by z nim wytrzymał, zniósłby jego autodestrukcyjne tendencje. Słyszał o takich miejscach w klubie dżentelmenów. Panowie opowiadali o młodych pięknościach, które z radością dawały miłość i czułość starszym mężczyznom w zamian za dobry posiłek i kilka funtów. Podczas pierwszej wizyty w Paryżu był nieśmiały, ale te kobiety wiedziały, jak cię uspokoić, wiedziały, jak sprawić, abyś czuł się kochany. Mógł wejść do baru i w ciągu kilku sekund dziewczyna cztery razy młodsza od niego już przy nim siedziała i uśmiechała się, jakby znała go całe życie.

Tego wieczoru planował odwiedzić nowe miejsce. Było zbyt mokro, aby dotarł do swego ulubionego lokalu, a poza tym odmiana była równie dobra co odpoczynek. Wpadł z deszczu do ciemnego klubu z neonem nad drzwiami i strzałką wskazującą do środka.

— Dzień dobry, panu. — Starsza Tajka obdarzyła go perfekcyjnym

uśmiechem. Domyślił się, że to szefowa.

— Dzień dobry.

— Drinka chce pan?

— Tak, proszę.

— Dziewczynę chce pan? — Na jej twarzy pojawiła się diaboliczna mina, gdy zajrzała w jego oczy. Chociaż wszyscy w takich miejscach wiedzieli, w czym rzecz, Stephen pochylił głowę i odwrócił spojrzenie, gdy odpowiedział:

— Tak.

— Pan siada, dziewczyna idzie. — Wprowadziła go do boksu w rogu sali. W lokalu było cicho, deszcz odstraszał potencjalne ofiary.

Ledwie Stephen usiadł, a u jego boku zjawiała się dziewczyna. Była piękna, twarz miała pełną dobroci, żadnego makijażu, naturalne piękno. Zakochał się po raz trzeci w tym tygodniu.

— Dzień dobry, mister — odezwała się cicho, ledwo słyszalnie przy muzyce.

— Stephen. — Uśmiechnął się.

— Dzień dobry, mister Stephen, mam na imię Lilly.

Stephen miał poważne wątpliwości, czy rzeczywiście ma tak na imię. Wiedział, że tym kobietom doradzano, aby przy klientach używały europeizowanych imion.

— Miło cię poznać, Lilly.

Przysunęła się bliżej niego i położyła delikatną dłoń na jego rękę. Przez chwilę siedziała zdenerwowana.

— Chcesz iść w prywatny pokój?

— Nie — odparł Stephen, niemal obrażony. Nie zawsze chodziło o seks, pragnął po prostu towarzystwa, które trudno jest znaleźć takiemu staremu jak on, kiedy nie musisz odpowiadać na żadne pytania o to, kim jesteś i skąd pochodzisz, i za które musisz płacić. W Anglii próbował korzystać z pań do towarzystwa, ale pod względem przyjaźni mało oferowały, ze sztucznymi rzęsami i sztuczną opalenizną. Lubił Tajki, bo zachowywały się tak, jak kobiety powinny, z szacunkiem i godnością, a bariera językowa eliminowała groźbę głębszych rozmów. Brytyjki były po prostu zbyt obcesowe.

— Ty iść w prywatny pokój, ja ci dać seks. — Lilly uśmiechnęła się.

Chciał, żeby była cicho. Gdyby zamknął oczy, mógłby odciąć się od tego okropnego miejsca, mógłby usunąć powód, dla którego tu się znalazł, ale nie mógł wyłączyć jej głosu. Jego słodycz przypominała mu o dokuczliwej samotności i fakcie, że był nie tylko samotny, ale sam, całkowicie i do głębi duszy.

— Mam tańczyć, chcesz? — zapytała z nutą desperacji w głosie. Domyślał się, że dziewczyna martwi się, że nie jest wystarczająco ładna albo dobra, że ją odeśle i poprosi o inną; myślał o tym, ale wiedział, jakie będą dla niej

konsekwencje, jeżeli tak postąpi. Nie mógł tego zrobić. Zauważył poczerwienie żyły w zgięciach łokci i zrozumiał, że życie już było dla Lilly trudne.

— Nie, jest dobrze, po prostu posiedź ze mną. — Pragnął jedynie ciepła jej dłoni na swojej, pragnął kontaktu. Pomyślał o swoim pokoju w hotelu i jak dobrze byłoby znowu zasnąć obok kogoś, jak dobrze byłoby obudzić się obok kogoś; wszystkie rzeczy, które bierzesz za pewnik, kiedy jesteś żonaty.

Pragnął cofnąć się w czasie i zrobić pewne rzeczy na nowo, tyle by zmienił; nie tylko to, jak traktował Ellen. Pogodził się z faktem, że utrata Ellen przed tylu laty była karą za potajemne życie, jakie wcześniej prowadził. Ludzie przychodzili do niego ze swoimi problemami, szukali odpowiedzi, a on udzielał ich z determinacją, z pewnością osoby, która zna wszystkie odpowiedzi, która wierzy w coś większego od siebie. Jednak to wszystko było kłamstwem. Udawał współczucie i empatię, ale za zamkniętymi drzwiami był zgorzkniałym, samotnym starcem. Teraz chciał leżeć obok kogoś, kto opowiadałby mu, że wszystko będzie dobrze, że istnieje dla niego jakiś plan. Cokolwiek poza tą pustą egzystencją.

Spojrzał na Lilly, która milczała i zagryzała wargę, najwyraźniej niepewna, co z nim począć, skoro nie chciał jej wyruchać. Zazdrościł jej tej prostoty, świadomości swojej roli. Jej zadanie to być przedmiotem pożądania dla samotnych, starych podróżnych, za to on nie znał już swojej roli. Nie pracował, odkąd porzucił duszpasterstwo, i żył ze skromnej emerytury. Na szczęście wżenił się w pieniądze, więc nie musiał pracować po śmierci Ellen. Nie miał przyjaciół i rodziny, o której warto było rozmawiać, poza siostrzeńcem, którego nigdy nie spotkał i pewnie już nigdy nie spotka. O ile Stephen się orientował, nikomu na nim specjalnie nie zależało, co najwyżej Lilly w tym akurat momencie. Wsłuchiwała się w każde jego słowo, czekała na jego skinienie, gotowa wypełnić swoje zadanie. Może zachowywała się tak w nadziei, że ją uratuje, że zabierze ją stąd do lepszego życia. Lecz on był zbyt zepsuty. W końcu zrani ją, jak zranił Ellen, jak zranił tylu innych. Zrani tak, że zostaną fizyczne ślady. Zastanawiał się, czy jego kara żyje, żyje i pamięta jego minione grzechy, zawsze czeka na drugą szansę. Ale drugiej szansy nigdy nie ma. Taka była prawda o Stephenie, nie do podważenia, był trucizną. Dlatego właśnie trwał przy tych krótkich przerwach w swej samotności; wiedział, że nie zasługuje na nic lepszego.

Lilly położyła rękę na jego udzie. Jego ciało nie zareagowało tak jak przed laty, jeśli już to ciśnienie oczekiwania sprawiało, że jeszcze bardziej wiotczał. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął plik banknotów, pod barem wsunął je do jej ręki, ona schowała pieniądze do pończochy, a potem dalej przesuwiała dłoń po jego udzie. Po części chciał, aby to kontynuowała, ale od śmierci Ellen stał się przesądny i potrafił sobie wyobrazić jej ganiące spojrzenie z nieba. Nie chciał jej rozczarować po śmierci, tak samo jak za życia. Czasami jego sumienie wygrywało tę bitwę, czasami wygrywało zwierzę w nim. Dzisiaj zdesperowane spojrzenie

w oczach Lilly kazało mu się zastanowić, kazało mu przypomnieć sobie, po co wybierał się w te podróże albo przynajmniej jak sobie je tłumaczył.

— Nie, dziękuję, Lilly, muszę już iść.

Dziewczyna wyglądała jednocześnie na zranioną i wdzięczną.

Stephen wy dostał się z boksu i podszedł do burdelmamy na podwyższeniu przy drzwiach.

— Ona niedobra? Mam młodą dziewczynę, mam dziewicę.

— Co? Nie... nie, dziękuję. — Wyciągnął więcej gotówki i podał kobiecie. To sprawiło, że zamilkła, a on wyszedł, czując do siebie obrzydzenie. Powinien był pójść do swojego stałego baru; tam dziewczyny przynajmniej udawały, że nie są tak całkowicie bezradne, przynajmniej zastrzyki robiły sobie między palcami stóp.

Umieścił kartę magnetyczną w zamku drzwi do pokoju hotelowego. Mieścił się na trzecim piętrze i Stephen nie mógł się już doczekać, aby popatrzeć z góry na miasto i odizolować się od reszty świata. Otworzył drzwi, a w środku już paliło się światło. Zjeżyły się mu włosy na karku, poczuł, jak uruchomił się jego szósty zmysł, ale mimo to wszedł do pokoju.

Przeszedł do części dziennej i zobaczył pudełko na stole, zapakowane jak prezent z kokardą. Usiadł ciężko na kanapie, wpatrując się w pudełko przed sobą, świadom, że wilgoć z ubrania wsiąka w luksusową, białą szenilę. Nie bał się otworzyć pudełka, wiedział, co jest w środku — widział już takie, raz podarował komuś podobne. Pamiętał podekscytowane spojrzenia, a potem strach i akceptację, która pojawiała się zaraz po otwarciu.

— Jeszcze tu jesteś? — zapytał Stephen.

— Tak — rozległ się za jego plecami męski głos; był niższy, niż się spodziewał, starszy, niż pamiętał, bezbarwny.

— Zastanawiałem się, czy jeszcze kiedyś cię zobaczę.

— Wiedziałeś, że tak. — Nadal beznamiętny, bezwzględny, opanowany.

— Tak, chyba tak, zabijesz mnie? — To było głupie pytanie i Stephen o tym wiedział.

— Otwórz pudełko.

Stephen zajrzał do wnętrza i zobaczył to, czego się spodziewał — obrożę z metalową sztabką o czterech zębach przymocowaną z przodu, dwa zęby na każdym końcu. Wyglądała jak dwustronny widelec do grilla, jeden koniec, aby wbić w szyję, drugi w pierś. Była to ta właśnie obroża i to samo pudełko.

— Cieszę się mimo wszystko, że uszło ci. Miałem nadzieję, że wszystko będzie z tobą dobrze.

— Coś w tym wydaje ci się dobre? — Głos nieco się załamał. Stephen wychwycił w nim ból.

— Nie, chyba nie. — Stephen wstał powoli i zdjął marynarkę, rzucił ją na kanapę obok, podszedł do okna, spojrział na iluminowane miasto po raz ostatni. Nie

skupiał się na odbitym cieniu, który zbliżył się do niego od tyłu, nie bał się, nie zamierzał uciekać. — Obsługa ma wyraźne polecenie, aby nie przeszkadzać mi przez dwa dni.

— Wątpię, aby tyle to trwało — odpowiedział mężczyzna, odciągając rękę Stephena do tyłu i wiążąc je. Zaczął go popychać w stronę sypialni.

— Mogę zostać tu? Wiem, że nie mam prawa prosić ciebie o cokolwiek, ale chciałbym stać tutaj, jeżeli to ma być to.

Usłyszał westchnienie mężczyzny, a potem tamten pociągnął go do okna i przywiązał do mahoniowego sekretarzyka przytwierdzonego do ściany. Zakręcił sznur kilkakrotnie tak, żeby przepływ krwi w dłoniach został ograniczony; zaczęły mu pulsować i Stephenowi przyszyły na myśl delikatne palce Lilly.

Wtedy przysła kolej na obrozę. Stephen uniósł głowę, gdy mężczyzna zakładał mu ją na szyję i ułożył kolec między brodą a piersią, wysiłek, aby utrzymać głowę w górze, był wyczerpujący, w końcu, gdy głowa mu opadnie, rany nie będą od razu fatalne, ale przedłużą cierpienie, a ból był ogromny, jednak nie potrwa długo, nie w przypadku Stephena, bez leków na serce nie przetrwa nocy, i był za to wdzięczny. Widelki heretyków, tak to się nazywało, i to ostatecznie przyniesie mu śmierć. Stosowność tej nazwy wywołała u niego śmiech. Kątem oka zobaczył, jak mężczyzna opuszcza pokój. To było to. Był teraz naprawdę sam, a reszta stała się kwestią czasu.



## Rozdział 14

### Przerwa

Minął tydzień, odkąd chętny do współpracy Ryan został przesłuchany i zwolniony. Przed jego domem dyżurowali policjanci dwadzieścia cztery godziny na dobę, a Adrian pozostawał pod czujnym okiem reszty funkcjonariuszy, na wypadek gdyby chciał zrobić coś głupiego. Poproszono go, aby przejrzeć wszystkie swoje stare notatki z poprzedniego śledztwa w sprawie Ryana Harta, aby sprawdzić, czy ten planował zabójstwo swojego ojca. Dzięki drobiazgowości własnych zapisków zauważył, kiedy sprawa zaczęła mu się wymykać z rąk — niedokończone raporty, ograniczone opisy i mgliste komentarze, jak również pojedyncze słowa nabazgrane w notesie, które pewnie miały swój sens w momencie zapisu. Przerabiał już tę sprawę wcześniej, rozłożył ją na części, aby postawić Ryana przed sądem i oskarżyć o nękanie, i nic, wiedział o tym, i Morris też wiedział. Adrian był przekonany, że to tylko po to, aby go czymś zająć, żeby nie wchodził im w drogę.

Adrian wyszedł z pracy i skierował się inną drogą niż zazwyczaj. Nie miał ochoty wracać do domu, żeby być sam na sam ze swoimi myślami. Natknął się na mały pub, w bok od głównej ulicy, było w nim spokojnie, więc wszedł. Zaszył się w najciemniejszym kącie. To nie był jego lokal, tego pubu nigdy wcześniej nie widział. Był mały, a klientela najwyraźniej przywykła do widoku tych samych twarzy co wieczór, jednak mimo to Adrian usiadł. Chciał upić się, aż nie będzie pamiętał, jak się nazywa. Pamiętał to uczucie po ostatnim razie, kiedy Ryan Hart był przedmiotem śledztwa. Chciał zniknąć, przestać myśleć, bo sprawy nie układały się po jego myśli, a on był zdesperowany, by przymknąć Ryana. Słyszał w głowie jakiś głos, ale co mu szeptał? Nie wiedział, ale o czymś zapominał, coś pomijał. Coś. Coś.

Skończył już czwarte piwo, kiedy uznał, że to jeszcze nie wystarczy, aby przestał o tym myśleć, potrzebował większej namacalności, trochę więcej ludzkiego kontaktu.

Wyszedł z cichego pubu i szedł przez miasto. Zadowolony, że tego wieczoru nie pracuje. Przed pubami zbierali się palacze, aby zaspokoić nałóg, też by sobie teraz zapalił. Przed oczami miał znajomy widok ludzi dużo młodszych od niego popełniających te same błędy, które on popełnił sto razy i jeszcze trochę. Chęć do przygód była prawie przymusem w gorące, parne wieczory. Kiedy praktycznie można było smakować feromony w powietrzu, woń świeżego potu uruchamiała wszystkie właściwe mechanizmy; sprawiała, że cielesne kontakty były łatwiejsze. Mężczyźni upijali dziewczyny, tylko aby zaczęły konwersować. Sztuczne

uśmiechy i komplementy, kiedy wszyscy chcieli tego samego, znaleźć jedną specjalną osobę, żeby nie trzeba było przechodzić przez to gówny tydzień w tydzień. Adrian przypomniał sobie, jak wierzył, że odnalazł to w Andrei, nie uświadamiając sobie, że ona nigdy nie czuła tego samego. Ona była przekonana, że jej przeznaczeniem są imprezy charytatywne i markowe buty. Adrian zawsze był tym szczeblem w drabinie, jej okresem buntu, zanim się ustakuje. Otrząsnął się z wizji Andrei, nie było sensu myśleć o niej, on jej nic nie obchodził, więc musi przestać zawracać sobie nią głowę. A w każdym razie, ta Andrea, w której był zakochany, nie istniała już, teraz ona była wredną, zimną suką i ich związek nie miał sensu.

Z powrotem do zadania. Tuż poza granicą ścisłego centrum zbliżył się do więzienia i zatrzymał się przy jednym z dużych domów podzielonych na mieszkania. Sam budynek był nieco zaniedbany, ale jeżeli nie spojrzalesz w lewo na dwieście metrów, nie przypuszczałbyś, że znajdujesz się w tak bliskiej odległości od zakładu karnego o zmniejszonym rygorze, mieszczącym ponad pięciuset mężczyzn. Nacisnął jeden z dzwonek.

— Halo — rozległ się kobiecy głos z intercomu.

— Tu Adrian.

Usłyszał brzęczyk i wepchnął się do środka. Pierwsze drzwi były otwarte i Denise Ferguson, sierżant dyżurna, opierała się o framugę, trzymając duży kieliszek wina. Obrzuciła go apatycznym spojrzeniem.

— Zastanawiałam się, czy jeszcze kiedyś cię zobaczę... przynajmniej tutaj.

— Spodziewałaś się towarzystwa? — Ruchem głowy wskazał jej krótką, satynową koszulkę nocną.

— Nigdy nie wiem, kiedy spodziewać się towarzystwa — odparła odrobinę cierpko, otwierając szeroko drzwi i chowając się głębiej, najwyraźniej czekając, aby Adrian podążył za nią.

Usiadł na kanapie i obserwował ją, gdy nalewała mu drinka z kryształowej karafki na białej toaletce. Cały pokój był biały, a raczej w złamanej bieli, w dowolnym odcieniu, jaki można sobie wyobrazić. Denise albo udawała, że jest zła, albo rzeczywiście działał jej na nerwy, ale mówiąc szczerze, nie dbał o to. Wiedział, że ona też nie. Wieczory zawsze kończyły się tak samo.

Denise miała włosy ścięte krótko, niemal po męsku, jasnoniebieskie oczy i w pracy zawsze używała krwistoczerwonej szminki, ale w domu była naturalna, taką ją wolał. Ich relacja, o ile tak można było to określić, zaczęła się przed dwoma laty. Był to układ nieformalny. Wyłącznie biznesowy. Nie uprawiał z nią seksu od czasu, kiedy go zawieszono. Przeważnie spotykali się po szczególnie długim dniu pracy. Na służbie nie flirtowali, w zasadzie to dla siebie nie istnieli. Żadnych potajemnych spotkań czy ukradkowych spojrzeń. Nie dlatego, że mieli coś do ukrycia, to nie było nic takiego. Tak było wygodnie. Prawda była taka, że

brakowało w tym namiętności, chodziło jedynie o powierzchowny seks co kilka tygodni.

Adrian podszedł do niej, tam gdzie stała odwrócona do niego plecami. Stał za nią i wziął drinka, którego mu naląła. Przycisnął ją do toaletki swymi łędźwiami, popijając czystą szkocką. Odstawił zdecydowanie szklankę i uwięził jej dłonie, ona wygięła plecy w łuk i napała do tyłu na wszystkie właściwe miejsca. Pocałował ją w szyję, a ona jęknęła, dając upust wszelkim pozostałościom gniewu, jakie w niej zostały po tak długim zanedbaniu. Próbowła odwrócić się, ale on mocno trzymał ją za ręce. Szkło na toalecie zadźwięczało, gdy on dalej na nią napierał. W końcu zwolnił chwyt; jej dłonie zrobiły się czerwone od jego uścisku. Odwróciła się twarzą do niego w tej odrobinie uwolnionej przez niego przestrzeni, ocierając się o niego całym ciałem. Bez tchu pocałowała go w usta, a on schwycił jej uda i posadził ją na stoliku. Denise zaplotła nogi wokół jego talii. On odwzajemniał jej pocałunki, głębokie i mocne. Chwycił jej dłonie i przytrzymał za jej plecami jedną ręką; drugą delikatnie ścisnął ją za szyję. Ona tak wołała, nie on, ale on lubił zadowalać, lubił robić to, co im się podobało, umiał się dostosować. Ona nie lubiła przeciągać sprawy. Sięgnęła prosto do jego paska i sprawnie go rozpięła. Nie minęło dużo czasu, zanim znowu ją podniósł i rzucił na kanapę z białej skóry. Najwyraźniej była gotowa, manipulując przy jego rozporoku, aby go otworzyć, zanim ten rzadki moment zapalczywości minie. Może to dlatego, że nie był z nią od miesiący, a może dlatego, że miał szczególnie zły dzień, minął tak szybko, jak się zaczął. Najdelikatniejsze tarcie już go uwolniło, nie miał nawet czasu go z niej wyciągnąć.

— Przepraszam — wymamrotał nieszczerze.

— Mówiłam ci, że biorę pigułkę. — Wypowiedziała wraz oddechem, gdy on wstawał.

— Tak, hm, już to słyszałem — powiedział, nieco mniej życzliwie, niż powinien.

— Nie martw się, detektywie, nie jestem typem mamuśki. — Znowu obciągnęła koszulkę nocną i wstała po kolejną lampkę wina.

— Powiniennem iść — zdecydował, po części zażenowany, ale bardziej zmartwiony tym, że Denise może chcieć „rozmawiać”.

— Oczywiście, że powinieneś. — Naburmuszyła się.

Adrian podszedł do niej i położył dłoń na jej karku. Czuł, jak kłują jej krótkie włosy, gdy otarła się o wnętrze jego dłoni niczym kotka ciesząca się najdrobniejszym przejawem czułości. Adrian przygarnął jej głowę do siebie i znowu ją pocałował. Czuł smak wina w jej ustach.

— Przepraszam — wyszeptał.

Przesunął powoli dłoń wzdłuż jej tułowia, aż dotarł do uda. Wsuwał rękę między nogi Denise, aż ona zbliżyła się. Kleisty płyn, jaki zostawił tam za ledwie

przed kilkoma chwilami, przyłgął do jego palców, gdy pocierał ją nimi. Pocałował ją w szyję i poczuł, jak oddycha, zapewniając go, że jego nacisk jest odpowiedni, aby wywołać mimowolne dreszcze. Ona opierała się o stolik i drżała momentami, ale Adrian wiedział, że musi czekać, że nie wolno mu się spieszyć. Pocałował ją w ramiona i dalej schodził ku obojczykom, aż ona zaczęła się wić. Cofnął się i spojrzał jej w twarz. Oczy miała zamknięte, a brwi zmarszczone, koncentrowała się na rytmicznych ruchach jego palców. W obliczu Denise pozbawionej tchu jego ciało zareagowało. Jej skóra lśniła od potu. Przygniótł ją do ściany i wpierv pocałował mocno, a potem ugryzł delikatnie, aż jej usta zaczęły chwytac łapczywie powietrze krótkimi haustami. Teraz ich ciała były blisko siebie. Przyłgął do niej, aby pomóc jej utrzymać pionową pozycję, gdy jego palce pracowały z coraz większą zawziętością. Denise walczyła, aby zachować równowagę, wbijając paznokcie w jego plecy. Napierał głębiej, aż ona w końcu zwiędła, zwalniając chwyt i jednocześnie łapiąc powietrze. Adrian poczekał chwilę, upajając się ciepłem ich związku, zanim -powoli się odsunął, dając jej czas, aby stanęła o własnych siłach.

Podszedł do zlewu i umył ręce, znowu ich związek został przerwany, interakcja zakończona.

— Może zostaniesz... — zapytała, kiedy odzyskała głos.

— Dzisiaj nie mogę. Może następnym razem — odparł, nie wiedząc, co innego powiedzieć, a nie chciał być oziębły za bardzo.

Czuł się podle, ale i tak wyszedł, Denise sobie poradzi, znała ich układ. Tak to się między nimi układało, inaczej nie mogło. On musiał samotnie mierzyć się ze swoimi demonami, zanim ukaże je komuś innemu. Musiał wgryźć się w tę sprawę, przyszedł czas, aby przestał się opierdalać.

\*

Teraz była kolej Adriana kupić papierosy — obiecał zdecydowanie — a niedługo zjawi się Grey. Wyszedł z domu i spojrzał w niebo, było białe, a w powietrzu czuło się chłód, chociaż dopiero był koniec sierpnia. W taką pogodę wieża kościoła pod wezwaniem Świętego Tomasza górowała nad ściśniętymi szeregowcami niczym jeździec Apokalipsy. Białe obłoki przetaczały się po białym niebie niczym na filmie poklatkowym. Nie najlepszy dzień na kaca. Chociaż słońca nie było, to od patrzenia w górę bolały oczy, zresztą gdziekolwiek się spojrzało. Adrian żałował, że nie założył ciemnych okularów.

Wcisnął się do Uncle Maca, sklepiu na rogu jego ulicy. Wcisnął się, bo sklep zavalony był od podłogi po sufit, a między produktami powstała wąska ścieżka. Niebezpiecznym zadaniem było przedostać się z jednej części sklepu do drugiej, aby z góry nie posypała się masa herbatników. Sięgnął po mleko i bekon, po czym skierował się do kasy. Młoda kobieta wyłoniła się zza gigantycznych

regalów z gumą do żucia, sięgających od lady po sufit. Podliczyła zakupy, nie patrząc na niego, i włożyła je do niebieskiej reklamówki.

— Jeszcze paczkę tych. — Adrian wskazał gatunek, który paliła Grey.

— Paczkę — zachrypiała, przedrzeźniając go. Obserwował jej usta, gdy bezgłośnie wypowiadała to słowo ciągle na nowo. Papierosy także schowała do torby.

— Nie widziałem ciebie tu wcześniej, jesteś nowa? — Pochylił się, aby nawiązać kontakt wzrokowy. Ona wtedy spojrzała na niego i nerwowo odwróciła wzrok.

— Tak, jestem nowa. — Nie miała dokładnie takiego samego akcentu jak Dimi, właściciel sklepu.

— Jesteś krewną Dimiego? Ma dużą rodzinę. — Adrian uśmiechnął się.

— Tak — odpowiedziała krótko.

Adrian wyciągnął portfel, aby zapłacić. Zauważył wtedy przestraszoną twarz, gdy zobaczyła policyjną odznakę. Dimi opowiadał mu już o korupcji w policji w jego kraju. Adrian zawstydzził się; zapłacił i zamknął portfel. Wstydził się za ludzi, którzy mają taką władzę jak on, chociaż ograniczoną, i używają jej, by manipulować i krzywdzić. Jeżeli nie możesz zaufać ludziom, których zadaniem jest dbać o ciebie, to komu możesz?

— Zatrzymaj resztę. — Podał jej banknot dwudziestofuntowy. Lubił Dimiego, chociaż był sknerą i zawsze wpychał bezczelnie Adrianowi przeterminowane produkty. Raz nie pozwolił mu wyjść ze sklepu, dopóki ten nie kupił zgrzewki puszek z kocim jedzeniem, a przecież nawet nie miał kota. Stary gnojek jednak potrafił przekonywać. Kiedy Adrian wyszedł ze sklepu, zanim jeszcze zauważył samochód Grey, usłyszał ryk muzyki dobiegający ze środka. Podbiegł i wsiadł, bekon będzie musiał spędzić dzień na tylnym siedzeniu.

Adrian wpadł jak burza do biura detektywa Morrisa. Szef siedział przy biurku, gapiąc się na telefon i pocierając skronie. Wyglądał na zirytowanego. Głębokie zmarszczki wokół oczu pogłębiała marsowa mina.

— Szefie, to śmieszne. Historię Ryana znam lepiej niż ktokolwiek w tym budynku, a jak wy wszyscy będziecie nadrabiać zaległości, on będzie sobie używał na wolności. Robi z nas głupców!

Za Adrianem weszła Grey, trzymając się w tyle, aby nie znaleźć się w polu rażenia.

— Wiesz, z kim właśnie skończyłem rozmawiać? Z Komisją Skarg, Adrian. Ciągłe nie możemy dojść do siebie po twoim ostatnim spotkaniu z Ryanem Hartem, cieszymy się, że jego prawnicy nie zażądali finansowego zadośćuczynienia. Jak skierujemy ciebie do tej sprawy, będą żądać twojej odznaki, a może nawet mojej! Wyobrazasz sobie gazety, jeżeli komisja weźmie to wszystko pod uwagę?

— O swoją odznakę sam się będę martwił, szefie, nikt bardziej nie chce

załatwić tego gnoja niż ja. Będę działał niepostrzeżenie.

Inspektor Morris wstał i oparł się o biurko, spoglądając Adrianowi prosto w oczy.

— Miles, oni chcą przysłać kogoś z Krajowej Agencji do spraw Przystępności, ale obiecałem im, że dam radę. W tym momencie poradzenie sobie z tym oznacza poradzenie sobie z tobą; to postawili jasno.

Inspektor Morris usiadł z powrotem. Już nie krzyczał, to dobry znak.

— Szef nam pozwoli tylko przejrzeć akta, te nowe też. — Grey wysunęła się do przodu. — Co to może zaszkodzić?

— Grey, miej na niego oko, a jednocześnie nie pozwól, aby cię pograżył. Teraz wszystkie oczy są skierowane na nas. Następnym razem nie obronię ciebie, Miles.

— Dziękuję. — Adrian wyszedł z pokoju do centrum koordynacyjnego, zabierając po drodze akta Ryana i Kevina.

— Trzymaj się z daleka od Ryana Harta! — krzyknął przez całą salę Morris, a wszyscy spoglądali na Adriana, który już wertował raporty.

Adrianowi żołądek podszedł do gardła, kiedy spojrzął na zdjęcia z miejsca zbrodni. Wszystko było nie tak. Pokój był nieskazitelnie czysty, cały poza łóżkiem, na którym leżało ciało Kevina w kilku kawałkach, wszystkie poprzekładane, ale nadal na kształt ludzkiego ciała, chociaż nie we właściwej kolejności. Stopy dobrano do niewłaściwych nóg, a dłonie leżały po przeciwnych stronach. W tej scenie było coś nieomal biblijnego, nastrój ceremonii. To miało na coś wskazywać. Gdy Adrian skończył studiować zdjęcie, podał je Grey, której twarz trwała w nieustannym grymasie.

— Cholera! — mruknęła. — Ryan miał prawdziwe kłopoty z tatą.

— To za wiele. Jakaś masakra.

— Nie mylisz się. Masakra... dokładnie.

— Mnie się też z ojcem nie układało, ale to? — Adrian wziął głęboki oddech i wyjrzał przez okno, coś go męczyło. Jakies wspomnienie?

— Nie uważasz, że to zrobił Ryan?

— Nie wiem, Ryan to szumowina, ale nie wyobrażam sobie, żeby usunął ojcu wszystkie narządy.

— Nie?

— Może sprawiłby, że część by zniknęła, ale zrobić coś takiego... to... jest...

— Myślisz, że zrobił to ktoś inny, jako przesłanie dla niego? Na przykład rywalizujący diler narkotykowy?

— Ryan z ojcem nie przestali się kochać. Zmartwić go mogło dużo więcej rzeczy. Na początek jego pies. Jakiś matoł przejechał jego poprzedniego psa, a potem w tajemniczy sposób skończył w krytycznym stanie w szpitalu Wonford.

Nie udało nam się udowodnić, że to on, ale to był on, tyle mi powiedział. Gdybyś chciała zdenerwować Ryana Harta, to zabij mu najpierw psa, a nie ojca.

— A poza tym gdzie te narządy?

— Właśnie!

— Samo usunięcie jest dziwaczne, myślisz, że jest na nie jakiś czarny rynek?

— Kevin Hart był grubym, starym pijakiem z cukrzycą. Jego narządy ledwie nadawały się dla niego samego, a co dopiero dla kogoś innego.

— To dlaczego w takim razie?

— Nie wiem, ale wiem za to, że znowu muszę porozmawiać z Ryanem.

— Miley, chcesz, żeby mnie zwolnili? — Grey uśmiechnęła się.

— Mamy go! — Daniels wpadł do centrum koordynacyjnego, trzymając w górze fotografię. — Telewizja przemysłowa ujęła go na nabrzeżu o 11:45, nie u kumpla na pokerze.

— Jedź po niego — poleciał Morris, zacierając ręce w zdecydowanym geście.

— Nabrzeże jest kawałek drogi od domu ofiary — zauważył Adrian.

— Musisz wracać na siłownię, synu — zaskrzeczał Daniels. — Coś zmiękleś bez roboty. To mogę zrobić w dziesięć minut.

— Tak, spoko, Robocopie, jesteś niesamowity, ale nie widzisz jednego. Cała zbrodnia musiała trwać długo, jest drobiazgowa i czysta. Nie ma żadnych odcisków, nawet Harta, więc ktoś oczyścił cały lokal. Nawet krew nam nic nie mówi, musiał pociąć ciało w wannie czy gdzieś, bo brakuje nam paru litrów. Musiałby tam dojechać, zabić i rozczłonkować ojca, posprzątać miejsce zbrodni, nie zostawiając żadnych śladów, a potem wrócić na turniej pokera w przeciągu godziny. Nie. Ktokolwiek to zrobił, delektował się czasem.

— Rzecz w tym, że podważyliśmy jego alibi. Jeżeli będziemy dalej grzebać, dokopujemy się do reszty, to wystarczy, żeby uzyskać nakaz przeszukania domu, przynajmniej — powiedział Morris, pocierając czoło, najwyraźniej zirytowany słowami Adriana. — Daniels, dlaczego jeszcze tu jesteś? Jedź zgarnąć tego gnoja!

— Mundurowi ustawieni przed jego domem właśnie zastukali do drzwi, nikt nie otwiera. Zdaje się, że im się wymknął — zameldował niechętnie Frazer.

— Do kurwy nędzy! — wycedził przez zęby inspektor Morris.

— Szefie, rozmawiam z nim, jak go znajdziecie — zaproponował Adrian, wiedząc dobrze, że przeciąga strunę.

— Nie, w zasadzie to możesz wrócić do domu na resztę dnia. Ty też, Grey.

— Ale? — Wyrzuciła ręce w górę, wiedząc od razu, że nie ma sensu dyskutować.

— Nie możecie mieszać się w tę sprawę. Nie ma być tu żadnego z was, jak go przywieziemy, nie możemy pozwolić, aby on się z tego wykręcił.

— Ale co ja takiego zrobiłam? — oponowała Grey.

— Grey, przepraszam. Pojeźdź sobie, zajmij się starymi poszlakami, zrób

cokolwiek, byle nie tutaj. Oboje macie mi się tu nie plątać.

Grey naburmuszyła się i rzuciła Adrianowi spojrzenie, które mogłoby ciąć szkło. Wyszła. On sięgnął po kurtkę i kluczyki i poszedł za nią. Na ulicy zobaczył, jak Grey opiera się o samochód i pali papierosa. Zaproponowała mu, a on się poczęstował.

— To jedno wielkie gówno.

— Przepraszam.

— Pieprz się, mów mi o Rynie. — Podała mu swoją zapalniczkę.

— W systemie jest od zawsze, zaczął w jakimś gównianym, szczeniackim gangu i stopniowo przesunął się w hierarchii, zdobywając władzę.

— Myślałam, że jego ojciec jest nadziany?

— Tak, ale rodzice wykopali go, jak miał jakieś czternaście lat, zatrzymywano go za wandalizm i dewastację. Miarka przebrała się, kiedy złapali go za sprzedaż cracku w jego szykowej, prywatnej szkole. Rodzice wyrzucili go z domu, nie chcieli rujnować szans ich córce, a jego siostrze. Powiedzieli, że nie chcą, aby jego koleś ćpuny kręcili się koło niej.

— Jakieś znęcanie się?

— Na pewno. Kevin Hart to jest wielki chłop, hm, był. Miał charakter, Ryanowi na pewno nieraz się oberwało.

— Seksualne wykorzystanie?

— Kiedy był dzieckiem, wiele razy trafiał do szpitala, pęknięte żebra, połamane ręce, wiesz, sporo wypadków na rowerze, nigdy nic innego, o ile mi wiadomo.

— Może Ryan po prostu pękł.

— I zrobił to? Trzeba więcej niż kilku połamanych zeber, żeby stać się osobą zdolną do czegoś takiego. — Adrian wiedział, co to jest dostać lanie od ojca... na dowód miał blizny, psychiczne i fizyczne. Zaciągnął się papierosem i odwrócił, starając się unikać kontaktu wzrokowego z Grey. Opowiedział jej o nawykach swojego ojca, ale jeżeli kiedykolwiek nie zależało ci na kimś uzależnionym od amfetaminy, to nie mogłeś zrozumieć. Nie było słów, aby opisać, jak to jest mieć trzynaście lat i wracać ze szkoły do domu, gdzie ojciec tnie się nożem do warzyw, próbując wydobyć spod skóry wyimaginowane owady. W przeciągu roku ukochana i znana tobie osoba stała się kimś innym, jakimś demonem, o niskim, szorstkim głosie, który wypowiadał najboleśniejsze i najohydniejsze rzeczy. Istniała różnica między zaawansowanym alkoholikiem, z którym dorastał, a człowiekiem, który powoli zapada się w nicość. Jedynym zbawieniem było to, że ojcu udało się uniknąć aresztowania, więc Adrian miał opcję wstąpienia do policji. Wyczuwał na sobie spojrzenie Grey, więc wsiadł do samochodu, aby ująć przed dalszą lustracją.

— Jedziesz?

— Dokąd się wybierasz?



— Powiem ci, jak tam będziemy.

## Rozdział 15

### Potwór

Parker zawsze wiedział, co będzie robić. Nie pamiętał dokładnie, czy sam wybrał sobie ścieżkę kariery zawodowej, czy ktoś to zrobił za niego, wydawała się w pewnym sensie nieunikniona. Przez całe życie kręcił się po muzeach. Ojciec był archeologiem, matka fotografem, więc podróżowali po świecie, wynajdując ciekawe artefakty na rozmaitych wykopaliskach. Rodzice zginęli w wypadku samochodowym, kiedy Parker miał dziesięć lat, więc zamieszkał z dziadkiem. Nie okłamał Abbey, mówiąc o wizytach w muzeum w dzieciństwie, chociaż może nie był wobec niej całkowicie szczery — to właśnie robił, mówił ludziom półprawdy, aby oszczędzić im rzeczywistości jego dzieciństwa.

Usiadł w kuchni i jadł tosta, kiedy Sally skakała dookoła pełna nadziei; wiedział, że już prawie jest pora spaceru. Sally uratowała Parkerowi życie i była jego towarzyszką od prawie siedmiu lat. To wydawało się głupie, ale dawała mu cel w życiu, powód, aby żyć, aby walczyć. Parker, jednak jedynaka, nie miał kochającej, wielkiej rodziny po śmierci rodziców. Bez Sally poddałby się i zrezygnował. Potrzebował tej zależności, potrzebował tej miłości, tego uczucia, że ktoś go potrzebuje. Przed Sally nie wiedział, co to znaczy kochać. Zawsze było to dla Parkera tajemnicą, uczucie przywiązania do kogoś, stawianie czyjegoś dobra przed własnym. Zanim pojawiła się Sally, Parker był pełen nienawiści, nienawiści do samego siebie, nienawiści do własnego życia i do świata. Ona pokazała mu, że świat nie był całkowicie nienawistny.

Sięgnął po smycz na haczyku wieszaka i uśmiechnął się, gdy ekscytacja psa przybrała na sile. Na dworze zaczynało trochę padać; kiedy wróca do domu, Sally wypełni dom wonią wilgoci, za czym nie przepadał.

Znalazł się przed domem Abbey, gdy lekka mżawka przeszła w ulewę, a on zasłaniał głowę poranną gazetą. Coraz częściej podczas spacerów z Sally wybierał tę trasę. Zastanawiał się, czy zadzwonić do drzwi, ten pocałunek chyba coś znaczył? Nie wiedział dokładnie, które mieszkanie jest jej. Pod presją przycisnął kilka dzwonek, ale nie było reakcji, był bardzo wczesny sobotni poranek, wszyscy prawdopodobnie spali. Deszcz przybierał na sile z każdą chwilą, więc musieli się schronić, słyszał, jak Sally popiskuje niezadowolona, zachęcając go, żeby weszli do środka. Pod ubraniem skórę miał lodowatą. Cofnął się o krok i spojrzał do góry; próbował odgadnąć, które okno może należeć do Abbey. Wszedł w zaułek z boku budynku i zobaczył schody przeciwpożarowe. Sally podążyła za nim posłusznie na górę. Dotarli na drugie piętro i Parker zajrzał przez okno, to był salon Abbey, spała na kanapie. Przyglądał się jej przez moment i gdyby nie karcące

spojrzenie Sally i deszcz, stałby na metalowych schodach i przyglądał się jej dłużej, ale poczuł się winny, że sobie aż na tyle pozwala. Zastukał w okno i zobaczył, jak Abbey poruszyła się. Spojrzała na swoje drzwi, więc zapukał jeszcze raz, w końcu spojrzała w jego stronę. Z początku wydawała się przestraszona, aż jego wygląd przekonał ją, że nie stanowi zagrożenia, nie wspominając o biednej Sally wpatrującej się w nią bezradnie przez szybę. Abbey rzuciła się otworzyć okno.

— Co tu robisz? — zapytała, narzucając na Sally duży koc, zanim zdążyła się otrząsnąć na środku salonu.

— Przepraszam! Przeceeniłem pogodę, ubrałem się zdecydowanie niewłaściwie. — Jego długi wełniany płaszcz był całkowicie przemoczony. Wzięła go od niego i poszła po ręcznik.

Deszcz zaczął bębnić o okno jeszcze mocniej i Parkerowi ulżyło, że są już w środku. Będą potrzebowali przynajmniej pół godziny, żeby wrócić do domu.

Abbey podała Parkerowi ręcznik, zimna woda ściekała mu z włosów na plecy. Ubranie przykleiło się do ciała, a on zaczął się trząść. Rzucił gazetę na ławę; była cała mokra, nadawała się do wyrzucenia.

— Dam ci szlafrok, możesz rozwiesić ubranie na grzejniku, jak chcesz, mogę włączyć ogrzewanie na chwilę.

Chciał bardzo, im dłużej stał w przemoczonych rzeczach, tym bardziej było mu zimno. Sally już zdążyła się rozgościć, otrząsnęła się i zwinęła na podłodze, a wyglądała rzeczywiście żałośnie.

Parker zaczął rozpinąć koszulę, świadom, że skórę ma o odcień jaśniejszą od bieli, ale tak mokrą, że nie dbał o to, woda spływała mu po nogach, czuł, jak palce stóp marszczą mu się od wilgoci wchłoniętej przez skarpety. Zrzucił buty i pochylił się, aby zdjąć skarpety. Abbey wróciła ze szlafrokiem, a Parker wyprostował się szybko.

— Dziękuję, przepraszam za najście, jak wychodziliśmy z domu, tylko mżyło, myślałem, że to nam nie zaszkodzi. — I tak planował przejść obok domu Abbey; głupie szczęście, że pogoda go zaskoczyła i zmusiła, aby do niej zadzwonił i wszedł po schodach przeciwpożarowych.

— Zrobię ci herbaty. — Abbey wbiła wzrok na coś za nim, a na jej twarzy pojawiło się przerażenie. Parker schwycił szlafrok, a kiedy ona wyszła do kuchni, on odwrócił się i zobaczył, co ją przeraziło. Zobaczył za sobą duże lustro. Jego także zaszokował widok własnych pleców, coś, na co starał się nie patrzeć. Już od dawna.

Głębokie, różowe karby wydawały się wyraźniejsze, niż je pamiętał. Może przez to, że w zestawieniu z nimi skórę miał tak bardzo białą. Długie grzbiety blizn rozciągały się na jego plecach w każdym kierunku, to nie był wypadek, nie można było wytłumaczyć, zbyć jako coś trywialnego albo przypadkowego, udowadniały

złośliwą celowość, z jaką je zadano. Pospiesznie włożył granatowy szlafrok, zanim zdjął spodnie, wdzięczny, że Abbey była rozsądną dziewczyną i jego poniżenie nie zostało spotęgowane przez kobiece strój. Powiesił swoje ubranie na grzejniku i usadowił się na kanapie. Starał się panować nad oddechem; czuł, jak tętno mu przyspiesza, i czuł się winny, że w ogóle tu przyszedł. To zupełnie tak, jakby zapomniał albo chciał zapomnieć. Przez chwilę myślał, że jest normalny, jak każdy inny mężczyzna; ona sprawiała, że tak się czuł. A może chciał, aby ona to zobaczyła, może gdzieś głęboko w środku myślał, że ona może go zrozumieć. Ta niewidzialna nić między nimi pociągała za podświadomość, kazała mu postąpić inaczej.

Abbey podała mu kubek herbaty, kiedy wróciła, a on skupił się mocno, aby ręka mu się nie trzęsła, kiedy go od niej przejmował. Przysiadła obok niego na kanapie. Parker miał nadzieję, że rozmowa nie stoczy się na tematy zbyt osobiste.

Starał się opanować drżenie, desperacko koncentrując się na ciepłe herbaty w dłoniach, a nie na fakcie, że jest prawie całkowicie nagi. Wiedział, że ona bardzo chce zapytać go o blizny. Nieomal widział niewypowiedziane słowa wiszące w powietrzu w chmurze myśli. Przyszedł tu nie bez powodu. Mógł zawrócić i iść do domu, kiedy spadł deszcz. Mógł minąć jej dom. Mógł zrobić milion rzeczy. Może po części chciał, aby wiedziała, że on rozumie to, co ona przed nim ukrywa; że on potrafi przejrzeć osobę, jaką starała się być, i pokazać jej, że on też coś ma za sobą. Chciał jej to ułatwić; za późno było na udawanie.

— One nie boją, tylko źle wyglądają. To wszystko — wyrzucił z siebie.

— Kto ci to zrobił?

— Nieważne, to było w innym życiu.

— Mogę je zobaczyć? — To żądanie zaskoczyło go. Zauważył, że ona sama była zaskoczona. Parker wstał i zdjął szlafrok, odwracając się do niej plecami, całkowicie nagi. Co dziwne, był bardziej skrępowany tym, że Sally go takim zobaczy, chociaż suczka była najwyraźniej bardziej zainteresowana miską z resztkami bolognese, którą postawiła przed nią Abbey. Parker stał prosto, zupełnie jakby przechodził jakąś wojskową inspekcję. Czy ona widziała, że stawał tak już wiele razy. Bał się ruszyć, bał się kary za nieposłuszeństwo. Wpatrywał się w dal, gdy przypominał sobie niezliczone razy, kiedy kazano mu stać na baczność w dawnych czasach, i przypominał sobie każde otrzymane uderzenie w pomieszczeniu tak bardzo różnym od tego, pozbawionym dobroci. Rozluźnił ramiona, nie chcąc, aby powróciła pamięć ruchowa, walcząc z dysocjacją związaną z tą postawą.

Głębokie wyźłobienia na jego plecach nie mogły w pełni oddać rozmiaru bólu, jakiego Parker doświadczył, pełni poniżenia, jakie przyszło mu znosić. Starał się nie wzdrygnąć, gdy poczuł na plecach ciepłe palce, bo wiedział, że ona nie chce go skrzywdzić. Jej drobne dłonie zaczęły wędrować po liniach, które łączyły się,

krzyżowały i rozmazywały, tworząc wielkiego potwora, jakby wypalony ogniem znak. Abbey wiodła palcami po wyrzuszeniach na powierzchni skóry, gdzie jego rozerwane ciało przywierało do stosowanego instrumentu za każdym razem, zanim został oderwany, aby zastosować go na nowo. Parker odwrócił się, nadal świadom swej nagości, ale chciał na nią spojrzeć, zobaczyć jej przerażoną twarz, kiedy uświadomiła sobie, jakim on jest człowiekiem. Lecz nie było w niej odrazy, jedynie smutek. Płakała, płakała bezgłośnymi łzami z jego powodu.

— Cii, już dobrze — pocieszał ją. — Nic mi nie jest. — Objął ją i poczuł jej ciepłą twarz na swojej mokrej skórze, na swym sercu. Widok jego blizn działał na każdego, wiedział o tym. Z tych kilku razy, kiedy ktoś je oglądał, po raz pierwszy Parker nie czuł się pokutnikiem. Zamiast tego chciał zapewnić, że najgorsze już minęło; w tym momencie nie chodziło o niego. Abbey sięgnęła po szlafrok i pomogła mu go nałożyć. Zawiązał pasek i usiadł. Abbey usiadła obok na kanapie i przytuliła go, gładząc po włosach. Nie miał odpowiedzi na pytania, które, jak wyczuwał, ona chciała mu zadać, nie teraz. To prawda, że te blizny już nie bolały przy dotyku, ale mówić o nich — to całkowicie odmienna kwestia. Emocjonalny uraz sięgał głęboko. Cały był zbudowany z ran, cały obolały.

— Nie musisz mi mówić, co się stało — wyszeptala cicho Abbey, przesuwając palce przez jego włosy. — Ale jak kiedyś zechcesz, to będę tu.

Po części chciał już stąd wychodzić, ale Sally chrapała zadowolona na podłodze, opierając łapy o stopy Abbey. Parker nie chciał opuszczać komfortu i ciepła, jakie zapewniała Abbey. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz był w taki sposób trzymany, pewnie jeszcze kiedy żyli jego rodzice. Deszcz nadal bębnił o szyby i Parker skoncentrował się na jego rytmicznym dźwięku, aż powieki zrobiły mu się ciężkie. Poddał się senności, choćby dlatego, żeby uniknąć rozmowy, która teraz był nieunikniona.

## Rozdział 16

### Spowiedź

Wtedy

Skóra Abbey pokryła się bąblami od prysznicu w ukropie. Odkręciła wodę tak gorącą, jak tylko mogła to znieść, nie parząc się. Skóra na głowie bolała, gdy uderzały w nią krople. Abbey chciała wypalić tyle warstw skóry, ile tylko zdoła; zedrze ją, jeżeli będzie musiała. Ojciec będzie tu za niecałą godzinę, a to był jej trzeci prysznic od ostatniej nocy. Chciała pozbyć się wszelkich śladów po nich, zanim on przyjedzie. Nie mogła znieść myśli, że ma na sobie ich zapach. Działała miała czerwone i obolałe, szcztokowała je raz za razem, także język i wargi; wiedziała, że będzie musiała pocałować ojca w policzek. Jeżeli tego nie zrobi, on się zorientuje, będzie wiedział, co zrobiła z ustami, co zrobiono z jej ciałem.

Zdjęła pościel z łóżka i wepchnęła do czarnego worka, nie miała ubrań do prania, jedynie figi z poprzedniej nocy, więc wyrzuciła je do śmieci. Gdyby mogła samą siebie wyrzucić, zrobiłaby to, czuła się, jakby była jednorazowego użytku. Jak mogła być tak głupia? Słowa, które Christian wypowiedział poprzedniej nocy, pobrzmiwały w jej głowie: „Naprawdę jesteś ładna”. To, co wtedy wydawało się komplementem, nabrało nowego znaczenia, gdy przypomniała sobie, jak położył nacisk na słowo „naprawdę”. Czy używał go, aby zapewnić ją, czy wyrażał zdziwienie faktem, że nigdy dotąd tak o niej nie myślał, chociaż ona myślała, że było odwrotnie. Flirt i wzajemne relacje nie były tym, za co je z początku brała. Czy on ustalał, jaka jest słaba? Czy kalkulował, na ile może sobie pozwolić? Zdecydowała, że nie, że wzbudzał w niej zaufanie, rozpalał pożądanie, upewniał się, że kiedy nadarzy się okazja, będzie zbyt zdezorientowana, aby krzyczeć.

Siedziała na nagiej sofie i czekała na ojca. Chciała, aby już tu był, chciała wyjść z tego pokoju, wyjechać z tego miasta, jak najdalej. W tym momencie nie wyobrażała sobie powrotu, nie chciała studiować, nie chciała spotykać się z ludźmi, chciała jedynie być z tatą w domu, jak za dawnych czasów. Dlaczego w zasadzie musiała iść na studia? Mogła po prostu dostać pracę i nauczyć się zawodu, wielu ludzi tak robiło. Tok jej myśli przerwała Dani, która wróciła z porannego spotkania klubu charytatywnego. Zauważyła spakowaną torbę Abbey.

- Nie wiedziałam, że jedziesz dzisiaj do domu!
- Muszę tylko zabrać parę rzeczy.
- Szkoda, razem z Christianem chciałam zapytać, czy wybierzesz się z Jamiem do kina, to maraton kultowych filmów, a kosztuje tylko funta.
- Nie mogę. Przepraszam.

— O, pan Lucas! — Dani rozpromieniła się.

Abbey, wdzięczna na widok twarzy ojca, która wyłoniła się zza drzwi, zerwała się, chwytając swoje rzeczy. Nie oglądała się za siebie, wychodząc pospiesznie, mamrocząc coś na do widzenia.

W samochodzie Abbey włączyła głośno radio, żeby nie rozmawiać z tatą, nie wiedząc, czy głos ją może zdradzić. Była roztrzęsiona i chciało jej się płakać. Jeszcze nie płakała, ale karciała się raz za razem. Nieustannie odtwarzała obrazy z poprzedniej nocy. Nie potrafiła stwierdzić, co ją najbardziej niepokoi. Nie mogła powierzyć tajemnicy Dani, bo całowała się z Christianem, i tak bardzo tego pragnęła. Nawet nie pamiętała, czy kazała im przestać. Na pewno tak. Dlaczego nie krzyczała na cały głos?

Zagubiona we własnych myślach nie zauważyła, że tata już zatrzymał samochód, zaparkował przed domem, w którym dorastała, przed domem, którego nie chciała pokalać, wchodząc tam. Jednak nadal żywiła nikłą nadzieję, że wszystkie dobre wspomnienia i cenne chwile obmyją ją do czysta, bardziej niż jakikolwiek prysznic. Kiedy muzyka ustała, wróciła do teraźniejszości i uświadomiła sobie spojrzenie ojca. Troskę, miłość, ochronę, bezpieczeństwo.

— Wszystko w porządku, kotku? — Zawsze nazywał ją kotkiem, nigdy po imieniu, ani razu, jak sięgała pamięcią.

— Tylko mały kac. — To nie było kłamstwo, ale też nie cała prawda. Nigdy nie można było go okłamać, za bardzo się liczył, aby to mu zrobiła. Do tej pory nigdy nie musiała, ale chciała chronić go przed świadomością, kim ona jest. Kim była? Całowała się z chłopakiem swojej najlepszej koleżanki, i co potem? Co właściwe się wydarzyło? Jej zachowanie, jej strój, picie, flirt, wiedziała, że to wszystko zostałoby przestudiowane; nie to, co on zrobił, on był duszą towarzystwa. Wiedziała, że nikt nie powie na niego złego słowa. Czy był sens skarżyć się komukolwiek na niego? Nie, nie było.

Bądź normalna, powiedziała sobie. Hm, nigdy się taka nie czuła, zawsze na granicy ludzkich zachowań, ale teraz o wiele dalej, nawet nie pamiętała, jak oddychać, jak chodzić. Bądź normalna, bądź normalna, i powtarzaj tę mantrę, aż zapadnie w ciebie.

Wyczerpana tymi myślami weszła do domu i rzuciła się na kanapę przed telewizorem w nadziei, że rozerwie się ogłupiającymi serialami. Przerzucała kanały, ale nic nie było na tyle zabawnego, aby ją zająć. Ojciec wrócił z kubelkiem fast foodu, gotowanie nigdy nie było jego domeną, a poza tym tego właśnie potrzebowała. On zawsze wiedział, czego ona w danej chwili potrzebuje, i znał ją tak dobrze. Bezgłośnie przeżuła cztery kawałki oleistego kurczaka, w tym czasie tata uśmiechał się do niej i zagadywał, a Abbey udało się odwzajemnić uśmiech.

— Twoje pranie wyszło, więc mogę podrzucić cię z powrotem, kiedy zechcesz. — Jego słowa odbijały się echem w jej głowie. Z powrotem? Miałyby

wracać? Może jeszcze nie teraz, chociaż jedną noc w łóżku z dzieciństwa, zanim zmierzy się ze światem. Przez jedną noc będzie znowu córką, bezpieczna ze swoim obrońcą, jedynym mężczyzną, któremu może zaufać.

— Może zostanę na noc, nie przeszkadza ci? Jutro nie mam zajęć.

Promienny uśmiech ojca ogrzał jej serce. Oczywiście w domu była mile widziana, zawsze, to był jej dom.

Kiedy leżała w różowym i przeraźliwie wielkim łożu z dzieciństwa, ogarnęła ją bezsilność, nie była pewna, co zrobi, kiedy obudzi się rano. Coś miała na czubku języka, nie wiedziała, co to takiego, ale musiała to z siebie wyrzucić.

Sen przyszedł łatwiej niż zeszłej nocy. Kiedy obudziła się nazajutrz, niemal zapomniała na moment. Zapomniała o czym?

Gotowane jajko z paskami grzanek na śniadanie w porcelanowym, różowym kieliszku już czekały na nią, kiedy weszła do kuchni, a obok parujący kubek truskawkowej herbaty. Nigdy szczególnie nie przepadała za różowym kolorem, ale jako samotny ojciec, który chciał jednocześnie pełnić rolę matki, tata zawsze kupował najbardziej dziewczynskie rzeczy w sklepie, przerażony, że jako mechanik samochodowy nigdy nie będzie w stanie wypełnić obu ról z powodzeniem — ale przynajmniej się starał.

Ojciec usiadł naprzeciw i otwierał pocztę, sarkając na rachunki i wyrzucając ulotki do kosza.

— Nie jesteś głodna? — Ruchem głowy wskazał jej śniadanie, które stało nietknięte. Spojrzała na swój talerz, nie była głodna i nadal czuła nieprzetrawionego kurczaka w żołądku. Sięgnęła po cienki pasek grzanki i ugryzła go. Był zimny, kleisty i twardy.

Tata odłożył listy na stół i spojrzał na nią. Wiedziała, że nie da rady go oszukać; był zmartwiony. Starła się wymyślić jakieś kłamstwo w odpowiedzi na jego następne pytanie, czuła, że się zbliża, więc musiała być gotowa.

— O co chodzi, kotku?

— Zostałam zgwałcona — wyrzuciła z siebie. Kiedy słowa opuściły jej usta, poczuła natychmiastową ulgę, w końcu nazwała to, co czuła. Do tej pory nie pozwalała, aby to słowo powstało w jej głowie, ale miało sens.

— O mój Boże, Abbey! Kto? Kiedy? — I padło, jej imię, już nigdy więcej nie będzie kotkiem.

— Na imprezie, w sobotę, dwóch znajomych chłopaków... — Natychmiast zapragnęła cofnąć czas, przewinąć ostatnie kilka minut i znowu stać się jego córką, samotnie walczyć z tym bólem. On na to nie zasługiwał, czuła się okropnie, że mu to zrobiła.

— Dwóch... — Krew uszła mu z twarzy, walczył z oddechem.

— Nie było źle... to znaczy, było, ale nie żeby... źle. — Szukała słów, które oszczędziłyby mu obrazów, z którymi na pewno się borykał.



— Podali ci narkotyki? Jak mogło to się stać? — Z oczu popłynęły mu łzy, zanim skończył zdanie.

— Byłam tylko trochę pijana, to wszystko, nie wiedziałam... Nie myślałam.

— Dzwonię na policję, nie ujdzie im to na sucho, tym gnojom!

— Boże! Przestań! Przestań! — Popędziła na piętro i zatrzasnęła drzwi; teraz nie było mowy o powrocie.

Kiedy leżała i szlochała w poduszkę, usłyszała trzask na dole. Czowała złość ojca poprzez deski podłogi. Całe życie poświęcił dla jej bezpieczeństwa, uczył ją, jak ma dbać o siebie, a gdy tylko wyjechała z domu, to się stało. Pamiętała, jak był niechętny jej wyjazdowi na uniwersytet w mieście i mieszkaniu w akademiku, ale ona go błagała, obiecywała, że będzie uważać, a teraz nie była pewna, czy on znowu jej zaufa.

Chciała przeproszać, chciała go przytulić i pocieszyć, wiedziała, że to była największa obawa dla ojca, że nie ochroni jej przed każdym niebezpieczeństwem. To, że takie złe rzeczy przytrafiają się ludziom, jej ojciec z trudem przyjmował do siebie. Nie mogła obwiniać go za jego nadopiekuńczość, bo może to nigdy by się nie wydarzyło, gdyby słuchała ojca. Nigdy by jej nie wolno było pójść na tę imprezę ani włożyć tej sukienki, zbytby się martwiła, że go rozczaruje, gdyby się upiła, więc wróciłaby do domu wcześniej. Tak wiele rzeczy stałoby się inaczej, gdyby posłuchała przestrog, a nie potraktowała ich jako marudzenia apodyktycznego ojca. On wiedział dobrze.

Ciche stuknięcie do drzwi jej pokoju. Chciała mu powiedzieć, aby poszedł, ale jednocześnie chciała go mieć przy sobie, już nic nie wiedziała. Po co mu o tym powiedziała?

— Zagrzałem ci mleko z miodem — usłyszała przez drzwi.

— Wejdz. — Abbey usiadła i wytarła twarz dłońmi. Tata postawił kubek na stoliku nocnym i usiadł na skraju łóżka daleko od niej. Zauważyła, że płakał. To takie dziwne, nigdy nie widziała, żeby płakał. Serce jej się łamało na myśl, że sprawiła mu tyle bólu po tym, przez co musieli przejść za sprawą matki. Zawsze tworzyli zespół. Matka przedłożyła karierę nad rodzinę, gdy Abbey była mała, ale dzięki tacie wszystko się im udało. Jednak nie była pewna, czy mogą do tego wrócić.

— Chcesz o tym porozmawiać? Nie musisz, ale jeżeli to pomoże, to wysłucham.

— To był chłopak Dani. Pocałowałam go, a potem... potoczyło się, wszedł do nas jego kolega i... został.

— Czy jasno im powiedziałaś, to znaczy, byli pijani? Czy to wszystko było jednym wielkim nieporozumieniem?

— Co mówisz? Przytrzymał mnie! Nie mogłam wyjść... — Przelknęła z trudem i spojrzała na swoje dłonie; wbiła paznokcie w skórę, aby nie krzyczeć.

— Musisz mnie nienawidzić, skoro tak myślisz.

Tata nie odezwał się od razu. Jedyne spojrzał przez okno. Abbey wzięła jego milczenie za potwierdzenie jego dezaprobaty.

— Więc po prostu im pozwoliłaś...? — Zamilkł, gdy zauważył jej ból; nie mógł dokończyć zdania. — Przepraszam, źle dobrałem słowa. Nie wiem, co z tym zrobić, Abbey... Chcesz zadzwonić na policję?

— Żałuję, że cokolwiek powiedziałam.

— Moglibyśmy pojechać do szpitala, czy nie tak trzeba postąpić w takiej sytuacji?

— Jest za późno, wzięłam już kilka pryszniców. Pójdę do apteki po pigułkę „dzień po”. — Jego głos coraz bardziej ją frustrował, to zwątpienie w nim. Z każdym pytaniem, które zadawał, chciała mu wykrzyczeć, że to nie jej wina. Zamiast tego ona jednak wbijała paznokcie w dłoń i patrzyła wprost przed siebie.

— Dobrze, że mi powiedziałaś. — Najwyraźniej nie wierzył własnym słowom, ale Abbey była wdzięczna za to kłamstwo.

— Chcę zostać sama, jestem zmęczona.

Ojciec zagryzł wargę i czekał, aż ona znowu się odezwie. Oczekiwała od niego słów pocieszenia. Chciała, aby powiedział, że nigdy nie musi tam wracać.

— Przyniosę twoje pranie.

## Rozdział 17

### Doktor

Doktor Peter Vaugh umył ręce. Woń środka dezynfekującego używanego w kostnicy przenikała jego skórę. Odór był silniejszy i bardziej nieprzyjemny od ciał, które go otaczały. Srebrną płytę przed nim pokrywały szczątki Kevina Harta, ciało nabrało już tego srebrnozielonego połysku typowego dla skóry zmarłego, niemal jak u płaza. Trudno było sobie wyobrazić, że ten bielejący, zwiotczały połącz mięsa był kiedyś częścią ludzkiego ciała; to było udo.

Peter znał Kevina, poprosił o tę sprawę, nie odmówiliby współpracy tak wybitnemu patologowi; nie mogli. Peter i Kevin nie byli przyjaciółmi w dosłownym znaczeniu tego słowa, nie rozmawiali od lat, ale kiedy spojrzął na ciało Kevina, nie mógł opędzić się od myśli o tym czasie, który razem dzielili, nie dlatego, że kiedy ktoś umiera, to właśnie się robi. Nawet jeżeli spotkało się kogoś tylko raz, to pamięć pozostaje, staje się jeszcze ważniejsza niż kiedykolwiek wcześniej. W przypadku Petera nie było jednego wspomnienia, ale kilka. Dzielili ten sam nawyk, sekretne życie. Z ich związku nic nie wynikało, ale mieli wspólne doświadczenia, których nie można było upublicznić albo ujawnić komukolwiek. Nigdy. Ludzie by tego nie zrozumieli. Nawet pośród swoich przyjaciół Kevin i Peter byli bardziej ze sobą zestrojeni, więc może dlatego Peter zdystansował się przez ostatnie osiemnaście lat. Wiedział, że Kevin nadal tapla się w ciemnościach. Peter zdecydowanie chciał wyjść na prostą, nie chciał narażać kariery dla hedonistycznych ciągot, które nigdy nie gasły, jedynie narastały. W przeszłości przesunął granice samozadowolenia bez umiaru i był bliski utraty wszystkiego. Kevin lubił żyć na krawędzi, przekraczać limity. Peter, po części, szanował go za to, za realizację własnych pragnień, a nie bycie niewolnikiem społeczeństwa. Peter zawsze pamiętał Kevina śmiejącego się, głęboko i złowieszczo, czego nie można było zignorować, podobnie jak jego samego.

Drzwi otworzyły się i Peter podniósł wzrok, zaskoczony. Odsunął wspomnienie o imponującym Kevinie Harcie i spojrzął na kobietę i mężczyznę stojących przed nim.

— Dzień dobry, doktorze, jestem detektyw Miles, to moja partnerka, detektyw Grey — powiedział mężczyzna, był bardzo bezpośredni, patrzył mu prosto w oczy. Peter nie przywykł do kontaktów z żywymi osobami.

Peter wyciągnął rękę na powitanie, ale kobieta wykrzywiła twarz i schowała rękę do kieszeni. Była całkiem zwykła, tylko tyle mógł o niej powiedzieć, ubranie miała swobodne i workowate. Ubierała się jak ktoś dużo młodszy, niż — jak podejrzewał — w rzeczywistości była. Wielka bluza z kapturem, workowate

sztruksowe spodnie i za duże adidas. Wspięła się na pusty stalowy stół i skrzyżowała nogi, jakby była uczniem z podstawówki.

— To jest Kevin Hart? — zapytała Grey.

— Oczywiście, chyba że wiecie o jakichś innych rozczłonkowanych ciałach, które ostatnio się pojawiły. — Peter próbował potraktować sytuację lekko.

Obserwował, jak detektyw Miles wpatruje się w szczątki, uniósłszy prześcieradło, by zajrzeć pod spód. Między jego milczeniem a jej młodocianą pozą Peter czuł się bardzo nieswojo.

— Nie, żebym o jakichś wiedział, nie.

— Cóż, to on, biedaczyna, niezły dostał łomot.

— Użyto łomu? — spytała Grey. Położyła się na plecach na pustym, stalowym stole, z rękami wzdłuż tułowia, wpatrzona w reflektor.

— Hm, nie, nie było łomu. Chciałem powiedzieć, że Hart junior był dokładny.

Peter musiał uważać, aby nie stać się defensywnym, nie chciał, aby zapamiętano spotkanie z nim z niewłaściwych powodów. Miał rolę do odegrania. Musiał podważyć dotychczasowe śledztwo, nie wolno mu było zbliżyć się do mordercy, bo jeżeli to zrobi, to posypią się wszystkie skrzętnie ukrywane tajemnice.

— Przyczyna śmierci? — zapytał detektyw Miles.

— Sam sobie wybierz — mruknęła Grey, niemal do siebie samej. Jej partner zignorował ją i spojrzał Peterowi prosto w oczy.

— Trudno stwierdzić, gdy nie ma organów, ale...

— Tak, a właśnie, co z tym? — huknęła Grey, zeskakując ze stołu. — Po co usuwał organy?

— O to trzeba zapytać podejrzanego. — Patologowi najwyraźniej kobieta działała na nerwy, więc zwrócił się do mężczyzny. — Czytałem w gazecie o jego mieszkaniu w procesie, na pewno pan się cieszy, że w końcu przyskrzynicie go za coś. — Peter musiał uciec przed spojrzeniem detektywa, czuł, jak świdruje go wzrokiem. Wiedział, że to paranoja, ale miał wrażenie, że kołnierz zaciska mu się na gardle. A jeżeli oni wiedzą o związku pomiędzy nim a Kevinem? Zganił się za to, że pierwszy poruszył kwestię narządów.

— Szkoda, że ktoś musiał zginąć. — Miles nadal wpatrywał się w patologa.

— Na pewno nie jest to pańska wina, detektywie. — Peter uśmiechnął się i przycisnął się obok Milesa, by stanąć po drugiej stronie stołu.

— Doktorze, widział pan już kiedyś coś takiego? — zagadnęła Grey.

— Jak to? Boże, nie. Wielkie dzięki za to. Okropieństwo.

— Jakiej broni szukamy?

— Hm, w zasadzie to kilku, ale głównym winowajcą jest mały nóż, gładki, maksymalnie piętnaście centymetrów długi — kłamał Peter, pewien, że oni nie

będą mieli pojęcia, czy mówi prawdę. Wszelkie wskazówki co do typu noża zdecydowanie zawężyłyby obszar poszukiwań. Peterowi kazano wyprowadzić detektywów w pole.

— Jak nóż do ryb? — zapytał Miles.

— Raczej nie, nie tak ostro, ze sposobu cięcia wynika, że wymagana była brutalna siła. To najprawdopodobniej mężczyzna, powiedziałbym, po samej energii potrzebnej do pocięcia na kawałki ludzkiego ciała w taki sposób. Ewentualnie mogłaby to być silna kobieta, może. Nadal przeprowadzamy testy z bronią znaną w domu podejrzanego.

— Lewo? Praworęczny? — zapytała Grey; teraz siedziała na jego biurku i bawiła się przyciskiem do papieru, bardzo cenną ludzką kością zatopioną w wypolerowanej żywicy.

— Mogłaby pani zejść z biurka?

— Pewnie. — Zeskoczyła, podrzucając przycisk w powietrze i łapiąc go przed wylądowaniem. Peter wstrzymał oddech, gdy jeden z jego ulubionych przedmiotów unosił się kilkadziesiąt centymetrów nad twardą, marmurową posadzką.

— Leworęczny, wnosząc po kącie zadania cięcia... lewa ręka ma naturalną predyspozycję do ruchu przeciwnego wskazówkom zegara. — Peter był teraz zdenerwowany, ta kobieta niepokoiła go, zupełnie jakby zostawić w pokoju dziecko bez opieki.

— Coś w tym wygląda mi znajomo, doktorze, jakieś pomysły? — wtrącił Miles.

— Nie, chyba nic podobnego wcześniej nie widziałem — mówił głośno Peter, aby słycać go było mimo łomotania. Odwrócił się i zobaczył, jak detektyw Grey po kolei otwiera i zamyka szuflady z mechanizmem dociskowym.

— Pani detektyw! — Czy ona go zaczepiała? Grey wzruszyła ramionami i uniosła ręce, zanim schowała je do kieszeni i oparła się o ścianę. Doktor czuł, że jest doprowadzony do granic wytrzymałości. — Proszę niczego nie dotykać!

— Już spadamy, doktorze, przepraszamy za najście. — Miles rzucił partnerce rozeźlone spojrzenie. Peter odetchnął, widząc, że cały ten scenariusz nie był zaplanowany, aby wydobyć z niego odpowiedź. Nie znali związku; nie próbowali go złamać. Czekał, aż wyjdą.

Peter miał nerwy w strzępach po wizycie policji i musiał zetrzeć pot, który spłynął mu za kołnierz. Ściągnął prześcieradło ze stołu, odsłaniając szczątki ciała, a głównie głowę. Czas nie był łaskawy dla Kevina, chociaż łaskawszy, niż na to zasługiwał, łaskawszy, niż ktokolwiek z nich zasługiwał po tym, co zrobili temu chłopakowi; po tym, co kazali mu robić. Zastanawiał się, czy lata spoglądania we własne odbicie i szukania wymówek dla grzechów przeszłości sprawiły, że był ślepy na to, co zrobił z nim czas. Detektyw miał rację, oczywiście, widział to już

wcześniej, chociaż Miles z powodu wieku mógł nie pamiętać tego incydentu, ale jeżeli -pokopałby trochę, to by na to natrafił. Znalazłby historię bezdomnego chłopaka, którego znaleziono w zaroślach nad rzeką na przedmieściach przed tak wielu laty. Kiedyś nikt się nie przejmował tymi wyrzutkami. Śledztwo trwało krótko, zanim zainteresowanie i środki wypaliły się, detektyw prowadzący wyemigrował do Hiszpanii i na tym koniec, nikogo innego to nie obchodziło. Peter jednak przypominał sobie ten przypadek, przypominał sobie, bo tam był. Widział ciało wtedy, gdy był młodym i ambitnym lekarzem. Widział ciało, zanim stało się ciałem, znał chłopaka, chłopaka, którego oni zabili. Kevin Hart był dla niego przesłaniem, wiadomością dla nich wszystkich.

Peter naciągnął prześcieradło z powrotem na twarz Kevina. Nie musiał dalej badać ciała, już napisał raport i już wcześniej został poinstruowany, co ma mówić. To był plan. Dla laika wyglądało to, jakby wykonał dokładne badanie, zapisując wszystkie bardziej oczywiste okaleczenia, chociaż tak naprawdę jedynie pobieżnie rzucił okiem i zmyślił większość faktów. Sprawił, że wyglądały przekonująco. Oczywiście odnotował tylko tyle prawdziwych faktów, aby uszło mu to na sucho. Nie chciał, aby śledztwo doprowadziło do mordercy, ponieważ to w nieunikniony i ostateczny sposób doprowadzi do niego, i nie tylko do niego; byli inni, którzy mieli tak samo wiele do stracenia, a może więcej. Wsunął ciało Kevina Harta do lodówki i wyszedł z kostnicy. Teraz musi zniknąć. I to szybko.

Peter mieszkał sam. Nigdy się nie ożenił. Otworzył drzwi i wbiegł na piętro. Z komody wziął przypadkowe rzeczy i wrzucił je do torby, więcej ubrań dokupi, potrzebował tylko tego, co niezbędne; nie miał czasu zajmować się innymi rzeczami. Zapiął torbę i zbiegł po schodach tak samo -szybko, jak pokonał drogę na górę.

Kiedy położył rękę na klamce głównych drzwi, aby wyjść, rozległ się dźwięk. Głośniki miał rozmieszczone w całym domu i muzyka ryczała w każdym pokoju. Peter spojrzał na drzwi do oranżerii, tam znajdował się panel sterujący, a więc tam musiał być ten, kto go włączył. Mahler nigdy nie brzmiał tak imponująco, jak w tym momencie. Peter pociągnął frontowe drzwi, ale nie poruszyły się. Były zamknięte na klucz. Wiedział, że drugie wyjście znajduje się w oranżerii.

— Zostaw mnie! — krzyknął, muzyka wchłonęła jego słowa. Peter nie mógł tak stać i czekać, aby go zamordowano, rzucił się do wyjścia. Widział, co zrobiono Kevinowi, i nie chciał poddać się bez walki.

## Rozdział 18

### Kot

Adrian i Grey brnęli przez policyjne akta, próbując znaleźć przypadki podobne do morderstwa Kevina Harta. Adrian nadal nie mógł pozbyć się uczucia, że coś podobnego gdzieś już widział. Coś w tym morderstwie jawnie zakrawało na rytuał, a nie zwyczajne ojcobójstwo, coś większego.

Morris z szerokim uśmiechem otworzył drzwi do jego biura.

— Raport koronera potwierdza, że nóż, który znaleźliśmy w mieszkaniu Ryana, został użyty do zamordowania jego ojca. — Przeszedł na środek centrum kryzysowego. — Wspaniała robota, panowie! Najbardziej makabryczne morderstwo po tej stronie Londynu od dziesięcioleci, a wskazanie zabójcy zabrało nam niecałe dwa tygodnie. Daniels, proszę, zwołaj konferencję prasową, już dłużej nie mogę unikać odbierania telefonów. Podamy komunikat, niech wszyscy będą w pogotowiu i wypatrują Ryana Harta, roześlijcie zdjęcia; ludzie lubią kojarzyć twarz z przestępcą, wtedy czują się bezpieczniej. Teraz tylko musimy znaleźć tego gnojka. Są jakieś poszlaki, gdzie może być?

— Wspaniała robota, panowie — powiedziała Grey, przedrzeźniając Morrisa wyłącznie dla uszu Adriana, który się uśmiechnął.

— Szefie, mogę przesłuchać siostrę! — Adrian zawołał ponad gwarem wzajemnego gratulowania sobie, który zapanował w pomieszczeniu.

— Nic z tego. Daniels już ją przesłuchał, nie ma zielonego pojęcia. Nie chce już więcej widzieć brata.

— Akurat, szefie.

— Słuchaj, nie wiem, o co chodzi między tobą a Ryanem, nie pozwolę, abyś nękał resztę rodziny Hartów, oni i tak już dużo przeszli. Może nam uda się przez to przejść bez kolejnej medialnej nagonki, jeżeli łaskawie nie będziesz wpychał w to swoich łap, dopóki nie sprowadzimy znowu Ryana Harta. Jego siostra nic nie wie. Nie. Ty i Grey zostaniecie tutaj i poczekacie przy telefonie.

— Szefie?

— Możecie pomóc, przeglądając stare akta Ryana, sprawdźcie, czy kogoś nie przeoczyliśmy poprzednim razem, może jakieś miejsca przyjdą wam do głowy.

— Już nic więcej nie ma, sprawdzaliśmy. Wszystkie jego typowe meliny były trzy razy sprawdzone. — Grey przewróciła oczyma i osunęła się na fotel. Adrian wyczuwał, że zaraz spadnie na nich reprimenda.

— Grey, patrz uważnie. — Morris był poważny. — Para świeżych oczu może okazać się przydatna. I, na miłość -boską, niech żadne z was nie rozmawia z dziennikarzami.

Grey jęknęła i położyła rękę na stercie akt osób, które miały jakikolwiek związek z Ryanem Hartem.

— Mogę go znaleźć! — nalegał Adrian.

— To go znajdź. — Morris bardziej się pochylił. — Stąd! Jak znajdziesz jakieś konkretne powiązania, to powiedz Danielsowi, a on podąży za nimi. Jednak oficjalnie oboje skończyliście już pracę. Miles, jeszcze tego brakowało, żebyś znowu złamał ten cholerny zakaz. Sprawa musi być czysta. Miałeś przejścia z Hartem i jego prawnicy wykorzystają to przeciwko nam, o ile sprawa w ogóle trafi do sądu. Wiesz o tym.

Adrian przyciągnął swoje krzesło do Grey i poczekał, aż szef zniknie w swojej norze, zabrawszy teczkę z biurka.

— Masz rację, Miley, nie ma w tych aktach osoby, której nie przesłuchiwałeś, po samych cholernych -nauczycieli z podstawówki, co mi przypomina, żeby nigdy ciebie nie wkurzać.

— Nadal nie jestem przekonany, że to Ryan — Adrian westchnął. — A naprawdę chcę, żeby to był on.

— Dowody nie kłamią.

— Za dużo dowodów, on nigdy nie był tak nieuważny. Ciało łączy się z nim bezpośrednio. Każdy, kto spędziłby w jego towarzystwie więcej niż pięć minut, zorientowałby się, że nienawidzi swojego ojca. Kupiłbym to, gdyby Kevin Hart po prostu zniknął, ale to nie był modus operandi Ryana. Nigdy dotąd nikogo nie pociął. Nie sądzisz, że jest to odrobinę zbyt dogodnie? Musimy jeszcze raz porozmawiać z tym patologiem.

— Nie możemy wyjść z budynku — wyszeptwała Grey.

— Zawsze trzymasz się zasad?

— Ostatnio tak.

— Niedługo mi opowiesz, co zrobiłaś, że wdepnęłaś w to gówno. — Adrian wstał i nałożył kurtkę.

— Dziwię się, że jeszcze mnie nie wygooglowałeś. Było tam parę nie do końca pochlebnych raportów spekulujących na temat mojego transferu. Nie trzeba dodawać, że według nich jestem całkowicie niekompetentna.

— Domyślam się, że powiesz mi, jak będziesz gotowa. — Chwycił kluczyki do samochodu i spojrzał w stronę gabinetu szefa, akurat rozmawiał przez telefon, był odwrócony. — Dam ci znać później, Grey.

Adrian szedł do samochodu, pomyślał, że jego wóz zasługuje na mycie, słońce podkreślało, jak bardzo był zaniedbany. Przypomniawszy sobie, jak dawał Tomowi piątaka za umycie auta z wiadra przed domem latem, kiedy był młodszy. Wspólne mycie samochodu zawsze wydawało się naturalne, niewymuszone. Tom opuszczał gardę i opowiadał o szkole czy innych sprawach, o których myślał, a Adrian czuł, że nawiązują porozumienie. Adrian wyciągnął telefon i zadzwonił



do Toma; czekał kilka chwil na połączenie; nie spodziewał się, że Tom w ogóle odbierze.

— Cześć, tata, co jest? — powiedział Tom, brakowało mu tchu; wyglądało na to, że szedł szybko.

— Chciałem zapytać, czy w ogóle przyjeżdżasz na weekend? Brakuje mi ciebie. Fajnie byłoby zobaczyć się, zanim wrócisz do szkoły.

— Nie wiem, mama i Dom chcą zarezerwować ferie w Lizbonie, Dom zabierze mnie na surfing.

— Och, dobra. A dzisiaj? Możemy poimprezować. — Jeżeli wszystko inne zawiedzie, Adrian miał konsolę do gier, na której zawsze mógł polegać.

— Może, teraz mam próbę zespołu. Zapytam mamę i ci oddzwonię.

— Pewnie... słuchaj, jak chcesz, żeby cię gdzieś podwieźć, to mów — powiedział Adrian, ale nie było odpowiedzi, spojrzął na ekran; koniec rozmowy. Schował telefon do kieszeni i wszedł do granady.

Gdy Adrian zapuścił silnik, Grey otworzyła drzwi i wsiadła.

— Cholera, zróbmy to. — Wzruszyła ramionami, zgarniając włosy w koński ogon, gotowa do działania. — Zadzwoiłam do szpitala, doktorek nie zgłosił się na dyżur dzisiaj po południu. Mieszka na East Hill.

Zastukali do drzwi dużego białego domu w minimalistycznym stylu. Na podjeździe stał samochód, a w budynku ryczała muzyka. Na ich dzwonek do drzwi nikt nie reagował, więc Grey poszła z boku i kopnęła furtkę.

— Co robisz? Nie mamy nakazu. Nie możesz!

— A teraz kto stosuje zasady? Skoro raz się zdecydowałam... — Uśmiechnęła się i zniknęła.

— Czekaj! — Adrian podążył za nią na tyły domu, okno było otwarte i kubek na śmieci przewrócony. Grey przyłgnęła plecami do ściany, ciężko dyszała, poruszała się drobnymi, dostawnymi krokami, przygotowała paralizator. Adrian także wyczuwał, że coś jest nie tak. Gdy muzyka osiągnęła crescendo, poczuł, jak stają mu włosy na karku. Grey wskazała na kota, prawdopodobnie własność doktora, który zmierzał w ich stronę, a jego białe łapy były ciemnoczerwone, sierść wokół pyska miał zlepioną i połyskującą gęstym płynem w kolorze burgunda. Biała ściana domu skończyła się po kolejnym metrze i dalej przechodziła w szklane okna oranżerii; już niedługo dom nie będzie zapewniał im bezpieczeństwa. Wiedział, że w tym szklanym pokoju czeka ich przerażający widok.

Grey zatrzymała się. Adrian położył jej dłoń na ramieniu, ona zaś wyglądała na zdenerwowaną: oddech miała krótki i płytki. Adrian nie wiedział, czy doznała jakiegoś ataku paniki, bo pobladła. Do tej pory uważał, że nic jej nie rusza. Ruchem głowy dał jej znak, że powinni zamienić się miejscami. Zgodziła się.

Adrian wziął głęboki wdech, zanim wychylił głowę za róg i zobaczył, co jest w środku oranżerii, czy droga jest wolna. Natychmiast cofnął się i przywarł głową

do ściany; sam już nie wiedział, czy wciągnąć powietrze, czy zwymiotować.

— Musisz wezwać wsparcie — udało mu się wydobyć z siebie między oddechami. — Nie żyje.

— Co?

Adrian oderwał się od ściany i odwrócił, aby ponownie zajrzeć do oranżerii, a adrenalina buzowała mu w żyłach, kiedy ogarniał wzrokiem scenę, świadom w jakiś sposób, że niebezpieczeństwo minęło.

Patolog wisiał przywiązany za ręce do centralnego punktu w konstrukcji oranżerii. Był nagi, ręce musiał mieć wybite z barków, gdy ściągnięto je do tyłu i wieszano go na nich. Pod nim roztaczała się wielka, czerwona kałuża, a z otwartego brzucha ciągnęły się — prawdopodobnie — wnętrzności i zwijały w stertę u jego stóp.

— Już jadą. — Grey trzymała telefon, a po niewzruszonym wyrazie jej twarzy Adrian wnioskował, że rozmawia z Danielsem. Podeszła bliżej, wyprostowując rękę. — Ja cię kręcę.

— Nie rozumiem — powiedział Adrian, nadal koncentrując się na krwawej jatce na podłodze, oby tylko nie spojrzeć na twarz lekarza. Zauważył ślady kocich łap prowadzące z pomieszczenia i z powrotem, ciało najwyraźniej wisiało tu od kilku godzin.

— Dlatego nigdy nie wezmę do domu kota, te gnojki zjedzą cię żywcem, jak zaśniesz na kanapie — rozważała na głos Grey z grymasem na twarzy. — Zakładam, że Ryan chciał dotrzeć do lekarza, zanim powstanie raport czy coś takiego.

— To nie ma sensu. Co on zamierza? Zabić też następnego patologa?

— Może nie znasz go tak dobrze, jak myślisz.

— Żyłem i oddychałem sprawą tego faceta przez rok, wiem wszystko.

— Akta nie zawsze opisują całą sprawę. — Grey wyciągnęła papierosa i podsunęła paczkę partnerowi, wyjął jednego, a ona zapaliła mu go przed swoim.

— To jest bardziej szalone niż w przypadku Kevina Harta.

— Może nasila działania. Albo przechodzi jakiś psychotyczny kryzys. — Adrian wiedział, że Grey tylko składa luźne sugestie. Zaczynała przekonywać się do jego sposobu myślenia.

— Myślałem, że znam gościa, nie rozumiem.

— Co tu do rozumienia? To wariat. To znaczy, nie lubiłam tego doktora, naprawdę mnie przerażał, ale, Jezu, nikt nie zasługuje na coś takiego.

Adrian usłyszał zbliżające się syreny policyjne i zauważył nieoznakowany wóz Daniela, jak wyjeżdża zza rogu i zatrzymuje się na podjeździe. W kieszeni odezwał się jego telefon, wyciągnął go i spojrział na wiadomość, od Toma; był u siebie w domu. Adrian zaciągnął się papierosem po raz ostatni i zgasił go. Skierował się ku ulicy. Daniels wysiadł z samochodu.

— Cholera, co się stało? Gdzie ciało? — Daniels był zły.

— Z tyłu, w oranżerii, niezły bałagan — pospieszyła Grey.

— Co wy tu, cholera, robicie? Myślałem, że mieliście siedzieć na miejscu.

— Nie szukaliśmy tu Ryana Harta, przysięgam, przyszliśmy omówić z lekarzem jego rewelacje. Jak to możliwe, że tak szybko przyjechaliście? — spytała Grey.

— Technicy już jadą. — Daniels spojrział na papierosa w jej ręku. — Mam nadzieję, że nie zanieczyściliście miejsca zbrodni. A mieliście siedzieć na posterunku.

— Dotknęliśmy tylko bramy i drzwi frontowych, do środka nie wchodziliśmy — rzuciła Grey, nie kryjąc się szczególnie z pogardą dla sługusa Morrisa.

— Jak powiedziała Grey, nie szukaliśmy tutaj Harta, co oczywiste, mieliśmy tylko parę pytań do patologa, nie podniecaj się za bardzo.

— Niech ci będzie! — rzucił Daniels i przeszedł na tyły domu.

— Podwieszysz mnie na posterunek? — poprosiła. — Tam mam wóz, a i tak mogę przejrzeć akta jeszcze raz.

— Wiesz, że nie płacą nam za nadgodziny? — Adrian wsiadł.

## Rozdział 19

### Pacjent

Imogen wpatrywała się w zegar; zostało jej dwadzieścia sześć minut. Dwadzieścia sześć minut mówienia o sobie. Nigdy jej to nie szło, nawet w najlepszych czasach, a było jeszcze trudniej, kiedy ktoś robił notatki. Słowa oddzielała długimi, znaczącymi pauzami, aby wypełnić przestrzeń, i żeby mniej słów miało szansę się pojawić. Sekundowa wskazówka była zepsuta, na pewno, tak cholernie długo zajmował jej pełen obrót.

— Jak ci się pracuje z nowym partnerem?

— Dobrze, jest w porządku. Trochę popierdolony, ale to mi nie przeszkadza.  
— Zastanawiała się przez chwilę, zanim wydała werdykt: — Dosyć miły.

— Dosyć miły? Lepszy od twojego ostatniego partnera? — zapytał terapeuta. Był dużo starszym mężczyzną, freudowski z wyglądu, przez co wydawał się bardziej autentyczny. Przewertował notatki, które przesłał mu poprzedni psycholog.

— Wściekły kozioł byłby lepszy od mojego ostatniego partnera. — Uśmiechnęła się nerwowo, instynktownie obgryzając paznokcie, nerwowy tik. Zastanawiała się, czy pomóc mu i naprowadzić na pikantne aspekty, zamiast pozwolić mu grzebać w jej teczce jak świni szukającej jabłek w korycie, bez jakiegokolwiek finezji.

— Nadal do ciebie dzwoni?

— Numer mam zastrzeżony, więc nie zadzwoni do mnie do domu. Już sprawił, że wyszłam na wariatkę, może tylko tego chciał. Chyba się wyprowadził.

— Czy z jego powodu zostałam przeniesiona?

— Nie wiem, co to dało dobrego. Mój szef odsuwa mnie na bok. — Jej szef, zastanawiała się, czy siatka kumpli obejmowała cały kraj i grzała ławę ze względu na pochodzenie czy raczej na obecną pracę. Czy Morris był zły? Wiedziała, że jej stary szef nie jest aniołem, może tak właśnie było. Może myliła się co do szlachetności tej profesji. Nie dostała nawet okazji, aby sprawdzić się w niej.

— Czujesz się jak ryba wyjęta z wody?

— Nie. Znasz to powiedzenie... tam dom, gdzie serce twoje. — Zostało jej jeszcze szesnaście minut, o tej porze pytania stawały się naprawdę osobiste, zabrało im dobre czterdzieści pięć minut, aby odnaleźli się w swoich rolach: pacjentki i lekarza. Spojrzała na terapeutę w inny sposób, był w tym samym wieku co większość ofiar, które do tej pory odkryli. A gdyby on był jedną z nich? Jedną spośród kogo? Grey nadal nie miała pojęcia, kto mógł popełniać te ohydne zbrodnie, a wyjaśnienie było blisko, tuż za rogiem, ale może jej umysł nie pozwalał

jej dosięgnąć konkluzji, które praktycznie błagały, aby je odkryć.

— Jak sypiasz?

— Sypiam? Co to takiego? — Uśmiechnęła się.

— Dam ci kolejną receptę, jeżeli uważasz, że potrzebujesz leków.

— Jest dobrze, z radością przesiedzę całą noc. Zacznie mną trząść, jak wezmę więcej proszków. — Nie ufała mu.

— A co z atakami paniki? Nadal do nich dochodzi?

— Nie tak często. — Rozmawiając o tym, czuła się jak nieudacznik, więc postanowiła to zminimalizować, jak zawsze, zachowując się tak, jakby nigdy jej to nie dokuczało; ale gdyby nie miała z tym kłopotów, nie kontynuowałaby terapii po obowiązkowym okresie.

— Jak myślisz, dlaczego tak się dzieje? — spytał lekarz.

— Pomaga to, że nikogo tu nie znam.

Zapisał w notesie.

— Ufasz swojemu nowemu partnerowi?

— Staram się, nie dał mi powodu, abym mu nie ufała.

— Powiedziałaś mu o ataku?

— W zasadzie nie, jeszcze nie.

Doktor Somner zapisał coś jeszcze. Wiedziała, że gdyby go zapytała, powiedziałby jej, co zapisał, ale Grey zdecydowała, że lepiej tego nie wiedzieć. Uczestnictwo w terapii wydawało się jej jedyną opcją, gdyż od czasu tamtego incydentu w domu ugięła się pod ciężarem własnego niepokoju. Jednak tak bardzo była jej przeciwna, zawsze starała się unikać mówienia o realnych problemach. Siadała i zastanawiała się, jak długo będzie przeciągać formalności, żeby on miał mniej czasu, by faktycznie wejść w jej głowę.

— Co z pracą? To z znaczy, z prawdziwą pracą? Dajesz sobie radę?

Nienawidziła zwrotu „dawać sobie radę”; sugerował, że kurczowo trzyma się życia, że zaraz spadnie w przepaść choroby psychicznej.

— Tak.

— A jak czujesz, jak tutaj tobie idzie?

— To dziwny i przerażający przypadek, a fragmenty jeszcze do siebie nie pasują. Lecz nie, nic co ma tutaj miejsce, nie jest dla mnie wyzwalające. — Tego słowa też nie lubiła, myśli, że w ułamku sekundy straci panowanie i zostanie wepchnięta w obłąd, bez ostrzeżenia. Kliniczne słowa zasadniczo martwią ją; nie lubiła etykietek, które pojawiały się wraz z potrzebą rozmawiania otwarcie z profesjonalistą. Zespół stresu pourazowego dotyczył żołnierzy, prawda? Ona chciała zrzucić tylko ciężar z serca, nie mieć tego zapisanego papierach. Poprosiła go na samym początku, aby jej nie diagnozował. Nie chciała być zaszufladkowana. Próbowiła otrząsnąć się z myśli, że on szuka informacji. Paranoja była jedynie użytecznym narzędziem, kiedy nad nią się panowało.

— A jak sprawa ma się z mężczyznami? Umawiałaś się z kimś od wyjazdu z Plymouth?

— Doktorze, to wykracza poza zakres naszych spotkań. Chyba to już jasno powiedziałam.

— W takim razie, co z twoją matką, widziałaś ją w tym tygodniu? — Znowu pisał. Grey spojrzała na pióro, ciekawa, czy potrafi rozpoznać litery i słowa po jego ruchach. Chciała wiedzieć, co pisze, ale nie chciała dać mu władzy, której by mu udzieliła, gdyby zadała takie pytanie. Milczała więc. W tym wszystkim chodziło o to, kto ma władzę. Uświadomiła sobie, że musi pracować nad sobą, aby pozostać wrażliwą, właśnie tu. Starła się. Lekarz podniósł wzrok znad notesu i wybił ją z toku myśli, naciskając na odpowiedź. Terapia był obowiązkowa po poważnym ataku, jeżeli chciało się wrócić na służbę, następnie po powrocie należało uczęszczać na kolejne sesje co dwa tygodnie. Upewniałeś się, że dasz sobie radę. Ale Grey martwiła się, że choć żadne oznaki słabości z jej strony nie zostaną odnotowane, oni i tak znajdą jakiś sposób, aby ją zwolnić. Postanowiła zatem kontynuować terapię, gdy skończy się ten okres.

— Tak, czasami jadę do niej po pracy — wyznała, nie chcąc uściślić, ile to jest czasami, że jej życie to rutyna, że nie ma własnego życia. Nie chciała, aby wiedział, że jeździ do Plymouth niemal codziennie, bo wtedy zapytałby, dlaczego jej życie nie ma znaczenia, czy tego po prostu unika? Znała na to odpowiedź, i on jej tego nie musiał mówić. Niepotrzebne jej było to wszystko.

— To dość daleko stąd.

— Jazda mi nie przeszkadza, oczyszcza mi głowę.

— Jak ona się czuje? — Znowu coś nabazgrał.

Teraz to było pytanie. Jak ona się czuje? Czy w ogóle istniała na to odpowiedź? Była tylko jedna możliwa, taka, której zawsze udzielała na to pytanie; była to mniej obraźliwa wersja prawdy.

— Tak samo.

Adrian przyjechał do domu; Tom siedział na kanapie i grał w jakąś strzelankę, jak zwykle. Burknęli coś na powitanie i Adrian usiadł, spoglądając na drastyczne sceny w nowym świetle, nie potrafiąc pozbyć się z głowy makabrycznego obrazu, który widział wcześniej. Takie rzeczy jak w grze zdarzały się realnym ludziom, działały się pewnie teraz, tylko trzeba było wziąć poprawkę na zombie.

— Ciężki dzień?

— Słucham? — Adrian zdał sobie sprawę, że Tom mówi coś do niego.

— Beznadziejnie wyglądasz, jakiś taki półprzytomny jesteś — powiedział z zatroskaną miną.

— Dzięki, trochę przesrany dzień miałem, to wszystko.

— Chyba nie przegrasz znowu, co? — Tom odwrócił się i ponownie wlepił

wzrok w ekran. — Nie mówiłem mamie o tym ostatnim razem, bo wiedziałem, że zabroni mi odwiedzin u ciebie, a ja lubię tutaj być. Nie jestem dzieckiem, wiesz.

— Jesteś dzieckiem, i to jest w porządku, nie ma w tym nic złego. — Adrian zmierzył włosy synowi, nie wiedząc, jak inaczej go uspokoić. — Nie chcę, żebyś koniecznie stawał się dorosły i zajmował rzeczami takimi jak... jak musiałeś wcześniej... ze mną. Nigdy nie powinno do tego dojść. Przepraszam.

— Nie było tak źle, nie musisz ciągle za to przepraszać. Wiele razy wcześniej widziałem, jak mama piła. Pije, kiedy on jest w delegacji.

— Wiem, ale... tamtej nocy byłem niezłe narąbany. A twoja obecność była dla mnie jak ostrzeżenie, tak mi potrzebne.

— To co się stało? Dzisiaj, to znaczy... Dlaczego było tak ciężko?

— Widziałem coś naprawdę strasznego, czego wolałbym nie oglądać. Prawdę mówiąc, to rozmawiać też o tym nie chcę, chłopie, ale dzięki, że zapytałeś. — Uśmiechnął się połowicznie.

— W porzo. — Tom wzruszył ramionami i na powrót zajął się grą.

— Wezmę szybki prysznic, a potem zagramy partyjkę. — Adrian wstał i poszedł na górę doprowadzić się do porządku.

Stojąc w strumieniu parującej wody, czuł na sobie wnętrześci Petera. Nawet nie dotknął ciała, ale po raz pierwszy widział, jak człowiek wygląda wynicowany na drugą stronę z taką premedytacją, że tego obrazu nigdy nie usunie z pamięci. Było to obrzydliwe i wstrząsające, nie tak jak beznamienne sekcje zwłok, w których uczestniczył w przeszłości. Po prysznicu założył świeże dzinsy i schodził na dół; dzisiaj na obiad znowu zamówi pizzę. Na schodach usłyszał śmiech Toma, całe dni spędzał w szkole z kolegami, ale zaraz po powrocie do domu łączył się z nimi w sieci. Adrian wszedł do kuchni i zaparzył sobie mocną kawę, miał ochotę na coś mocniejszego, ale nie chciał, aby Tom widział go, jak pije. Poczeka, aż syn położy się spać, zanim otworzy sobie szkoocką.

Kiedy Adrian zbliżył się do salonu, usłyszał kolejny śmiech, głębszy, męski. Znał ten śmiech.

Uchylił drzwi i serce mu stanęło. Obok Toma na kanapie siedział Ryan Hart. W rękach trzymał panel sterowania. Grali i śmiali się.

— Tom, idź do siebie do pokoju — Adrian powiedział z takim spokojem, na jaki go było stać, a serce podeszło mu do gardła.

— Daj spokój, pozwól skończyć nam grę, jeszcze go nie zabiłem! — Ryan zaśmiał się i puścił oko do Adriana.

— Dam ci dwadzieścia funtów, jeżeli wyjdiesz natychmiast, Tom. — Adrian wyciągnął banknot z kieszeni, Tom wystrzelił, schwycił pieniądze i popędził na górę. Adrian nienawidził dawać łapówki synowi, ale chciał, żeby zniknął bez dyskusji, które zwykle następowały, gdy kazał mu wyłączyć konsolę.

— Detektywie. — Ryan uśmiechnął się i powiedział: — Masz ochotę na

mecz?

— Daj mi powód, dla którego nie miałbym natychmiast sięgnąć po telefon i zgłosić tego?

— Potrzebuję twojej pomocy.

— Mojej?

— Detektywie, tkwię głęboko w gównie. — Ryan uśmiechnął się nerwowo.

— Co do tego masz rację, ale po co tu przeszedłeś?

— Nie wiedziałem, dokąd pójść. Będziesz się śmiał — Ryan uśmiechnął się — ale jesteś jedyną osobą, której ufam.

— Po tym, co zrobiłeś? Myślisz, że ci pomogę? — Adrian nie wierzył własnym uszom.

— Naprawdę wierzysz, że to ja zrobiłem coś takiego własnemu ojcu? A teraz temu patologowi? Widziałem wiadomości, mówią, że o to też jestem podejrzany! Dajcie -spokój!

— Po co do mnie przychodzisz? Nie cierpię cię, kategorycznie, i to jest w aktach. Zapomniałeś, że próbowałem cię zamknąć? Niemal straciłem przez to pracę. — Adrian podszedł do okien i rozejrzał się po ulicy, zanim zaciągnął rolety.

— Tak, tak było, i dlatego wiem, że nie jesteś skorumpowany. Wiem, że mogę ci ufać.

— O czym ty mówisz?

— Nigdy nie zastanawiałeś się, jak wymknąłem ci się z rąk? Przyszpiliłeś mnie.

— Popełniłem kilka błędów. — Adrian przypomniał sobie bezsenne noce poświęcone wszystkim szczegółom z życia Ryana, picie i prohom; spirala w dół i popadanie w obsesję, przymus. Adrian nie cierpiał tego, jak ludziom takim jak Ryan uchodziło zarażanie innych, wpychanie im swojej trucizny. Wtedy Adrian pragnął, żeby prawo było trochę mniej restrykcyjne, że wystarczy tylko przeczcucie, że dowód to jedynie formalność. Od dawna wiedział, że Ryan to nic dobrego. Ich drogi krzyżowały się wielokrotnie, ale bez względu na to, co się działo, on z tego wychodził. Albo ktoś za niego szedł siedzieć, albo świadkowie znikali i każde oskarżenie kończyło się „brakiem dalszych działań”. Już wkrótce stał się kluczowym graczem i dlatego zrobił się nad wyraz ostrożny. Adrian chciał go przymknąć, a fakt, że miał nastoletniego syna, jeszcze bardziej motywował go, aby usuwać z miasta takie szumowiny jak Ryan.

Kiedy Adrian stracił dowody, był pijany. Spędził noc w samochodzie z butelką szkockiej pod domem Ryana i ledwo pamiętał szczegóły z tamtego dnia. Był wdzięczny, że w końcu zabrano mu tę sprawę, ponieważ był wykończony i wszystkich zawiódł. W pogoni za Ryanem stał się osobą, której najbardziej nienawidził. Swoim ojcem. Kiedy ostatecznie zawieszono go, świat przestał wirować. Nie tylko stracił dowody, stracił też rozum.



— Jesteś pewien? — Z twarzy Ryana zniknął typowy dla niego groźny uśmiezek i pojawiła się mniej napastliwa mina.

Kawa już nie pomagała, więc Adrian podszedł do barku i nalał im obu drinka. Z trudem starał się pojąć, co mówi Ryan. Po raz kolejny chciał mu wyciąć numer? Podał Ryanowi szklankę i postawił butelkę na stole, żeby łatwo było sięgać.

— Słucham.

— Wiem, że myślisz, że to ja jestem tym wielkim draniem, który zabija każdego, kto stanie mu na drodze, i doceniam to, naprawdę, To pomaga w interesach.

— Więc co? Jesteś harcerzem?

— Fakt, zrobiłem wiele paskudnych rzeczy, nie przeczę, ale przysięgam, że nigdy nie zabiłem drugiego człowieka.

— Przynajmniej nie własnoręcznie. — Panika ustąpiła, już nie czuł się zagrożony. Wiedział, że Ryan mówi prawdę.

— Mój ojciec miał powiązania, dobre powiązania. Znał sporo ludzi. Ważnych ludzi. Wiesz, jak to jest. Ręka rękę myje. Bogaci trzymają się razem i wszyscy wchodzi w przedziwne gówna. — Wychylił drinka i wziął głęboki oddech. Adrian zauważył cień strachu na jego twarzy, ten rodzaj, -który pojawia się, kiedy chcesz złamać obietnicę albo zdradzić sekret. Takiego Ryana nie znał. — Detektywie, doceniam cię, naprawdę urządziłeś mi z życia prawdziwe piekło. — Nalał sobie kolejnego drinka. — Mój ojciec nie lubi... nie lubił, jak ludzie węszyli wokół jego interesów, powiedział mi, że usunie zarzuty wobec mnie i po kilku dniach, BUM! Ja jestem czysty, a ty po uszy w gównie.

— I myślisz, że twój ojciec miał kogoś tak władnego? Kogoś w policji? — Nad tym Adrian dotąd nawet się nie zastanawiał. Był tak skoncentrowany na samooskarżaniu się, że nigdy nie przyszło mu do głowy, że sam tego nie spieprzył.

— Nie kogoś jednego, przyjaciela, miał kilku ludzi.

— Jesteś naćpany?

— Miasto jest tak uszczelnione, że sobie nie wyobrażasz. To? To jest nic.

— Bzdury.

— Jak inaczej dowody mogły zniknąć? Pomyśl.

— Ale nóż, który znaleźliśmy u ciebie, koroner potwierdził... — Adrian poderwał się, gdy Ryan wstał szybko, chwytając się i szarpiąc za włosy, zaczął chodzić.

— Jeżeli zabiłem ojca, naprawdę myślisz, że jestem taki głupi, żebym trzymał to u siebie w domu na wierzchu? Skoro wiem, jak się na mnie napalacie? Daj spokój!

— Więc jak? Kto?

— Ktoś ze śledczych? Ktoś z archiwum? Cholera, nawet, kurwa, ten patolog.

Nie mam pojęcia, jak głęboko to sięga. Wiem jedno: ja tego nie zrobiłem. — Ryanowi głos się załamał. — Pokazali mi zdjęcia, to, kurwa, chore. Nie mogłem zrobić czegoś takiego. — Ryan przestał krążyć i patrzył w dal. — Nienawidziłem go, naprawdę, ale go nie zabiłem, za bardzo się go bałem. Nie znałeś go, a postarałby się, abym nigdy nie zaznał spokoju.

— Nie przyparłem cię do muru za to, że jesteś uduchowiony.

— Jestem tym, kogo wymaga bieżąca sytuacja, jestem ocalańcem, a mój ojciec nigdy nie dał mi nic, co w jakiś sposób nie przyniosłoby mu korzyści. Nawet ta pieprzona szkoła, do której musiałem chodzić, była dla niego, żeby kontynuować idiotyczne, rodzinne tradycje. On tam chodził, jego ojciec tam chodził, wszystkie pierdolone pokolenia. Ja go gówno obchodziłem! Musiałem stanąć na własnych nogach, ale naprawdę wierzę, że tylko dzięki niemu nie znalazłem się w więzieniu. Nie ze względu na mnie, zrozum, ale na samego siebie. Żeby mógł dalej kręcić te swoje podejrzané lody. Chodziło mu głównie o wizerunek w społeczeństwie, bo mówiąc między nami, ja jemu nie dorównuję.

— Widziałem twoje wypisy ze szpitala w dzieciństwie, miałeś ciężko.

— Wtedy to było normalne. Pamiętam cię z tamtych czasów... jak zostałem wyrzucony z Churchilla i trafiłem do twojej szkoły. Pamiętam też twojego tatę. — Ryan znowu zaczął krążyć, drapiąc się po twarzy. Adrian rozpoznawał to zachowanie — musiał coś zażyć.

— Nie musisz mówić o moim ojcu — rzucił Adrian.

— Mówisz, że twój ojciec nigdy nie podniósł na ciebie ręki? — Ryan zaśmiał się, nie dowierzając, i sięgnął po butelkę, popijając wprost z niej.

— Więc nie masz najmniejszego powodu, żeby życzyć własnemu ojcu śmierci? — Adrian unikał tego pytania, obaj wiedzieli, że nie trzeba na nie odpowiadać.

— Mam jakiś milion. Ale dlaczego teraz? Dlaczego miałbym go zabić teraz? I dlaczego w taki sposób? Nie ma go w moim życiu, widuję dwa razy na rok, to wszystko. Mówię ci, że mnie chronił. Ktoś chce mnie zrobić, nie wiem dlaczego, ale znasz mnie! Wiesz, że tego nie zrobiłem! — Cisnął butelką, rozbiła się o drzwi i spłynął po nich miodowy kwiat. W pokoju nagle zapanowała woń whisky.

— Kto jeszcze miał motyw, aby zabić twojego ojca? — Adrian nie chciał robić żadnych gwałtownych ruchów, więc siedział spokojnie, w pełni świadom, że Ryan jest na granicy, a na górze jest jego syn.

— Na krótszej liście byłoby, kto tego nie zrobił. — Ryan usiadł obok Adriana i porwał ze stołu jego niedopitą szklankę. Pochylił się. — Wiesz, dlaczego tu przyjechał? Do miasta? Masz pomysł, co to za świr?

Adrian tym razem wstał i podszedł do okna. Wyrzął przez rolety. Jeżeli jego koledzy wiedzieli, że Ryan jest w środku, wtargnęliby teraz, powinien ich wezwać, nawet nie powinien słuchać tego gadania, ale w słowach gościa pobrzmiwała

niepokojąca prawda.

— Był w Exeter w interesach. Twoja matka powiedziała nam tyle, jego współpracownicy potwierdzili to.

— Moja matka — wycedził te słowa, jakby to było zepsute mleko. — Nie. Przyjechał tu, żeby zadawać się z młodymi chłopcami.

— Nie mamy na to dowodów.

— Mówię ci, przyjeżdża tu, żeby ruchać się z chłopcami, im młodszy i głupszy, tym lepiej. Wybiera ich i zaciąga na tę swoją podejrzaną metę, tłucze ich na kwaśne jabłko i robi im różne zбочzone rzeczy, i każe im robić to samo sobie!

— Ryan, skąd o tym wiesz? — Adrian spojrzał wprost na chłopaka, który unikał jego spojrzenia; zamiast tego wyciągnął papierosy i zapalił, zaciągając się, aż niemal jedna czwarta zniknęła za jednym pociągnięciem. Atmosfera w pokoju była gęsta.

— On lubi na ostro. — Ryan przełknął whisky. Adrian nagle zorientował się, o co mu chodzi. Znał to przerażone spojrzenie, widział je u ofiar seksualnego prześladowania. Jak mógł to przeoczyć? Niemal zrobiło mu się żal tego chłopaka.

— Raport patologa nie podawał żadnych dowodów na... to, co sugerujesz.

— Wobec tego on też w tym siedzi! — Poziom niepokoju u Ryana stawał się najwyraźniej coraz wyższy. Adrian zastanawiał się, czy lata nadużywania narkotyków wywołały u niego paranoję, czy też jak u tylu innych znanych mu ćpunów, Ryan widział świat dosłownie takim, jaki był. Siedząc tam, Ryan wyglądał jak przerażony chłopiec, zagryzający policzek od środka, gdy mówił: — Ktokolwiek z nich mnie wrabia, nie pozwolą mi zeznawać przeciw ojcu, opowiadać, jakim był człowiekiem, mówił mi, że był dobrze chroniony.

— Skąd wiesz, że nie chciał tylko ciebie przestraszyć?

— Bo pamiętam ich, przychodzili do naszego domu, jak byłem mały. — W spojrzeniu Ryana pojawiło się prawdziwe przerażenie i Adrian wiedział, że nie kłamie. — Jego też dopadli, tego Stone'a, dyrektora szkoły, który się zabił.

— Czeka, co takiego?

— On też bywał u ojca w domu. Były takie sytuacje... jak na mnie patrzył... — Ryan miał oczy różowe od z trudem powstrzymanych emocji. — Był w to wmieszany, wiem dobrze.

— Pamiętasz kogoś jeszcze?

— Nie bardzo, to znaczy może. Ten facet, który został wypatroszony, w wiadomościach, wyglądał znajomo, i wtedy zaczęłam coś podejrzewać. Ktoś usuwa po kolei wszystkich fagasów ojca, jednego po drugim; to nie może być przypadek, skoro wszyscy tak zginęli. Był taki jeden facet, chyba policjant, nie jestem pewien; to było dawno temu. Byli razem w szkole, wiesz, jak się wzajemnie chronią.

— Musisz iść na posterunek i złożyć zeznanie, żebyśmy mogli je

potwierdzić. Teraz mam jedynie twoje słowo.

Teraz Adrian myślał o Tomie w jego szkole. Skupił się na jedynej pewnej rzeczy: Ryan kłamał. Mimo to coś w Adrianie krzyczało, że musi zabrać Toma z tej szkoły, zanim skończą się letnie wakacje.

— Nie mogę. Jak mnie dopadną, to nie dożyję do końca tygodnia.

— To pozwól, że ciebie zaaresztuję.

Wszystko, co mówił Ryan, miało sens. Adrian musiał mu zaufać na słowo.

— Nie zagwarantujesz mi bezpieczeństwa, ci sami ludzie wrobili ciebie, prawie zrujnowali ci karierę. Mój ojciec był zaledwie małą częścią, ale był kryty, jak zechcą, abym zniknął, to już mnie nie ma. — Ryan nie mógł usiedzieć na miejscu, nie panował nad sobą, wstał i znowu zaczął krążyć. — Nie, nie, nie, muszę iść, muszę zniknąć, to był błąd, że przyszedłem tutaj, a oni pewnie obserwują twój dom.

— Pomogę ci.

— Wierzysz mi?

— Tak, wierzę, ale nie możesz uciekać całe życie.

— Muszę iść. Muszę stąd się wydostać.

— Hm, na wszelki wypadek rób tak, żeby to wyglądało przekonująco, taka propozycja zdarza się raz w życiu. — Adrian wstał i uniósł ręce, przygotowując się na cios.

— W innych okolicznościach bardziej by mnie to jarało. — Ryan zadał dwa ciosy, jeden w żołądek, a drugi w twarz. Adrian zgiął się wpół. — Przepraszam, detektywie.

— W innych okolicznościach walczyłbym — wysapał Adrian, chwytając się za bok, a z ust popłynęła mu krew. — Idź, masz pięć minut, potem dzwonię.

Ryan wyszedł, a Adrian osunął się na kanapę, wpatrując w zegar.

## Rozdział 20

### Dąb

Abbey spojrzała na kanapę, Parker smacznie spał. Wyglądał zupełnie inaczej z zamkniętymi oczyma. Oczy dominowały na twarzy; trudno było zobaczyć cokolwiek innego w nim poza oczyma, gdy były otwarte. Były tak jasne, tak blade, tak szare, niemal jak lustra we właściwym świetle, jak recyklingowane szkło. Abbey stłumiła chęć, by go dotknąć, aby odgarnąć jego czarne loki z twarzy; jedynie przykryła go kocem. Spał prawie dwie godziny, kiedy zadzwonił telefon. Abbey rzuciła się do aparatu, żeby nie obudzić Parkera; to był jej ojciec.

— Tata? — wyszeptała.

— Abbey, nie mogę dzisiaj przyjechać, przepraszam. Miałem nagłe wezwanie i nie mogę odmówić. — Kolejny weekend, kolejna wymówka. Zastanawiała się, dlaczego ciągną tę grę, mimo wszystko. Już od lat wymyślali własną rzeczywistość, gdzie byli nadal tak blisko jak zawsze, ale prawda była taka, że nic nie było takie samo od tamtej sobotniej nocy na uniwersytecie. Nie mogli darować sobie niechęci, jaką odczuwali nawzajem do siebie. Wiedziała, że ojciec żywi do niej urazę za to, że nie dba o siebie — jakby to ona sama doprowadziła do tego, co się jej stało — wychował ją tak, aby unikała takich sytuacji. A ona miała ojcu za złe, że spodziewał się po niej, że będzie mocniej walczyła, głośniej krzyczała, albo w ogóle, on po prostu nie rozumiał, jak mogła znaleźć się w takiej sytuacji, a ona nie potrafiła znaleźć słów, by to wyjaśnić. Tak więc mur między nimi stawał się coraz wyższy, aż nie mogli już dłużej zamieszkiwać pod jednym dachem. Wyprowadziła się po niecałym roku i wynajęła małą kawalerkę w mieście, gdzie została zaatakowana, a ruch ten jeszcze bardziej oddalił od niej ojca. Po roku ojciec wyprowadził się jeszcze dalej, rok później jeszcze dalej, aż skończył prawie dwieście kilometrów od niej. Abbey jednak tu tkwiła, niedaleko od uniwersytetu, miejsca, którego czuła się częścią od tylu już lat.

Kiedy odłożyła telefon, wyjrzała przez okno. Deszcz jeszcze mocno padał, a Parker i Sally nadal spali. Abbey trzymała go chwilę, dopóki nie zasnął, a potem tylko patrzyła, jak śpi, aż poczuła się jak intruz. Był tak mocno pogrążony we śnie, że wydało jej się, iż od dłuższego czasu tak nie spał. Abbey nagle uświadomiła sobie, że jest we flanelowej piżamie. Nalała wody i weszła do wanny. Po części chciała, aby Parker zajrzał do łazienki, gdy brała kąpiel; sama nie miała w sobie tyle odwagi, aby coś zaczynać z nim, ale chciała go jeszcze raz pocałować, nigdy nie pragnęła niczego więcej. Jeżeli nic się nie wydarzy, to ten pocałunek wystarczy. Nie знаła historii jego blizn, ale wiedziała, że nie są tylko powierzchowne i sięgają głębiej; wyglądały na wyblakłe i rozciągnięte. Nie potrafiła wyobrazić sobie bólu,

jaki trzeba wycierpieć, aby zostać tak bardzo okaleczonym. Zastanawiała się, jakie narzędzie mogło zadać takie rany, jak gwiazdy na jego plecach. Parker był taki łagodny, tak słodki, kto mógł zrobić coś takiego? Starła się nie płakać, gdy wyobraziła -sobie łzy, które musiały płynąć z tych krystalicznych oczu, gdy był nieustannie bity i torturowany.

Teraz czysta po kąpieli, nasunęła na siebie sukienkę — chciała ładnie wyglądać. Kiedy wróciła do pokoju, Parker wkładał spodnie. Za oknem ciągle padał deszcz.

— Co robisz?

— Powinienem iść. Za długo ci przeszkadzam. — Podniósł wzrok i zobaczył Abbey. — Zmieniłaś się.

— Przebrałam. — Uśmiechnęła się.

— Zniknę, zanim twój tata się zjawi.

— Nie przyjedzie... chcę, żebyś został — wyrzuciła z siebie bez zastanowienia, ale było za późno, słowa już padły. — Przynajmniej zrobię coś na lunch, ciągle pada, nie możesz teraz wyjść.

— Nie chcę ci sprawiać kłopotu.

— Umiesz siekać cebulę? — Uśmiechnęła się i wyszła do kuchni w nadziei, że on podaży za nią.

Przygotowali jedzenie i usiedli przy stole, aby razem zjeść. Na dworze nadal było tak ciemno i zimno, ale po raz pierwszy jej mieszkanko stało się prawdziwym domem. Przez cztery lata, odkąd tu się przeprowadziła, nie zawarła wielu przyjaciół, wołała własne towarzystwo. Teraz było, jakby odgrywali szczęśliwą rodzinę. Śmiali się i rozmawiali o muzeum.

— Myślę, że Gemma ciebie lubi — powiedziała Abbey, spodziewając się po nim reakcji.

— Mam wrażenie, że Gemma lubi wszystkich. — Parker uśmiechnął się, sprząając z talerza ostatnie kęsy.

— Mnie specjalnie nie lubi, nie rozmawiamy, ale widzę, jak na ciebie patrzy czasami, kiedy jesteśmy w głównym holu.

— Ty też mnie czasami obserwujesz. — Uśmiechnął się, aż Abbey się zarumieniła.

— Przepraszam, nie chciałam, abyś czuł się zażenowany, nawet nie zauważyłam, że robię to nieustannie. — Teraz była cała czerwona na twarzy.

— Nie przepraszaj, to mi się podoba... to znaczy, nie przeszkadza mi, że na mnie patrzysz.

— Parker, nigdy nie spotkałam kogoś takiego jak ty.

— Nie, na pewno nie. Niektórych ludzi trudniej jest oszukać. — Przez moment wytrzymał jej spojrzenie. Abbey czuła, jak Parker posepnieje, i chciała odciągnąć go od tych czarnych myśli, które zawładnęły jego umysłem.

— Co zapisujesz w tych swoich notesach? — zapytała. Przy nim robiła się odważniejsza, z każdą mijającą chwilą ich interakcja stawała się mniej napięta, niemal naturalna.

— Nic specjalnego, rysuję sobie ludziki. — Uśmiechnął się niezdarnie i wstał, zaniósł swój talerz do zlewu. Sięgnął po swoją przemoczoną gazetę, która zrobiła się sztywna i nieporęczna; Abbey próbowała uratować ją, układając na grzejniku. Przez to jedynie papier się skleił. Parker wyciągnął, co mógł, i przejrzał strony.

— Chyba żartujesz? — wymamrotała Abbey, sięgając po jedną ze szpalt, które odłożył. Czytała ten artykuł; opisywał Carla Taylora. Miejscowego biznesmena, który oddał hołd swojemu synowi, Christianowi, stawiając fontannę w środku miasta. Było tam zdjęcie Christiana uśmiechniętego szeroko i wulgarnie, to właśnie ten uśmiech zauważyła, ten uśmiech nakłonił ją, by sięgnęła po gazetę i przeczytała. W tym momencie znienawidziła siebie za własną słabość, za to, że pozwoliła mu się pokonać. On wygrał, wygrał, ponieważ ona utraciła samą siebie, taką, jaką była. Pozwoliła mu zabrać wszystko. Podniosła wzrok, a Parker jej się przyglądał, zatroskany.

— Kto to jest? — Wyczuła zazdrość w głosie Parkera. Nie wiedziała, czy czuł się zagrożony, ale miała nadzieję, że nie, nie miał o co być zazdrosny.

— Ktoś z poprzedniego życia — powtórzyła echem jego wcześniejsze słowa, w nadziei, że zrozumie, że powinien ostrożnie stawiać kroki. Czuła jego badawcze spojrzenie, poszukujące odpowiedzi, nie chciała, aby Parker wiedział, jak bardzo głupia się okazała, jak łatwa do manipulowania. Ważne było dla niej to, co Parker o niej -myśli. Odwróciła się i spojrzała w okno, wielki dąb rosnący za domem skazany na los żywiołów starał się zachować stoicko, na próżno jednak, gdy wiatr targał jego gałęziami. Abbey spojrzała znowu na Parkera i zastanowiła się, czy wszystko, co wydarzyło się w jej życiu do tego momentu, było jedynie preludium do poznania go; czy gdyby kontynuowała swoje życie tak, jak sobie zaplanowała, nie byłoby szansy, aby kiedykolwiek ich drogi się skrzyżowały. -Nigdy nie podjęłyby pracy w muzeum. Abbey była wdzięczna w tym momencie za wszystko, co się wydarzyło, i dało jej wybór, wracając do tamtych czasów, ceniła przyjaźń z Parkerem bardziej, niż to wszystko, co utraciła. Przez ostatnie kilka tygodni trudno jej było go trzymać na dystans, był nieprzewidywalny, a jego obecność sprawiała, że znowu zaczęła czuć, czuć coś innego poza strachem i winą. On był wyjątkowy.

Przypomniała sobie ich pocałunek i poczuła, jak znowu się rumieni. Zapragnęła odtworzyć ten moment z muzeum. Parker także obserwował drzewo, spojrzenie miał niewzruszone, gdy Abbey stała przed nim i spoglądała na niego, w jego oczach było tyle emocji, aż przez chwilę zapragnęła znaleźć się w jego głowie. Zamiast tego wspięła się na palce i dotknęła ustami jego ust, on ją

przyciągnął i pocałował tak mocno, jakby czekał na to przez cały dzień, a może nawet dłużej.

Pocałowała go w szyję, a on ujął jej głowę. Sprawiał, że czuła się tak lekko i eterycznie. Abbey wsunęła dłonie pod szlafrok i pogłaskała palcami jego tors, i sięgnęła do pleców, zapominając o bliznach, gdy przyciągnęła go do siebie. Ogarnęło ją pożądanie, coś, o co siebie już nie podejrzewała. On najwyraźniej wahał się, czy jej dotknąć, niemal jakby wiedział, jaka jest krucha. Pozwolił jej przejąć prowadzenie, a gdy rozpięła jego spodnie, usłyszała, jak ostro wciągnął powietrze. Stał nieruchomo, ale jego ciało błagało, aby to do niej należała inicjatywa.

Zabrała go do sypialni i delikatnie pchnęła na łóżko. Zastanawiała się, czy był już z kimś. Wydawało się, że ludzi trzyma na dystans, jednak w jego pocałunkach było coś, co zdradzało, że to nie pierwszy raz. Jednocześnie była w nim niezaprzeczalna niewinność. Nie wyczuwała tego nieuzasadnionego pożądania, które pojawiało się u mężczyzn na samą sugestię, że do czegoś dojdzie. Próbowana już zbliżyć się do mężczyzn wcześniej, ale gdy tylko ją pocałowali z cieniem nadziei, ona czuła, jak żółć wzbiera jej w żołądku, i uciekała. Z Parkerem było inaczej; jego głód rodził się z ciekawości, a nie z potrzeby samozadowolenia. Dotykał z wahaniem, koncentrując się na jej twarzy, szukając reakcji, nieustannie oczekując zgody. Rozchylił usta, a ona widziała, że stara się zapanować nad oddechem, stłumić pożądanie. Jego dłoń zawisała nad jej piersią, zbliżała się powoli, aż spoczęła na niej, zamarła. Przez sukienkę Abbey czuła ciepło jego dłoni. Jego niepewność sprawiła, że bardziej go pragnęła, ujęła jego dłonie i pocałowała je, zanim zajęła się rozpinaniem sukienki, chciała, aby wiedział, że wolno mu jej dotykać.

Podążyła za jego wzrokiem, gdy powoli patrzył, jak rozmyślnie ściąga sukienkę. Jego oczy znowu zmieniły kolor i były niemal białe w swej przezroczystości, jak diamenty. Chciała się w nich zatracić, chciała być tą kobietą. Nikt dotąd tak na nią nie patrzył i było to coś wyjątkowego. Sprawia, że on zapragnie jej jeszcze bardziej, niż cegokolwiek dotąd. Chociaż raz władza należała do niej, a on był z tego zadowolony.

Synkopowane odgłosy kropli deszczu odbijały się echem w jej pulsie, gdy wspięła się na niego. Widziała, jak jego pierś unosi się w oczekiwaniu, pocałowała jego nagę, białą skórę, a potem powoli osunęła się na niego. Nie spuszczała wzroku z jego ust, teraz oddychając równo z nim, gdy wiedzieli, co zaraz nastąpi. Parker wstrzymał oddech, gdy w nią wszedł, a potem wydobył z siebie ledwo słyszalne westchnienie. Zupełnie jakby ostatnie pięć lat były złym snem, to było coś nowego, czuła się jak nowa. Zrozumiała, że nie jest tak skalana, że nikt więcej już jej nie dotknie. Ona tu była i on jej pragnął — on, mężczyzna tak niezwykle, z taką idealną skazą. Parker ujął ją w talii i podciągnął się. Teraz złączyli się, pierś



w pierś, skóra na skórze. Abbey nie wiedziała, gdzie ona się kończy, a gdzie on zaczyna. Nie chciała uciekać, chciała z nim tak już zostać. On wtulił twarz w jej szyję, wciągając ją z oddechem. Takiego uczucia szukała przez całe życie: przynależności. Poruszyła się powoli, ale żar między nimi był niesamowity. Nawet zapach świeżego potu Parkera działał odurzająco. Chciała, aby stracił panowanie, chciała, aby oddał jej się całkowicie. Czowała, jak szaleństwo wzbiera jej głęboko w żołądku i próbuje zapanować nad nią całą, ale opanowała podniecenie i zaczęła na niego. Był niedaleko; wbił palce w jej ciało, gdy doszedł wraz z nią. Jego twarz; tak spięta i skupiona zaledwie przed kilkoma momentami, zanim złagodniała, gdy osunął się na łóżko. Leżał tam bez tchu. Sięgnął po jej dłoń i przyciągnął Abbey bliżej do siebie.

Leżąc z Parkerem na kołdrze, nie czuła nagłej potrzeby, by wstać i coś nałożyć, nie chciała zasłaniać siebie w żadnym stopniu, cieszyła się, że on może na nią patrzeć. Może było tak dlatego, bo w jej pokoju czuli się jak w kokonie, odizolowani od świata, bezpieczni tu przed wszystkim, co było na zewnątrz. Nie czuła strachu, żadnej niepewności. Czowała się jak „poprzednia” Abbey. Więzy między nimi, chociaż krucha i otoczona pytaniami bez odpowiedzi, była oczywista. W przeszłości Abbey zawsze była z mężczyznami, którzy nią się zadowalali, którym wystarczała, ale wiedziała, że tak nie jest w przypadku Parkera. Wszelkie myśli o tym, jak była przegrana, jak będzie umierać w samotności, przez całe życie nienawidząc samej siebie, zniknęły. Widziała, że on jej potrzebuje, chociaż niemal wstydział się tego — nie tego, że jest z nią, ale że to widać po nim.

Abbey zasnęła, wiedząc, że kiedy się obudzi, będzie inną osobą. Nie wiedziała dlaczego, ale potrzebował jej. Parker uświadomił jej, że ona może się uratować, jego kruchość kazała jej znowu przejąć inicjatywę. Ona nigdy nie była tą silną. Czekala na wybawienie, a trwało to całą wieczność. To było to, właśnie się stało, tego dnia, tego mokrego, paskudnego dnia, który odmieni jej życie. Tego dnia w końcu poczuje, że jest coś warta.

## Rozdział 21

### Blondynka

Wtedy

John pomachał Abbey na pożegnanie, gdy szła w stronę swojego domu. Zastanawiał się, czy to tam właśnie się wydarzyło. Potem zapalił silnik i odjechał. Nie wypytywał jej. Tak naprawdę nie chciał tego wiedzieć. Ostatni tydzień Abbey spędziła w swoim pokoju, gdy on zaglądał do butelki. Nie ma podręcznika, jak być dobrym rodzicem. Przeważnie trzeba improwizować. John dorastał w kochającym domu z obojgiem rodziców. Byli dobrymi rodzicami, ale zmarli, kiedy Abbey była mała. Nie miała matki, nie miała dziadków, tylko jego.

Wcisnął gaz i jechał, jak mógł najszybciej; nikt go nie zatrzymywał, ludzie musieli mu ustępować, ignorował światła. Po części chciał stracić panowanie nad samochodem i uderzyć w drzewo, skończyć to wszystko, żeby więcej nie myśleć. Mózg go bolał od tego całego myślenia. Płatanina myśli, które nie wydadzą żadnej spójnej wartości. Jedynie pytanie za pytaniem i przekonanie, że nie udało mu się jej obronić, że zawiódł jako ojciec.

Starał się, jak mógł, naprawdę w to wierzył. Abbey chodziła na wszystkie zajęcia pozalekcyjne, jeździła na wakacje, wycieczki, biwaki, na wszystko. Była inteligentna, rozsądna i niezależna. Był z niej tak bardzo dumny. Matkę widywała raz od wielkiego dzwonu, ale nie było w tym miłości. To była toksyczna matka. Podtrzymywał ich spotkania, bo chciał, aby Abbey sama zdecydowała co do matki, żeby fakty nie pomieszały się jej w późniejszym życiu. Nie mógł opędzić się od myśli, że teraz potrzebowała matki bardziej niż kiedykolwiek, ale Bóg jedyny wie, gdzie teraz była. Kontaktowała się, kiedy miała czas, raz do roku, dwa razy, jeżeli dopisało im szczęście.

Kiedy Abbey powiedziała mu, że chce iść na studia i zamieszkać w innym mieście, był przekonany, że da sobie radę, ale jednocześnie ona była jego światem, jego dzieckiem, i chciał, aby nabrała przekonania co do swojej decyzji. Żałował teraz, że nie zatrzymał jej w bezpiecznym domu, rozumiejąc dobrze wstrętą jędzę, która trzymała Roszpunkę ukrytą przed światem w niebosiężnej wieży przez te wszystkie lata.

Kiedy zadzwoniła, wiedział, że coś się stało, myślał, że tylko tęskni za domem albo, co najwyżej, że pokłóciła się ze swoją sublokatorką, Danielle, od samego początku źle dobraną koleżanką. Martwił się, że Abbey wybierze sobie na wzór do naśladowania właśnie Dani, dziewczynę, której wszystko podsuwano pod nos. Martwił się, że córka zapragnie się do niej upodobnić, a przecież Abbey była

o wiele lepszą osobą, troskliwą, dobrą, bezinteresowną. John był swego rodzaju snobem, kiedy w grę wchodziły małe księżniczki, może przez doświadczenia ze swoją byłą żoną, ale widział, że im ładniejsze opakowanie, tym zawartość bardziej kosztowna emocjonalnie. Małżeństwo dużo go kosztowało, ale był zadowolony, że żona jest taka samolubna, bo kiedy uciekła z jego życia tak szybko, jak się w nim pojawiła, to zostawiła mu Abbey. Abbey zawsze była odpowiedzialna, już od najmłodszych lat. Kiedy jej przyjaciółki upijały się w parku przy szkole na przerwie obiadowej albo sypiały z początkującymi dilerami na tylnym siedzeniu cortiny, uznając, że dzięki temu są dojrzałe, Abbey uczyła się albo opiekowała ojcem. On wiedział, że omija ją wiele z doświadczeń ulicy i może przez jego nadopiekuńczość stała się takim celem. Jednak dbali o siebie nawzajem... zawsze. Ale kiedy najbardziej go potrzebowała, jego nie było.

Miał tyle pytań, pytań, na które nie chciał znać odpowiedzi, a przed oczami obrazy, które nie chciały przestać się ukazywać — małej dziewczynki, do której dobierają się dwie hieny jak do kawałka mięsa. Zastanawiał się, dlaczego nie wzywała pomocy. Czy krzyczała? Choćby trochę? Czy walczyła? Cokolwiek. Wiedział w końcu, że jego pytania wynikają z czego innego. Od kiedy jej matka odeszła, jego zadaniem była opieka nad córką, jego zadaniem było zapewnić jej bezpieczeństwo; wiedział, że to mu się nie udało, i nic tego nie zmieni. W głowie tłukły mu się te obrazy. Jakby -myśli stały się robakami, które drążą go pod skórą, zjadają go żywcem. Zobaczył przed sobą pub i włączył kierunkowskaz, musiał się napić, i to zaraz. Gdy parkował, zastanawiał się po raz setny, dlaczego w ogóle puby mają parkingi. Miał za chwilę złamać swoją kardynalną zasadę, ale był zaledwie parę kilometrów od domu. Mógł wrócić piechotą, gdyby musiał.

Siedząc samotnie w barze, wpatrywał się w whisky, a z niej spoglądało na niego odbicie własnej twarzy. Żałował, że wprowadzono zakaz palenia. Nigdy nie palił, ale podobało mu się, kiedy wchodził do pubu i otaczało go bezmyślne folgowanie sobie, brakowało mu zapachu własnego ubrania, brakowało mu zapachu kobiet, z którymi flirtował, patrząc na obłoki dymu wylatujące im z ust, i wyobrażał sobie, co jeszcze mogłyby z nim zrobić. Tego ranka jego największym problemem było spóźnienie z rozliczeniem podatkowym, teraz stało się to całkowicie nieistotne.

Kobieta w drugim końcu baru uśmiechnęła się do niego, wcześniej podała mu drinka, była starsza i zniszczona, ale miała łagodną twarz, i nie mógł się do niej nie uśmiechnąć. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz był sam w pubie, i nie przywykł, aby kobiety uśmiechały się do niego. John był przystojnym mężczyzną, ale nie wychodził z domu — pracował, czasami chodził na mecze piłkarskie z kolegami i oglądał filmy dokumentalne na History Channel, to było jego życie. Mógł opowiadać o bombardowaniu Drezna, o upadku Imperium Rzymskiego, ale zapytaj go o kobiety, a nie miał zielonego pojęcia. Od odejścia żony miał kilka

krótkotrwałych związków, ale nigdy się nie układały, bo Abbey była centrum świata Johna, a większość kobiet nie lubiła takiej konkurencji.

— Jestem Carol, nie widziałam cię tu wcześniej. — Wsunęła się na krzesło obok niego.

— Cześć. — Nie chciał się przedstawiać.

— Nic ci nie jest? Wyglądasz na zagubionego, ja tu pracuję. Jestem tu cały czas. Mieszkam na piętrze.

— Och, tak, rzeczywiście, obsługiwałaś mnie.

— Tak. Teraz nie pracuję, skończyłam na dzisiaj.

John zastanawiał się, dlaczego ona z nim rozmawia, i zorientował się, że go podrywa, było to dla niego dziwne i nieznane uczucie, ale we właściwym czasie, odpowiednia forma rozproszenia. Spojrzała mu w oczy, tusz do rzęs miała nałożony grubą warstwą wokół kocich oczu, oczu o wiele młodszej kobiety.

— To dużo szkockiej jak na poniedziałkowe popołudnie.

— Mogę postawić ci drinka? — John nie wiedział, co innego mógłby powiedzieć, nie pił w ciągu dnia, nie pił od lat.

— Mam dużo do picia na górze. — Niczym anioł stróż w średnim wieku wzięła go za rękę i poprowadziła z baru na piętro. Tapety w kwiaty i zapach talku przesunęły nieco wyżej jego domysły co do jej wieku. Jej cienkie blond włosy i ostra różowa szminka podniecały go. Był w niej jakiś smutek, przez co czuł się bezpieczny, nie była łatwa, też była zagubiona. Dwie zagubione dusze szukające pocieszenia w ramionach obcego. Czuł, że zawiódł jako ojciec, więc może mógłby znowu stać się mężczyzną, mężczyzną z pożądaniem, pragnieniami i potrzebami. Mężczyzną, który rozmawia z kobietami i chce uprawiać seks, mężczyzną, który przechwala się przed kumplami co do swoich romansów i podbojów.

Leżeli na łóżku, popołudniowe słońce zaznaczało każdą niedoskonałość i skazę ich starzejących się ciał. Nie zrażały go jej blizny ani zmarszczki, był podniecony. Tyle czasu minęło, odkąd czuł się mężczyzną; mężczyzną, którego pożądały kobiety. Przynajmniej teraz nie mógł być ojcem, nie mógł myśleć o swojej córce, chciał udawać, że miał tylko własne potrzeby i tylko je musiał spełniać; tego teraz potrzebował.

Czułe spojrzenie Carol tak bardzo ułatwiało tę nieznaną wymianę. John położył się na niej i przypomniał sobie, jak to jest dbać tylko o siebie, pragnął jedynie tej ulgi. Ona gładziła go po włosach, gdy on w nią wchodził. Nie było to kochanie się, to był tylko seks, ale pod wieloma względami był to jeden z najczulszych momentów, jakich dotąd doświadczył.

Kiedy oboje zaspokoiłi się, on zszedł z niej, a ona zapaliła papierosa. John obserwował, jak dym unosi się i rozprasza w słońcu. Chciał już wyjść, ale nie chciał wracać do swojego życia, chciał pozostać taki na zawsze: bezimienny, niezwiązany, tajemniczy. Wiedział, że gdy tylko opuści kawalerkę, znowu będzie

Johnem, znowu będzie ojcem Abbey, i będzie musiał zajmować się tym, co nastąpi. Zostawił Carol w pokoju samą. Podszedł do samochodu, nie powinien prowadzić, ale dzisiaj nie przestrzegał zasad, wszystkie one zmieniły się.

W domu było zimno i nieprzyjemnie, po raz pierwszy od lat chciał porozmawiać z matką Abbey i zapytać ją o radę, ale nie wiedział, gdzie jest. Wybrał numer, który miał zapisany, ale abonent był niedostępny; nigdy długo nie pozostawała w zasięgu.

Opierając się na tych zdawkowych informacjach, jakie podała mu Abbey, miał wrażenie, że ona mogła nie sprzeciwić się zdecydowanie tym chłopakom. Może po prostu ich poniosło i wszystko było jednym wielkim nieporozumieniem. Nienawidził się przez te myśli. Nienawidził siebie za to, że nie uwierzył jej na słowo, a sam wiedział, jacy są młodzi chłopacy, sam kiedyś taki był. Jednak to była jego Abbey, jego córeczka, o której ciągle myślał. Nie była jedną z tych, które zadawały się z kim popadnie, a potem stawiały fałszywe oskarżenia. Musiała mówić prawdę, a on uświadomił sobie, że to właśnie go męczyło. Ufał jej, ona by nie kłamała, musiał więc z tym się zmierzyć. Obojętnie, jak na to spojrzał, została zgwałcona i musiał znaleźć sposób, aby to naprawić.

Szukał szklanki w szafkach w kuchni i trafił na różowy kubek w kształcie świnki, który kiedyś kupił dla Abbey. Do oczu napłynęły mu łzy i wezbrała w nim złość. Cisnął kubkiem o ścianę i patrzył, jak odłamki spadają na podłogę. Napiję się prosto z gwinta, pomyślał, odkręcając butelkę taniego niemieckiego wina. Usiadł w fotelu w ciemnościach. Nadal wyczuwał na koszuli zapach tanich perfum Carol. Żałował, że jej tu nie ma, że nie powie mu, co ma myśleć, co czuć, co powiedzieć, głaszcząc go po włosach i kojąco szepcząc do ucha. Zasnął z butelką w ręku, śniąc o swoim aniele o lnianych włosach.

## Rozdział 22

### Prezenter

David Caruthers siedział cierpliwie w fotelu, czekając, aż jego wizażystka Diana skończy. Dźgnęła go w oko pędzelkiem do podkładu.

— Do kurwy nędzy! — krzyknął; słony płyn spływał mu po policzku.

— Przepraszam. — Odeszła czym prędzej, a on odwrócił się twarzą do kamery.

— Gdzie, do cholery, jest Bev? — krzyknął w tłum ludzi, osuszając oko chusteczką.

— Przepraszam! — Beverly Windham przebiegła przez studio i usiadła obok Davida, nadal upychając bluzkę w spódniczkę. — Nagły wypadek w toalecie.

— Nic mnie to nie... — rzucił David i syknął, gdy światło uderzyło go w twarz. Beverly pokazała mu pospiesznie palcami znak V.

Na kamerze zaczęła migać czerwona lampka i David zaczął czytać z promptera.

— Witam w serwisie wiadomości o osiemnastej, tu David Caruthers.

— Oraz Beverly Windham.

— Eksperci zakładu medycyny sądowej zidentyfikowali częściowe ludzkie szczątki odnalezione w Devon w ostatni wtorek. Niemieckie małżeństwo wędrujące leśnym szlakiem natrafiło na ludzkie szczątki i zadzwoniło na numer 999. Duża liczba oficerów policji oraz śledczych pracowała przez dwadzieścia cztery godziny, aby zlokalizować resztę ciała. To, co znaleźli, jeden z oficerów opisał jako „średniowieczny horror”. Ciało zidentyfikowano jako należące do miejscowego biznesmena Iana Markhama... — David zaciął się przy tym nazwisku, słowa na prompterze rozmazały się na moment, a głos uwiązał mu w gardle. Beverly kopnęła go pod stołem. — Hm... Ian Markham... hm... który rzekomo wcześniej uciekł z kraju po wpłątaniu w potężną... hm... oszustwo -finansowe, będące nadal przedmiotem śledztwa urzędu skarbowego. — David czuł, jak czerwieni się na policzkach, jak rośnie w nim niepokój. Beverly spojrzała na niego, prompter nadal przewijał tekst, ale David nic nie mówił. Wpatrywał się w szklankę wody na stole; sięgnął po nią i popił potężny łyk.

— David, co ci, kurwa, jest? Czytaj, do chuja! — rozległ się głos w ich słuchawkach.

— Hm... to, co znaleziono, znajdowało się w tak postępującym rozkładzie, że ostatecznej identyfikacji dokonał dentysta... przepraszam... stomatolog na podstawie karty pacjenta...

— Beverly, przejmij, bo spieprzył to — usłyszeli w słuchawkach.

— Na miejscu zbrodni — podjęła Beverly, pominąwszy kilka pierwszych słów — pan Markham został poddany brutalnym torturom. Oddajemy głos Simonowi, który jest na miejscu i przekaże nam więcej szczegółów.

— Dave, ty kutasie — rozległ się znowu głos w słuchawkach.

Czerwona lampka zgasła i David zerwał się z krzesła, wrywając z ucha słuchawkę.

— Co ty, kurwa, robisz? Wracamy za trzydzieści pięć sekund! — panikowała Beverly.

— Będziesz musiała skończyć, muszę iść.

— Co ty wyprawiasz, Dave? — warknął producent Chris.

— Nie czuję się dobrze — powiedział David, uciekając ze studia, nie miał czasu na wyjaśnienia, musiał się stąd wydostać.

Wbiegł do łazienki, pchnął drzwi do kabiny i z żołądka eksplodowała mu wykwintna pizza, którą zjadł na lunch, usta wypełniły mu wymiociny o smaku kaczki w sosie hoi-sin i białego wina. Podeszedł do umywalki i spojrzął w lustro, oko nadal mu łzawiło, a kolor na policzkach trzymał się tylko dzięki podkładowi. Spryskał sobie twarz. Wtedy gwałtownie otworzyły się drzwi.

— Co to, kurwa, było? — wrzasnęła Beverly, gdy drzwi zamknęły się za nią z hukiem.

— Przepraszam, coś mi się stało. Możemy zająć się tym później?

— Przez ciebie wyszliśmy, kurwa, na kompletnych amatorów, Dave!

— Przepraszam, jeżeli to cię jakoś pocieszy, właśnie wyrzygałem swoje wnętrzności.

— Może. — Zmiękła i lekko się uśmiechnęła, podeszła i pocałowała go w policzek. — Lunch też całkiem przeze mnie przeleciał.

— To seksy. — Wykrzywił twarz, starając się utrzymać iluzję, że wszystko jest w porządku poza pizzą.

— Jedź do domu. Przyjadę później z rosółem, zajmę się tobą.

— Nie, jesteś w porządku, darujmy sobie ten wieczór. Chyba muszę porządnie się wyspać. — Miał pewne rzeczy do zrobienia, musiał dowiedzieć się, co się wydarzyło. W głowie dzwoniło mu na alarm, może istnieć tylko jedno wytłumaczenie tego, co stało się z jego starym przyjacielem Ianem. Musiał zadzwonić.

— Ale jutro mnie nie ma. Mam relację z tych głupich telewizyjnych nagród, muszę sterczeć cały wieczór na deszczu i rozmawiać z bandą niedoszłych gwiazdek i tych, co to mają parcie na szkło.

— W piątek zabiorę cię na obiad, tym razem nie na pizzę, obiecuję. — To powinno dać mu dwa dni, aby zobaczyć się z innymi.

Beverly uśmiechnęła się i wyszła, kręcąc biodrami, oglądając się na niego zmysłowo. Pchnęła drzwi i opuściła męską toaletę. Dave wytarł twarz papierowym

ręcznikiem i wyszedł pospiesznie, zanim ktoś jeszcze go przechwyci.

Pokazał strażnikowi przepustkę i przesunął kartę przez czytnik, aby otworzyć drzwi. Na zewnątrz łapczywie zaciągnął się powietrzem, w głowie mu wirowało, chciał się znowu rozchorować, przywołał taksówkę i jedna zatrzymała się natychmiast. Nie mógł sobie pozwolić, aby iść pieszo aż na stację King's Cross, nie chciał zbliżać się do ludzi.

Wyciągnął telefon i przeszukał obszerny spis kontaktów. Znalazł potrzebne nazwisko i wcisnął zielony guzik.

„Wybrany abonent jest niedostępny”.

— Kurwa!

Wybrał inną nazwę i nacisnął zielony guzik.

— Halo — rozległ się kobiecy głos po drugiej stronie.

— Halo, Patricia? Patricia Stone?

— Tak, a kto mówi?

— David... David Caruthers, jestem kolegą Jeffa — przedstawił się swoim telewizyjnym głosem; nie potrafił inaczej wypowiadać własnego nazwiska. — Mógłbym z nim porozmawiać? Jest w domu?

— Och, David, ten prezenter? Czasami mówił o tobie... hm, nie, przepraszam, Jeffa nie ma, to znaczy... Jeff nie żyje.

— Od kiedy? — David wstrzymał oddech.

— Minęło kilka tygodni. Przepraszam, że nie zaprosiłam cię na pogrzeb, nie sądziłam, że nadal jesteście blisko.

— Jak... — Nie chciał wiedzieć „jak”, ale to słowo po prostu wymknęło mu się.

— Och, hm... cóż... niełatwo o tym mówić, odebrał sobie życie. — Głos miała beznamiętny, pozbawiony emocji; w jej tonie była pewna nuta akceptacji, jakby od zawsze wiedziała, że tak było zapisane.

— Dziękuję, Patricio, i przyjmij wyrazy współczucia.

W telefonie rozległ się sygnał ciągły. Rozłączyła się, nic więcej nie mówiąc.

David wybrał inny numer.

— Halo? Kto mówi? — Starszy, szorstki głos rozległ się w słuchawce, nieco przestraszony.

— Tu David, David Caruthers. — Znowu wzdrygnął się, wypowiadając własne nazwisko.

— Więc słyszałeś?

— Jeff też nie żyje.

— Ian został okaleczony, całkowicie, powieszony i pozostawiony siłom przyrody.

— Więc to był on?

— Zdaje się, że tak, a Stephen zmarł podczas jakiegoś sekswyjazdu do



Paryża. Powęszyłem trochę i policja powiedziała, że to z przyczyn naturalnych, ale mam wrażenie, że to przykrywka, nie mogę uzyskać, cholera, żadnych oczywistych odpowiedzi od tych ludzi.

— Próbowałem dodzwonić się do Steve'a, ale jego telefon jest nieczynny. Pomyślałem, że mam stary numer. Co, cholera, teraz zrobimy?

— Nas nie będzie chciał dopaść, to znaczy, ty, David, jesteś praktycznie celebrytą, a on byłby idiotą, gdyby chciał dobrać się do mnie.

David nie był pewien, czy tamten użył jego imienia dla afirmacji czy protekcjonalnie, ton też mu się nie podobał. Rozłączył się.

Zapłacił taksówkarzowi i wszedł do środka, niepewny, co może tu zastać, ale mieszkanie było puste, nietknięte, wyglądało dokładnie tak, jak je zostawił. Nalał sobie szkockiej i dopełnił szklanek lodem z dozownika w lodówce. Ściągnął krawat i usiadł. Włączył telewizor i przerzucał kanały w poszukiwaniu wiadomości. Nie chciał nic wiedzieć, ale musiał, tak jak człowiek nie może się opanować przed dotykiem językiem bolącego miejsca w ustach. Wszystkie doniesienia były ogólnikowe, żadnych szczegółów. W głowie miał wszystkie szczegóły, które chciał poznać, i wspomnienia o tym, co zrobił. Chłopak, który uciekł. Inni chłopcy, którzy nie -mieli tyle szczęścia, i twarze jego kolegów upajających się cierpieniem tych nastolatków. Pamiętał, jak stał przed kolegami i wydawał osądy; zawsze występował jako widownia. Dopił drinka i wyłączył telewizor. Musiał stąd wyjść, gdzieś pójść, nie mógł tak siedzieć i czekać. Wstał, ale nogi ugięły się pod nim, runął nagle przez szklaną ławę na podłogę. Próbował poruszyć nogami, ale były ciężkie, tak bardzo ciężkie. Podniósł wzrok i ujrzał starego „przyjaciela”, który stał nad nim.

— Och, proszę! Proszę, nie skrzywdź mnie! — krzyknął, gdy mężczyzna zaciągnął go z powrotem na kanapę. David próbował go złapać. Ale mężczyzna uderzył go pięścią w twarz. Odrzuciło go od ciosu, więc oparł się rękami, ale w palcach miał dziwne czucie. W całych dłoniach czuł mrowienie.

— Nie mamy czasu. — Mężczyzna ustawił trójnog przed Davidem i zamocował do niego kamerę, poprawił ustawienia. Podeszedł do wieży stereo i włączył ją. Davida spowiły znajome dźwięki Mahlera, potwierdzając to, co wiedział w momencie, gdy zobaczył mężczyznę stojącego przed nim. Zaraz umrze.

— Czasu na co? Po co to?

— Chcę wysłuchać spowiedzi.

— Chcesz pieniędzy? Mam pieniądze, mogę ci dać, jak chcesz, znam dużo ludzi. Mogę dać ci, co zechcesz. — Te słowa potoczyły się z ust Davida, zanim zdołał ułożyć je w spójne zdania.

— Dobrze wiesz, że mam pieniądze, a po cholere mi cokolwiek od ciebie? Ile jest warte dla ciebie życie?

— Powiedz tylko, co chcesz, a ja ci to dam!

— Chcę spowiedzi.

— Nie musisz tego robić — błagał David.

Mężczyzna stał za kamerą. David przyglądał się jego twarzy, tak bardzo się zmieniła. Była pełna nienawiści.

— Muszę to zrobić. Te lata, które przeżyłeś, to więcej, niż sobie zasłużyłeś; nie myślałeś, że ci to ujdzie płazem.

David już nie mógł ruszać palcami. Nogami też. Czuł zimno, a w ustach wzbierała mu ślina.

— Co mi zrobiłeś? — wybełkotał.

— Cykuta, pamiętasz to? Ja pamiętam. Przypominasz sobie, jak działa? Najpierw są torsje, zdaje się, że już tego doświadczyłeś. Zaryzykowałem trochę, dodając ją tobie do wody w pracy, ale nie mogłem się oprzeć.

— Więc byłeś w s-studiu? — Davidowi pulsowało w głowie. Ślina ściekała mu z ust przy każdym słowie.

— Ślinisz się! — wyliczał morderca, podnosząc dwa palce. — Boli cię już żołądek? To wyjątkowy ból. — Podniósł kolejny palec, sporządzał listę, niewzruszony, bez empatii.

— Proszę.

— Jak zaczniesz teraz mówić, mogę cię uratować, muszę tylko cię intubować i wezwać karetkę, zanim zamknie ci się układ oddechowy.

— Nie, nie mogę, proszę, nie rozumiesz. Moje dzieci to zobaczą.

— Zaraz będzie mocno bolało, wiesz, David, i może dopisze ci szczęście, karetka może dotrzeć, zanim się zesrasz.

— Kto... zobaczy to nagranie?

— Może nikt, a może zamieszczę je w Internecie. Może wyślę twojej dziewczynie, Beverly, pewnie jej się spodoba, a może będzie wołała przeczytać na antenie historię o tym, jak znaleźli to, co zostało z twojego ciała.

— Zostaw ją!

— Nie możesz mi mówić, co mam robić, David.

— Dobra, dobra, zrobię to.

— Przedstaw się i wyznaj swoje zbrodnie, razem z nazwiskami współwinnych.

— Nie ujdzie ci to bezkarnie.

— Może wcale tego nie chcę. — Spojrzeli po sobie ze zrozumieniem, spoglądając w przeszłość, aż mężczyzna odwrócił wzrok. — Mów już!

Zapaliło się czerwone światło na kamerze. David czuł, jak ślina zbiera mu się w ustach, wiedział, że jak je otworzy, to pocieknie mu po brodzie, po szyi, to śmieszne, że przy tym wszystkim, co tu się działo, tym akurat martwi się najbardziej. Nie to, że płuca odmówią mu posłuszeństwa albo że za kilka minut będzie siedział w kałuży własnych odchodów, martwił się o swój wizerunek, co

ludzie sobie pomyślą, kiedy zobaczą, jak płacze mu się język w poszukiwaniu słów.

— Jestem David Caruthers, a to moja spowiedź. — David mówił powoli, koncentrując się na słowach, które powstawały w jego głowie. — Robiłem złe rzeczy, nikkzemne. — W głowie miał mgłę, a żołądek skręcał się z bólu. — Krzywdziłem dzieci, własnymi rękoma. Należałem do grupy, która wierzyła w osobistą ofiarę dla większego dobra. Myśleliśmy, że postępujemy dobrze! Kiedy was braliśmy, chcieliśmy was poprawić. To Peter i Kevin... oni poszli za daleko... Nikt nie miał umierać... tak nie miało się stać. — Wyczerpany zaczął płakać. — Nie mogę, po prostu nie mogę.

Kamera wyłączyła się.

— To chyba wystarczy, na początek... chociaż osobista ofiara dodaje temu szlachetności, powinieneś może wspomnieć, że to nie ty osobiście składałeś ofiarę z samego siebie.

— Pozwolisz mi teraz odejść? — Nienawidził brzmienia własnego, żalosego głosu i wiedział, wiedział, że im żałośniej mówi, tym prawdopodobieństwo śmierci jest większe. Rozumiał zasady, cholera, on sam je ustanowił.

Mężczyzna podniósł Davida i zarzucił sobie po strażacku na ramię. Wyniósł go z sypialni do innego pokoju z widokiem... tym razem Tamiza odbijała się w ścianie lustrzanych drzwi garderoby. Rzucił go na łóżko, do którego przywiązał mu ręce i nogi. David był bezradny, zbyt słaby, aby się ruszyć.

— Co robisz?

— Nie martw się, nie jesteś w moim typie.

— Proszę, puść mnie.

— Wiesz, co to ling chi, David?

— Powiedziałeś, że mnie puścisz!

— Ling chi to chińska egzekucja, zwana także karą tysiąca cięć albo męczącą śmiercią. — Mężczyzna wyszedł z pokoju, a David desperacko szukał drogi ucieczki, nie było żadnej, a nawet gdyby była, nie miał siły się ruszyć. Mężczyzna wrócił z kamerą i ustawił ją w nogach łóżka. David znowu zaczął szlochać. — Straszne jest to, że prawie zniesiono ją jakieś sto lat temu, no, ale ty wiesz o tym wszystko, prawda?

— Gdybym mógł to cofnąć, to bym to zrobił!

— Nie, nie zrobiłbyś tego. — Mężczyzna wyciągnął nóż, zakrzywiony, już poplamiony krwią. — Podoba ci się? Twojemu kumplowi Kevinowi też się podobał.

— Kevinowi? — Więc już pięciu z nich zginęło. Dlaczego nie dowiedział się o tym dotąd? Dlaczego nie znalazło się to w wiadomościach z kraju?

Mężczyzna wbił mu nóż w mostek. David krzyknął, widział, że wszedł tylko

na centymetr, mężczyzna pociągnął go, aż na torsie pojawiła się cienka linia. Wyciągnął nóż i wbił ponownie, nadal płytko, pociągnął go w dół w równej formacji, potem dalej raz za razem, aż na piersi powstał obraz podobny do kodu kreskowego. Minęło kilka sekund, zanim z cięć, krótkich i płytkich, zaczęła płynąć krew. Nóż zagłębił się ponownie, przez cały czas David skupiał się na kamerze z migającą czerwoną lampką. Egzekucja była cały czas nagrywana, kto zobaczy ten film? Cucie zanikało w jego ciele, gdy cykuta zaczęła działać, modlił się, aby przyspieszyła, aby śmierć przyszła szybciej. Pokój rozmazywał się mu przed oczyma, w powtarzanych torturach było coś kojącego, teraz, kiedy nie czuł tego, wreszcie. Zamknął oczy i czekał, aż ogarnie go ciemność.

\*

David obudził się przerażony. Bolały go oczy, bolało go gardło, próbował przełknąć, ale nie mógł. Spróbował odwrócić głowę, aby spojrzeć na zegar, ale ból w gardle był nie do zniesienia. Podniósł rękę i poczuł rurkę w tchawicy, sięgnął do ust i wyrwał ją, twardy plastik podrapał mu obtartą skórę. Spojrzał na nocny stolik, pokój oświetlał jedynie cyfrowy budzik. Leżał tu na łóżku wiele godzin. W pokoju panowała cisza, głucha cisza, słychać było tylko jego ciężki oddech. Wydało mu się, że jest sam, ale nie mógł mieć pewności. Nadal nie w pełni rejestrował swoje otoczenie, spróbował się poruszyć. Spadł na podłogę; była lepka i zimna. Dolną część ciała nadal miał drętwą, więc nie mógł wstać. Sięgnął do nocnego stolika i włączył lampkę.

Wpierw zobaczył swoją rękę. Oczy potrzebowały -chwili, aby przywyknąć do światła. Skóra zwisała mu z ramienia we wstążkach, krew zastygła, tworząc skrzepy. Kątem oka zauważył ścianę luster, zamknął oczy, bojąc się widoku, bojąc się, że napastnik jeszcze tu jest. Spróbował się podciągnąć z powrotem na łóżko, ale czuł się tak ciężki, nie miał podparcia, sam ciężar. Pomacał dłońmi wokół siebie, pościel była cała we krwi. Wczepił się w nią i poczuł, jak kleisty płyn przelatuje mu przez palce. Jego krew, nic dziwnego, że czuł się tak słabo. Natrafił palcami na coś zimnego i metalowego, otworzył oczy i zobaczył ten dziwny nóż, pospiesznie go chwycił i przybliżył do oczu, szeroko otwartych, teraz był czujny, gotowy walczyć, gdyby zaszła taka potrzeba, zapominając na moment o lustrach. Wtedy to zobaczył, zobaczył siebie. Nie miał stóp, tam gdzie miał kiedyś kolana, ziały dziury, resztę ciała miał pokrytą głębokimi, czerwonymi liniami, śladami pozostawionymi przez nóż. Cięcia były płytkie w większości, więc krwawienie było powierzchowne, głębsze cięcia zakrzepły. Trucizna także znacząco -zwolniła procesy. Wędrował wzrokiem po odbiciu. Poczuł ulgę, widząc, że genitalia ma na miejscu, ale znowu się przeraził, widząc swoją twarz. Cięcia rozkładały się spiralą na kształt pajęczej sieci, a po środku nie było nic, tylko dziura, nie miał nosa. Spojrzał na telefon. Był sam, tego był pewien, mógł sięgnąć i wezwać policję,

wkrótce przyjechałoby pogotowie i zabrało go do szpitala, przeżyje, ale co potem? Spojrzał na nóż w rękach i zrozumiał, dlaczego tamten go tu zostawił; mały akt łaski. Wystarczyło jedno spojrzenie i podjął decyzję. Wepchnął ostrze w pierś, nieco w lewą stronę od środka, pod żebrami, pociągnął ku górze, aż ręce opadły mu, a on sam osunął się na łóżko.

## Rozdział 23

### Muzeum

Po makabrycznym odkryciu ciała Iana Markhama sprawa została powierzona Adrianowi, w związku z tym, że to on i Grey odwiedzili poszkodowaną żonę, która była przekonana o ucieczce męża. Udało mu się zacząć w zespole śledczym do spraw zabójstwa. Oczywiście związki między morderstwami oznaczały, że Adrian już dłużej nie pozostawał wykluczony. Nadal trwały poszukiwania Ryana Harta. Na posterunku wrzało, wszystkie urlopy odwołano, wszyscy zostali skierowani do pracy. Adrian dzielił teraz biurko z Grey, aby pozostały personel, sprowadzony z innych posterunków, miał gdzie się pomieścić.

— Znalazłeś jakiś związek między Ryanem a Ianem Markhamem? — zapytała Grey, zamykając kolejną teczkę i rzucając ją na stos obok biurka.

— Może nie ma związku — odparł Adrian.

— Ryan próbował cię tylko podpuścić, wie, że go złapią, to wszystko.

— Chciałbym dostać w ręce akta Kevina Harta, a głównie raport patologa.

— Pracujemy nad Markhamem.

— Wiem. Nie mów mi, że to nie ma z tym nic wspólnego. Wiem, że to nie to samo, ale musisz przyznać, że pasuje. — Adrian westchnął. — Musimy dowiedzieć się, czy ma jakiś związek ze szkołą Churchilla. Rozmawiałaś już z jego żoną?

— Tak, okazuje się, że dostanie wielkie odszkodowanie po znalezieniu ciała, hm, dosyć ciała, aby zdecydować, że nie żyje.

— Nie ma pojęcia, kto to mógł zrobić? Ma alibi?

— Nic nie wie, ale szczerze mówiąc, sądzę, że całą energię poświęcała na to, aby pokazać, jak bardzo jest smutna. W czasie morderstwa była z siostrą na jakimś obozie jogi, więc zdecydowanie nie jest wśród głównych podejrzanych.

— Pytałaś ją o Stone'a? O szkołę?

— Pytałem, powiedziała, że nie pamięta, ale kłamała. Po prostu nie chce się dalej angażować w śledztwo.

— Grey! — zawołał na całą salę Morris. Adrian i Grey razem podnieśli głowy, gdy Morris ją przywołał. — Tutaj!

W gabinecie Morrisa był jakiś człowiek, oficer z innego wydziału. Grey weszła, a Morris zamknął za nią drzwi. -Adrian patrzył, jak mężczyźni mówią coś do Grey, ona z kolei założyła ręce na piersi i trzymała się na dystans, spoglądając na własne stopy, jakby chciała stamtąd uciec jak najszybciej, potakując niechętnie szefowi. Zmusiła się do uśmiechu, zanim niemal wyrwała drzwi z zawiasów, wychodząc.

— Wszystko w porządku? — zapytał Adrian, kiedy mijała go, zmierzając

prosto do wyjścia. Każdy detektyw domyśliłby się od razu, że jest zdenerwowana.

Na dworze Grey chodziła tam i z powrotem, paląc papierosa i co rusz przeczesując dłońmi włosy.

— Nic mi nie jest — powiedziała, widząc zbliżającego się Adriana.

— O co chodzi? Tamten człowiek był z twojego posterunku?

— Nie zajmuj się tym, Miley. — Poczęstowała go papierosem. — Niektórzy ludzie, z którymi pracowałam, pomogą w tym, musieli wpierw mi o tym powiedzieć, chociaż to tak naprawdę nie było żądanie.

— Powiedzciejcie mi?

— Tak, próbowałam zdobyć nakaz sądowy przeciw jednemu z detektywów. Przeciw mojemu staremu partnerowi, prawdę mówiąc.

— Kuźwa, za co?

— To długa historia, uwierz mi. — Grey rozejrzała się, aby sprawdzić są, czy są sami, chwyciła Adriana za rękę i przeciągnęła go za róg budynku. Adrian patrzył na nią, jak zaciągnęła się papierosem po raz ostatni i rozgniotła go butem. Czekał, aż znowu zacznie mówić, ale ona tylko chwyciła brzeg bluzy i podciągnęła ją do stanika. Ukośna blizna biegła od prawej strony pod bluzą ku dołowi w poprzek brzucha i dalej, poniżej talii, i zniknęła pod dzinsami. Dziewczyna najwyraźniej biegła albo uprawiała jakieś sporty, była twarda jak skała; pod szramą widział rzeźbę jej mięśni.

— To zrobił jakiś oficer?

— Niezupełnie.

— Więc co właściwie się stało?

— Domyśliłam się, że nie jest do końca szczerzy w stosunku do mnie w kwestii kilku rzeczy w całkiem sporym dochodzeniu, przez co straciłam patent.

— Myślisz, że się skundlił?

— Wpadłam na trop, który zaprowadził mnie do rezydencji dobrze znanego przestępcy, a kiedy tam dotarłam, czekał na mnie niepożądany element.

— Myślisz, że cię wystawił?

— Mój partner musiał im powiedzieć, że jadę, wiedzieli o mnie rzeczy, które tylko on znał.

— Jakie rzeczy?

— Osobiste; takie, o których mówi się tylko partnerowi.

— Skąd masz tę bliznę? Wygląda paskudnie. — Adrian nie wiedział, jak daleko może brnąć. Zauważył parokrotnie w przeszłości, jak się denerwowała, miał nadzieję, że nie musi się tym specjalnie martwić.

— Przycisnęli mnie i pocięli. Wrabiali faceta, do którego należał ten dom, w moje morderstwo.

— Przycisnęli? — powtórzył słowa, które najbardziej utknęły mu w głowie.

— Miley, dam sobie sama radę, nie musisz się martwić.

- Złapali ich? Dlaczego niby twój partner miał to zrobić?
- Nie rozegrałam tego należycie. Zdaje się, że dostałam nauczkę. Zauważyłam, jak rozmawiał z kimś, z kim nie powinien... i nie, nie złapali ich. Przynajmniej jeszcze nie.
- Jak to rozegrałaś?
- Rozmawiałam o nim poufnie z szefem, powiedziałam, że mu nie ufam. To stało się dzień po złożeniu skargi.
- Dlatego ciebie przenieśli?
- Albo to, albo praca za biurkiem. W każdym razie, on tu jest, pracuje nad sprawą Harta. Najwyraźniej jest świetnym śledczym czy coś w tym rodzaju, dostał awans i w ogóle.
- Dasz radę?
- Nie jestem ze szkła, Miley, nie martw się. Oficjalnie przyjęto, że nie powinnam chodzić bez wsparcia. Zwróciłam uwagę mediów na firmę. Dużo było dyskusji o kompetencjach wyższych oficerów. Nikomu to się nie podoba. Dziwne, że myślą, że ukarali mnie, dając cię do pary.
- Mnie?
- Może o tym nie wiesz, ale cieszysz się reputacją wśród pań. Chyba mam szczęście, że nie jestem w twoim typie. — Uśmiechnęła się. — W każdym razie chyba będzie przełom dzięki mnie.
- Jak to?
- Sprowadzili też mojego kolegę z medycyny sądowej. Miejsce zbrodni Markhama to prawdziwa jatka. Potrzebowali pomocy.
- A niby dlaczego to dobrze?
- Jak dostaniemy ten nóż, który znaleźli u Ryana, on go obejrzy dla nas.
- Ufasz mu?
- Absolutnie, w Plymouth tylko on był za mną aż do końca, to dobry przyjaciel.
- Pojedźmy do matki Ryana.
- \* \* \*

Martha Hart otworzyła drzwi z szerokim uśmiechem. Miała na sobie jaskrawoczerwoną sukienkę; strój nie za bardzo przystający kobiecie w żałobie.

— O, władza! — Rozpromieniła się i szerokim gestem ręki zaprosiła ich do środka. Zabrała ich do pierwszego pokoju najbliższej wejścia i pchnęła drzwi, ukazując zbiór kartonów. — To absolutnie wszystko po mężu. Proszę swobodnie rozporządzać. Jutro przyjadą ludzie z organizacji charytatywnej, tego chciałby Kevin. Był bardzo ofiarny, ale bierzcie, co chcecie.

— Nie mamy nakazu.

— Nie potrzeba. *Mi casa su casa*. — Uśmiechnęła się.



— Pani Hart, czy Ryan kontaktował się z panią?

— Niestety, nie. — Uśmiech znikł z jej twarzy. — On już mi nie ufa, widzi we mnie wroga, bo zawsze brałam stronę ojca. Nie winię go za to.

— Gdyby wiedziała pani, gdzie jest, czy powiedziałaby nam pani o tym?

— Chyba nie, on raczej nie jest zdolny do rzeczy, o jakie go obwiniają. — Powrócił jej fałszywy uśmiech. — Przyniosę wam lemoniady.

Zniknęła. Usłyszeli stukanie jej butów po parkiecie, gdy kierowała się do kuchni.

Grey otworzyła pierwsze lepsze pudło i zaczęła grzebać w rzeczach. Adrian wybrał karton, w którym były zegarki, spinki do mankietów, butelki płynu po goleniu, szpilki do krawatów ze szczerego złota i inne kosztowne świedelka. Kevin zdecydowanie lubił korzystać w życiu z eleganckich rzeczy. W innym pudle Adrian natrafił na papiery, rachunki i korespondencję biznesową, laptop z rozbitym monitorem.

— Uou! — rozległ się okrzyk. Adrian podniósł wzrok na Grey, która trzymała czasopismo porno S&M. — Jest tego cały karton.

— Ryan mówił, że ojciec się tym interesuje.

— Część z tego jest całkiem hardcorowa, zagraniczna, u nas nielegalna.

— Nie wiem, co sklepy charytatywne z tym zrobią — wymamrotał Adrian i dalej przeglądał tę samą stertę papierów. Nie wiedział, co może się przydać. Były stare paragony, mandat, zaproszenie, jakieś wizytówki. Schował je do plastikowej torebki i włożył do kieszeni, później im się przyjrzy, na posterunku.

Grey odkryła jeszcze cztery kartony z pornografią, pudło pełne seks-zabawek i innych parafernaliów jak kajdanki, przepaski na oczy i kneble. Żadne z nich nigdy nie pojawiło się raportach Danielsa.

— Proszę, wasze napoje. — Martha Hart pojawiła się w drzwiach.

— Dziękuję. — Grey uśmiechnęła się, szybko chowając to, co trzymała w ręku.

— Och, nie martw się, moja droga; jak myślisz, kto pakował to wszystko? — Uśmiechu Marthy nic nie zakłócało. Najwyraźniej przywykła do udawania dla dobra sprawy. -Adrian wiedział, że raz czy dwa dostała lanie od męża.

— Dziękuję, pani Hart. — Adrian wstał i wziął od niej szklanekę, ona poklepała go po ramieniu i patrzyła, jak pije. Popił spory łyk, a ona uśmiechnęła się szerzej. — Smaczne.

— Stara rodzinna receptura.

— Kto spisał pani zeznania?

— Miły, młody człowiek, wysoki, jak to on się nazywał? Detektyw Daniels.

— Czy wspomniała pani o... hm... tych rzeczach... męża?

— Och, tak, pokazałam mu szopę męża, powiedziałam, że tam pewnie znajdzie wszystkie odpowiedzi, jakich szuka.

— Dobrze, dziękuję, zaraz przestaniemy panią nękać.

— Dziękujemy za napoje. — Grey uśmiechnęła się.

Po wyjściu z domu spojrzała na Adriana, myślała to samo, co on. Będą musieli przejrzeć zeznania spisane przez Danielsa, najwyraźniej wybiórczo traktował to, co ważne, a co nie. Zadzwoił telefon Adriana, to był Daniels.

— Znaleźliśmy Ryana Harta — obwieścił.

Kiedy Adrian i Grey przyjechali na opuszczoną stację benzynową przy drodze A38 za granicami miasta, Daniels czekał na nich z szerokim uśmiechem.

— Gdzie on jest? — zapytał Adrian. Zakładał, że Daniels pławi się w blasku chwały po znalezieniu Ryana prędzej, niż to udało się Adrianowi.

— Tam. — Daniels wskazał wielki biały budynek na tyłach stacji. Niegdyś była to kawiarnia, ale teraz całą zabito dechami, tam gdzie przeciekały rury, na wypłowiej elewacji pojawiały się paski rdzy. — Ta stacja jest zamknięta od ponad trzydziestu lat, idealna kryjówka dla takiej szumowiny jak Ryan Hart.

Adrian wszedł do opuszczonego budynku. Wyczuł odór starej uryny i metaliczną woń krwi. Najwyraźniej w tym miejscu bywał niepożądany element z miasta i bezdomni. Wszędzie wałały się puste butelki i opakowania po papierosach. Sądząc po liczbie jednorazowych strzykawek, była to regularna melina ćpunów. Adrian zastanawiał się, czy jego ojciec kiedykolwiek tu bywał. Było to miasto z pieniędzmi i prestiżem, nikt nie chciał myśleć o tych, którzy byli ich pozbawieni, to by przeczyło ich wyimaginowanej wyższości.

Grupa techników zgromadziła się wokół ciała Ryana, które leżało na okopconym materacu w kącie ponurego pomieszczenia. Oczy miał szeroko otwarte, a ze zgięcia łokcia ze świeżą konstelacją śladów po ukłuciu zwiślała strzykawka. Miał rację, nie przeżył nawet tygodnia.

— Jak go znaleźliście?

— Dzięki czemuś małemu, co lubię określać pracą policyjną. — Daniels uśmiechnął się.

— I był w takim stanie?

— Jakiś ćpun zadzwonił, spodziewając się nagrody.

— Jaki ćpun?

— Nie zostawił nazwiska, jak usłyszał, że nie ma żadnej nagrody. Z budki dzwonił, żadnych nagrań z monitoringu. Co to ma za znaczenie? Myślałem, że się ucieszysz na widok tego gnoja martwego — dodał pospiesznie Daniels.

Gdy skończyli robić zdjęcia, schowali ciało Ryana do worka na zwłoki. Adrian patrzył, jak jego twarz znika za przesuwanym zamkiem błyskawicznym. Ogarnął wzrokiem całe miejsce. Ryan miał sporo przyjaciół, którzy by go przenocowali, pomijając całą gromadę tych, którzy chcieli na nim zrobić wrażenie. Może ktoś dostrzegł coś dziwnego w rządach sprawowanych przez Ryana i uznał, że teraz będzie dobry moment, aby go sprzątnąć. Cokolwiek się wydarzyło, Adrian

był pewien, że to nie jest czysty przypadek samobójstwa przez przedawkowanie, nawet przypadkowe, jeśli o to chodzi. Jak wszystkim było wiadomo, nigdy nie sobie nie wstrzykiwał. I znów Adrian poczuł, jak świta mu w głowie spiskowa teoria Ryana.

Wróciwszy na posterunek, Adrian poszedł do toalety. Zamknął oczy i spryskał sobie twarz wodą. Oko miał nadal obolałe od ciosu Ryana. Znajomy ból nie tylko od tego konkretnego kontaktu z pięścią, ale od niezliczonych razów, kiedy pięść jego ojca trafiała dokładnie w to samo miejsce; ten ból był niemal jak powrót do domu. Czasami brakowało mu go. Czasami nie pragnął niczego więcej, tylko leżeć potłuczony i zakrwawiony na ziemi. Pomyślał o ciele Ryana w tej nieczynnej knajpie, o smukłej, muskularnej postaci, która teraz wyglądała bardziej na ćpuna niż kiedykolwiek wcześniej. Spojrzał na swoje posiniaczone oko w lustrze, było żółtozielone. Za kilka dni siniak zniknie zupełnie, zniknie ostatni i namacalny kontakt z Ryanem. Ucisnął miejsce, aby sprawdzić, czy boli. Gdy nie zabolalo, przycisnął mocniej.

Nie mógł przestać myśleć o rozmowie z Ryanem. Czego nie rozumiał? Musi istnieć jakiś związek, którego nie widział. Trzeba go znaleźć. Teraz bardziej niż kiedykolwiek był przekonany, że przynajmniej raz Ryan nie kłamał. Gdy patrzył na swoje odbicie, zastanawiał się, co by się stało, gdyby rzucił się do przodu, twarzą w szkło, tylko po to, aby poczuć ból. To byłoby szaleństwo, wiedział o tym, ale kiedy przychodzisz na świat pełen bólu i przemocy, wszystko inne wydaje się niewłaściwe. Może właśnie Ryan stał się tym, kim się stał. Adrian wiedział, jak to jest być zdradzonym przez rodzica, i wiedział też, że duża liczba narkomanów to ofiary seksualnego wykorzystywania w dzieciństwie. Ryana łatwo było zrobić, całe jego życie było wstępem do pułapki. Nawet bez oskarżeń z przeszłości. Dlaczego nie wystarczyły?

Wyszedł z toalety i podszedł do Grey, która przeglądała zdjęcia z miejsca zbrodni. Spojrzała na Adriana.

— Co tam ci chodzi po głowie? — zapytała, najwyraźniej widząc jego zbolalą i zakłopotaną minę.

— Daniels znalazł nóż w domu Ryana.

— Racja.

— Daniels znalazł ciało Ryana.

— Rozumiem.

— Ty zadzwoniłaś do Daniela, kiedy znaleźliśmy ciało lekarza, a on zjawił się natychmiast, i z radością nas puścił, nawet nie spisując zeznań. Może nie chciał, żebyśmy byli obecni podczas przeszukania.

— Do czego zmierzasz? — spytała Grey.

— To zawsze on, zawsze. A jeżeli należy do jakiegoś większego spisku, o którym mówił Ryan?

— Dlaczego Daniels? Co mógłby zyskać, wrabiając Ryana Harta? I co zrobimy, jeżeli tak jest faktycznie? Jak to udowodnimy?

— Nic na tym nie zyskamy, tak to widzę. Musisz poprosić kolegę z medycyny sądowej, aby przyjrzał się wszystkim dowodom... — przerwał na chwilę, zastanawiając się nad tym, co Ryan mu powiedział. Coś mu zaczęło świtać. — Niech też spojrzy na raport z sekcji zwłok Kevina Harta. Jestem pewien, że ten patolog był w to zamieszany. Może to rzuci jakieś światło na fakty, a potem zastanowimy się, co zrobić z Danielsem.

— A co z Markhamem?

— Nie wiem, nie mam pojęcia, gdzie on tu pasuje. Chyba musimy przyjąć, że Ryan coś odkrył, i wypłatać go z oskarżeń o te morderstwa, a potem zacząć od nowa. Myślę, że to możliwe, że zrobili z niego kozła ofiarnego.

— Powiemy szefowi?

— Nie chcę rozpętać burzy, dopóki nie nabiorę pewności. Przyjrzę się wszystkim trzem morderstwom i zobaczę, czy nie znajdę jakichś powiązań.

Zrobiło się ciemno, zanim wrócili na posterunek. Tablice w centrum operacyjnym zostały wyczyszczone i wszyscy wydawali się całkiem zadowoleni. Adrian odłożył akta na swoje biurko, karton z dokumentami z domu Markhama, kiedy przypomniał sobie, że papiery, które znalazł u Kevina Harta, nadal ma w kieszeni. Wyciągnął je i rozłożył, każdy z osobna, na stole, podobnie uczyniwszy z tymi od Markhama. Był tylko jeden element, który pojawił się na obu stosach. Osobiste zaproszenie na kwestę na remont miejscowego muzeum.

Jakie były szanse, aby obu mężczyzn zaproszono na to samo przyjęcie?

Spojrzał na bilety. Miały numery 004 i 006. Założyłby się, że gdyby miał dostęp do domu lekarza, znalazłby numer 005. To był związek, może wątki, ale zawsze. Nie było nigdzie nic innego, co by łączyło tych mężczyzn, żadnych wspólnych przyjaciół, żadnych ulubionych miejsc, nic. Z tego, co mówił Ryan, miało to związek ze szkołą, ale jak dotąd nie było na to konkretnych dowodów. Żeby dostać nakaz, musieliby mieć coś więcej niż słowo martwego ćpuna. Zamierzał powiedzieć Morrisowi, ale teraz nikt nie chciał tego słuchać. Wszyscy upajali się zwycięstwem. Przez salę zmierzała w jego stronę Grey. Rozejrzała się dookoła, zanim pochyliła się nad biurkiem.

— Dałam dowody i raport z autopsji mojemu koledze.

— Znalazłem powiązanie.

— Między Ianem a Ryanem?

— Nie, między Ianem Markhamem a Kevinem Hartem. — Uśmiechnął się, Grey pochyliła się bardziej.

— Jakie powiązanie? Szkoła?

— Nie. Według szkoły żaden z nich tam nie uczęszczał, ale Ryan już nam powiedział, że jego ojciec tam chodził, więc możemy założyć, że ktoś kłamie albo

że zapisy zniknęły. Ten związek to muzeum. — Podał jej dwa zaproszenia.

— Naprawdę chcesz oczyścić imię Ryana? Już trąbią o tym w wiadomościach. Jego biedna matka.

— Ja po prostu nie chcę, aby uszło to tym, którzy są naprawdę za to odpowiedzialni.

— Hm, podziwiam cię, Miley, naprawdę.

— Na razie wracaj do domu, muzeum otwiera się nie wcześniej niż o dziewiątej trzydzieści. Przyjęcie dopiero za parę dni, obaj poszliby na nie, może dowiemy się, kto jeszcze dostał osobiste zaproszenie.

— To do jutra. — Grey sięgnęła po kurtkę i wyszła.

Adrian wepchnął zaproszenia do kieszeni i odłożył akta sprawy na biurko Daniela. W biurze było zbyt dużo ludzi, aby mógł porządnie przyjrzeć się temu, co knuje Daniels. Poczeka i zobaczy, czy kolega Grey w czymś im pomoże. Chciał wiedzieć, czy nóż znaleziony w domu Ryana naprawdę był narzędziem mordu na Kevinie Harcie.

Adrian, gdy wyszedł z posterunku, zdziwił się, widząc Grey siedzącą w swoim samochodzie z papierosem jak zwykle. Obok niej siedział inny oficer, w którym Adrian rozpoznał jej byłego partnera; widział go wcześniej w gabinecie szefa. Przechodząc przed samochodem, uśmiechnął się i pomachał. Grey znowu miała tę samą minę. Tę, którą widział u niej w domu lekarza — przerażoną, pobladłą i niespokojną. Adrian zajął do samochodu i zauważył, że mężczyzna trzyma rękę na jej ramieniu. Był mały, ale krępej budowy, o ciemnych włosach, zaczesanych tak, że nie widać było łysinki. Grey wpatrywała się w niego, gdy mówił coś do niej szybko. Adrian podszedł do samochodu od strony pasażera i otworzył drzwi; mężczyzna natychmiast zabrał rękę.

— W czymś mogę pomóc? — zapytał policjant.

— To moje miejsce. — Adrian uśmiechnął się.

— Słucham?

— Powiedziałem... — Adrian chwycił go za kołnierz i wyciągnął, po drodze rozbijając mu głowę o framugę, zanim wypchnął go z samochodu — ...to moje miejsce!

— Kim ty, kurwa, jesteś?

— Tym, który ci wpierdoli, jeśli nie potraktujesz mnie poważnie.

— Imogen, kim jest ten zasraniec? — Mężczyzna odwrócił się, aby spojrzeć na dziewczynę. Adrian otwartą dłońią uderzył go w twarz, spojrzenie tamtego było bezcenne. Adrian wiedział, że aby zdenerwować faceta, należy uderzyć go nie pięścią, ale spoliczkować.

— Trzymaj się z dala od niej. — Adrian wsiadł do samochodu i zamknął drzwi. Spojrzał na Grey, najwyraźniej była oszołomiona. — No, to jedź! Musimy zniknąć dramatycznie.

— Tak jest! — Wrzuciła bieg i ruszyła z piskiem opon.

— Musisz mnie odwieźć do domu.

— Dobra.

— I odebrać mnie rano, jednak nie ma sensu przyjeżdżać przed dziewiątą. —

Uśmiechnął się.

— Coś jeszcze?

— Możesz mi też przynieść kawę.

— Dobra, nie przeginaj. — Spojrzała na niego i oboje wybuchnęli śmiechem.

Adrian wszedł do domu i spojrzał na kanapę, na miejsce, gdzie siedział Ryan zaledwie przed kilkoma dniami.

Potem zasnął na kanapie, oglądając jakiś teleturniej z udziałem dzwoniących, tęskniąc za czasami niskobudżetowych, amerykańskich seriali policyjnych, które kiedyś leciały tylko o trzeciej nad ranem — nawet tamto było lepsze niż te bzdety.

Grey, tak jak obiecała, zastukała do drzwi Adriana punktualnie o dziewiątej. Przyniosła kawę.

— Wejdz! — Otworzył drzwi i przeszedł do kuchni. Miał kielbaski i bekon na grillu. Na patelnię wbił kilka jajek.

— Jak myślisz, jaki jest związek? — zapytała Grey, z jękiem zadowolenia wpychając do ust posmarowaną masłem grzankę. Zupełnie jakby nie jadła od tygodnia.

— Nie wiem, szkoda tylko, że nie mogę wejść do mieszkania patologa. — Adrian patrzył lekko zdegustowany, jak ona pochłania jedzenie szybciej, niż dawała radę je przeżuć.

Grey pogrzebała w kieszeniach i wyciągnęła kopertę. Adrian podał jej pełne angielskie śniadanie, a ona w zamian wręczyła mu kopertę. Otworzył. W środku było to samo zaproszenie, tym razem na nazwisko lekarza. Uśmiechnął się i spojrzał na numer, mylił się wcześniej, ten numer to 003, i teraz nie mógł to być zbieg okoliczności, prawda?

— Miley, uszczęśliwisz kiedyś jakąś kobietę — powiedziała między kęsami.

## Rozdział 24

### Dziekan

Wtedy

Kiedy Abbey wróciła do akademika tydzień po napaści, pokój zastała pusty. Pomyślała, że Dani jest na wykładach, co przyjęła z ulgą. Nadal czuła się winna, bo pocałowała Christiana. Bez względu na to, co wydarzyło się po pocałunku, nadal była to jej decyzja, nadal zdradziła swoją przyjaciółkę. Nad łóżkiem Dani wisiało kilka jej zdjęć z Christianem. Niektóre z nich były zrobione w tamten wieczór. Zemdliło ją na myśl o nim, na widok jego udawanego uśmiechu. Poznała jego prawdziwą twarz, a ta wyglądała tak nieszczerze, tak bezwzględnie fałszywie.

Musiała wyjść na zewnątrz. Przebrała się i wyszła z akademika, kierując się w stronę terenów zielonych uczelni, które wydawały się jak nawiedzone, gdy spowijała je cienka warstwa mgły. Uniwersytet przeniósł się do tej bogatej dzielnicy na początku dwudziestego wieku. Wcześniej mieściła się tu prywatna rezydencja i trzystuakrowa posiadłość wiejska będąca w posiadaniu jednego z założycieli Brytyjskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej. Oczywiście obecnie wyglądało tu zupełnie inaczej, gdy z biegiem lat dodawano budynki z cegieł i szkła za wiele milionów funtów wtopione w ogrody botaniczne. Uniwersytet miał kilku zamożnych darczyńców, jak również aktywnych absolwentów, którzy pomagali utrzymać go jako jeden z najbardziej prestiżowych uniwersytetów w kraju.

Abbey wyobrażała sobie to wszystko, co działo się w tym college'u, wszystkich tych chłopaków podobnych do Christiana, wszystkie naiwne dziewczęta takie jak ona. Gdy szła, wyczuwała ich duchy wokół siebie. Będzie musiała spotkać się ze swoją wykładowczynią, wyjaśnić, dlaczego opuściła egzamin semestralny, co mogła powiedzieć? Weszła do budynku. Chociaż było już po wykładach, wokół nadal kręcili się studenci, oddając spóźnione wypracowania i uczestnicząc w dodatkowych zajęciach. Kiedy zbliżała się do gabinetu wykładowczyni, zauważyła, jak ludzie na nią patrzą, -ludzie, których nie znała, niektórzy szeptali do siebie i -śmiali się, łypiąc na nią z ukosa. Zamarło jej serce, kiedy starała się nie słyszeć ich szeptów. O czym oni rozmawiali? Z czego się śmiali? Po ich spojrzeniach domyślała się, że coś wiedzą; nawet nie chciała o tym myśleć.

Otwarta przestrzeń wokół niej oznaczała brak miejsca, gdzie mogłaby się skryć. Nie mogła tu zostać, ale nie mogła też zrezygnować z własnej przyszłości. Musiała porozmawiać z kimś o tym, co się wydarzyło.

Biuro Helen Lassister było otwarte jak zawsze, więc po prostu weszła tam.

— Miło, że nas zaszczyciłaś swoją obecnością, -Abbey. — Ton Helen był surowszy niż zazwyczaj. Zawsze była dla niej miła, ale teraz Abbey wyczuła żądło.

— Przepraszam, że nie było mnie na teście tydzień temu, źle się czułam. Cały tydzień spędziłam w domu.

— Dziwiłam się, widząc twoje zdjęcia na forum studenckim, zapominacie, dzieciaki, że my też mamy do niego dostęp. Byłam trochę rozczarowana, jeśli mam być szczerą.

Abbey przypomniała sobie tequilę, krótką sukienkę, pocałunek i poczuła zażenowanie. Zapomniała o tym. Z przerażeniem pomyślała, jak wyglądała, co o niej ludzie pomyślą. Helen odwróciła komputer w stronę Abbey i przewinęła zdjęcia z imprezy. Była na nich, najwyraźniej pijana, obwieszana się na różnych ludziach podczas całego wieczoru. Następne zdjęcie nie pokazywało jej wyczynów w salonie, ale sypialnię Christiana, zimną i surową. Ją częściowo okrywała sukienka. Leżała na brzuchu, zwisając poza krawędź. Widziała rękę Christiana z tatuażem i charakterystycznym zegarkiem, bez koszuli, spoczywała na jej udzie. Poczowała, jak żołądek jej się przewraca. Nie miała pojęcia, że takie zdjęcie istnieje. Ktokolwiek widział ją tamtego wieczoru, będzie wiedział, że to ona, a każdy, kto zna Christiana, rozpozna ten zegarek. Dani też już musiała je widzieć. Spodziewała się, że widzieli je prawie wszyscy, skoro to dotarło aż do nauczycieli.

Spojrzała na Helen, która po części wyrażała swoją dezaprobatę, ale jednocześnie uśmiechała się znacząco, a na jej twarzy malowało się zdumienie, że Abbey zrobiła coś -takiego.

— To nie tak było. Właśnie o tym chciałam porozmawiać! Na początku roku pani mówiła o bezpieczeństwie na kampusie. — Wtedy Abbey zauważyła, jak twarz Helen poważnieje. — To byli Jamie Woods i Christian Taylor. Christian zabrał mnie do swojego pokoju, a potem wszedł Jamie...

— Abbey, zastanów się dobrze, zanim powiesz coś jeszcze — przerwała jej Helen. — Wiesz, że muszę obniżyć ci ocenę za nieobecność na teście, nie przynosząc sobie wstydu, stawiając zarzuty, których nie możesz potwierdzić.

Abbey zabrakło słów. Co ona mówi? Może nie rozumiała tego, co Abbey chce jej powiedzieć.

— Nie miałam wyboru. Zmusili mnie. Wzięli mnie siłą, Jamie Woods i Christian Taylor — powtórzyła z większą stanowczością, zdenerwowana lekceważącym podejściem Helen.

— Abbey, to całkiem oczywiste, że na tym zdjęciu dobrze się bawisz. Jeżeli martwisz się własną reputacją, to uważam, że to ostatecznie o tym przesądzi. — Pochyliła się bliżej Abbey i ściszyła głos: — Tych chłopców czeka świetlana przyszłość. Abbey, jesteś pewna, że chcesz zepsuć ich reputację, aby ocalić własną?

Abbey nie potrafiła wydobyć ani słowa. Nigdy w życiu nie wychylała się



i nigdy nawet nie spóźniła się z zadaniem domowym. Jej reputacja. Jakby jej na tym jeszcze zależało. Wierzyła, że jeżeli postara się postępować jak najlepiej, nikt jej niczego nie zarzuci, myślała, że przynajmniej ktoś jej cierpliwie wysłucha.

— Helen, to nie tak, jak na to wygląda.

— Abbey, dam ci radę życiową. Wszyscy popełnialiśmy żenujące rzeczy, musisz po prostu otrząść się i iść dalej. — Helen usiadła obok Abbey i przygarnęła ją ramieniem, spojrzała jej prosto w oczy. — Zastanów się, co chcesz z tym zrobić. Na tym świecie masz dwie drogi, możesz być drapieżcą albo ofiarą. Nie ma alternatyw. Musisz zdecydować, po której stronie barykady jesteś, bo jak już raz się określisz, przejście na drugą stronę jest prawie niemożliwe.

Abbey wstała i wyszła z gabinetu, nie potrafiąc dalej prowadzić tej rozmowy, nie potrafiąc słuchać, i sama nie wiedziała, co oburza ją najbardziej.

Kiedy wracała do akademika, widziała, jak ludzie śledzą ją wzrokiem, wytykają palcami, tym razem brała to bardziej do siebie, czuła się zgwałcona. Podniosła wzrok i zauważyła, że w ich pokoju pali się światło. Czyżby je zostawiła włączone? Nie pamiętała. O Boże, proszę, żeby Dani nie było.

Gdy się zbliżyła, usłyszała muzykę przez drzwi, ciche akordy gitary i zbolący męski głos, którego Dani tak bardzo lubiła słuchać. Abbey chciała uciec, ale wiedziała, że więcej nie może uciekać. Na pewno lepiej było zmierzyć się z sytuacją teraz, niż zmagać się z zarzutami, które jeszcze mogą jej postawić.

Dani siedziała na łóżku z głową w dłoniach, jej ramiona trzęsły się. Abbey zastanawiała się, czy ma wyjść, kiedy Dani podniosła głowę.

— Jak mogłaś?

— To nie tak, jak wygląda.

— Och, to nie może tak wyglądać, bo wygląda na to, że ty i Christian... — Zaczęła szlochać nieco bardziej dramatycznie, a Abbey, mimo swego poczucia winy, uznała to za nieco udawane zachowanie.

— Tak mi przykro; pocałowałam go, to wszystko.

— To nie jest wszystko, co? To znaczy, widziałam te zdjęcia. — Te zdjęcia, w liczbie mnogiej. Abbey nawet nie chciała, aby Dani rozwijała ten temat, wyobrażała sobie, telefony z aparatami to łatwy sposób, aby rozprzestrzenić złe wieści.

— Przysięgam, że to wszystko, co zrobiłam; nie chciałam, aby doszło do czegokolwiek.

— Jak mogę wierzyć ci na słowo? Myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami.

— On mnie zmusił... — Widziała, jak rozpacz na twarzy Dani zmienia się w niewiarę, niemal drwinę, jakby to było niemożliwe.

— Ciebie? — wycodziła Dani. Abbey zrozumiała, że wszystkie słowa wsparcia ze strony Dani przez ten cały czas były puste, miały scementować ich przyjaźń, ale ona sama w to nie wierzyła. Tym jednym słowem w tej chwili

wyraziła, że traktuje Abbey jako gorszą od siebie, a co za tym idzie, gorszą od Christiana. — Przynajmniej miej odwagę przyznać się, że jesteś zdzirą, która kradnie chłopaków.

— Pocałowałam go, myślałam, że mnie lubi, nie wiem już sama, co sobie myślałam, byłam pijana.

— A teraz oskarżasz go o gwałt? Bo tak się ubzdryngoliłaś, że nic nie pamiętasz?

— Dobrze pamiętam, wiem, co się stało, on i Jamie...

— On i Jamie? Razem? On nie jest gejem. Co ty opowiadasz?

— Nie wiem, wiem tylko, że to oni obaj, nie chcieli przestać. — Zrozumiała, że to Jamie zrobił zdjęcia i je rozesłał, pewnie próbując doprowadzić do tego, aby Dani i Christian zerwali, aby osłabić ich związek.

— Jesteś świnią! Przenoszę się do hotelu. Nie mogę tu zostać z tobą.

— Przepraszam, nie chciałam, abyście zerwali przeze mnie.

— Och, Abbey, nie zerwaliśmy. — Wstała i spojrzała z góry na Abbey z pogardliwym uśmiechem. — Nie pozwolę, aby taka wredna suka jak ty zrujnowała ten związek. On był pijany, przeprosił, najwyraźniej zagubił się w ocenie sytuacji.

Abbey przypomniała sobie, że Christian nie był pijany. Zaczęła rozumieć, jakim w rzeczywistości był manipulatorem, a może to bardziej odnosiło się do Dani niż do niego. Przez ostatnie kilka dni świat Abbey rozpadł się; wiedziała, że jej ojciec nie może się oswoić z tymi zdarzeniami. Dani nie była już jej przyjaciółką i nawet Helen, jej ulubiona wykładowczyni, zawiodła ją. Może ojciec miał rację, żeby poszła z tym na policję, ale ona chciała wrócić na uczelnię. Zachęcano ich, aby tego rodzaju spraw nie wyciągać na zewnątrz, a ona słyszała historie o dziewczynach na innych uniwersytetach, które spotkały się z ostracyzmem za wniesienie -oskarżenia, zostały osądzone przez media społecznościowe. Gdyby udało jej się nakłonić uniwersytet, aby ich zdyscyplinował, wówczas nikt nie musiałby się o tym dowiedzieć. Ona po prostu nie chciała znajdować się blisko nich, to wszystko.

Wyszła z pokoju. Nie mogła znieść osądzania, po części dlatego, iż uważała, że na to zasługiwała — odegrała swoją rolę w tej grze, pocałowała go, nie mogła zaprzeczyć, wiedziała, że cokolwiek teraz powie, będzie dokładnie analizowane.

Kiedy szła przez kampus, odezwał się jej telefon. Wyciągnęła go i spojrzała na ekran. To było zdjęcie, inne niż tamte, które widziała wcześniej, więcej nagiego ciała, więcej cieni. Zdjęcie zostało zrobione zza Christiana, gdy ten, ubrany, leżał na niej. Ona miała głowę odwróconą od aparatu, ale jej sukienka stała się zaledwie paskiem w talii, a wewnętrzna strona jej uda była czerwona i widać było na niej ślady palców. Zaczęła gwałtownie oddychać i przyspieszyła kroku; zmierzała do biura dziekana w głównym budynku. Wiedziała, że teraz musi coś oświadczyć

oficjalnie; więcej nie mogła znieść.

Nigdy dotąd Abbey nie była u dziekana Talbota. Widziała go kilkakrotnie na kampusie. Był niski, z brodą, a w swoim bogatym gabinecie wyglądał jak ogrodowy krasnal, nie na miejscu pośród ścian wyłożonych dębową boazerią. Musiała czekać prawie godzinę w recepcji, zanim zezwolono jej na audiencję u dziekana. On wielki i wszechwładny Oz, a ona Dorotka, zagubiona, bez przyjaciół, bez drogi do domu. Z tego, co mówiono o dziekanie, był przyjaznym, ale onieśmielającym człowiekiem; słyszała, że do zarządzania uczelnią podchodził praktycznie, przedkładając ustalony porządek nad inne rzeczy i biada temu, kto próbował splamić wielkie imię, na które ta instytucja pracowała przez ostatnie stulecie. Usiadła na czerwonej skórzanej kanapie, która według niej mogła być starsza od samego dziekana. Czekala, aż dziekan coś powie, i myślała o swoim ojcu, zastanawiała się, co teraz robi. Żałowała, że tu wróciła, wolała zostać z tatą.

— W czym mogę pomóc, panno Lucas?

— W sobotę wieczorem byłam na przyjęciu na kampusie przy Boston Road i zostałam zgwałcona przez dwóch studentów.

Twarz dziekana nie zmieniła się; mężczyzna wstał i podszedł do niej. Bojąc się tego, co może powiedzieć, skurczyła się w sobie, już żalując swojego szczerego wyznania. Nie chciała owijać w bawełnę, chciała to z siebie wyrzucić, skończyć z tym, zanim sama zrezygnuje.

— Była pani na policji? — Jego troska wydawała się szczerą. Usiadł obok niej i spojrzał jej w oczy ze zrozumieniem, a ona uznała, że może mu zaufać. Czowała się bezpieczna bardziej niż przy ojcu.

— Nie, nie byłam.

Współczujące spojrzenie pozostawało niewzruszone, gdy brał ją za rękę, delikatnie otulając ją swoimi dłońmi.

— Zbadał panią lekarz?

— Nie. — Abbey wydało się, że dostrzegła wyraz ulgi na jego twarzy, ale nie mogła być pewna.

— A co z rodzicami?

— Powiedziałam ojcu.

Tym razem dziekanowi trudniej przyszło ukryć emocje, gdy w jego oczach pojawiła się złość. Wstał i wrócił do biurka, sięgnął po pióro.

— Jeżeli poda mi pani nazwiska winowajców, przeprowadzę śledztwo.

— Jamie Woods i Christian Taylor.

Dziekan podniósł głowę znad notesu, gdy padło nazwisko Christiana. Jego ojciec, Nathaniel Taylor, był powszechnie szanowanym absolwentem i aktywnie działał w uczelnianej radzie; jego firma sfinansowała remont sali gimnastycznej i boiska do lekkoatletyki. Abbey wiedziała, że gdy padło to nazwisko, sprawa przybrała inny obrót; to wszystko malowało się na twarzy dziekana.

— Rozumiem. — Odłożył notes i sięgnął po telefon. — Gloria, możesz połączyć się z kimś u Kane'a i Halla, proszę, najlepiej z Jimem, jeżeli jest osiągalny. I zrób pannie Lucas herbatę, proszę.

Kane i Hall to prawnicy, tyle wiedziała.

— Chciałabym, żeby mój tata był tu też obecny — powiedziała. Oczywiście wcale tak nie myślała, ale nie miała nikogo innego, a wiedziała, że sama nie da rady. Tata chciałby tu być; przynajmniej tak powiedziałby jej po wszystkim, gdyby go nie poprosiła.

— Przypuszczam, że powinnaś mieć kogoś, kto dopilnuje, żeby wszystko toczyło się zgodnie z prawem — przyznał niechętnie dziekan. — Opisziesz swoją wersję wydarzeń.

Jej wersję? Zastanawiała się, jaka będzie wersja drugiej strony, czy powiedzą, że wykorzystała ich? Nie wiedziała, czy dziekan widział zdjęcia; sama nie miała pojęcia, ile jest tych zdjęć. Na samą myśl żołądek podszedł jej do gardła.

Siedziała w tym samym miejscu od ponad godziny, gdy odpowiednie frakcje zbierały się dookoła niej. Ostatecznie otoczył ją dziekan, trzech prawników i jeden asystent, którzy zostali jej przedstawieni. Tylko jedno miejsce pozostawało wolne; czekali na przyjazd jej ojca. Powiedziała im, że bez niego nie zacznie, a on miał do pokonania długą drogę.

Po dwudziestu minutach milczenia i niezręcznych spojrzeń do gabinetu wszedł John z czapką w rękę. Abbey wyczuła od niego whisky, gdy usadowił się obok niej. Na jego twarzy pojawił się wymuszony uśmiech. Był pijany przez cały ostatni tydzień. Musiała zadzwonić do jego pracy i zgłosić, że jest chory, gdy znalazła go nieprzytomnego na podłodze w łazience. Po raz pierwszy od wielu latu wstydziła się własnego ojca, ale jeszcze bardziej tego, że to przez nią znalazł się w takiej sytuacji.

— Czy mogłaby pani zdać relację z sobotnich wydarzeń? — Żadnego wstępu, żadnego zagajenia, prosto do sedna.

— Dlaczego oni tu są? — John wskazał prawników.

— To standardowe postępowanie. — Dziekan Taylor zbył to pytanie lekceważąco. — Oszczędzi nam problemów później. Proszę, Abbey, opowiadaj, co się stało.

Kiedy zaczęła mówić, zauważyła, że dziewczyna z laptopem pisze na nim zawzięcie; minęła chwila, zanim Abbey zorientowała się, że dziewczyna zapisuje jej wypowiedź słowo w słowo. Abbey zdenerwowała się tym. Nikt nie odzywał się, gdy opowiedziała o przyjęciu i picciu. Nikt nie odezwał się, gdy opowiedziała im o pocałunku, mimo świadomości, że obok siedzi jej ojciec i słucha szczegółów na temat własnej córki, których żaden ojciec nie powinien poznać. Dopiero kiedy zaczęła mówić o tym, jak Jamie wszedł do pokoju, jeden z prawników wyrwał się.

— Więc w tym momencie pani praktycznie wyrażała zgodę na kontakt

z panem Taylorem?

— Zgodziłam się na pocałunek, ale nie chciałam robić nic więcej.

— Czy wyraziła to pani jasno panu Taylorowi w tym momencie?

— Kiedy wszedł Jamie, próbowałam wyjść, ale nie mogłam.

— Czy oni zamknęli drzwi na klucz?

— Nie, ale nie mogłam wyjść.

— Czy przytrzymali panią?

— Chyba tak, nie wiem, może, tak... — Denerwowała się.

— Czy w jakimś momencie powiedziała pani chłopcom, aby przestali? Jest pani pewna, że nie doszło do nieporozumienia?

— Do nieporozumienia dochodzi, kiedy zapomina się, czyja jest kolej zmywać naczynia! To była napaść!

— Słuchajcie, to oczywiste, że ci chłopacy dobrze wiedzieli, co robią! — wtrącił agresywnie John. Po raz pierwszy Abbey poczuła, że ktoś jest po jej stronie, a co ważniejsze, że to jest jej ojciec. Poczowała ulgę. John miał surową minę, wzrok wbijał wprost w dziekana od momentu, gdy Abbey rozpoczęła relację. Sięgnął po dłoń córki i ścisnął ją; znowu poczuła się bezpiecznie.

Dziekan pochylił się do przodu i uśmiechnął do Johna.

— Panie Lucas, mamy duże doświadczenie w załatwianiu tego rodzaju zarzutów, lepiej niech pan pozwoli naszym ludziom tym się zająć.

— O, dobrze widzę, jak to załatwiacie. Gównu was obchodzi moja córka, martwicie się tylko waszym ukochanym uniwersytetem. — Taka zjadliwość u ojca była dla Abbey czymś nowym, nigdy dotąd nie słyszała, żeby choćby podniósł głos.

— Panie Lucas, może się pan uspokoić...

— A po co tu tyle prawników? Może ja też mam wezwać swojego!

— Proszę zachować spokój, gdyby pani mogła kontynuować swój opis, a potem...

— A potem co? Niech no zgadnę, córka podpisze zeznania, a wy poskładacie to tak, żeby wyglądało na jej winę.

Prawnicy spojrzeli po sobie zawstydzeni, założywszy wcześniej, że łatwo im pójdzie z Johnem i Abbey. Uśmiech zniknął z twarzy dziekana.

— Panie Lucas, takie zarzuty traktujemy bardzo poważnie, zapewniam pana. Musimy tylko zdecydować, jakie będzie najlepsze postępowanie dla wszystkich. Nie chcemy narażać kogokolwiek na niepotrzebny stres.

— Niepotrzebny stres? — wycedził John przez zaciśnięte zęby.

— Faktem jest, że jedynie dwadzieścia osiem procent gwałtów w Wielkiej Brytanii zgłaszane jest do oskarżyciela publicznego. Natomiast faktyczny odsetek skazanych jest jeszcze mniejszy — mówił stanowczo dziekan. Abbey zastanawiała się, ile razy musiał przytaczać te statystyki. — Niestety, biorąc pod uwagę te

zdjęcia, przykładne postępowanie chłopców, a także relacje świadków z zachowania pańskiej córki na zabawie, zgłoszenie sprawy na policję może nie być tym działaniem, które państwo chcą podjąć...

John wstał, podrywając z sobą Abbey.

— A gdzie była wasza, pożałuj Boże, ochrona podczas tej imprezy? Kto pilnował tych dzieciaków, jak się upijali i łykali speed? Moja córka i ja zgłosimy to na policję, a jak będziecie mieli dalsze pytania, to proszę na piśmie. Pokażę to mojemu prawnikowi.

Dziekan wstał i spojrzął na Johna z udawaną szczerością.

— Zdecydowanie odradzałbym takie postępowanie, panie Lucas, nie chciałby pan, aby miało to dalekosiężny wpływ na edukację pańskiej córki. Ani nic innego, jeśli o to chodzi.

— Co pan właściwie chce powiedzieć?

— Otóż chcę powiedzieć, że musimy dojść do jakiegoś porozumienia, aby to nie posunęło się dalej, bo to może mieć szkodliwy wpływ na wszystkie zaangażowane strony, w tym biedną Abbey.

Dziekan spojrzął na stojącą za plecami ojca Abbey

— Więc po prostu zapomnimy o sprawie? Ot tak? Życie musi toczyć się dalej? Najwyraźniej pan nie rozumie, byłem z córką w domu, od kiedy to się stało. Jest wykończona tym, co jej zrobili!

— Z pewnością zapłacimy państwu za wszelki stracony czas... — Dziekan pochylił się do przodu i mówił cicho. Abbey widziała, jak prawnicy wyteżają słuch, aby usłyszeć, co powiedział dziekan.

John rzucił się naprzód i schwycił dziekana za kłapy.

— Nie potrzebujemy waszych pieprzonych pieniędzy!

Wszyscy prawnicy zerwali się na równe nogi, a Abbey próbowała powstrzymać ojca. John pchnął dziekana, a ten zatoczył się do tyłu; jeden z mężczyzn przytrzymał go, zanim tamten upadł.

Wybiegli z biura, pozostawiając resztę zaskoczonych osób. Abbey ujrzała ojca w innym świetle. Jego wybuch zaszokował ją i jednocześnie ujął. Wiedziała, że ludzie często go nie doceniali, w tym ona sama. Błędnie pojmowali jego spokojną naturę i spokojny głos, biorąc go za naiwniaka.

Abbey ścisnęła drżącą rękę ojca, gdy czekali na windę. Cieszyła się, że mimo wszystko przyjechał tu. Drzwi rozsunęły się i Abbey zmierzyła się z Jamiem i Christianem, którym, jak się domyślała, towarzyszyli rodzice. Odsunęła się, a oni wysiedli z windy. Kiedy Abbey ruszyła do przodu, dostrzegła na twarzy Christiana cień szyderczego uśmiechu i niemal była pewna, że puścił do niej oko. Musiała stąd się wydostać, nie była pewna, czy jeszcze oddycha, a nie chciała, aby ojciec zorientował się, kim oni są. Wepchnęła go do windy i nerwowo nacisnęła przycisk.

Weszli do jej pokoju w akademiku. John stanął przy drzwiach. Strona Dani

była ogołocona, ale nie można było tego powiedzieć o jej części. Czas zatrzymał się, Abbey chciała uciec i zamknąć drzwi przed ojcem, ale było za późno, kiedy odwróciła się i zobaczyła jego twarz. Patrzył na ścianę, nad jej łóżkiem nabazgrano czerwoną farbą słowa: „Uważaj, zdiro”. Litera spływały po ścianie makabrycznie. Napis otaczały zdjęcia z imprezy, a do nich dołączono pornograficzne obrazki, najwyraźniej obrobione w programie graficznym, niektóre były prawdziwe, inne nie, ale to wszystko wydarzyło się. Tylko ktoś, kto był w tym pokoju, wiedziałby, które zdjęcia najbardziej na nią działały. Abbey nawet nie chciała zabierać swoich rzeczy, pragnęła jedynie stąd wyjechać. Wybiegła, przesuając ojca, ruszyła korytarzem, w dół po schodach, na ulicę, łapczywie chwytając powietrze. To nie wystarczyło, musiała wyjechać, uciec stąd.

Wiedziała teraz, że nie może liczyć na sprawiedliwość w tej sprawie. Nie miała dowodów, w zasadzie było to tylko jej słowo przeciw ich słowu, a już jej pokazano, ile znaczą ich słowa, szczególnie w tych okolicznościach. Nie mogła dłużej znieść traktowania jak kłamcy. Ojciec jej wierzył, teraz była tego pewna, a to znaczyło dla niej więcej niż cokolwiek. To jej niemal wystarczało.

John zaprowadził ją do samochodu, otaczając ramieniem. Ludzie oglądali się za nimi i prychnali. Abbey chciała krzyczeć na nich, ale jedynie wsiadła do samochodu, szczęśliwa, słysząc silnik, i jeszcze szczęśliwsza, kiedy zobaczyła college we wstecznym lusterku.

W domu poszła prosto do swojego pokoju. Nie mogła mówić, nawet nie chciała spojrzeć ojcu w oczy po tym, co on usłyszał, po tym, co zobaczył. Chciała umrzeć w tym momencie, przestać istnieć, nie musieć myśleć, czuć, cierpieć. Jedynie dla ojca tego nie robi, nie skończy z tym. Kochała go, wiedziała, jak bardzo cierpiał przez zdradę jej matki, ona teraz nie mogła go zdradzić. Zostanie i będą się sobą opiekować, tak jak zawsze, jak w starych czasach.

Obudził ją odgłos zamykanych drzwi frontowych. Spojrzała na zegar i wiedziała, że jej ojciec wyszedł do pracy. Przespała całą noc, bo wiedziała, że w pobliżu jest ojciec. Skoro dzisiaj był dzień pracy, to znaczy, że sprawy wróciły do normalności. Może mogli wrócić, może mogli udawać, że to był tylko zły sen i że nie muszą mierzyć się z rzeczywistością. Po co komukolwiek rzeczywistość?

Kiedy weszła do kuchni, na stole czekała na nią miska, obok leżała łyżka. Zadzwonił telefon, to był tata. Prawdopodobnie czegoś zapomniał; może chciał, aby przyniosła mu lunch, jak robiła to wiele razy przedtem.

— Wracam do domu, straciłem pracę, Abbey. Zwolnili mnie.

## Rozdział 25

### Azyl

W muzeum odsłonięcie wielkiej sali balowej gotowej na wielką akcję charytatywną było tryumfem. Wykorzystując zdjęcie z lat pięćdziesiątych, starali się uczynić salę jak najbardziej autentyczną. Należało przyznać, że spisali się dobrze. Abbey i Parker przenieśli zwierzęta, które uszły likwidacji. Abbey była z siebie dumna, dumna z nich. Nie pamiętała czasów sprzed Parkera, nie pamiętała, jak bardzo czuła się zagubiona. Lecz to było odległe wspomnienie. Pomagała teraz w nadzorowaniu umeblowania sali balowej na wieczorne przyjęcie z okazji setnej rocznicy powstania muzeum. Wszyscy zostali wezwani do pracy, musiała poświęcić przerwę na lunch. Parkera nie widziała od południa, rozejrzała się po muzeum, po jego ulubionych miejscach, ale nigdzie nie mogła go znaleźć, to nietypowe dla niego, że nie był blisko niej.

— Myśmy już skończyli, oddaję sprzęt. — Brygadzysta wręczył jej plik fotografii i starych dokumentów z planami muzeum. Niosła je z trudem, zmierzając do kantorka.

Kiedy weszła do ciasnego pokoju, spojrzała na skomplikowane rysunki budynku. Zobaczyła coś, co nie miało -sensu. Różniło się od mapy na wystawie, która pomagała turystom znaleźć drogę. Na drugim piętrze muzeum było puste miejsce, jakby nic tam się nie mieściło, ale ona doskonale знаła budynek i wiedziała, że tam, w środku, nie ma żadnej pustki. Pokoje były identyczne jak na dole, jedynie kilkadziesiąt centymetrów mniejsze, co nie rzucało się w oczy, chyba że wiedziało się, czego szukać.

Kiedy szła szerokimi korytarzami do sali ze skamielinami, patrzyła na portrety byłych dyrektorów, tradycję kontynuowaną od wieków aż do samego pana Lowestofta, i najnowszy portret. Jego był nowoczesny i nie pasował do innych twarzy oraz złotych ozdobnych ram. Abbey cofnęła się o krok i spojrzała na jednego z mężczyzn, minęło kilka sekund, zanim uświadomiła sobie, co zwróciło jej uwagę akurat na ten portret. Sprawdziła nazwisko, Giles Epler, świętej pamięci poprzednik Lowestofta, który powierzył znaczną część swego majątku muzeum. Zapłacił za większość prac, które tu podjęto. Nie poznała tego człowieka za życia, ale w jego twarzy było coś znajomego, coś, ale co? Wtedy dotarło do niej, że to jego oczy, surowsza wersja tych, które tak podziwiała. Czy był spokrewniony z Parkerem? Czy to możliwe, że był ojcem Parkera? Nie, byłby za stary; to na pewno jego dziadek, ktoś, komu ufał. Pomyślała o pokoju, tajnym pokoju na planach, i aż skręciło ją w żołądku. W jej głowie układała się łamigłówka. Czy na pewno chciała tego się dowiedzieć?



Trwało to chwilę, ale w końcu zlokalizowała część ściany, która była o kilkadziesiąt centymetrów za krótka. Czowała się trochę dziwnie, szukając tajemnej dźwigni albo obrotowego regału, ale musiało istnieć jakieś wejście. Próbowała sobie wyobrazić, które pokoje stykają się z ukrytym pomieszczeniem. Wtedy przypomniała sobie coś, co zawsze tu nie pasowało: mosiężny hak na ścianie w muzealnej ptaszarni. Był mały i niepozorny, ale z pewnością równie stary jak budynek. Abbey puściła się biegiem przez muzeum, aż znalazła hak i pociągnęła za niego. Nic. Potem spróbowała przesunąć go, a on obrócił się o jedną czwartą, usłyszała kliknięcie, ale nie zauważyła, aby coś się zmieniło w pokoju. Położyła dłonie na ścianie i przesuwała je, idąc wzdłuż niej, wtedy zobaczyła smugę światła z boku szklanej gabloty mieszczącej kruki, nad którymi pracowała, gdy rozpoczęła pracę w muzeum. Było ich siedem, w naturalnych pozach, ale Abbey wiedziała, co mają pod skórą, co w nich się znalazło, aby wyglądały tak naturalnie. Klej i zszywacze, papier i drewno, druty i śruby. Kliknięcie rozległo się jeszcze raz i rozświetlona szczelina znikła. Pobiegła na powrót do haka, który był w pozycji wyjściowej, i powtórzyła czynność, wróciła do gabloty i zaczęła szukać czegoś, co nie pasowało, czegoś, czego tu nie powinno być, wtedy zobaczyła przełącznik. Drobną otwór w tablicy, ledwo zauważalny, na tyle duży, aby zmieścić się jej palec. W środku znajdowała się dźwignia. Przesunęła ją i gablota z jednej strony odsunęła się od ściany. Kiedy próbowała ją przepchnąć, stawiała opór, wydawała dźwięki. Abbey przedostała się przez szparę i znalazła się w pokoju, którego -nigdy wcześniej nie widziała, jednak pożałowała, że go odkryła. Jej wzrok zmagił się z tym, co ujrzała.

Drzwi kliknęły, zamykając się za nią, a ją od razu uderzył widok okna z witrażem; było prawie identyczne jak to, przed którym pocałowała Parkera po raz pierwszy. Reszta pokoju robiła większe wrażenie. Brudne, poślacane fotele przypominające trony zostały przymocowane do podłogi w półkolu, zwrócone do środka, gdzie z sufitu zwisał wielki hak nad kratą z kutego żelaza, która była częścią jakiegoś systemu drenażu, z podwójnym rowkiem w podłodze i resztkami czegoś jeszcze, co był przymocowane sworzniami. Spojrzała na ściany, wielkie, dębowe panele przypominały ściany w wielu innych pokojach, ale tutaj wisiały na nich przeróżne artefakty, najwyraźniej stare, przyrządy wykorzystywane podczas tortur w średniowieczu. Może nawet wcześniej. Na ścianach wisiały bicz z kolcami i łańcuchy wszelkich kształtów i rozmiarów, jakie można było sobie wyobrazić. Każdy element wymyślony był w konkretnym celu, aby naciągać, okaleczać, przypalać, zniekształcać lub zabijać. Nie sięgała wzrokiem do kątów, nie chciała tam iść, ale ciekawość przywiodła ją tak daleko, a na pewno zobaczyła już to, co najgorsze.

W każdym z najodleglejszych kątów stał wielki, drewniany kufer, bolce, które przytrzymywały wieko, zostały przecięte; Abbey sądziła, że najwyraźniej nie

tak dawno, bo obok leżały lśniące, nowe cęgi. Wiedziała, że to Parker był tu ostatnio. Była przerażona, ale chciała zajrzeć do kufra. Wzięła głęboki wdech, unosząc nieporęczne wieko i natychmiast pożałowała, gdy cuchnące powietrze wypełniło jej płuca. Jeszcze więcej broni, noże, maczuga, miniaturowa kusza; spojrzała na groty i zobaczyła pięciopalczaste ostrza, natychmiast rozpoznała ten układ. Widziała takie ślady na plecach Parkera, poprzeplatane gigantycznymi asteriskami pokrywającymi większość jego ciała. Na dnie kufra także znajdowała się żelazna, kuta krata; Abbey domyślała się, że tak ją wykonano, aby nie przegniła od krwi ściekającej z zardzewiałego arsenału.

Uświadomiwszy sobie, że ten pokój został stworzony przez pierwotnego architekta, prawdopodobnie przy udziale właściciela, poczuła, jak całe jej ciało przechodzą dreszcze. Nigdy nie byłaby w stanie sobie tego wyobrazić; snuła różne przypuszczenia, co mogło się przytrafić Parkerowi. Często zastanawiała się nad tym od momentu, gdy pierwszy raz zobaczyła blizny, jednak coś takiego nigdy nie przyszło jej do głowy. Podeszła do drugiego kufra, przerażona prędko podniosła wieko, jakby zrywała plaster; chciała jak najszybciej mieć to za sobą. Ten kufer był inny, wypełniały go podłużne, skórzane pudełka, ułożone starannie jedno przy drugim, a każde na wierzchu miało monogram. Niektóre były tak stare, że wypaczyły się i odkształciły. Wyciągnęła jedno z pudełek i otworzyła je, w środku był wielki dziennik oprawiony w skórę, z odpowiednim monogramem na okładce. Niepewna, ile jeszcze może znieść, otworzyła książkę i zobaczyła, że pierwszy wpis datowany jest na rok 1842. Pismo było drobne i kształtne, równo prowadzone piórem, co na pierwszy rzut oka wyglądało pięknie, dopóki słowa nie stawały się nieczytelne. Na górze strony widniała lista obecnych członków — członków czego? Pierwsze inicjały pasowały do tych na okładce; przyjęła, że to nazwisko kustosza w konkretnym okresie. *Podmiot 17 wykazuje oznaki poprawy, wytrzymałszy koło przez ponad trzydzieści minut, zanim doszło do znacznego uszkodzenia tkanki.* Odwróciła kartki i jej oczom ukazały się rysunki, jeden za drugim, przedstawiające bezimiennego młodego człowieka w przeróżnych makabrycznych sytuacjach, z kończynami rozciągniętymi w dziwnie niehumaniczny sposób. Wtedy przypomniała sobie uwagę Parkera na temat swoich rysunków ludzików według Giacomettiego, figur z brązu pozbawionych twarzy z połowy dwudziestego wieku. Uświadomiła sobie w tym momencie, że „podmiot 17” to człowiek. Zaświtała jej przerażająca myśl. Zajrzała z powrotem do kufra i zobaczyła pudełko z wygrawerowanymi literami G.E.

Zmroziło jej krew w żyłach, gdy sięgała po pudełko. Czowała, że jest to winna Parkerowi, że musi zajrzeć do środka, że chociaż domyślała się, co tam ujrzy, nie będzie to -bardziej przerażające od tego, co zobaczyła do tej pory. Jej podejrzenia zostały potwierdzone, kiedy ujrzała nazwisko Giles Epler na górze strony. Ta książka była grubsza od poprzedniej, a to za sprawą fotografii wepchniętych

między kartki. Pierwszego zdjęcia nie było; widziała fałdy tam, gdzie zdjęcie zostało wklejone, prawdopodobnie zamiast rejestru. Obracała kartki, aż dotarła do zdjęcia pokoju, w którym teraz stała, z tą różnicą, że oświetlały go świece, na każdym tronie ktoś siedział i miał na sobie płaszcz z kapturem, który zakrywał twarz. Pośrodku stało krzesło, nie zwyczajne, metalowe; miało bolce, kolce, pręty i druty w różnych miejscach. Było przymocowane do szyn na podłodze. Do tego urządzenia przywiązany został młody mężczyzna o srebrnych oczach, twarz miał wykrzywioną z bólu, gdy zagryzał skórzany pasek. Widziała żyły na jego ramionach, jak próbowały wyrwać się ze skóry napięte za sprawą prądu elektrycznego. Przewróciła kolejną kartkę, nie mogąc znieść tego widoku. Następna była gorsza: ręce skute za plecami, zaczepione o hak, ramiona sterczące na boki i rozpalone, krew spływająca z nadgarstków po jego całym, nagim ciele. Znowu przeczuciła kartkę: *Podmiot 89 wykazuje słabą reakcję na bodźce*. Zdjęcie przedstawiało chłopca przywiązanego do krzesła, metalowa klamra utrzymywała go nieruchomo, twarz pozbawiona emocji patrzyła do przodu. Abbey nie mogła dłużej na to patrzeć. Zatrzasnęła książkę i rzuciła na podłogę. Pobiegnęła do tej części pomieszczenia, przez którą weszła; znajdowała się tam dźwignia, którą musiała pociągnąć, była wdzięczna za tę jedną rzecz w tym przerażającym miejscu. Spojrzała na nazwę wyrytą u podstawy dźwigni, wykonała ją firma o nazwie Fabryka Parkera. Myślała o zdesperowanym chłopcu na zdjęciach. Ogarnął ją bezmierny smutek. Rzeczy, o których nie śmiała myśleć, nagle nabrały sensu, ale w tym momencie mogła myśleć jedynie o jej Parkerze; gdzie on jest?

Zbiegła do recepcji i podeszła do Gemmy.

— Widziałas gdzie Parkera?

— Och, wziął wolne na to popołudnie. — Gemma najwyraźniej była zadowolona z siebie, że wiedziała coś na temat Parkera, czego nie wiedziała Abbey, a uśmiech miała bardziej chępliwym niż zazwyczaj. Wolne? To nie było podobne do Parkera. Co to miało znaczyć?

— Muszę iść. — Abbey oddychała z coraz większym trudem, gdy czuła, jak ogrania ją panika.

— A co z przyjęciem? — zawołała Gemma, gdy Abbey wybiegła z budynku.

Abbey pchnęła drzwi domu Parkera, nie były zamknięte na klucz. Parker stał w oknie, z rękami w kieszeniach, spoglądał na korty tenisowe po przeciwległej stronie ulicy. Sally leżała wiernie u jego stóp ze smutną miną, ledwo uniosła brew, -kiedy zobaczyła Abbey, jedynie cicho zaskomlała — martwiła się o swojego pana. Abbey głos uwiązał w gardle, gdy zbliżała się do Parkera. Przekreślił nieco głowę, dając jej znak, że wie o jej obecności, i wrócił do widoku na zewnątrz.

Abbey otoczyła go w pasie ramionami i zaczęła szlochać w jego plecy, on stał nieporuszony. Wpatrywał się w amatorski mecz tenisa par. Abbey wyczuwała jego mięśnie pod koszulą i przypomniała sobie, pod jakimi kątami było wyginane

jego ciało.

— Znalazłam ten pokój — wyszeptała drżącymi ustami. Zastanawiała się, czy ma mówić dalej, czy będzie wiedział, o którym pokoju mówi. Poczowała jego ciężki oddech, gdy odsunął się od niej i wiedziała, że nie musi dodawać nic więcej. Parker wiedział dokładnie, o który pokój chodzi. -Abbey bała się, że jego wstyd wbije między nich klin. Odwrócił się do niej, twarz miał spokojną, ale jego oczy krzyczały. Zbliżył się do niej i objął ją. Miała tyle pytań, ale nie śmiała zadać ich z obawy, że na nie odpowie, więc milczała i jedynie rozkoszowała się jego ciepłem. Pogłaskał ją po włosach, uspokajał. Przyjął rolę opiekuna, a ona czuła się tak bardzo niegodna jego współczucia. Wszelka tłumiona złość czy nienawiść wobec jej oprawców nie miały już więcej znaczenia; nic nie miało znaczenia poza Parkerem. Myśli dotyczące jej samej znikły całkowicie, teraz jedynie pragnęła chronić go za wszelką cenę. Wypełniała ją nowa nienawiść. Chciała pomścić Parkera, chciała wiedzieć, kto dopuścił się tych przerażających czynów i kto go ranił w taki sposób. Każdym nerwem ciała pragnęła, aby oni za to zapłacili.

— Już dobrze, Abbey. Wszystko będzie dobrze — skłamał. Wyczuwała jego wahanie, a jego pierś uniosła się, gdy znowu położył rękę na jej głowie, wygładzając włosy pocieszającymi ruchami.

— Kiedy miałem dziesięć lat, moi rodzice zmarli. Dziadek był jedynym żyjącym krewnym, więc zamieszkałem z nim w jego posiadłości. Był zamożnym i szanowanym człowiekiem. Wcześniej spotkałem go może tylko raz. Ojciec nienawidził go. Dziadek uczył historii w prywatnej szkole, zanim podjął pracę w muzeum. — Parker mówił spokojnym, monotonnym głosem, jakby czytał jadłospis, bez emocji, na chłodno.

— Był dyrektorem, tak?

— Tak. Myślałem, że zdecydował się na pracę tutaj, bo kochał muzeum, mój ojciec dużo o tym mówił. Tata umieścił mnie w Szkole Męskiej imienia Churchilla, ale ja się sprzeciwiałem. Aż do tego momentu pobierałem nauki w domu, przy pracy rodziców to miało większy sens, bo oni dużo podróżowali. Byłem w obcym kraju i nie pasowałem do dzieci w tym miejscu. Dziadek lubił dyscyplinę. Lubiał zasady i jasno stwierdził, że go rozczarowałem. Nie układało się między nami. — Parker wziął głęboki wdech i lekko odwrócił się, żeby Abbey nie widziała jego twarzy.

— Co zrobiłeś? — Pomyślała o własnym ojcu i jakie ona sama miała szczęście. Podeszła, aby objąć Parkera, ale on odsunął się jeszcze bardziej. Spojrzała na jego dłonie; nerwowo ścisnął palce.

— Zacząłem uciekać ze szkoły i zaprzyjaźniłem się z jednym chłopakiem. Miał na imię Nathan. Od miesiący mieszkał na ulicy. Uciekł z domu. Czasami pozwalałem mu przyjść do nas do domu, wziąć prysznic albo coś ciepłego zjeść. Pewnego dnia zadzwoniono do dziadka ze szkoły z informacją, że ja wcześniej

zgłosiłem chorobę przez telefon. Wrócił do domu i zastał Nathana w moim pokoju jedynie w ręczniku. Dziadek kompletnie stracił głowę.

— Co pomyślał sobie, że robicie?

— Nie chciał słuchać, kiedy próbowałem wyjaśniać. — Parker z trudem przełknął ślinę i spojrzał na Abbey; oczy lśniły mu bardziej niż zwykle. Powstrzymywał łzy.

— Co się stało z twoim kolegą? Co z Nathanem?

— Nigdzie go nie mogłem znaleźć. Zniknął. Ciągle pytałem dziadka, jakby wiedział, co się z nim stało. Prosiłem go, czy może sprawdzić, czy wrócił do swojej rodziny, ale on mi kazał zapomnieć o Nathanie; powiedział, że wyjechał, i to wszystko.

— Ale nie wyjechał? — zapytała cicho Abbey, widząc, że Parker nadal walczy z emocjami.

Potrząsnął głową.

— Nie zapomniałem, a dziadek oddalał się ode mnie coraz bardziej. Musiałem wrócić do szkoły, jakby nic się nie stało. Zastępca dyrektora, Jeffrey Stone, zainteresował się mną, to było dziwne i wiedziałem, czego może chcieć. Przyłapałem go, jak robi zdjęcia chłopakom z klasy w szatni. Powiedziałem mu, że powiem dziadkowi... oni się znali. Dał mi wybór, albo będę robił to, czego on będzie chciał, albo zrujnuje mi życie. Nie miałem pojęcia, o co mu chodzi, i nie dałem mu tego, co chciał. On poszedł do dziadka i powiedział mu, że przyłapał mnie razem z jednym chłopakiem. Wkrótce potem dziadek zabrał mnie do muzeum po zamknięciu i zaprowadził do pokoju... TEGO pokoju. Był tam Nathan, hm, to, co po nim zostało. To cud, że jeszcze żył. Był przywiązany plecami do centralnej belki. Widać było, że wisi już wiele dni. Nie widziałem go od tygodni. Był zagłodzony, pobity i jeszcze gorzej.

— O Boże. — Abbey desperacko chciała go dotknąć, przytulić.

— Kazali mi patrzeć, jak Nathan wyznaje, że żywi do mnie uczucia, i cięli go, jakby był niczym. Jeden z mężczyzn stał nad nim i odczytywał mu jego grzechy, gdy oni to robili.

Po twarzy Parkera spływały łzy, ale głos zachował spokojny jak wcześniej.

— Ten lekarz obciążył stopy Nathana, a wtedy ramiona mu się wybiły. Krzyczał, błagał ich. Nad ranem już nie żył. Nie mogłem zaznać spokoju. Dziadek powiedział mi, że tak się dzieje z takimi jak Nathan. Ludźmi, którzy nie -chcieli się zmienić.

— Tak mi przykro.

— Przez jakiś czas próbowałem udawać, że nic się nie stało, jakbym zupełnie nie widział tego. Musisz zrozumieć, nie miałem się do kogo zwrócić. W szkole byłem obserwowany, w domu, wszędzie. Byłem przerażony. Minęło kilka miesięcy, zanim znaleziono ciało Nathana. Jeden z tych mężczyzn wyjął mu

narządy.

— Po co? Co z nimi zrobił? — zapytała zaszokowana.

— Doktor powiedział mi, że... — Parkerowi głos się lekko załamał. — Powiedział mi, że są w lodówce w szkolnym laboratorium, przygotowane do lekcji biologii na przyszły tydzień. Powiedział, że ludzkie i świńskie organy są bardzo podobne. Trzynastolatkiwie z pewnością nie będą w stanie ich odróżnić.

— Dlaczego nie dawali tobie spokoju?

— Byłem zdezorientowany. W szkole szło mi bardzo źle. Szczerze mówiąc, to było nie do uniknięcia, dziadek tak był w tym pogrążony, że widział tylko ciemność. W zasadzie to nie byłem dla niego rodziną, byłem kolejnym nastolatkiem. Kiedy Jeffrey Stone opowiedział dziadkowi o swoich podejrzeniach, on ich nawet nie kwestionował. Przyprowadził mnie do muzeum, a tam był kolejny chłopiec, potem jeszcze jeden. Próbowali nakłonić mnie do uczestnictwa w tym, do ranienia ludzi, ale ja nie mogłem. Kiedy chłopców... nie było, zaczęli ze mną.

— Ale dlaczego to robili?

— Myśleli, że mają rację. Uznawali to za swego rodzaju powołanie. Błędnie pojmowali religię. Należał do nich szkolny kapelan. Śpiewali i odstawiali inne dziwne rytuały, zanim rozpoczęli tortury. Mówili, że trwało to, zanim jeszcze się urodzili. Mój dziadek rekrutował ich poprzez szkolne koligacje, wszyscy byli tam uczniami, a niektórzy nawet nauczycielami. On też tak został przyjęty. Ale oni oszukiwali sami siebie, nie chodziło tutaj o niczyją poprawę, chodziło o nakarmienie tkwiących w nich potworów. Ujrzałem każdego z nich takim, jaki był.

— Jak długo ciebie trzymali? Jak się im wyrwałeś?

— Nie mam pojęcia, jak długo. Pamiętam wszystko, co zrobili Nathanowi. Z biegiem czasu zostały mi tylko fragmenty tego, co robili mnie i innym chłopcom. Pamiętam, jak tu wisiałem. Pamiętam, jak postrzelili mnie w ramię z kuszy. Pamiętam, jak mnie przypalali, uderzali, cięli, ale najbardziej pamiętam ból, tak dużo bólu. — Spoglądał na swoją pięść, gdy zaciskał ją i otwierał.

— Parker, ja... — Abbey nie mogła tego więcej słuchać. Nie wiedziała, co ma mu powiedzieć, nie знаła słów, które mogłyby mu pomóc. Była bezsilna. — Jak naprawdę masz na imię?

— Sebastian... Pewnie myślisz, że jestem słaby, bo nie poszedłem na policję... — Odwrócił się.

— Nie! Przysięgam, nie myślę tak! Byłeś dzieckiem! Nawet nie wyobrażam sobie... — skłamała. Nazbyt dobrze znała uczucie zastraszenia, milczenia ze strachu, chęci de-sperackiego krzyku, ale zarazem braku głosu. Chciała zniszczyć tych ludzi, którzy go zranili. — Tamci mordercy? Ci -ludzie w wiadomościach... To oni ciebie ranili?

— Tak. — Wyglądał na zawstydzonego, ale ona wzięła go za rękę, otulając

jego palce, żeby wiedział, że ona nie chce, aby on tak się czuł. Spojrzał na nią, w jego oczach płonęły smutek i złość. Abbey wiedziała, że chyba powinno ją to przerażać, ale tak się nie działo. Wiedziała, co to znaczy być ofiarą, i wiedziała, jak to jest pograć się w smutku, znienawidzić samą siebie. Cieszyła się, że Parker nie pozwolił im zniszczyć siebie całkowicie. Odczuwała zadowolenie; czuła dumę.

Abbey do głowy przyszła pewna myśl.

— Pożar w muzeum.

— Musiałem uciekać, ale musiałem też ich powstrzymać. Musiałem zniszczyć to miejsce. Nie mogłem znieść myśli, że zrobią to jeszcze komuś. Pomyślałem, że policja znajdzie ten pokój i oni wszyscy pójdą do więzienia.

— Jak uciekłeś?

— Mój dziadek... ruszyło go sumienie. Uwolnił mnie i wyszedł z pokoju, kazał mi się ukryć, błagał mnie o wybaczenie. Gdy tylko podłożyłem ogień, wydostałem się z budynku i ruszyłem przed siebie.

— Dokąd poszedłeś?

— Do kościoła, przede wszystkim. Nie wiedziałem, dokąd mogę iść. Nie chciałem, aby mnie znaleźli. Wiedziałem, że będą szukać. Ksiądz i jego gosposia, pani Wilson, zaopiekowali się mną, aż skończyłem osiemnaście lat, potem dostałem fundusz, jaki rodzice mi zostawili.

— A twój dziadek?

— Rozmawiałem z nim jeszcze raz. Zadzwoił do mnie i płakał. Błagał o rozgrzeszenie, próbował się spowiadać przede mną na temat tych wszystkich chłopców, użyć własnemu sumieniu, ale rozłączyłem się. Kiedy zmarł, zostawił mi prawie wszystko. Lecz mimo to darował pieniądze temu przekłętemu przybytkowi.

— Parker odwrócił się i położył dłonie na ramionach Abbey; po jego twarzy spływały łzy. — Myślałem, że nic mi nie dolega... że zapomniałem o tym wszystkim, ale kiedy usłyszałem, że to zrobił...

Abbey przyciągnęła go blisko do siebie i mocno przytuliła, gładząc go drżącego po włosach.

— Już dobrze... teraz jesteś bezpieczny.

— Musiałem to zrobić, Abbey... ale... to jeszcze nie koniec. Pójdę na policję, obiecuję. Jak skończę, to poddam się.

— Nie chcę, żebyś to robił. Chcę, żebyś był ze mną.

— Ale to, co zrobiłem...

— Ludzie czasami robią złe rzeczy... ale to nie znaczy, że sami są źli. Ja też robiłam złe rzeczy. — Przerwała na chwilę, aby wziąć oddech, teraz nie była pora, aby dzielić się z nim swoją mroczną przeszłością. — Jesteś dobry. Wiem, że jesteś...

— Kiedy to zacząłem, nie myślałem, że kogoś spotkam... że zakocham się...

— Grzbietem dłoni otarł łzy z twarzy i wziął głęboki oddech, jakby postanowił

schować uczucia do pudełka i zamknąć je tam na zawsze. — Nie myślałem, że to możliwe.

Abbey poznała to spojrzenie, przyjmujące, że ludzie tacy jak oni nigdy nie zaznają szczęścia; że nie można mieć wszystkiego. Lecz to było wcześniej, teraz Abbey wiedziała, wiedziała, że może to zmienić.

Ujęła w dłoń jego twarz i spojrzała mu prosto w oczy.

— Ja też nie, ale teraz jesteśmy razem. A ja ciebie kocham, Parker, to nic nie zmienia. Zrobiłeś to, co musiałeś. Proszę, nie zgłaszaj się na policję. Zostań ze mną. — Przyciągnęła jego twarz i pocałowała.

— Ale jak mogłabyś mi wybaczyć?

— Nie ma czego wybaczać.



## Rozdział 26

### Wypadek

Wtedy

Czajnik wyłączył się, a z dzióbka buchał kłęb pary. Abbey wpatrywała się w cętkowane brązowe kafelki na kuchennej ścianie. John siedział na kanapie i oglądał telewizję, nieubłagany ciąg programów o remontowaniu. Wyjaśniano, dlaczego to, co masz, nie jest wystarczająco dobre, dlaczego powinieneś mieć więcej. Nieskończone koło przyczyn, abyś poczuł, że zawiodłeś. Kupuj, kupuj, kupuj.

— Herbaty, tato? — zapytała Abbey z udawanym ostatnio optymizmem. Ostatni kubek herbaty nadal stał nietknięty na ławie, zimny. Abbey zabrała go i zastąpiła parującym i gorącym.

— Dziękuję.

— Wychodzisz dzisiaj? — Abbey spojrzała na ojca, oczy miał szkliste, opadające w kącikach, przez co wyglądał tak smutno, tak bezradnie. Zareagował, podgłaśniając telewizor.

— Dzwonili do mnie z muzeum — powiedziała Abbey. John dalej wpatrywał się przed siebie. — Zaczynam okres próbny. Od jutra.

— Co? — Podniósł wzrok.

— Dostałam pracę w muzeum.

— Co będziesz robić?

— Chyba chcę, abym pomogła przy tych wszystkich zwierzętach, może też jakaś robota administracyjna, może, nie wiem. Opis pracy był dość ogólnikowy.

— Ale one są martwe?

— Wiem, ale miałam anatomię i robiliśmy trochę sekcji zwłok na zwierzętach na studiach. Dam sobie radę z martwymi zwierzętami.

— Nie chcesz wrócić na studia? Od małego chciałaś być weterynarzem.

— Tato, muszę pracować. — Spuściła wzrok, nie chcąc, aby ojciec poczuł się źle. — Rachunki... — Zauważyła, że przestał jej słuchać i skupił się na prezenterce o pomarańczowej skórce. Utrata pracy przepełniła kielich goryczy, popadł w depresję, a Abbey musiała nad wszystkim zapanować dla ich wspólnego dobra. Była zażenowana, że brakowało jej sił, by dokończyć studia. Uniwersytet stał się dla niej przeszłością. Nawet gdyby poszła na inny, to nie miało znaczenia; nie chciała już tego.

— Nigdy mnie nie okłamywałaś, teraz kłamiesz cały czas.

— Co mam ci powiedzieć? Że byłam idiotką? Że to wszystko była moja

wina? Nie mogę już o tym rozmawiać, tato. Nie mogę pozwolić, aby to zawładnęło moim życiem!

— Jeżeli zrezygnujesz przez to z własnych marzeń, to oni wygrają, a przecież nie możesz im na to pozwolić!

— Ty tego nie rozumiesz, nie ma tu żadnego wygrywania czy przegrywania, już nie. To już się stało i -skończyło. Oni wygrali!

— Czy w taki sposób cię wychowałem? Czy uważasz, że tak powinnaś to załatwić? Uciekając... Może to wszystko moja wina...

— Nie mów tak! — krzyknęła. Wrócił do oglądania telewizji, sugerując, że skończyli rozmawiać.

— Zadzwoń, jak skończysz, przyjadę po ciebie — mruknął.

— Nie martw się, wrócę pociągiem.

Abbey długo nie odwiedzała muzeum, ale wyglądało tak samo, jak pamiętała z wycieczek z ojcem, gdy była młodsza. Ta sama woń wilgoci wypełniała nozdrza i zatykała gardło. Przywitał ją dyrektor i zaprowadził przestronnymi korytarzami do biura, mijając po drodze odgródzone sznurem obszary czekające na remont. Większość z nich wyglądała na eksponaty, nietknięte. Ściany były szare, a w przyciemnionym świetle trudno było odróżnić kształty, jedynie cienie, których było więcej niż światła.

— Więc nigdy nie pracowała pani w muzeum?

— Nie, ale szybko się uczę i ciężko pracuję.

— Widzę, że ma pani dobre referencje.

Abbey uśmiechnęła się, zażenowana, że były one jedyną ceną za jej milczenie. Dziekan i jej ulubiona wykładowczyni roztkliwiali się na papierze nad jej cudownym charakterem i poświęceniem, chociaż osobiście nader jasno wyrażali, co o niej myślą.

— A dlaczego musiała pani przerwać studia, jeżeli wybaczy pani moje pytanie? Wygląda na to, że dobrze pani szło.

— Mój ojciec nie czuje się dobrze. Muszę się nim zająć. Ma tylko mnie. — Chwyciła swoją torbę, ściskając płótno, nie chcąc okazywać niepokoju.

— Hm, zacznijmy od czegoś prostego i zobaczymy, jak pani sobie radzi. Gdyby potrzebowała pani pomocy, to na pewno któryś z kustoszy pomoże, przeważnie gdzieś się tutaj kręca.

— Dziękuję panu. — Abbey wstała i podała rękę panu Lowestoftowi.

— Proszę się rozejrzeć, jak ma pani ochotę, a formalnie zacząć w poniedziałek, nie ma pośpiechu.

— Chętnie zacznę od razu. Chcę pracować.

— Abbey, podoba mi się pani entuzjazm i poszanowanie rodzinnych wartości. Już czuję, że będzie pani dobrym nabytkiem dla naszej małej rodziny w muzeum.

— Też mam taką nadzieję. — Uśmiechnęła się. W końcu znalazła cel w życiu, poczuła ulgę, że przyjęto ją pomimo ograniczonego doświadczenia.

Pan Lowestoft zaprowadził Abbey z powrotem do pomieszczenia pełnego ptaków. Był to jeden z zamkniętych pokojów ze względu na pleśń i zniszczenia szklanych gablot przez pożar.

— Może pani coś z tym zrobić? Nie dotykano tego od lat. Niestety po pożarze nie mieliśmy wyboru, tylko zamknąć pokoje, aż zdobędziemy fundusze na odnowienie tych najbardziej zniszczonych. Nie usuwaliśmy żadnych stworzeń, gdyż gabloty ochroniły je, a nam brakowało pieniędzy na fachowca, który zająłby się nimi należycie. Niektóre ze zwierząt są bardzo stare.

— Ile czasu upłynęło od pożaru?

— Nieco ponad piętnaście lat — odpowiedział dyrektor, gdy Abbey podeszła bliżej.

Gruba warstwa kurzu i sadzy zakrywała zawartość. Niewiele widziała z czarnych ptaków ustawionych w środku.

— To wrony?

— Kruki, ale jak pani widzi, gablotka jest zniszczona, a ptakom w środku też się dostało. Gdyby mogła pani odświeżyć je dla nas, byłoby cudownie. Niedługo dostaniemy nową gablotę.

— Z radością spróbuję.

— Może pani zabrać te zwierzęta do domu albo popracować tutaj, jeżeli ma pani problem z transportem, ale muszę ostrzec, wynajmujemy dużą salę na przyjęcia, a w ten weekend mamy dwa, więc pomieszczenie nie będzie się nadawać. Nadal zbieramy fundusze, żeby je wyremontować.

— Nie ma problemu.

— Proszę. — Sięgnął do kieszeni i wyciągnął mały, mosiężny kluczyk. — To wytrych, który pasuje do wszystkich szafek. Teraz należy do pani. Pani poprzednik zostawił tu komplet narzędzi, dopóki nie zdobędzie pani własnych. Zobaczmy, czy damy radę też zorganizować właściwe miejsce pracy dla pani. — Uśmiechnął się ciepło i odszedł.

— Dziękuję — powiedziała, gdy dyrektor wyszedł z ciasnej pakamery.

Przesunęła dłońmi po szkle i na opuszkach palców pojawiła się czarna warstwa. Narzędzia ułożono starannie w zużyтым skórzanym woreczku. Były zadbane i traktowane z troską. Przesuwała palcem po różnych ostrzach, teraz tępych, ale w środku był też kamień do ostrzenia, później przysposobi je do pracy. Włożyła klucz do zamka gabloty, był oporny, ale przy odrobinie siły udało jej się otworzyć szafkę. W środku pachniało gorzej, niż na to się zanosilo. Ostrożnie wyjęła ptaki i ustawiła je na pustej skrzynce. Spróbuje użyć części z jednego ptaka, aby naprawić drugiego, zniszczonego albo bez piór.

Abbey była nadal zaprzątnięta swoim światem, kiedy -wrócił kustosz.

— Jejku, rzeczywiście utknęła tu pani. — Uśmiechnął się znowu ciepło i przyjaźnie. Abbey wstała; ubranie miała pokryte szarymi, kredowymi plamami i zblakanyymi piórami ze szklanej gabloty. Otrzeпаła się. — Przyszedłem tylko, żeby powiedzieć, że zaraz zamykamy muzeum. Dzisiaj pół dnia.

— Och. — Abbey spojrzała na niedokończone zadanie; nie lubiła tak przerywać pracy. — Czy mogę zabrać część z nich do domu?

— Tak naprawdę nie ma pośpiechu, a pracy pani nie zbraknie. Mamy tysiące artefaktów dla pani. Może tu pani spędzić resztę życia. — Zaśmiał się.

— Już nie mogę się doczekać — zapewniła go. Nie kłamała. Od tygodni, od miesięcy siedziała w domu, a na jej oczach ojcu się pogarszało. Traktował jej ból jako własny, a teraz ona czuła się zobowiązana, aby zająć się nim. Gdyby nie te wydarzenia, ich życie nadal toczyłoby się właściwym torem. Gdyby tylko ona nie ufała tak ślepo. Ciepły uśmiech i kilka miłych słów od kogoś spoza jej warstwy społecznej sprawiły, że stała się bezradna, kiedy dotąd każdy moment w jej życiu stanowił potwierdzenie jej miejsca na drabinie społecznej. Obwiniąta filmy, które tak bardzo lubiła oglądać, na których prosta dziewczyna spotyka księcia, a śliczne, bogate dziewczyny kończyły, szlochając pośród swych kolekcji butów od Jimmy'ego Choo. Życie nie tak wyglądało.

Z trudem przedostała się przez drzwi wejściowe ze swoją menażerią w wielkiej torbie, którą pożyczyła z muzeum. Ojciec nadal siedział tam, gdzie tkwił, gdy wychodziła. Zarost miał wyraźnie dłuższy. Zostawiała go z wieczornymi serialami i programami przyrodniczymi. Nie chciał, aby była przy nim.

Ustawiła ptaki na biurku i wyciągnęła zestaw narzędzi chirurgicznych, jedyną rzecz, jaką zatrzymała po studiach. Dziwnie czuła się, biorąc go do rąk. Podniosła pierwszego kruka i odkurzyła go starym pędzelkiem do makijażu, aby nie uszkodzić piór, które mu jeszcze zostały. Nie malowała się już, a zresztą i tak nigdy nie była w tym dobra.

Pracowała całą noc. Praca naprawdę była prosta, a to, czego nie wiedziała, sprawdzała w Internecie. Weekend wydawał się dłuższy niż tylko czterdzieści osiem godzin, ale ona pracowała pilnie, aby przywrócić ptakom ich pierwotne piękno kosztem tych najbardziej uszkodzonych okazów. Zawinęła każdego ptaka w bibułkę i umieściła je z powrotem w torbie.

W poniedziałek wróciła do muzeum, gdzie czekała na nią nowa szklana gablota, dokładna replika tej, w której przechowywano bezpiecznie ptaki, aż znalazły nowy dom, tuż obok pejzażu namalowanego w tle. Miała swobodę w ustawianiu okazów zgodnie z własną fantazją, zanim zostaną powtórnie wystawione w ptaszarni.

Znowu poczuła się sobą w muzealnych salach, przeszłość odchodziła w cień, a jej miejsce zajęła pasja do -nauki. Codziennie wypożyczała książki z muzealnej biblioteki i czytała łapczywie. Ogrom zadania, które musiała podjąć, nie uszedł jej

uwagi. Jednak nie była przerażona wielkimi magazynami, wiedziała, że jeśli będzie wykonywała swoją pracę dobrze, spędzi tu wiele nadchodzących lat.

— Abbey, coś ci pokażę — wykrzyknął pan Lowestoft pewnego ranka, wiele tygodni po rozpoczęciu przez nią pracy. Zaprowadził ją do pokoju, w którym kiedyś stali i omawiali jej zatrudnienie, i zaprezentował rezultaty jej ciężkiej pracy. Pokój został ukończony. Był mały, ale nieskazitelny, z krukami pośrodku. Pan Lowestoft doglądał remontu osobiście. Mówił, że to jego ulubiony pokój w muzeum. Nie rozumiała dlaczego. Pomieszczenie było małe i trochę przyprawiało ją o klaustrofobię. — Zostawię cię... podziwiam swoje dzieło.

— Dziękuję. — Poczowała spełnienie; dotąd nie uświadamiała sobie, że brakuje jej tego w życiu. W ciągu kilku krótkich tygodni zmieniła ten obskurny zakątek w mały raj martwych ptaków. Identyfikowała się z nimi, uwięzionymi na zawsze w tym momencie, który wyznaczał ich nicość, ale ten właśnie moment został na wieki zamrożony w czasie. Znalazły się kiedyś na drodze niewłaściwego człowieka, tak jak ona, jak setki innych zwierząt w tym przybytku. Wszystkie te małe stworzenia pewnie były całkowicie nieświadome swojego niechybnego losu. Patrząc na te istoty, myślała o chwili ich śmierci. Każda była ofiarą, każda symbolizowała nieuzasadnione zaufanie. Ufność w otoczenie, wiarę w tych, którzy mieli się tobą opiekować, wiarę we własne przetrwanie. Większość tych ptaków została zabita z procy, bezgłośnie i podstępnie, co wymagało pewnego poziomu poufałości. Myślała o tych chwilach przed nadejściem śmierci i o umyśle łowcy, obserwującego ofiarę cierpliwie, cierpliwie czekającego na idealną okazję. Czeką na chwilę, kiedy cały świat jednocześnie zamruga i nikt nie będzie patrzył. Teraz te zwierzęta należały do niej, będzie je chronić i nigdy nie zamknie oczu, nawet nie mrugnie.

John czekał, aż Abbey wyjdzie z domu. Teraz była szczęśliwsza, ruszyła dalej. Nie była już tą Abbey, którą wychował. Po pół roku od ataku stała się kimś innym, była cichsza, mniej pewna siebie. Nie miała tego braku pewności siebie jak inne nastoletnie dziewczęta, to sięgało głębiej. Nie trzymała się już niepotwierdzonych pytań, które zauważał u niej wcześniej. Czy jestem ładna? Co mnie czeka w życiu? Kim będę? Nie, te czasy już się skończyły, nieśmiałość, jaką u niej teraz zauważał, była głębsza. Wskazano jej miejsce w tym świecie, a on nienawidził za to świata. Teraz przynajmniej znalazła coś dla siebie. Była to praca w samotności, ale to nic, dopóki Abbey uśmiechała się. Tak naprawdę tylko ona mu została. Nie miał już pracy, którą wykonywał od lat, a to wszystko przez picie. Jeżeli miał ochotę, to czasami naprawiał kolegom samochody za pieniądze. Lecz nigdy nie potrzebował niczyjej litości.

Nie mógł już dłużej znieść tego miejsca. Prawda była taka, że ledwo znosił Abbey, a nawet siebie samego. Nie rozumiał, jak jego córka mogła wrócić do miasta, wiedząc, że oni tam są, po tym, co jej wyrządzili. Nie chciał przyznać się

do tego, ale po części obwiniał ją za to, co się stało, nie mógł temu zaprzeczyć, dzięki Bogu nikt nie pytał.

Wszedł do biura pomocy społecznej po zasiłek i usiadł na zaplamionej kanapie, czekając, żeby wejść i złożyć podpis; otaczali go apatyczni, źli i obojętni ludzie. Spojrzał na twarz dziewczyny siedzącej naprzeciw niego, tylko włosy i paznokcie, spuchnięta od ciąży, ze spojrzeniem mówiącym, że pomoc jej się należy, ma do tego prawo. John tego nie cierpiał. Nie chciał być uzależniony od kogoś. Nienawidził tego, że pracował całe życie, nigdy nie wychylał się, zawsze robił to, co właściwe, i przestrzegał zasad.

Wywołano go. Wszedł i usiadł przed doradcą. Młody mężczyzna, który ledwo co ukończył szkołę, miał go osądzać. Zemdliło go od tego. Podał chłopakowi listę zawodów, które jego zdaniem miał szansę wykonywać.

— Proszę pana, obawiam się, że te stanowiska są dostępne jedynie dla osób w przedziale wiekowym od osiemnastu do dwudziestu czterech lat.

— A to dlaczego?

— Żeby zredukować bezrobocie wśród młodzieży.

— A co z nami, z tymi, którzy mają rodziny na utrzymaniu?

— Proszę przyjść jeszcze raz w piątek, wtedy pojawia się większość nowych ofert.

— Kiedy otrzymam mój pierwszy czek?

— Też powinienem móc odpowiedzieć panu w -piątek. — Chłopak uśmiechnął się, ale John jedynie miał ochotę spoliczkować go.

Przywołał na twarz uśmiech i wstał. Doradca wepchnął jego dokumenty do dużej teczki i odwrócił się do swojego komputera, sugerując, że skończył rozmowę.

John przestał już odczuwać poniżenie; jak zwykle zżerała go jedynie złość. Znowu bezwiednie powędrował w stronę akademika Abbey. Odkąd zaczęła pracować, zaglądał od czasu do czasu w te strony. Stał przed akademikiem i czekał, nie wiedział nawet, na co czeka. Po godzinie zobaczył, jak z budynku wychodzi Danielle. Podeszła do czerwonego kabrioletu Porsche Boxter i pocałowała chłopaka za kierownicą. John nagle zorientował, kim są osoby w samochodzie. Nie od razu przyszło mu to do głowy, ale to byli ci chłopacy, których widział przed biurem dziekana. Gdy tylko zamknęły się drzwi windy tamtego dnia, zrozumiał, kim oni są; gdy tylko Abbey znowu zaczęła oddychać. Tym razem widział jedynie ich głowy od tyłu i za to był wdzięczny. Chciał podejść, chciał im urządzić scenę. Jednak odszedł. Potrzebował wrócić do domu, musiał przespać się, żeby złość mu minęła. Musiał się zastanowić.

Nazajutrz John obudził się i wiedział, co ma zrobić. Począł, aż Abbey uda się na poranny pociąg, i sam pojechał do miasta, na uniwersytet. Skoro ona miała tam być, to postara się, żeby była bezpieczna. Tym razem zaglądał na każdy

kampus i szukał tego samochodu. W końcu znalazł go na parkingu przed jednym z uniwersyteckich barów.

Abbey wróciła do domu po kolejnym dniu w muzeum i zastała ojca przed telewizorem, gdy oglądał lokalne wiadomości. Nadal nie znalazł pracy i rzadko spoglądał jej w twarz, może nadszedł już czas, aby znalazła sobie jakieś lokum. Pensja w muzeum wystarczy jej na własne mieszkanie. Usiadła obok ojca i położyła dłoń na jego dłoni. Natychmiast wyszarpnął rękę. Słyszała, jak stara się nie oddychać, miał urywany oddech, jakby wstrzymywał łzy. Wytarł oczy i pociągnął nosem. Nie chciała spojrzeć mu w twarz, nie chciała widzieć, jak płacze. Zamiast tego spojrzała na telewizor, na wiadomości. Przez chwilę pokazywano wrak samochodu, a potem na ekranie pojawił się spiker. Pod napisami zobaczyła znajome twarze Danielle i Jamiego.

Nie żyli, zginęli w wypadku samochodowym.

— O mój Boże, Danielle. — Mimowolnie zasłoniła dłonią usta. Uważniej spojrzała na twarz ojca i zobaczyła łzy. — Tato, co się stało?

— Przepraszam, przepraszam.

— Już w porządku, tato, już się nie przyjaźniłyśmy; to straszne, ale...

— Nie, to nie miała być ona, to mieli być oni!

Abbey poczuła lodowaty dreszcz na plecach i baczniej przyjrzała się ojcu. Zrozumiała jego łzy; dostrzegła winę.

— Tato, o czym ty mówisz? — Jakaś myśl, jakiś podszept przyszedł jej do głowy. Próbowwała odpędzić ją, zanim w pełni do niej dotarła, nie chciała słuchać tego, co podpowiadał jej instynkt.

— Próbowiałem to naprawić, przepraszam. To mieli być oni, ci, którzy ciebie zranili.

— Co zrobiłeś? — Czują, jak ta myśl do niej dociera, chwyta ją, nie daje się odpędzić.

— Chciałem to naprawić. Nie mogłem znieść tego, że oni sobie chodzą jak gdyby nigdy nic.

— Jezu Chryste! Powiedz, że nie zrobiłeś tego! — Poczula łzy gromadzące się w gardle, w końcu uświadomiła sobie potworność tego, co zrobił jej ojciec. — A jak ciebie złapią? Tato, nie możesz iść do więzienia!

— Myślisz, że nie wiem, jak zaimprovizować wypadek?

Na ekranie pojawiła się twarz Christiana. Był najwyraźniej wstrząśnięty. Abbey sięgnęła po pilota, żeby wyłączyć telewizor. Nie mogła znieść widoku tej twarzy. Wiedziała, że nic go nie obchodzi los Dani ani Jamiego, to była tylko okazja, aby pokazać się przed kamerą. Wtedy zorientowała się, że wsadzają go do wozu policyjnego, więc zwiększyła głośność. Był aresztowany. To był jego samochód, którego nigdy nikomu nie pozwalał prowadzić z wyjątkiem tego popołudnia, kiedy zgodził się, aby Jamie i Dani pojechali do akademika. On i Dani

pokłócili się otwarcie w barze, wszyscy widzieli, jak grożą sobie nawzajem, i najwyraźniej Christian po raz pierwszy nie wyszedł na tego dobrego chłopca. Policja była przekonana, że majstrował przy układzie kierowniczym, zanim poszedł na kampus z inną studentką. To alibi, podejrzewali.

Abbey wyłączyła telewizor i spojrzała na ojca. Czy rzeczywiście był do tego zdolny? Tak, podejrzewała, że tak, jeżeli ktoś by go zranił, ona też zrobiłaby coś takiego, więc mogła się spodziewać, że on postąpiłby podobnie.

— Ktoś cię widział?

— Nie wiem, chyba nie. — Sięgnął po jej dłoń, ale ona cofnęła się i założyła ręce na piersi.

— Dlaczego, tato? Dlaczego to zrobiłeś? Było nam dobrze, prawda? — Starła się nie mówić ze złością, w pewnym stopniu była wzruszona, ale z drugiej strony przerażona, że go straci, że go złapią.

— Nie było nam dobrze, Abbey. Mnie nie jest dobrze! Nie mogę spać w nocy, myśląc o tym, co się stało. Ciągłe myślałem, że znowu na nich trafisz, że żyją na tej samej planecie co ty.

— A co będzie, jak ciebie złapią?

— A niby dlaczego? Nigdzie nie jest zapisane to, co ci się stało, oni sami o to się postarali. Policja nie skojarzy tego, co? Te dranie tak to urządziły!

Abbey wyszła z pokoju. Wzięła swoją torbę i wyszła na ulicę. Nie mogła w to uwierzyć. Jej ojciec był najpocziw-szą znaną jej osobą. Serce jej pękało na myśl, że coś go skłoniło, aby odebrać komuś życie, dwa istnienia. Wiedziała, że chociaż prawdopodobnie nie żałował tego, co stało się z Jamiem, to w końcu ciężar śmierci Danielle przygwoździ go i zniszczy.

Abbey przez godzinę wędrowała ulicami, aż wróciła do domu. Tata nie leżał na sofie. Zajrzała do jego pokoju. Spał na pościeli, w ubraniu, a obok stała butelka. Gdyby go złapali, ona będzie oskarżona o współudział. Zastanawiała się, czy zadzwonić na policję i zgłosić jego i siebie, dla ich wspólnego dobra, ale ta myśl była tylko przelotna. Zważywszy na wszystko, była z niego trochę dumna, że zajął takie stanowisko, za to, że odzyskał wolę działania.

Nazajutrz w muzeum zaszyła się w kącie i oddała pracy. Pan Lowestoft powierzył jej klucze i poprosił, aby pozamykała wszystko, jak wyjdzie. Teraz jej zadaniem było odświeżyć artefakty dla sali azjatyckiej. Najlepsze zostaną wystawione w skromnym muzeum, gdyż nie było miejsca dla każdego z nich. Dzień miał się ku końcowi i Abbey przerwała pracę nad skórzaną zbroją samuraja. Wszystkie kawałki leżały gotowe na następny dzień, kiedy poskłada skomplikowaną zbroję i założy ją na manekin z drutu. Teraz miała własny pokój do pracy, był to mały kąt, w którym wolno jej było ustawić swoje narzędzia i warsztat.

Wyszła z muzeum, mroczniejące niebo nabierało kobaltowego błękitu, szykując się do nastania nocy. Wsunęła klucz do zamka i poczuła, jak włosy na



karku stają jej dęba. Odwróciła lekko głowę i zauważyła postać stojącą za nią. Nie musiała patrzeć; rozpoznała jego wodę po goleniu. Szybko pchnęła drzwi i wpadła do środka, próbując zatrzaskać je przed Christianem. On wepchnął stopę i jednym szybkim ruchem przewrócił ją na bok. Wszedł i zamknął za sobą drzwi na klucz, który schował do kieszeni. Musiał wiedzieć, że ona nigdy nie włoży tam ręki.

— Musimy porozmawiać! — Mierzył ją wzrokiem.

Abbey rozejrzała się bezradnie po holu, nie miała dokąd uciekać. Znalazła się w pułapce.

## Rozdział 27

### Dyrektor

Ted zsunął nogi z łóżka, szukając nimi kapci na podłodze. Sięgnął ręką do nocnego stolika i po omacku próbował trafić na okulary. W powietrzu wyczuwał ciepły, słodki zapach gofrów. Wyszedł powoli z sypialni, szurając kapciami po luksusowym dywanie.

Na początku dnia łazienka zawsze wydawała się zbyt biała. Słońce wschodziło za domem i rano jego blask zalewał ją całą. Ted czuł palenie w kroczu, gdy wydalał toksyny z pęcherza. Wszystkie tabletki, które przyjął wcześniej, przeszły przez jego organizm. Mocz był ciemnożółty, a w białej ceramicznej muszli wyglądał wręcz brudno. Podszedł do umywalki i umył ręce; obejrzał się w lustrze. Był stary. Zawsze dziwiło go to, jak staro wygląda, bo wewnątrz czuł się jak dwudziestopięciolatek.

Na dole w salonie czekał na niego talerz z przysmakiem, który żona przygotowała specjalnie na ten wyjątkowy dzień. Dzisiaj Ted kończył sześćdziesiąt pięć lat i cztery miesiące, to nie urodziny, ale dzień wart odnotowania. Jutro jednak, a dokładniej w jutrzejszy wieczór w muzeum poczuje się znowu młody, zanim oficjalnie obwieści -przejdzie na emeryturę, zanim wraz z żoną wyjedzie w cieplejsze klimaty.

Włożył swój ulubiony garnitur z błękitnej wełny, ciepły, w jodełkę, szyty na miarę kilka lat temu. Nie pasował przez dłuższy czas, ale kiedy zdiagnozowano u niego raka, Ted schudł. Nie był pewien, czy przyczyna była psychosomatyczna, czy stanowiła wynik choroby powoli rozwijającej się w jego ciele. W każdym razie był zadowolony, że znowu może nosić ten garnitur.

Ted uczesał resztkę włosów, jak zwykle, z przedziałkiem z boku, świadom, że nikogo nie oszuka, ale nic go to nie obchodziło. Od kiedy dowiedział się o śmierci innych, nie miał ochoty słuchać radia w samochodzie; w obawie przed tym, co może nagle usłyszeć. Pierwsze z niepowiązanych doniesień dotyczyło samobójstwa Jeffa Stone'a. Uznał, że już dłużej nie może z sobą wytrzymać; podobna myśl przyszła Tedowi do głowy raz czy dwa na przestrzeni lat. Potem pojawiła się wzmianka w gazecie o zniknięciu jego przyjaciela Iana Markhama, co go zafrapowało. Natychmiast skontaktował się z Harrym, który powiedział mu, że Stephen Collins zmarł w Paryżu. Wtedy wszystko poukładało mu się w głowie. To było coś więcej niż zbieg okoliczności, pomimo zapewnień Harry'ego. Potem gruchnęła wieść o śmierci Davida Caruth-ersa. Jak dotąd nikt tych zdarzeń nie połączył. Ted wiedział, że jest jednym z nielicznych pozostałych. Miał nadzieję, że umrze, zanim prawda wyjdzie na jaw. Tak czy inaczej, jego czas się zbliżał.

Niemal zaśmiał się, kiedy specjalista przekazywał mu wiadomość. Czekał na znak, że może Bóg istnieje. Jak on sam mógł żyć bez kary za to, co zrobił? Przez lata był szczęśliwy, żyło mu się dobrze, dzieci go kochały i nigdy szczególnie niczego nie pragnął. To po prostu wydawało mu się nie w porządku.

To prawda, że jak raz zasmakowałeś w mroku, trudno jest odwrócić się i żyć normalnie, ale jemu to się udało. Tęsknił za czasami, które spędził z towarzyszami broni, ale nie tęsknił za strachem przed zdemaskowaniem. Podobnie jak dowiedział się o swojej chorobie, tak samo przyszło więcej dobrych wieści — jego poprzednik, dyrektor Giles Epler, odszedł i pozostawił po sobie sporą fortunę, którą powierzono muzeum. Za te pieniądze miał dokończyć odbudowę i renowację, co trwało wiecznie; przynajmniej w ciągu bytności Teda tutaj. Nie mógł uwierzyć, że od pożaru minęło osiemnaście lat. Drobiazgowo przywracali każdemu pomieszczeniu jego uprzednią świetność. Cóż, prawie każdemu.

W muzeum Gemma poinformowała go o wizycie policji; chcieli znać nazwiska wszystkich pracowników. Podała je. Ted był nieco rozczarowany, że nie aresztowano go; spodziewał się tego niemal codziennie.

Przesunął dłonią po znajomych słojach mahoniowego biurka. Będzie mu go brakowało. Przetrwało z nim dobre i złe chwile. Miało ponad sto lat i wiernie służyło ośmiu kustoszom. Zrobione na miarę, specjalnie dla tego muzeum, do tego właśnie pokoju. Przetrwało niezliczone okropieństwa, w tym pożar, który zniszczyłby je przy najmniejszej sposobności. Nic się tak nie pali jak stare drewno. Biurko dopełniał fotel z wysokim oparciem, z zielonej skóry; stały razem, majestatyczne na tle zasłon w georgiańskich szarościach. Spojrzał po regałach pełnych bezcennych książek, po ścianach ze świadectwami i dyplomami świetności oprawionymi w ramy. Zastanawiał się, czy wiódłby takie życie, gdyby ktoś wiedział. Jednak w tym problem, ludzie faktycznie wiedzieli. Przez cały ten czas czekał, aż ktoś doniesie policji i odbierze mu życie, na które on nie zasługiwał. Nawet nie przyszło mu do głowy, żeby samemu pójść na policję; i skończyć z tym, skończyć z tym uczuciem, niekończącym się wrażeniem, że coś strasznego się wydarzy.

Przechodził przez sale i uśmiechał się do stałych gości, którzy podziwiali wprowadzone przez niego udoskonalenia. Minęło sporo czasu, odkąd robił taki obchód. Pamiętał, jak szedł korytarzami z takim samym podziwem i zdumieniem jak dzieci, które dzisiaj przyszły. To było całe wieki temu.

Ojciec Teda sympatyzował z nazistami i opowiadał często, jak źle ich pojmowali i mylnie interpretowali ograniczeni „cholerni i naiwni liberałowie”. I że świat stałby się lepszy, gdyby udało im się oczyścić pulę genetyczną z nieczystości i niedoskonałości. Po wojnie ojciec został dyrektorem tego właśnie muzeum i pokazywał synowi wszystkie tajemnice, zanim przedstawił go Milesowi Eplerowi, który nastąpi po nim, a poprzedzi Teda. Rola Teda w tym wszystkim była nie do

uniknięcia. Ojciec Lowestofta i Epler razem uczyli się w Szkole Męskiej imienia Churchilla, prawdę mówiąc, oni wszyscy tam się uczyli. Kiedy tamten chłopak uciekł, Jeff -Stone przejrzał księgi i pozmieniał wpisy. W szkole dla chłopców, w której można było zidentyfikować sadystów, brutalni i despotów, trzeba było wiedzieć, czego się szuka. Przez osiemnaście lat oczekiwali jakiejś kary boskiej, nie wyobrażali sobie, że będzie tak brutalna i zdecydowanie nieludzka.

Ted szedł w stronę ptaszarni i poczekał, aż ludzie wyjdą. Przekręcił hak i otworzył drzwi prowadzące do tajnego pomieszczenia.

W pokoju panował teraz spokój, ale pamiętał, jak było, kiedy on i jego bracia odnowili stare tradycje dyrektorów z przeszłości, pod kuratelą Milesa Eplera, nadzorcy całej operacji. Ted instynktownie zajął własne miejsce i rozejrzał się po pokoju, ta perspektywa zwiększała niechciane uczucie nostalgii. Przypomniawszy sobie chłopca, przypomniał sobie, jak mu powiedział, aby współpracował, a wszystko będzie dobrze, żeby tylko robił to, co oni chcieli, a będzie mógł odejść. Chłopak był inny od samego początku. Epler rekrutował go, chociaż najwyraźniej nie miał żadnych inklinacji, aby czynić szkody. To był pierwszy z licznych błędów starca.

Ted wiedział, że pokój został naruszony, i wiedział, przez kogo, zastanawiał się, jak ten chłopak teraz wygląda, zastanawiał się, czy by go rozpoznał. Ogień i woda zniszczyły ich *sanctum sanctorum* i musieli z niego zrezygnować. Na początku wszystko zaczęło się od nieszkodliwej rozmowy przy kolacji w szkole, od żartów o tym, jak sprawy miały się w przeszłości. Epler opowiedział im miejscową historię o postępowaniu z homoseksualizmem. Łatwo było wskazać podatnych na to mężczyzn; to byli ci, którzy nie protestowali przeciw barbarzyńskiej naturze tej praktyki, ci, którzy niemal ekscytowali się tą wizją. Wtedy opowiedział tym nielicznym wybrańcom o ciemniejszej stronie tej historii, odbiegającej od oficjalnej wersji, przekazywanej wyłącznie tym naprawdę wierzącym, tym, którzy wierzyli w kurację. W przeszłości, kiedy nie można było zastosować kuracji, chłopcy otrzymywali łaskę śmierci. Ale oni nie działali w przeszłości, teraz sprawy wyglądały inaczej. Zastanawiał się, czy gdyby chłopakowi nie udało się uciec, dzisiaj też wypełnialiby swoją powinność? Czy odnosiliby sukcesy? Przypuszczał, że raczej skończyliby w więzieniu. Już samo nadużycie władzy posunęło sprawy za daleko, popełniano błędy, począwszy od tego bezdomnego chłopaka. Nie miał umrzeć, nie zgodzili się na to. Ich żądze dominowały i cel przepadł. Peter, Kevin, Harry i Jeff zdecydowali się podjąć działania samodzielnie. Media poinformowały o zniknięciu chłopca, a potem o odnalezieniu jego ciała w zrujnowanym budynku przez przypadkowych wachaczy kleju. Jediną poszlaką po śmierci chłopaka był Sebastian Epler, wnuk Milesa. Epler wymiękł w ostatnim momencie i pozwolił wnukowi uciec.

Ted poszedł z powrotem do holu. Gemma szczebiotowała do Shane'a, kokieteryjnie wydając mu polecenia.

— Pan Lowestoft! — Opanowała się i stanęła na baczność. Niemal spodziewał się, że zaraz mu zasalutuje.

— Dzień dobry. — Shane skinął głową, z uśmiechem na twarzy, odwrócił się i puścił do Gemmy oko.

— Nie przeszkadzajcie sobie, pójdę jeszcze raz przyjrzeć się naszej pięknej sali balowej. — Poczłapał obok nich, nogi bolały go z każdym krokiem. Zastanawiał się, kiedy zostanie wybawiony od tego ciężaru, kiedy nadejdzie jego czas, wiedział, że to musi stać się wkrótce, nie zostało ich wielu.

— Och, policja jest u pana w gabinecie — przypomniała sobie Gemma. — Próbowałam im powiedzieć, że jest pan zajęty przygotowaniem na jutro, ale nie chcieli słuchać.

— Dziękuję, Gemmo. — Ted uśmiechnął się, mogą na niego poczekać. Teraz to nie ma znaczenia.

Sala balowa znowu była w całej okazałości, tak jak przed pożarem, w dniach chwały. Nienawidził siebie za to, że wspomina tamte dni z czułością, ale prawda była taka, że gdyby mógł, toby do nich wrócił. Wiedział, kiedy odebrał telefon o śmierci Milesa Eplera, że przyjdzie na niego kryśka. Wiedział, że chłopak nie wraca, aby się zemścić, jedynie ze względu na staruszkę. Zastanawiał się, czy Epler nie zostawił im pieniędzy właśnie po to, by dać możliwość zaczęcia wszystkiego od nowa. Rozniecenia ognia, który kiedyś płonął tak jasno.

— Witam władze — powiedział Ted, otwierając drzwi. Kobieta przeglądała książki na półce, aż skrzyknęło go w środku, gdy zobaczył, jak wertowała pierwsze wydania bez należnej czci.

— Dzień dobry, dyrektorze. — Mężczyzna wstał i podał mu rękę. Ted uścisnął ją. — Detektyw Miles, a to detektyw Grey.

— W czym mogę pomóc? Jestem dzisiaj trochę zajęty, jak widać. Jutro czeka nas wielki dzień.

— Tak, wielka kwesta, o niej chcieliśmy porozmawiać.

— Strzelajcie. — Uśmiechnął się i wygładził garnitur, zanim usiadł w wiernym fotelu z zielonej skóry.

— Trzy ofiary niedawnych morderstw miały osobiste zaproszenia na jutrzejsze przyjęcie. Chcielibyśmy poznać powiązania między tymi ofiarami.

— Rozesłano ponad setkę takich zaproszeń do różnych ważnych osób.

Trzy? Więc nie wiedzą o Davidzie Caruthersie ani o Steph-enie. W mediach było głośno o Davidzie, może dlatego, że on tam pracował, ale to działo się prawie trzysta kilometrów stąd. Najwyraźniej nie udało im się połączyć faktów. Ted miał nadzieję, że nie będzie go, zanim oni to powiążą, zanim zajrzą do najbardziej odrażających zakątków jego przeszłości. Prawda zawsze wyjdzie na jaw, tego Ted nauczył się przez te wszystkie lata, a im dłużej to trwa, tym staje się bardziej ohydna i cuchnąca, i Bóg jedyny wie, że nie chciałby tu być, kiedy do tego dojdzie.

Jeżeli do tego dojdzie, weźmie przykład z Jeffreya i użyje sznura. Był poniekąd ciekaw, jakie będzie oburzenie opinii publicznej. W końcu poprzedni dyrektor Giles Epler zgromadził przed laty grono ludzi podobnie myślących.

— Czy zna pan osobiście pana Markhama? — zapytała Grey.

— Tak — odparł Ted.

— Skąd pan zna Iana Markhama?

— Przez wiele lat jego firma była bardzo szczodra dla muzeum.

— Zna pan nazwiska pozostałych osób, które otrzymały prywatne zaproszenia na dzisiejszy wieczór?

Ted próbował znaleźć sposób, aby powstrzymać to, co nieuniknione, skłamał co do osobistych zaproszeń, wysłane zostały tylko do jego towarzyszy, wystarczy, że raz spojrzą na listę i zaraz zorientują się we wszystkim. Zapraszanie ich było sporym ryzykiem, ale minęło prawie dwadzieścia lat, nikt nie pamiętał chłopca, który zginął. Nikt poza tym, który uciekł. Dopiero kiedy Ted usłyszał o innych zgonach, zrozumiał, że zaproszenia to głupi pomysł. Osiemnaście lat to wystarczająco długi czas, aby nabrać przekonania, że jest się bezpiecznym. Teraz przejrzą na oczy i znajdą powiązania.

— Obawiam się, że nie mam tych informacji i nie mogę przedstawić państwu. Wysłałem zlecenie do drukarni. Jeżeli macie nakaz, możecie przejrzeć moje maile.

Kobieta podniosła głowę i wbiła wzrok prosto w Teda; najwyraźniej wypowiedział magiczne słowo, jej obojętność ustąpiła nieufności.

— Możemy zdobyć nakaz, jeśli pan chce. — Uśmiechnęła się i usiadła naprzeciw Lovestofta. Zorientował się, że wypowiedział niewłaściwe słowo; na jej twarzy malowało się podejrzenie, chociaż wcześniej nic tego nie zdradzało. — A potrzebujemy?

— Chciałbym przede wszystkim ochronić informacje dotyczące naszych darczyńców. Rozumie to pani?

— Moglibyśmy równie dobrze zjawić się na przyjęciu jutro. — Uśmiechnęła się. — Przydałoby mi się wychodne.

Detektyw Miles uśmiechnął się do niego.

— Proszę, róbcie, co do was należy, a ja zrobię to, co muszę. — Ted uśmiechnął się, ale nigdy nie potrafił blefować.

Detektyw Grey wyszła i była już niemal w połowie korytarza, kiedy Miles w końcu oderwał spojrzenie od Lowestofta i poszedł za nią, zamykając za sobą drzwi. Ted sięgnął po telefon i wybrał dobrze zapamiętany numer; nie musiał nawet go sprawdzać.

— Harry, musisz coś zrobić, i to już! Było u mnie dwoje detektywów. Pytali o Iana. Postarają się o nakaz i dowiedzą się o innych, o tobie!

— Załatwię to — odparł Harry. — Przestań panikować.

Telefon zamilkł. Ted usiadł przed komputerem i otworzył okienko ustawień; kliknął i przywrócił ustawienia fabryczne. Bez walki nic tutaj nie znajdują. Podniósł wzrok i dostrzegł coś przymocowanego do drzwi. Był to wisior z krzyżem egipskim, symbolem wiecznego życia. To ten symbol został namalowany złotą farbą na tyle krzesła Teda, nie na tym... na krześle w tamtym pokoju. Krzesło, które zajmował podczas tajnych spotkań. Każdy z nich miał swój symbol; wieczne życie należało do Teda. Jak na ironię jego ciało miało inne pomysły. Nieoperacyjny, to słowo, którego nikt nie chce usłyszeć, niesie ten sam ciężar co słowa złośliwy i nieuleczalny; tak zdecydowanie ostateczny. Ciąg jego myśli został przerwany przez znajomy dźwięk czarnego telefonu z bakelitu. Nie chciał odbierać, nie chciał z nikim rozmawiać, ale podniósł słuchawkę.

— Halo? — zapytał ostrożnie Ted.

— Zapraszam do ptaszarni, panie Lowestoft, już czas — rozległ się niski, zniekształcony głos; najwyraźniej zakrywał słuchawkę.

— Bardzo dobrze. — Więc to już, koniec, którego się spodziewał.

Rozejrzał się po gabinecie, zanim zamknął za sobą drzwi. Nie da chłopakowi satysfakcji z gonitwy, chociaż po głosie poznał, że to już nie jest chłopiec. Pójdzie do niego i odbierze karę jak mężczyzna, cokolwiek to będzie.



Ptaszarnia to nazbyt górnolotne określenie tego mauzoleum mieszczącego truchła ptaków zabitych zniechęca i bez współczucia. Wszystkie ptaki zostały ustawione, jakby przebywały na wolności albo siedziały na gnieździe, albo zrywały się do lotu, i to z wielką starannością i troską co do szczegółów. Tak, to był jego ulubiony pokój. Podziwiał go, patrząc na fantastycznie dobrane kolory, których najwyraźniej brakowało w przyrodzie.

Ted wszedł do pokoju i zobaczył mężczyznę odwróconego plecami. Głowę miał zakrytą czarnym kapturem.

— Czy wiesz, czego symbolem jest kruk? — rozległ się głos.

— Śmierci — odrzekł Ted. — Kruk jest symbolem śmierci i wojny.

— Właśnie, panie Lowestoft. — Mężczyzna odwrócił się i Ted ujrzał Parkera, doktoranta, który pomagał Abbey.

— Parker, myślałem, że to kto inny — powiedział i mimowolnie odetchnął z ulgą. Czyżby Parker przestraszył kata? Parker uśmiechnął się krzywo i wzruszył ramionami. Mierzył Lowestofta wzrokiem.

Minęło kilka chwil, zanim Tedowi rozjaśniło się w głowie i w końcu zrozumiał, co się dzieje. Wiedział, że nigdy wcześniej tak naprawdę nie zwracał uwagi na Parkera. Wtedy to dostrzegł. Dostał odpowiedzi na wszystkie pytania. Co się stało z tym chłopakiem? Czy Ted w ogóle rozpoznałby go, gdyby go zobaczył? W głowie miał wypalony obraz dojrzewania i młodości, jakby czas zatrzymał się

w miejscu tylko dla jednej osoby. Zapomniał, że ludzie dorastają, zmieniają się.

— Byłem niemal pewien, że mnie poznasz. Ale nie rozpoznałeś. Nawet byłem tym trochę rozczarowany, muszę przyznać. Jednak szczerze mówiąc, tylko dlatego jeszcze żyjesz.

— Chyba nie ma sensu, żebym ciebie przeproszał za to, co zrobiliśmy — powiedział Ted, spoglądając na gablotę, a nie na gościa; nie mógł spojrzeć mu w oczy, aby zobaczyć nienawiść, na którą tak bardzo zasługiwał. Parker podszedł do pięknej, wielkiej gabloty, która zasłaniała wejście do ich specjalnego pokoju. Kilka czarnych ptaków z błękitnozielonym błyskiem na skórzastych piórach. Zupełnie jakby zanurzono je w benzynie, aby gładkie lotki wyglądały na mokre.

— Wredne kruki.

— Słucham?

— Wredne. Wiesz dlaczego? Bo wypychają z gniazda młode i zostawiają, żeby umarły.

Tedowi w uszach dudnił puls, równo, regularnie. Leki utrzymywały rytm za niego, bo jego ciało nie dawało rady. Kołnierzyk robił się coraz bardziej ciasny, oddychanie przychodziło mu z coraz większym trudem. Prowadząc w życiu grę pozorów, trzeba ignorować wiele rzeczy dotyczących samego siebie. Stają się one coraz trudniejsze do zignorowania, kiedy przed tobą stoi ich dzieło i grozi, że skończy to wszystko. Parker spojrzał na niego.

— Co zrobiłeś? — zapytał.

— Wziąłem tabletki, wszystkie, tyle, ile znalazłem — przyznał Ted.

— To masz szczęście. — Parker uśmiechnął się i poklepał Teda po ramieniu. Ted wzdrygnąłby się, gdyby nie był taki odrętwiały od leków. — Boisz się?

— Ciebie? Pewnie nie tak bardzo, jak na to zasługuję.

— Nie wierzę, żebyś był zdolny do skruchy, więc nie graj ze mną w te klocki.

— Dziwię się, że wierzysz w cokolwiek po tym, co przeszedłeś.

— Oszczędź mi tej domorosłej psychologii, cokolwiek powiesz, nie wymażesz wspomnień o tym, kim byłeś. Zapomniałeś już?

— Wiem, kim byłem, wiem, kim jestem.

— Więc wiesz, że nie mam wyboru. Taki zawsze miał być koniec.

— Tak. Wiem.

— W ciągu tych ostatnich kilku miesięcy nawet ciebie polubiłem, już prawie nie widać potwora, którego kiedyś znałem. Ale wchodzę tu i widzę kruki, pamiętam, co kryje się za nimi. — Przerwał na moment i spojrzał na Teda, który chwycił się za kołnierz, z każdą sekundą coraz słabszy. — Twoje krzesło stało najbliżej mnie.

— Proszę. — Ted czuł, jak uginają się pod nim kolana. Parker rzucił się ku niemu i podtrzymał go, był delikatny; zupełnie jakby dbał o niego.



— Pamiętam, że na początku, kiedy wprowadzono mnie do tego pokoju, miałem nadzieję, że mnie uwolnisz, tylko ty podałeś mi wodę. Nawet mój dziadek nie okazał mi takiego współczucia.

— Gdybym mógł to cofnąć... — wycharczał Ted.

— Nie możesz. Musimy już iść.

— Iść? — Wzrok odmawiał mu posłuszeństwa, mdliło go w żołądku, słowa przyklejały się do języka, który stawał się zbyt ciężki, aby mógł nim ruszać. Ted oparł się o Parkera, który prowadził go przez muzeum. Było puste, a młody mężczyzna ostrożnie wyglądał za każdy róg, zanim ruszył dalej. Ted z trudem koncentrował się na jego słowach.

— Było gorzej, wiesz. Spodziewałem się tego po innych, ale w twoim przypadku miałem nadzieję. Wiesz, że w puszcze Pandory pozostała jedynie nadzieja, niektórzy myśleli, że stało się tak, bo nadzieja to najbardziej zgubna emocja ze wszystkich. Kiedy nadzieja zawodzi, po niej nastaje jedynie całkowita i bezdena rozpacz. Bez nadziei nie ma rozpacz.

Chociaż wzrok miał zamglony, Ted widział, że zbliżają się do sali balowej. Parker otworzył drzwi i obaj weszli do środka, zamykając je za sobą.

## Rozdział 28

### Kapuś

To wszystko wydaje się bardzo tajemnicze. — Gary Tunney, informatyk śledczy i maniak komputerowy, wpychał do ust spaghetti. — Przepraszam, głodny jestem. Całe rano siedziałem na tym cholernym seminarium, szkolenie dotyczące nowego podejścia do terroru. Musiałem się nauczyć dobrze przyjąć postrzał. Jakby człowiek miał wybór, gdzie cię postrzelą.

Adrian i Grey tylko na niego patrzyli, nic nie jedli.

— Mówiłeś, że coś masz — powiedział Adrian, żeby tylko zagłuszyć odgłosy jedzenia; nie były przyjemne.

— O rany, czy coś mam! — wykrzyknął Gary, wylizując resztki obiadu, niepomny grymasu obrzydzenia na twarzy Grey. Odsunął miskę na bok i sięgnął po torbę, z której wydobyl plik papierów. Gary miał dwadzieścia kilka lat, kręcone kasztanowe włosy wymykające się spod czapki. Czapka była czarna, gruba, wełniana, zupełnie niedopasowana do warunków pogodowych, szara i lśniąca w zagięciach, gdzie osiadł martwy naskórek i pot; nie wyglądało na to, żeby kiedykolwiek ją zdejmował.

— Co to takiego? — Grey sięgnęła po papiery. Gary odsunął je ze złośliwym uśmiechem.

— Ale, ale, musicie poczekać na wielką odsłonę.

— Lamer z ciebie. — Grey uśmiechnęła się.

— Uroczo wyglądasz bez okularów, detektyw Grey — powiedział. Grey uniosła brwi, a on pospiesznie przeniósł uwagę na papiery. — Dobra, więc nóż, który znaleźli w domu Ryana Harta, to nie ten użyty przy koronerze czy Kevinie Harcie, chociaż to może się wydawać prawdopodobne, że ten sam nóż został użyty przy obu nieszczęśnikach... tylko że to nie jest ten.

— Tego się domyślaliśmy — rzucił Adrian.

— Zgoda, ale wiedzieliście, że podobnego noża użyto niedawno w innym głośnym morderstwie, gdzie ofiara została pocięta? Mało tego, nóż został porzucony na miejscu zbrodni. — Gary Tunney uniosł brwi; był podekscytowany, czekał na reakcję.

— Kogo? — Adrian podszedł bliżej i pochylił się nad stołem.

— Davida Caruthersa, tego dziennikarza — wyszeptał, jakby plotkował.

— Mówisz o tym okropieństwie w Londynie?

— Tak. Nie znaleźli na nożu żadnego DNA poza należącym do Caruthersa. Nóż to kukri, używany przez nepalskie wojsko; dość oldskulowy. Wielki i lśniący.

— Masz jakieś notatki z tego morderstwa?

— Och, tak, zasadniczo krwawa jatka. Starożytna chińska metoda torturowania, ofiara miała setki cięć na ciele, a raczej na tym, co z niego zostało. Tylko uważaj, chłopie, sam nigdy nie widziałem takiej masakry. — Gary podał teczkę Adrianowi, który przejrzał zdjęcia. To było nierzeczywiste w takiej samej mierze jak zbrodnia Kevina Harta, nie wspominając zabójstwa koronera.

— Myślisz, że dokonała tego ta sama osoba? — zapytał, chociaż znał odpowiedź, nie mógł tego popełnić nikt inny.

— Bez wątplenia, a z pewnością nie zrobił tego świrnięty Ryan Hart.

— I nikt nie powiązał morderstwa Caruthersa z naszymi tutaj? — dopytywał się Adrian.

— Oficjalnie nie. Możesz spróbować jednak pchnąć tę informację na górę; może dadzą ci odznakę wzorowego harcerza.

— Dobra, to wszystko? — odezwała się Grey.

— Hm, nie, dziwne, że pytasz, to zdecydowanie nie wszystko. Zerknąłem do akt Kevina Harta i na raport z sekcji zwłok, a potem jakimś cudem udało mi się obejrzyć ciało.

— I?

— Nic z tego nie ma sensu. To znaczy, ma sens, ale to się nie zgadza.

— Teraz to ty mówisz bez sensu. — Grey uśmiechnęła się niecierpliwie.

— Hm, opisy z miejsca zbrodni nie pasują do raportu z sekcji, a żaden nie pasuje do moich przemyśleń po obejrzeniu szczątków.

— Mów dalej.

— Ten koroner musiał cierpieć na jakąś chorobę, co mu uniemożliwiało wykonywanie zawodu w stopniu choćby zadowalającym. Ja lepiej bym się spisał, a w ogóle brakuje mi tego rodzaju doświadczenia. Specjalizuję się w komputerach!

— Albo?

— Albo bardziej prawdopodobne wyjaśnienie, że był nieźle skorumpowany. Ukrył sporo faktów albo je źle ujął. Tak bardzo je poprzecinaczał, że to nie mogło stać się przypadkiem. On coś ukrywał.

— Dlaczego?

— To trafne pytanie.

— Myślisz, że koroner był w to wplątany?

— Nie wiem! Ty jesteś detektywem. To raczej oczywisty wniosek. — Gary przywołał kelnerkę. Podeszła. — Poproszę podwójne espresso i banana split.

— Oczywiście. — Kelnerka pospiesznie odeszła z zamówieniem.

— Banana split? Co ty, masz pięć lat? — spytała Grey.

— Lubię to, a co, pozwiesz mnie za to? — Jeszcze miał sos pomidorowy na brodzie po włoskim lunchu, wsiąkający w rudą brodę.

— Jest coś jeszcze? — Adrian nie mógł znieść nieudolnych zalotów Tunneya do Grey, więc skierował rozmowę z powrotem na sprawy zawodowe.

— Hm, urocza detektyw Grey poinformowała mnie, że coś was gryzie w kwestii zbrodni Harta, starszego, nie młodszego. Chociaż mam również kilka rzeczy do powiedzenia na temat zabójstwa juniora. W każdym razie przyjrzałem się zdjęciom i macie rację, było w tym coś znajomego. Więc pogrzebałem trochę w Internecie.

— W Internecie, gdzie?

— Jest sporo stron na temat seryjnych zabójców, przerażających morderstw, teorii na temat tego, co się stało, nierozwiązanych przypadków i całego tego gówna. Ludzie fascynują się makabrą. Nie pytajcie dlaczego.

— To znalazłeś coś?

— Jakieś dwadzieścia lat temu znaleziono ciało w mieście, w magazynie nad rzeką... raczej fragmenty ciała... w walizce. Przy starym młynie. Naprawdę przerażający przypadek, to znaczy nie odmiana rzeczownika, tylko przerażające morderstwo. — Zachichotał ze swojego dowcipu.

— To było dziecko, tak? — Adrian przypomniał sobie.

Wiek określili na około trzynaście lat, nie było sposobu na identyfikację ciała, chociaż ślady wskazywały na ekstremalne zaniedbanie i niedożywienie, tortury, a niektóre z nich naprawdę wynaturzone.

— Myślisz, że to wszystko ma związek z tym?

— Hm, wracając do tego patologa. Pracował przy tym przypadku. Była to jedna z pierwszych sekcji, przy których był obecny. Musiałem jednak odszukać oryginalną dokumentację, bo jego nazwisko nie figuruje na żadnej kopii. — Kelnerka ustawiła przed nim wieżę z lodów, galaretki i bananów; zerknęła na fotografię na stoliku, krew i flaki wszędzie. Powiodła po nich przerażonym wzrokiem. Adrian otworzył portfel i pokazał jej odznakę. W odpowiedzi ona obdarzyła go uśmiechem. Grey jęknęła i pokręciła głową. Adrian puścił do niej oko.

— Niezła robota, Tunney. — Grey uśmiechnęła się, porywając wisienkę z wierzchołka deseru.

— Nie musisz kraść mi wisienki, Grey, możesz poprosić. — Obliznął łyżeczkę, co Adrian sklasyfikował jako próbę flirtu, ale Gary Tunney najwyraźniej nie przywykł do flirtowania.

— I co jest na tej stronie na temat sprawy chłopca w walizce? — spytała Grey.

— Mniej więcej w tamtym okresie zaginęło całkiem sporo chłopców. To nie była dobra pora, aby być wtedy i tutaj młodzieńcem.

— Mają na ten temat teorię?

— Te strony są bardzo dobre, ale nie szukałbym na nich konkretnych informacji, zasadniczo mówią o jakimś złym, satanistycznym kulcie, w którym składa się ofiary z ludzi, co jest dość ważnym powodem dla spraw, w których

brakuje przyczyny. Starają się znaleźć racjonalne wytłumaczenie dla irracjonalnego czynu. Istnieje bardzo mało dowodów na to, że ten kult sataniczny tak w ogóle kiedykolwiek istniał. Spekulowano też, że to mogła być sprawa gejowska, sam nie wiem. Nie minęło dużo czasu, od kiedy Dennis Nielsen, morderca z Muswell Hill, zabił sporą liczbę mężczyzn i chłopców w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Spotykał się z facetami w gejowskich barach albo zwabiał bezdomnych chłopców do swojego mieszkania w północnym Londynie. Sprawa nabrała rozgłosu w jego przypadku, jak to bywa z większością seryjnych morderców. Od tej pory jednak podejrzewano, że każdy zaginiony mężczyzna lub chłopiec stawał się ofiarą zbrojonego seryjnego mordercy. W tamtych czasach ludzie nie byli zbyt otwarci w raportach. To jednak nie był ten sam morderca w przypadku chłopca i patologa, ten drugi wzorował się na tym pierwszym, -bardzo podobny modus operandi, ale inna siła, inne kąty, po prostu inaczej. Jednak całkiem nieźle naśladował. Ktokolwiek to zrobił, znał szczegóły, o których nie pisano w prasie, albo policjant, albo ktoś, kto faktycznie tam był. Na początek brakowało narzędzi. Usunięto mu odciski palców, odcięto zaraz po śmierci, prawdopodobnie, żeby uniemożliwić identyfikację. Zęby też nie pozostały nietknięte, ale to zdawało się wynikać z systematycznych tortur, jakim został poddany.

— Świetnie, Tunney, dziękuję. — Adrian zatrzasnął teczkę, nie mogąc już patrzeć na zdjęcia Caruthersa. Nie rozumiał, jak Gary Tunney mógł siedzieć i zjadać banana split ociekający syropem truskawkowym. Niektórzy to mają -żelazny żołądek.

— Jezu, Gary, może byś za nas popracował? — Grey obdarzyła go ujmującym uśmiechem w ramach wynagrodzenia.

— Znasz mnie, Grey, jestem drobiazgowy. — Puścił do niej oko.

— Chcesz powiedzieć: wścibski.

— Ryanowi Hartowi wstrzyknięto naprawdę przeraźliwy koktajl z dragów; człowiek z jego kontaktami nie mógł zażyć takiego gówna. On szukałby czegoś pierwsza klasa. Pamiętasz tych, co przedawkowali w zeszłym roku, pracowałaś nad nimi w Plymouth. Ten towar był bardzo podobny, pewnie od tego samego chemika. Każdy chemik ma swoją sygnaturę, kiedy dotrze się do czystego związku. To była krystaliczna meta zmieszana z kilkoma tanimi substytutami, pospolitą chemią gospodarczą. W każdym razie przyjął dawkę dziesięciokrotnie większą od rekomendowanej, w najlepszym razie było to samobójstwo. Ale całe miejsce wyglądało mi na ustawione. Poza tym taki doświadczony ćpun jak Hart nie próbowałby się wkłuwać w żyłę cztery razy, ktokolwiek mu to wstrzyknął, nie robił tego wcześniej. To nie wszystko...

— Dobra, dawaj, co jeszcze? — pytała Grey.

— Trzej chłopcy, którzy zaginęli w latach siedemdziesiątych, uczęszczali do

Churchilla. Starej szkoły Ryana Harta, zanim jeszcze wyrzucili go za dilowanie.

Adrian pobladł. Do tej szkoły chodził Tom. Wtedy przypomniał sobie, co Ryan powiedział o „tamnym nauczycielu” i samobójstwie Jeffreya Stone’a. Doszło tu do czegoś jeszcze większego i należy to odkryć.

— Jest coś jeszcze?

— Jest jeszcze jedno nazwisko, które wyskakuje, gdzie tylko spojrzę. — Jego deser już prawie zniknął. Adrian widział, że Gary rozważa, czyby nie wylizać pucharka.

— Kto to?

— Wasz detektyw Daniels.

Grey spojrzała na Adriana. Miała doświadczenie w pracy z kanalami. Zauważył, że jej oddech stał się cięższy, jakby świadomie starała się nad nim zapanować. Oderwała od niego wzrok i spojrzała wprost przed siebie. Ostatnim razem, kiedy miała kłopoty z jednym ze swoich współpracowników, skończyła z raną biegnącą przez cały brzuch. Adrian chciał zatrzymać ciąg myśli, który malował się na jej twarzy.

— To gdzie to jest? — zapytał głośno Adrian, wyrywając Grey z zamyślenia.

— Gdzie jest co? — Gary wytarł usta.

— Najlepsze miejsce, żeby dać się trafić.

— Hm, to skomplikowane — podekscytował się Gary. — Zakładając, że nie można praktycznie ustawić się tyłkiem do strzelającego... to miejsce, gdzie jest najwięcej tłuszczu, wydaje się najlepsze. Lecz jeżeli strzał trafia w tors, to unikaj kości i głównych organów. Więc albo bardzo konkretne miejsce po lewej stronie żołądka jakieś trzy centymetry pod żebrami... będziesz krwawić i będzie bolało jak diabli, ale nie zabije cię... albo w miękkie miejsce pod obojczykiem, z dala od kręgosłupa. Co ciekawe, osiemdziesiąt osiem procent ludzi postrzelonych w pełni dochodzi do zdrowia.

— Dobry z ciebie człowiek, Gary. Stawiam ci lunch. — Adrian sięgnął do kieszeni i wyciągnął banknot dwudziesto-funtowy, położył go na stole. Grey wstała razem z nim i poklepała Gary’ego po plecach.

— Trzymaj się, Gary, też jestem ci winna lunch.

Przed barem Grey rzuciła Adrianowi spojrzenie pełne złych przeczuć. Dostali sporo informacji, puszkę z robakami.

— Co sądzisz? — zapytał.

— Że informacje Gary’ego są mocne. Potrafi rozwiązywać zagadki, lubi składać do kupy takie rzeczy, aż wszystko nabiera sensu, nie mówiłby nam, gdyby nie był pewien.

— Idziemy do Morrisa?

— Chyba nie możemy. Wiem, że Daniels to menda, ale nie wyobrażam

sobie, żeby się skundlił. Poza tym jest dużo młodszy od tych ofiar. Inne pokolenie. Musimy zdobyć solidne dowody, zanim pójdziemy do Morrisa.

— Ryan opowiedział mi o tych mężczyznach, którzy przychodzili do jego domu, kiedy był mały, że rozpoznał nauczyciela. To był dyrektor ze szkoły mojego Toma. Czy to o to w tym chodzi...

— Nie myśl o tym. Zgoda, wszyscy wydawali się trochę zboczeni, ale musimy być ostrożni, zanim zaczniemy wszystkich oskarżać — powiedziała Grey. — Musimy się dowiedzieć, czy wcześniej stawiano szkole jakieś zarzuty. Może to dotyczyć czegoś zupełnie innego. Zboczenie Markhama było na tle hazardu przy użyciu pieniędzy innych ludzi, nie zabawy z dziećmi. Nie ma dowodów na to, co się tu dzieje.

— Takich zarzutów wobec szkoły nie było, a przynajmniej nic takiego nie zapisano. Robiłem wywiad, zanim Tom tam poszedł. Tylko mam złe przeczucia, Grey. Czuję się, jakby wszyscy mnie okłamywali, okłamywali nas. Musimy znaleźć kogoś, kto powie nam, co się stało. Kogoś, kto tam był. Ktokolwiek jest w to zaangażowany, oni pozbyli się wszelkich dowodów na piśmie. Czuję, jak coś mnie w to wciąga, o zgrozo. To będzie jedna z tych spraw, gdzie nie będzie zwycięzców.

— Miley, tak przeważnie dzieje się z morderstwami.

— To co teraz zrobimy? — zapytał Adrian, wiedząc dobrze, że musi zadzwonić do Andrei, aby powiedzieć jej, że Tom nie wraca do tej szkoły.

— Chyba musimy wrócić na posterunek i wybadać Danielsa.



Imogen wjechała na parking przy posterunku, znajdując miejsce jak najdalej od jej byłych kolegów, których samochody stały razem w wielkiej metalowej grupie. Tak bardzo niepewnie czuli się, że aż musieli parkować razem, w swojej małej klice. Przeszła obok „jego” samochodu, do myśli nawet nie dopuszczała jego nazwiska. Przeklęła fakt, że są tu kamery; chciałyby mu podziurawić opony, podrapać lakier kluczykiem, wybić światła.

— Grey — usłyszała za plecami. Zjeżyły jej się włosy na karku. Wiedziała, że to jej były partner, detektyw Samuel Brown.

— Czego chcesz tym razem? Ile razy mam ci powtarzać, żebyś mnie zostawił w spokoju? — Odwróciła się, z ręką na biodrze, starając się stworzyć wrażenie, że jest spokojna i opanowana, a to zdecydowanie mijało się z prawdą. Serce jej waliło, co nie zapowiadało nic dobrego.

— Chciałem, Grey, żebyśmy zapomnieli to tej sprawie między nami. Dostałaś awans.

— Ty też! — wtrąciła.

— Mówię tylko, żebyśmy znowu zostali przyjaciółmi. — Poglaskał ją po

ramieniu. Grey była wdzięczna, że miała na sobie trzy warstwy ubrań, które oddzielały jej skórę od jego pełzającej ręki. Cofnęła się przed nim, ale on poszedł za nią.

— Przyjaciele nie wypróbują się i nie każą zabijać swoich przyjaciół. Przyjaciele nie śledzą się nawzajem!

— Nie tak było, znowu przesadzasz, jak zwykle. Nie znasz wszystkich faktów. — Nadal trzymał ją za ramię, Grey chciała strząsnąć jego rękę albo mu ją odciąć. Jednak nie mogła się ruszyć, była jak z kamienia.

— Muszę wejść. Nie odzywaj się do mnie więcej. Koniec z nami.

— Imogen, popełniasz błąd.

— Popełniłam błąd, gdy tobie zaufałam, Sam.

Spojrzała wymownie na jego rękę. Sam nie ruszył się, za to trzymał ją z jeszcze większym przekonaniem. Pochylił się bliżej i spojrzał jej w oczy.

— Dam ci dobrą, przyjacielską radę.

— Jaką?

— Oglądaj się za siebie, dobrze?

— Grozisz mi?

— Wiesz co? Jeżeli dzięki temu cofniesz się, to tak, grożę! Szef już kazał ci się wycofać, może powinnaś go posłuchać.

— Już nic gorszego nie możesz mi zrobić poza tym, co zrobiłeś! — krzyknęła, on podniósł ręce i cofnął się. Grey naprawdę miała ochotę uderzyć go w twarz, ale jedynie go opluła, jakoś to wydało jej się stosowne.

Otrząsnęła się ze złości i weszła do budynku. Zobaczyła znajomą scenę, jak Denise, sierżant dyżurny, spogląda tęsknie na jej partnera. Miles, oczywiście, nie zwracał na nią uwagi. Zasadniczo nie zwracał uwagi na uczucia innych ludzi. Imogen dobrze się przy nim czuła ze swoją introspektywną naturą, on nigdy nie wypytywał o szczegóły jej życia. Nie lubił za dużo rozmawiać ani nawet nie był miły, pochłaniała go praca i to mniej więcej wszystko. Jak dotąd nie odczuwała nadmiernej chęci manipulowania nim, co ludzie często w niej wyzwalali.

— Przyniosłaś coś do jedzenia? — zapytał Miles, co przypomniało jej, że jest głodna. Zawsze zapominała jeść w pracy, ale dzięki Bogu w schowku w samochodzie trzymała potężny zapas czekolady na czarną godzinę.

— Zapomnij. Co teraz robimy, skoro ten stary matoł z muzeum nas zablokował? Nie dostaniemy nakazu bez wiedzy Danielsa, musimy siedzieć cicho, nie wiemy, kto jest w to wplątany.

— Pomyślałem, że przecież mamy tu dwa zaproszenia. — Pomachał nimi w powietrzu z uśmiechem na twarzy. — Nie musimy mieć nakazu, żeby z nich skorzystać, i możemy zobaczyć, kto zjawi się na przyjęciu. Nigdy nie wiadomo, może dopisze nam szczęście.

— Jak ma nam dopisać? — Zmarszczyła brwi, niby żartując, znając jego



skłonności, aby całkiem dosłownie nakłonić niemal każdą napotkaną kobietę, aby zdjęła dla niego majtki.

— Chodzi o to, że tam może być morderca. — Spojrzeli po sobie, dobrze wiedząc, że ta ich udawana rozmowa przeznaczona jest dla uszu wszystkich innych.

— Powiemy o tym szefowi? — Rozejrzała się, aby sprawdzić, czy wszyscy znajdowali się odpowiednio blisko, aby to usłyszeć. Bardzo dobrze знаła odpowiedź na to pytanie.

— No, dalej, Grey, co ty na to? Chcesz iść ze mną na randkę? Przyjadę po ciebie o siódmej.

Ciekawość zawsze zwycięża, przede wszystkim dlatego wstąpiła do policji, żeby mogła legalnie wścibiać nos w sprawy innych ludzi. W taki sposób wpadała w większość tarapatów, po prostu chciała informacji z pierwszej ręki. Pragnęła zobaczyć, co się stanie na przyjęciu, a nie tylko przeprowadzić wywiad z ludźmi po zdarzeniu. Miała przeczucie, że coś złego miało się wydarzyć. Nie ma czegoś takiego jak zbieg okoliczności.

— Dobra, zrobię to, ale sama tam pojedę, mam jutro sprawy do załatwienia. Nie mogę się z tobą spotkać wcześniej niż o ósmej. — Widząc ekscytację na jego twarzy, trochę się uśmiechnęła, ale był z niego prawdziwy wariat.

— Jest mały haczyk.

— Co takiego?

— Musisz się wyszykować... wiesz... jak dziewczyna. — Podniósł kubek z kawą do ust, trwożliwie unosząc brwi. Najwyraźniej czekał, aż ona wycofa się albo skrytykuje go.

— Masz na myśli warkoczyki i sukienkę w kratkę? — Zakręciła na palcu pukiel włosów i zatrzepotała rzęsami, a on niemal zakrztusił się kawą.

— Jak kobieta, musisz się ubrać jak kobieta, obowiązują stroje wieczorowe — wykrztusił, wycierając kawę z koszuli.

— To może być problem.

— Na pewno coś wymyślisz. — Dalej tarł koszulę i mamrocząc coś, pomknął do łazienki, żeby sprać wielką, brązową plamę.

Imogen naburmuszyła się i przejrzała w myślach swoje rzeczy, większość jej ubrań była wariacją na temat tego, co teraz miała na sobie. Kiedy wyjechała z Plymouth, pozbyła się wszelkich śladów po tym, kim była. Po ataku oddała wszystkie ubrania organizacji charytatywnej i poszła sobie kupić takie, które choć trochę przypominały jej młodość, kiedy to trzymała się ze skate'ami i słuchała alternatywnego rocka w parku aż po błądy świt. Nigdy szczególnie nie interesowały jej ładne sukienki ani szpilki, ale byłoby dobrze mieć takie w zapasie, w sytuacjach takich jak ta. Nienawidziła robić zakupów, więc to było wykluczone. Zlustrowała pokój, aż zatrzymała wzrok na Denise, sierżant dyżurnej o twarzy jak

Barbie. Nosiły mniej więcej ten sam rozmiar. Podeszła do niej i zauważyła, że od czasu do czasu dziewczyna zerka na toalety, najwyraźniej czekając, aż pojawi się Miles.

— Denise, musisz mi pomóc. — Imogen uświadomiła sobie, że dopiero trzeci raz rozmawia z tą dziewczyną, poza powitaniami i pożegnaniem przed i po pracy. Oparła się o biurko i pochyliła do przodu, a na twarzy Denise pojawiła się obawa. — Nosisz rozmiar dziesięć, tak?

Adrian znowu odłożył telefon, Andrea nie odbierała, a on musiał z nią porozmawiać o Tomie. Nie lubił nagrywać wiadomości na jej skrzynkę, poza tym taką rozmowę lepiej przeprowadzić osobiście. Chciał porozmawiać o możliwości przeniesienia Toma do innej szkoły, zanim zacznie się nowy semestr. Nie cieszyła go perspektywa rozmowy, bo wiedział, że Andrea nie podejdzie do tematu rozsądnie. Wszedł do gabinetu Morrisa. Daniels stał i rozmawiał przez telefon. Pospiesznie się rozłączył.

— Mógłbyś wpierw zapukać.

— Gdzie szef? — spytał Adrian.

— Wszedł. Kazał mi pilnować interesu. — Daniels schował telefon do kieszeni i skierował się do wyjścia. Wcześniej jednak weszła Grey i zamknęła za sobą drzwi, opierając się o nie.

— Straciłaś rozum? Musicie mnie wypuścić.

— Mike, mamy parę pytań — odezwała się, zaplatając ręce na piersi, zdeterminowana.

— Co się dzieje? — Daniels wyglądał na zaniepokojonego.

— Musisz przyznać, że ostatnio sprawy przybrały dość dziwny obrót.

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Czuję się, jakbym biegła w kółko, tylko tam, gdzie mi wolno. Jakby ciągle obserwowano każdy mój ruch.

— Nie wiem, o czym mówisz — powtórzył Daniels, wytrącony z równowagi.

— Już to mówiłeś. — Lekko uśmiechnęła się do niego.

— Obaj wiemy, że Ryan Hart się nie zabił. Ty to zrobiłeś? Zabiłeś go? — zapytał wprost Adrian, nie było sensu owijać w bawełnę w tak późnej fazie gry. Będzie więcej morderstw, tyle wiedział, kwestią pozostawało tylko kiedy i ile.

— Miles, musisz to zostawić, zaufaj mi.

— Bo co?

— Nie wiesz, w co brniesz, najlepiej będzie, jak sobie darujesz, wszystko jest pod kontrolą.

— Czy dla ciebie to wygląda, jakby było pod kontrolą? — Adrian rzucił Danielsowi zdjęcia z miejsca zbrodni Caruthersa. Wylądowały na podłodze, czerwone na czerwonym. Daniels spojrzał na nie i pokręcił głową. Powstrzymywał

łyzy.

— Obiecał mi, że wszystko jest pod kontrolą.

— Ktoś się z tobą kontaktował, Mike, tak? — Grey w geście pocieszenia położyła mu dłoń na ramieniu, on ją strącił. Obeszła go i oparła się o biurko.

— Wpierw była to mała przysługa, raz tu, raz tam. Potem coraz większa, aż to wymknęło się spod kontroli. — Odetchnął z ulgą, wyjawiając sekret, który nie dawał mu spokoju od jakiegoś czasu; najwyraźniej się uspokoił.

— To znaczy?

— Dowody, przez które ciebie zawieszono, musiałem ciebie zrobić, chcieli, żebyś zniknął z posterunku. Pozbyłem się najbardziej obciążających papierów i broni, i urządziłem tak, żeby wyglądało na to, że to ty spieprzyłeś.

— Oni, jacy oni? Ludzie Kevina Harta? — Serce waliło mu jak oszalałe; czy rzeczywiście go zrobili? Nigdy nie kwestionował swojej winy, bo wiedział, że nie był sobą, kiedy zgubił dowody.

— Kiedy kazano mi pozbyć się Ryana, naprawdę nie miałem wyboru. Tyle jest teraz na mnie brudu, nie mogę się z tego wywinąć. — Wytarł łyzy i wziął głęboki oddech. Nikt w głównej sali nawet na nich nie patrzył, nikt nie miał o niczym pojęcia. — To zaczęło się przed laty. Pomogłem Ryanowi wydostać się z kłopotów, aż nabrał rozmachu i zaczęto go zauważać. No, i byłeś też ty. Starali się nie dopuszczać ciebie do niego, ale byłeś jak pies goniący za kością.

— Co Kevin Hart miał na ciebie?

— Kevin Hart? To sięga dalej, Adrian. Wdepnąłem! Straciłbym pracę. Złapali mnie, jak prowadziłem po pijaku, przejechałem gościa, który o mało co nie zmarł. Zakwalifikowali to jako ucieczkę z miejsca wypadku. Odkręcili sprawę pod warunkiem, że będę im pomagał.

— Więc kto jeszcze?

— Stone, Markham, Hart, jakiś ksiądz, który zmarł w Paryżu. Szanowani ludzie, którym łatwo przyszłoby zniszczyć kogoś takiego jak ja.

— Adrian — odezwała się poważnym tonem Grey. Spojrzał na nią, nigdy tak się do niego nie zwracała. Coś mu podała. Wziął to od niej i poczuł, jak z ciała odpływa mu krew, gdy to czytał. Było to zaproszenie na bal do muzeum, numer 001, a nazwisko widniejące na nim to Harold Morris. Ich szef.

— Zajmę się tobą później, Mike, wracaj teraz do domu! Z nikim nie rozmawiaj. Wyciągnę cię z tego, obiecuję.

Adrian wyszedł z biura, wybierając osobisty numer do szefa.

— Na pewno jest jakieś wytłumaczenie.

— Wiem. Na pewno. — Grey starała się go wesprzeć.

— On nie ma z tym nic wspólnego. — Adrian starał się opanować hiperwentylację. Raz nadszarpniętego zaufania nie można przywrócić. Nie chciał tracić wiary w Morrisa, dopóki miał okazję z nim rozmawiać. Jeżeli kustosz mówił

prawdę i rozesłano ponad setkę zaproszeń, to było sensowne, żeby nazwisko Harry'ego było na nim. Tak? Nie był jednak pewien, ile miało to sensu, że Morris dostał zaproszenie z numerem jeden.

— Masz rację, oczywiście.

— Nie mogę skontaktować się z szefem. Grey, zachowaj to dla siebie. Nie mów nikomu.

— Nie powiem. Pewnie, że nie!

— Zachowujemy się, jakby nic się nie stało. — Udało mu się uspokoić, biorąc głęboki wdech; zapanował nad szalejącymi myślami. — Chcesz coś zjeść?

— Chciałabym, ale nie mogę. Muszę gdzieś być, a jutro mam wolne. Spotkamy się jutro o ósmej wieczorem, tak? — Położyła mu rękę na ramieniu. Wiedział, że może zaufać Grey, nie była wplątana w to, co się działo, był przekonany.

Adrian zostawił ją na posterunku. Musiał się stąd wydostać. Świat wywrócił mu się do góry nogami. Po raz kolejny.

## Rozdział 29

### Sklep

Pub był blisko dworca w centrum miasta. Tam gromadzili się młodzi marynarze, zanim złapali pociąg powrotny do ośrodka szkoleniowego. Lokal -polubili kipiący testosteronem, zbuntowani młodzieńcy. Krótka jazda pociągiem ze stacji Lympstone Commando. Upijali się w mieście, aby uciec przed czujnym okiem oficera dowodzącego. Adrian przepchnął się do baru. Był pewien, że obecne tu dziewczyny jeszcze nie skończyły osiemnastu lat, widać to było przeważnie po nadmiernym makijażu. Tego wieczoru jednak Adrian nie był policjantem. Tylko dzisiaj? Kogo chciał oszukać? Pozwolił im skończyć drinki i pochwalić się gołymi brzuchami, dekoltami i udami w celu przyciągnięcia tych najohydniejszych chłopaków, jakby ich liczba i brawura były wyznacznikiem ich rangi w grupie; zupełnie jak program na Animal Planet. -Adrian nie był aż tak bardzo popieprzony, doceniał łatwość, z jaką mógłby zainteresować się tymi chętnymi, młodymi kobietami, i dziękował gwiazdom, że jego to nie interesuje. Każdy ma jakieś skrywane pragnienia, których się wstydzi, coś, co chce stłumić w sobie, coś w środku, co ciągle próbuje się wyzwolić. Wszyscy mamy coś, czego nie możemy się wyprzeć.

Patrzył, jak przesadnie entuzjastyczne hieny obmacują nastoletnie dziewczyny. Widział, jak chłopacy niedyskretnie wsuwali dłonie dziewczynom między uda i napierali na nie. Przypomniawszy sobie, jak za młodu robił to samo z Andreeą, na krótko zanim pojawił się Tom. Byli młodszy od tych -tutaj i trwali przy sobie tak mocno, że żadna siła na ziemi nie mogła ich rozdzielić.

Adrian zamówił drinka w barze, wiedząc dobrze, jak chce zakończyć ten wieczór. W takim lokalu łatwo jest rozpocząć bójkę, nie zadając choćby jednego ciosu. Wziął głęboki oddech i odwrócił się od baru, szukał kobiety w najbliższej odległości, przeprasząc własne ciało, zanim popełni ten akt zdrady wobec samego siebie.

— Mogę kupić ci drinka? — Adrian podszedł do skromnie wyglądającej dziewczyny, która najwyraźniej była sama. Stała obok koleżanki, przeżywającej agonię w niestosownych objęciach jednego z mężczyzn.

— Nie, dziękuję. — Lekko się uśmiechnęła, nieszczęśliwa, ale jeszcze zadziorna. Zassała oranżadę z wódką przez słomkę, aż ostatnie krople zbulgotały w butelce.

— Na pewno? Kończy ci się.

— Hej, staruszku, powiedziała, że dziękuję, głuchy jesteś?

Adrian poczuł czyjąś rękę na ramieniu.

— Chcę tylko być uprzejmy.

— To bądź uprzejmy gdzie indziej, ona jest ze mną. — Za Adrianem stał piegowaty dziewiętnastolatek z założonymi rękami, prawdopodobnie chciał, aby jego bicepsy wyglądały na większe.

— Naprawdę? — prychnął Adrian. — Z tobą? Nie masz u niej szans, chłopie.

— Daj sobie spokój, „chłopie”. Grzecznie ci powiedziałem. — Trzymał głowę uniesioną wysoko, upewniając się, że wszyscy wokół widzą, kto tu rządzi.

— Ty mi powiedziałeś? — Adrian odwrócił się do dziewczyny. — Założę się, że nie tego sobie wybrałaś. Został ci się najślabszy w miocie, co?

Dziewczynie podobało się zainteresowanie jej osobą, jej koleżanka nawet wydawała się trochę zazdrosna, że dwaj faceci biją się o jej skromną przyjaciółkę. W pubie ucichło i ludzie zaczęli patrzeć w ich stronę. Już niedługo; młody będzie musiał w jakiś sposób ratować twarz.

— Co mówisz, staruszkule? — spytał chłopak, a Adrian widział, jak bieleją mu knykcie na szklance piwa. Jeszcze nie zdecydował, czy go obrażono, czy nie.

— Mówię, że dziwię się, nie musiałeś jej podać tabletki gwałtu, żeby pozwoliła ci się dotknąć.

Adrian pomyślał, że musi chłopaka jeszcze bardziej zachęcić, dorzucając parę obelg na temat jego matki, gdy zauważył, że tamten stara się opanować złość. A jednak nie. Adrian zobaczył lepką pięść zbliżającą się szybko do jego twarzy. Mógł przyjąć cios. Nawet głowa mu nie odsko-czyła, co najwyraźniej jeszcze bardziej rozwścieczyło młodego mężczyznę. Powstrzymał się jednak, nadal był przekonany, że nie chce całkowicie stracić w oczach dziewczyny, która nosiła buty jak dziwka. Adrian dostrzegł pianę zbierającą się w kąciu ust marynarza.

— Tylko na tyle cię stać? Moja świętej pamięci babka biła mocniej.

No i padł, hak. Trudniejszy do wyprowadzenia, jeżeli przeciwnik stawia się, ale Adrian nie miał takiego zamiaru. W każdym razie był lepszy od jego prawego haka. W uszach mu dzwoniło, ale jeszcze słyszał, jak reszta pubu zaśmiewa się. Po chwili czuł pięść za pięścią, aż padł na podłogę, zasłaniając wszystkie ważniejsze części ciała. Przerażliwy wrzask dziewczyn mieszał się z zachęcającymi okrzykami, a czasami chichotem.

— Kurwa, to pies! — wykrzyknął ktoś i ciosy ustały. Portfel wyleciał z kieszeni na podłogę w próbie uratowania go, zdrajca. Adrian był lekko rozdrażniony, że w ogóle się w to wdał. Neurochemiczne zakłócenie równowagi mógł zmniejszyć jedynie poprzez ból i poniżenie. Zaakceptował to już dawno temu. Bycie bitym działało na niego jak narkotyk. Uruchamiało te same stresowe reakcje jak intensywne podniecenie, tylko pozbawione zażyłości lub uczucia pożądania. Przypisywał to swojej nałogowej osobowości, jak i spieprzonej rodzinie. Jak ktoś, kto zawsze sprawował władzę, zawładnął jego życiem

w młodości, zmusił do przyjęcia roli rodzica zarówno dosłownie, jak i w przenośni, musiał od czasu do czasu stracić panowanie. Nie wyobrażał sobie dostarczania do ciała czegoś mocniejszego od alkoholu, a w sytuacjach, kiedy tak postępował, poczucie winy trwało znacznie dłużej od siniaków. Wracał myślą do czasów, kiedy widział ojca pijanego i naćpanego, wymachującego nożem, raniącego innych, raniącego Adriana. Przynajmniej wtedy wiedział, że jedyną osobą, której się dostało, był on sam. To był narkotyk, nic więcej. Jego ojciec zawsze powtarzał, że Adrian jest jak karaluch, niezniszczalny. Nie czuł się taki, kiedy właściciel pubu pomógł mu wstać i odprowadził go do drzwi.

Adrian dowlóknął się do domu. Poszukał ciemnego miejsca na ulicy, gdzie latarnia przed domem była zepsuta. Odróżniał kształty, udało mu się dojrzeć chodnik. Oko miał tak opuchnięte, że czuł, jak powieki wypełnia krew napływająca pod skórą i zamyka je na siłę. Rzęsy sklejały się razem. Powinien wypić więcej, zanim zaimprovizował walkę. Zazwyczaj w takiej sytuacji nie wiedział, czy ma wstrząśnienie mózgu, czy jest pijany. Był w zasadzie wystarczająco trzeźwy, aby uświadomić sobie, że musi usiąść. Zobaczył -schodek przed sklepikiem Uncle Mac's i skierował się do niego; był trochę bliżej niż ziemia, a drzwi mogły służyć za podparcie przy siadaniu. Osunął się na drzwi, nawet przy takim podparciu droga na dół była daleka. Krew przestała mu się sączyć z nosa, ale żebra nadal mu doskwierały, nie były złamane, wiedział, jakie to uczucie, ale w dalszym ciągu go bolało z każdym oddechem. Adrian poczuł, że drzwi za nim ustępują, i znalazł się na podłodze, leżał płasko na plecach i patrzył na dziewczynę ze sklepu.

— Co ci jest? — zapytała go. Klęczała, podpierając się rękami i patrząc mu prosto w oczy. Wszystkie światła były zgaszone i nie było nikogo innego.

Adrian z trudem wciągnął powietrze, zanim dźwignął się do pozycji siedzącej. Dziewczyna przykucnęła, przyglądając się, jak z trudem dźwiga się na nogi.

— Przepraszam, nie chciałem ci przeszkadzać.

— Nie, proszę, wejdź, pomogę ci. — Uśmiechnęła się i wzięła go pod ramię. Podążył za nią do środka, nadal ciekawiło go, dlaczego ona tu w ogóle jest.

Zabrała go na tyły sklepu i otworzyła duże zielone drzwi, które prowadziły do magazynu w suterenie. Pomogła mu zejść po schodach. W rogu pomieszczenia stało rozkładane łóżko. Przypomniawszy sobie, że kiedy tylko ją widział, zawsze miała na sobie to samo ubranie. Ona tutaj mieszkała. Za zasłonką mieściła się mała toaleta ze zlewem, był blat z czajnikiem. Włączyła wodę. Adrian oparł się o ścianę i patrzył, jak dziewczyna bierze ręcznik i bandaż. Nalała do miski gorącej wody i przyniosła to wszystko na tacy, którą postawiła na podłodze. Adrian tak naprawdę nigdy wcześniej nie przyjrzał się tej dziewczynie. Była młoda, jednak nie wiedział, jak bardzo, a oczy miała tak brązowe, że prawie czarne.

— Nie musisz tego robić, dam radę dojść do domu.

— Proszę, pozwól. — Uśmiechnęła się i zamoczyła ręcznik w gorącej wodzie.

Drgnęła, gdy parującym ręcznikiem dotknęła jego skóry. Usunęła krew spod nosa i wargi. Podeszła do zlewu, żeby wypłukać ręcznik w zimnej wodzie, zanim przyłożyła mu go do oka. Syknął, pochylając się do przodu, instynktownie chwytając się za bok. Dziewczyna powoli sięgnęła do jego kołnierzyka i rozpięła go, dalej rozpinając mu koszulę, a on patrzył jednym dobrym okiem.

— Dlaczego mi pomagasz?

— Zawsze jesteś dla mnie miły. — Uśmiechnęła się.

W tym momencie Adrian poczuł się podle, bo widział ją tylko raz czy dwa jak dotąd i nie zapamiętał jej jako kogoś miłego lub nie. Najwyraźniej te krótkie spotkania przynajmniej dla niej miały jakieś znaczenie. To z kolei nasuwało pytanie, czy nikt inny nie był dla niej miły. Gdy potarła palcami o jego nagą, posiniaczoną skórę, on spojrzał na nią, ale w inny sposób. Była ładna, a on do tej pory nie widział jej z rozpuszczonymi włosami, zawsze miała je zaczesane w koczek, ale teraz spływały wzdłuż jej ciała, sięgając ud. Adrian znienawidził siebie za to, że zawsze sprowadza wszystko do pożądania, jakby nie potrafił tego kontrolować, jakby reagował mimowolnie. Nadal oddychanie przychodziło mu z trudem; wstrzymał oddech, gdy rozpięła mu całą koszulę, teraz siniaki naprawdę zaczęły się pojawiać, podobnie jak opuchlizna. Dziewczyna nacisnęła mu na żebro, a on znowu syknął.

— Nie jest złamane — wyszeptał z bólem.

— I tak je zabandażuję, to zabezpieczy. Pewnie samo nie wie, czy jest złamane, czy nie. — Spojrzała na niego.

— Dobrze mówisz po angielsku.

— Dziękuję. — Odwróciła wzrok. — Wstań, proszę.

Adrian wstał, coraz trudniej było mu się poruszać. Zsunęła mu koszulę z ramion i rzuciła na łóżko, nadal była oblepiona krwią i mieszanką alkoholu z podłogi, na której leżał, a ludzie wylewali na niego drinki. Co za marnotrawstwo. Adrian nie mógł się opanować, jak zwykle, pochylił się i pocałował ją. Odsunęła się zaskoczona, w zasadzie to zaskokowana.

— Przepraszam, sam nie wiem, dlaczego to zrobiłem. W zasadzie to wiem, jesteś ładna, a ja jestem idiotą.

Założyła bandaż i odeszła do zlewu, aby umyć ręce.

— Wyglądałeś, jakbyś potrzebował pomocy. Chyba nie zrozumiałeś tego opacznie.

— To się więcej nie powtórzy, przepraszam. Nie zrobiłaś nic złego.

— Myślisz, że jestem ładna? — Uśmiechnęła się.

— Tak.

Odwróciła się do niego plecami i ściągnęła swój T-shirt przez głowę. Stała



przed nim jedynie w spódniczce.

— Co robisz?

— Lubię cię, jesteś dla mnie miły.

Adrian nie mógł ignorować otoczenia. Nie mógł też ignorować bólu. Sięgnął po narzutę z łóżka i podszedł do dziewczyny, otulając ją.

— Nie musisz tego robić, nie powinien cię pocałować w taki sposób. Przepraszam. — Złapał ją za brodę i pocałował jeszcze raz, tym razem w czoło. Jej oczy połyskiwały, jakby zaraz miała się rozpłakać. Błagał Boga, żeby tylko nie zalała się łzami, bo poczuje się jak kompletny dupek. Przyciągnął ją do siebie i przytulił, ona wtuliła twarz w jego nagą pierś. — Nawet nie wiem, jak masz na imię.

— Eva.

Stał tak, przygarniając ją do swojego obolałego ciała, ale czuł się, jakby to nie on z ich dwojga cierpiał.

## Rozdział 30

### Córka

S' miech. Potrafiła „dać sobie radę” ze śmiechem. Imogen wsunęła klucz do zamka i pchnęła drzwi. Przeszła przez paczki ze starych gazet i butelki po winie, uważając, aby przez przypadek nie nadeptać na któregoś z licznych kotów matki. Śmiech dochodził z salonu. Miała ochotę wyjść, jak robiła to za każdym razem, kiedy odwiedzała matkę, czyli w większość dni.

— Immie! Immie, to ty? — Ze środka dobiegł podekscytowany głos. Imogen zastygła dłonią na drzwiach, starała się opanować. Przywołała swój najlepszy beztroski uśmiech i pchnęła drzwi.

Matka Imogen, Irene, siedziała na kanapie obok jakiejś kobiety mniej więcej w tym samym wieku. Tamta trzymała w rękach rzeczy Irene, te dobre, choć niewiele już ich zostało.

— Cześć, mama, kim jest twoja koleżanka? — Imogen spojrzała wprost na kobietę, która desperacko próbowała uniknąć kontaktu wzrokowego.

— To Wendy-Julia, poznałyśmy się w bibliotece.

— Pani pozwoli, że ją wyprowadzę. — Imogen przytrzymała drzwi, a Wendy-Julia wyszła, niosąc zdobycz. Przy frontowych drzwiach zastąpiła jej drogę. — Może pani zostawić te rzeczy na szafce.

— Sama to zaproponowała; powiedziała, że będę jej pomagać.

— Hm, mnie pani pomoże, jeżeli to tu zostawi. — Wyciągnęła odznakę i pokazała kobiecie, która odłożyła rzeczy z prychnięciem. Ciągle ta sama historia, pomyślała Imogen, gdy zamykała drzwi za kobietą. Matka przyprawiała przeróżny element i dawała im swoje rzeczy. Raz Imogen wróciła ze szkoły, a jej matka pozwoliła bezdomnemu wprowadzić się do jej sypialni. Imogen często widywała kobiety w sąsiedztwie noszące szaliki lub biżuterię, które kupiła mamie na Gwiazdkę. Dlatego przestała kupować wartościowe rzeczy. Jej matka była chora, ale tej choroby nie można było zobaczyć, nie można było jej zaradzić plastrem albo chociaż precyzyjnie zdiagnozować. Co kilka lat diagnoza się zmieniała. Dlatego właśnie Imogen nie cierpiała szufladkowania. Wiedziała, że ma ono znaczenie, dopóki warunki choroby nie zostaną na nowo zdefiniowane, a potem przyklejali ci zupełnie nową, zwariowaną etykietę.

— Zostaniesz na obiad, Immie? — Twarz jej matki promieniała dobrocią, gdy weszła z powrotem do salonu. Miło było widzieć jej uśmiech, takie momenty Imogen ceniła, bo nigdy nie wiedziała, co stanie się za chwilę.

— Nie, dzisiaj nie mogę, mam, muszę iść do pracy.

— A to, kurwa, typowe, co? Gównu cię obchodzę! Chciałabyś, żebym już

umarła.

— Mamo, dlaczego tak mówisz?

— Bo jestem dla ciebie ciężarem, nawet nie chcesz ze mną spędzać czasu. —  
Zaczęła szlochać.

— Ależ chcę, mamo. — W pewnym sensie skłamała. Usiadła obok matki i wygładziła jej włosy. Irene zamrugowała kilka razy, najwyraźniej starając się wrócić do normalności. — Jak długo znasz Wendy-Julię?

— Dopiero dzisiaj się poznałyśmy. Jest taka słodka, zaproponowała, że będzie u mnie sprzątać raz w tygodniu. Ponoć jak była w łonie, to zjadła swoją bliźniaczkę, uwierzysz w to? Dlatego tak dziwnie ma na imię. Matka nadała jej oba imiona! — Irene była podekscytowana, zapominając o niedawnym wybuchu złości.

— Naprawdę przepraszam, mamo, ale muszę wracać do pracy po lunchu.

— Czemu ty nie wyjdiesz za mąż i nie rzucisz tej głupiej pracy.

— Nawet gdybym wyszła za mąż, to nie zrezygnowałabym z pracy.

— To nieprzyzwoite, kobieta w tym zawodzie.

— Nie jestem prostytutką, mamo, jestem oficerem policji.

— To jest to samo — zachnęła się.

— Daj spokój, zrobię ci obiad, zanim pójdę.

Dwie godziny później Imogen szła z Denise do jej mieszkania. Uderzyła ją biel wszystkiego. Było tu tak czysto i porządnie. Mocny kontrast po mieszkaniu jej matki. Nie wyobrażała sobie, że można tak mieszkać.

— Chcesz krótką czy długą? — zawołała z sypialni Denise, gdy Imogen ociągała się w korytarzu, nie wiedząc, co z sobą począć. — Chodź tu, Grey.

— Możesz do mnie mówić Imogen, jak chcesz. — Weszła do sypialni i zobaczyła Denise zbierającą naręcza sukienek z drążka w szafie, aby rzucić je na łóżko. Pokój zabudowany był od ściany do ściany. Imogen zrobiło się trochę smutno na myśl o skromnej komodzie w domu.

— Jaki masz rozmiar buta?

— Szóstkę.

— Idealnie! — Denis otworzyła na oścież drzwi, ukazując obscenicznie wielką kolekcję butów. — I kto by pomyślał, że tyle nas łączy.

— Ja nie, to na pewno. — Imogen skoncentrowała się bardzo mocno, aby nie przewrócić oczyma. To naprawdę było słodkie ze strony Denise, nawet jeżeli ona sama „nie łapała” tego.

— Jeżeli przyjęcie jest formalne, to powinnaś założyć długą suknię. Z kim idziesz? — zapytała. Imogen zauważyła lekką modulację w jej głosie, jakby starała się ukryć zaciekawienie.

— Z Milesem.

— Och.

— To sprawa zawodowa, nic między nami się nie dzieje.

— Słyszałam już to, to jak... to jego stały numer, co?

— Tak? Naprawdę nic nas nie łączy. Nie jestem w jego typie. Dlaczego? Kręcisz z nim? — Imogen nie była pewna, czy chciała poznać odpowiedź; czuła się, jakby zdradzała zaufanie Milesa, zadając pytania na jego temat, gdy był nieobecny.

— To dziwne, że myślisz, że on ma jakiś typ. A „kręcenie” to zbyt mocne słowo na to, co jest między nami. — Denise sięgnęła po granatową, satynową sukienkę i przyłożyła ją do Imogen, po czym skrzywiła się z niesmakiem. Najwyraźniej nie pasowała. Spojrzała na Imogen. — Rżniemy się pięć razy w roku.

Wtedy podniosła białą wieczorową suknię i uśmiechnęła się z entuzjazmem.

— Nie założę białej, trochę za bardzo wygląda na pannę młodą, jak na mój gust. Poza tym Miles może się przestraszyć.

— Och, mam idealną sukienkę, patrz. — Wyciągnęła ciemnoszmaragdową gorsetową sukienkę-syrenę. — Zaufaj mi, będziesz wyglądać niesamowicie. Zdejmij swoje rzeczy, pomogę ci ją założyć.

Co, do diabła, pomyślała Imogen, zdejmując bluzę przez głowę i ściągając dzinsy, zadowolona, że ogoliła się pod pachami i dla odmiany włożyła względnie pasujący do siebie komplet bielizny. Wiedziała, że Denise ma wszystko dopasowane. Dlaczego w ogóle tym się martwi? Dostrzegła ukradkowe i ciekawskie spojrzenie Denise na jej bliznę, ale zignorowała je, wkładając sukienkę. Denise zawiązała suknię od tyłu i zakręciła Grey.

— Och, jesteś w jego typie, skarbie, nawet pod tymi twoimi okropnymi ciuchami. — Denise uśmiechnęła się i pchnęła Imogen w stronę lustra.

— Jejku, dzięki — udało jej się wybąkać, gdy zorientowała się, że to jej własne odbicie. Wyglądała dobrze, trzeba to przyznać.

— A teraz włosy, siadaj na łóżku.

— Nie wiem, czy dam radę usiąść, jest dość ciasna. — Podreptała do łóżka i przysiadła na krawędzi.

Denise przeszukała jedną z szuflad i wyjęła coś dziwnego do włosów. Jednym ruchem, skrętem i chwytem upięła włosy we francuski kok, a z przodu zostawiła tylko cienkie kosmyki.

— Mówiąc szczerze, Grey, przyda ci się trochę szminki, wyglądasz ślicznie.

Imogen nie miała koleżanek na poprzednim posterunku; przyjaźniła się z facetami, a oni pokazali, ile dla nich jest warta, jak wszystko się posrało. A zatem, nie miała przyjaciół tak naprawdę, więc poczuła się dziwne. Miała ochotę uściskać Denise, co nie było w jej stylu, ale wstała i zrobiła to mimo wszystko.

— Dziękuję, Denise, naprawdę to doceniam, naprawdę.

— Proszę, przymierz te. — Denise podała jej parę czarnych, zamszowych szpilek.

Imogen zaparkowała samochód na tyłach muzeum, nadal było jasno, a ona

nie miała ochoty paradować przez miasto w tej sukience, nie lubiła, jak ludzie na nią patrzyli, nawet gdy świetnie wyglądała. Lecz teraz czuła się jak dziwadło. Wzięła głęboki wdech, przytrzymała się framugi i dźwignęła się z siedzenia. Ta suknia nie służyła wygodzie. Czarne szpilki zostawiła na miejscu dla pasażera; nikt nie zobaczy jej czarnych glanów pod sukienką. Wytłumaczyła sobie, że musi być w stanie uciekać, jeżeli taka będzie potrzeba, w końcu jest w pracy. Oczywiście, to było kłamstwo. Od wyjazdu z Plymouth była jednym kłębkim nerwów i nawet to, takie ubranie sprawiało, że czuła się narażona na niebezpieczeństwo, odsłonięta. Nie mieli pojęcia, co ich czeka, musiała mieć pewność, że podczas ucieczki obcas jej nie utknie w jakiejś ozdobnej kracie w posadzce muzeum. Musiała mieć pewność, że da radę uciec.

## Rozdział 31

### Wojownik

Abbey leżała na podłodze, spoglądając na Christiana. Twarz miał pobladłą z wściekłości, a może ze strachu. Bez względu na przyczynę, widok emocji u niego stanowił odmianę. Zastanawiała się też, czy on nie udaje, aby zmusić ją do reakcji. W muzeum nie było nikogo innego. Była głupia, uważając, że jest tu bezpieczna. Kamery przemysłowe były tylko na pokaz, pan Lowestoft powiedział jej, że to tylko środek odstraszający. Abbey była przekonana, że przeszłość jest już za nią, ale teraz dogoniła ją i dosłownie zaglądała jej w twarz.

— Widziałem go... Widziałem wtedy twojego ojca. A potem jeszcze dwa razy. Myślałem, że urządzi jakąś scenę czy coś takiego, narobi sobie wstydu. Nie myślałem, że zrobi coś takiego!

— Nie wiem, o czym mówisz. — Wycofała się na czworakach, wbijając w niego wzrok.

— Nie przyszedłem cię zranić, Abbey. — Podał jej rękę, aby pomóc wstać. — Chcę tylko porozmawiać z twoim ojcem, nakłonić go, aby się przyznał do tego, co zrobił.

Zignorowała jego pomocną dłoń i wstała o własnych siłach, nadal się przed nim cofając. On szedł do przodu, powoli, z wyciągniętymi rękami i błagalnym spojrzeniem. Gdyby nie znała go tak dobrze, mogłaby nawet wziąć to za szczerość. Przez moment żałowała, że ojcu nie udało się zrealizować swojego planu i pozbyć się Christiana, nie stałby tu teraz. Ona wracałaby do domu po raz pierwszy od miesięcy i nie oglądałaby się za siebie. Nie lustrowałaby twarzy każdej mijanej osoby na ulicy, by sprawdzić, czy to nie on się do niej zbliża albo czy nie stoi gdzieś w tłumie. Lecz ojcu nie udało się i teraz ona musiała nim się zająć, znowu paraliżował ją strach; nie wiedziała, co ma robić.

— Aresztowali mnie, przesłuchiwali jak przestępcę... Myślą, że to ja zabiłem Jamiego... Myślą, że zabiłem Dani...

— Jesteś przestępcą.

— Och, daj spokój, to było nieporozumienie.

— Nieporozumienie to delikatne ujęcie tego. — Rozglądała się dookoła w panice, szukając czegoś, czego mogłaby użyć jako broni. — Ja bym to nazwała inaczej.

— Ale nie skrzywdziliśmy cię, co? Byłaś na to gotowa, Abbey, tak mocno się narąbałaś i leciałaś na mnie. Teraz też nie chcę cię skrzywdzić, chcę, żebyś porozmawiała z twoim ojcem. — Christian zbliżał się do niej, wiedziała, że nie ucieknie przed nim, ale miała jedną przewagę. Znała muzeum. Rzuciła się pędem,

wbiegła schodami do zaimprovizowanego warsztatu, tam w drzwiach był zamek, może tam przeczekać.

Była w połowie schodów. Odwróciła się, on skracał dystans, jeżeli choć trochę zwolni, on ją złapie. Nie była do tego stworzona. Pobiegnęła korytarzem, jego zapach był coraz silniejszy, ale nie chciała sprawdzać, jak Christian jest blisko tym razem. Poczowała szarpnięcie za sweter, zrzuciła go z siebie, niech go trzyma.

— Abbey, czekaj, nie chcę cię skrzywdzić!

Przedostała się do swojego pokoju. Chwyciła drzwi, aby je zamknąć za sobą, ale on już tam był. Chwycił ją za ramiona i pchnął na ścianę.

— Puść mnie! Puść! — krzyczała i szarpała się. Christian wyglądał na szczerze zaniepokojonego, że ona mu się nie podda. Jakby nigdy dotąd nie uświadamiał sobie, że ktokolwiek może mu odmówić, że ktoś może go nie lubić.

— Proszę, nie mogę iść za to do więzienia! Wiesz, że to pomyłka!

— Nie wiem, czego chcesz ode mnie! Nawet jeżeli mówisz prawdę, dlaczego miałabym ci, cholera, pomagać? — Poczowała, że jego uchwyt słabnie, zabrał ręce, sfrustrowany przeczesał dłońmi włosy.

— Jesteś dobrą osobą, wiesz, że to pomyłka!

— Christian, nie poślę do więzienia własnego ojca zamiast ciebie. Zabrałeś nam wszystko! Mój ojciec odchodził od zmysłów przez to, co zrobiłeś, stracił pracę!

— To ty mu powiedziałaś! — Jeszcze bardziej targał sobie włosy.

Abbey przesuwała się bokiem. Christian był zbyt zajęty, aby dostrzec, co ona robi. Sięgnęła do biurka, starając się nie wykonywać żadnych nagłych ruchów. Widziała, na co go stać i że jest zdeterminowany. Trafiała palcami na rączkę skalpela. Przysunęła go delikatnie do siebie i schowała za plecami. Nadal z trudem oddychała przy nim. Dlaczego nie sięgnęła raczej po telefon? Oczywiście znała odpowiedź, nie mogła wezwać policji, on doniósłby na jej ojca, czego nie zrobił do tej pory. Ciekawe dlaczego?

— Dlaczego nie powiedziałaś policji o moim ojcu?

— Adwokat doradził, abym w ogóle się nie wypowiadał. Nie chcę wyjść na wariata czy zdesperowanego. Nie wyszedł-bym za kaucją, gdyby istniało ryzyko, że ucieknę.

— A uciekniesz?

— Tata chce, żebym wyjechał z kraju, powiedział, że nieważna jest kaucja, dopóki jestem bezpieczny. Umówił się z pewną firmą, żeby mnie przemycili. — Zaśmiał się nerwowo. — Chyba myśli, że ja to zrobiłem!

— Więc będziesz bez skazy w nowym miejscu?

— Nie wiesz, jak bardzo ojciec na mnie ciśnie, ma tak wielkie oczekiwania, że czasami muszę dać upust ciśnieniu.

— I napastować kogoś? — Zakrztusiła się, mówiąc to, nie potrafiła

dosadniej określić tego, co zrobił.

— Wiesz dobrze, że tak nie było. Abbey, chciałaś tego! Chciałaś mnie! — krzyczał, i to tak głośno, że jego słowa -niosły się echem i kołatały w jej głowie. Miała rację, chciała go. Niemal w tym sporze przyznawała mu rację, ale wtedy przypomniała sobie o Jamiem. Przypomniała sobie dłonie na jej ustach, przypomniała sobie woń alkoholu w ich oddechach, kiedy po kolei zabierali się, aby ją zniszczyć. Przypomniała sobie ich śmiech i przypomniała sobie zdjęcia zamieszczone w Internecie, to, jak ludzie na nią wołali. Nie, nie chciała tego.

Zanim zdążyła pomyśleć, zobaczyła krew, jak rytmicznie tryska z szyi Christiana. Nie wiedziała nawet, czy on już to zauważył, wyglądał na dezorientowanego i bladł coraz bardziej. Abbey spojrzała na zakrwawione ostrze w rękę i natychmiast je upuściła. Widziała, jak jego oczy stają się niewidzące, źrenice robią się coraz większe, a potem mniejsze, nawet jego ciało było dezorientowane. Zatoczył się lekko i spojrział w dół, ręce miał czerwone, koszula była czerwona, taka jaskrawa, tak mocno zdeterminowana w tej czerwieni. Sięgnął jedną ręką do szyi i w końcu zorientował się, co się stało. Drugą ręką sięgnął do niej, nie mogła się cofnąć, nie miała dokąd, ale on nie szedł do przodu, stopniowo odsuwał się od niej z niedowierzaniem wypisanym na twarzy. Upadł na plecy, a Abbey zrobiła krok naprzód, stanęła nad nim, nadal spoglądając mu w oczy. Z kącika jego ust sączyła się krew, on nadal na nią spoglądał, ale blask w jego oczach gasł. Dłoń odsunęła się od szyi i przez ułamek sekundy Abbey widziała, że ją błaga, a potem już więcej nic. Odszedł.

Nie było paniki, nie było płaczu ani myśli, żeby zadzwonić do ojca. System nie był sprawiedliwy. Wiedziała, że ojciec weźmie ją w obronę. Nie będzie powoływania się na obronę konieczną. Sąd udowodnił już, że bez względu na prawdę nie stawał po stronie sprawiedliwości. Jego skóra już zaczęła tracić ludzki wygląd, stawała się przejrzysta. Czerwony krąg pod nim o czerniejących obrzeżach powiększał się powoli, musiała coś zrobić.

Sięgnęła po płachty materiału i ułożyła je dookoła niego w nadziei, że wchłoną większość krwi, wiedziała, że musi pozwolić mu się wykrwawić. Chwyliła za skalpel i nacięła mu nadgarstki i kostki, żeby krwawił bardziej. Krew płynęła wolniej, serce przestało bić, więc nie było sposobu, aby wypompować ją z ciała.

Zamierzała go zabalsamować, a potem ukryć. Natychmiast zorientowała się, że wbiła mu skalpel w szyję. To był instykt. Nigdy go nie znajdą. Rozejrzała się po swoim skromnym warsztacie i zauważyła zbroję samuraja, wypolerowaną i gotową, jakby świat wskazywał jej wyjście, odwzajemniał jej się za to wszystko, co jej zabrał; przywracał równowagę. Zaczęła pracować, zebrała tyle formaldehydu, ile jej się udało, w szafce miała zapas dużych, plastikowych butli, jednak nie miała ich dosyć, więc poszukała czegoś, co mogłaby dodać. Zobaczyła



duże worki z gipsem w kącie; używała ich do wykonywania odlewów, gdy ciała zwierząt musiały zostać zastąpione i ponownie oprawione w skórę. Wymieszała gips z formaldehydem we wiadrze, a potem ustawiła pompę, -którą muzeum przechowywało na wypadek powodzi. Podłączyła gumowe węże do ciała, wprowadzając do głównych żył, aby trująca ciecz rozeszła się po całym ciele, zastępując resztki krwi i wypychając je z arterii. Zapach formaliny przyprawiał ją o zawroty głowy, musiała iść poszukać więcej plandek. Te, które rozłożyła, już były przesiąknięte.

Kiedy ciecz wypływająca z ciała Christiana zrobiła się jasnoróżowa, Abbey wyłączyła pompę. Zbliżała się dziesiąta wieczór; będzie musiała zadzwonić do ojca do domu i skłamać. Od czasu ataku nauczyła się, jak ważne jest kłamstwo, wiedziała, że ludzie nie zawsze chcą usłyszeć prawdę; czasami było lepiej, aby ciążyła tylko nam.

Pracowała z determinacją. Schowała wielkie, przesiąknięte czerwienią płótna do worków, pachniały słodko i mdławo, charakterystyczny odór śmierci. Owinęła ciało drutem, aby nadać mu kształt, a potem obwiązała nadgarstki sznurem, układając je na czystym płótnie. Od jego śmierci minęły trzy godziny. Wiedziała, że zaraz rozpocznie się stężenie pośmiertne, między drugą a szóstą godziną. Miała nadzieję, że spowolni je proces balsamowania i zdąży skończyć. Zaciągnęła go przez korytarz do Sali Azjatyckiej, jakby była koniem, a on powozem, lina wciniała jej się w brzuch. Szklana gabloty stała gotowa na przyjęcie samuraja. Da radę. Ignorowała ból w kościach, gdy spróbowała dźwignąć Christiana. Z gipsem i formaliną w środku był jeszcze cięższy, musiał ważyć dwa razy tyle co ona. Jednak Abbey nie poddawała się, musiał istnieć jakiś sposób, na pewno był. Zarzuciła linę przez belkę, pociągnęła, a Christian znalazł się w pionie. Oczy nadal miał otwarte; po części chciała, aby widział wszystko, co się działo; tak samo, jak jej kazali patrzeć. Musiała pracować szybko, aby ustawić go, zanim kleista mieszanka zastygnie w jego wnętrzu. Za pomocą różnych rekwizytów udało jej się utrzymać go w pionie. Używając gwoździarki, przymocowała go do dużej drewnianej ramy w środku gabloty, która od teraz będzie miejscem jego spoczynku. Bandażami namoczonymi w gipsie obwiązała mu skórę, żeby wyglądał jak gipsowy odlew człowieka pod zbroją, chociaż gabloty pewnie nie będzie otwierana przez długi czas. Zaczęła go ubierać. Miała przy sobie igłę z nitką i używając ich, nadała mu wymaganą pozycję. Zszyła mu powieki i owinęła je czarną gazą, więc nie było szansy, aby ktoś go zobaczył przez maskę z brązu, która ostatecznie zakryje mu twarz. Na koniec założyła mu skórzane elementy i związała je razem. Słońce już weszło. Zaledwie za kilka godzin pojawi się personel muzeum.

Była wyczerpana, ale nie było dowodów na to, że samuraj nie był jej największym dziełem jak dotąd, nie było też dowodów na to, że był prawdziwy.

Zaciągnęła worki pełne sztywnego i zakrwawionego płótna do piwnicy, gdzie znajdował się piec ogrzewający muzeum. Podkręciła temperaturę i zaczęła wrzucać wszystko, co łączyło Christiana z muzeum. Znalazła bilet jednodniowy w jego kieszeni; dzięki Bogu nie będzie musiała przestawiać jego samochodu. Wyszorowała podłogę i zamknęła biuro po skończeniu. Nie chciała tego oglądać przez jakiś czas. Dzisiaj zadzwoni, że jest chora. Ledwo mogła poruszać rękami i nogami ze zmęczenia. Nie mogła doczekać się, żeby wrócić do domu, położyć się w łóżku i zasnąć, i śnić. Zamknęła muzeum, wykradając się, zanim zjawił się ktokolwiek z personelu.

Spała, jakby zasnęła po raz pierwszy od tysiąca lat, słodkim, błogim snem. Jej ojciec miał rację, świat stał się teraz lepszym miejscem, kiedy nie było na nim Christiana i -Jamiego. To była jej szansa, miała miejsce na świecie i tym razem nikt jej tego nie odbierze.

## Rozdział 32

### Krzesło

Adrian czekał na schodach muzeum, spoglądając na zegarek. Było dziesięć po ósmej, Grey spóźniała się. Pojawiały się znajome twarze, ale nie było ani śladu detektywa Morrisa.

— Dobrze wyglądasz w smokingu, Miley. Nawet z podbitym okiem.

Gdyby nie znajomy zwrot, nie rozpoznałby Grey w tej kobiecie, tylko ona tak go nazywała. Już chciał ją skomplementować, ale widząc jej spojrzenie, powstrzymał się.

— Spóźniłaś się — powiedział w końcu, nie potrafiąc zwerbalizować myśli, czy choćby cokolwiek pomyśleć w kwestii jej wyglądu. Oczywiście, wyglądała dobrze, ale on na to się nie pisał, nie z nią.

— Dwadzieścia minut wysiadałam z samochodu! Ta suknia nie została stworzona do prowadzenia!

— Zdecydowanie nie takiego małego samochodu. — Uśmiechnął się. *Patrz jej na twarz*, powtarzał sobie nieustannie.

— Co się z tobą stało? — Wskazała swoje oko.

— Wpadłem na drzwi — rzucił obojętnie, po czym odwrócił się i ruszył schodami.

— Od czego zaczynamy? — Szurała nogami za nim, przyjmując jawne kłamstwo.

— Powiedzmy, że rozdzielimy się i rozejrzemy, zobaczę, czy uda mi się dostać do gabinetu starego, a ty postaraj się go odciągnąć. — Zatrzymał się na górze i pochylił. — Jak zobaczysz szefa, poszukaj mnie, nie rozmawiaj z nim sama, dopóki nie dowiemy się, co jest grane. Naprawdę mam mieszane uczucia co do tego.

— Nie martw się o mnie, Miley, potrafię o siebie zadbać. — Uśmiechnęła się niepewnie, a on pomyślał, kiedy ostatni raz tak do niego powiedziała, pomyślał o bliźnie, która biegła przez całą długość jej torsu, a on poklepał ją po ramieniu. Wiedział, że Grey się denerwuje.

Weszli i pokazali zaproszenia. Nawet nie sprawdzono ich nazwisk, po prostu zaproszono ich do środka.

Nie było ani śladu Lowestofta, ani w zasadzie nikogo, kto nadawałby się na mordercę. Jak dotąd ofiary były mniej więcej w tym samym wieku, ale wszyscy na przyjęciu byli nieco młodszy. Milesowi udało się przemknąć obok ochroniarza, który przymilał się do recepcjonistki i złościł się, jeżeli ona choćby odezwała się słowem do któregoś z dobrze ubranych mężczyzn. Adrian rozpoznawał ten rodzaj

irytacji wynikającej z zazdrości. Jego ojciec był takim typem za życia. Gdyby on sam miał czas, zatrzymałby się, żeby poświęcić jej trochę uwagi, tylko dlatego, że tacy faceci go nakręcali. Jednak miał ważniejsze sprawy na głowie.

Adrian szedł korytarzem do gabinetu kustosza. W tej części muzeum było ciemno, dziwnie. Położył dłoń na gałce i nagle w przeblasku ujrzał szklarnię doktora, krew, kota. Ta przerażająca scena została mu w głowie, a jeżeli za drzwiami będzie tak samo? *Weź się w garść.* Przekręcił gałkę i poczekał na kliknięcie, pchnął lekko drzwi. W pokoju było ciemno i pusto, zimny mrok sączył się przez okno i rzucał szarą poświatę na biurko. Adrian wkradł się do środka, po cichu zamykając za sobą drzwi. Obszedł biurko, było posprzątane, a kiedy spróbował otworzyć szuflady, oka-zały się za-mknięte na klucz. Wyciągnął kieszonkową latarkę i oświetlił nią ścianę w głębi. Zobaczył dyplomy i przeróżne nagrody od organizacji branżowych, o których nigdy nie słyszał. Nie znalazł tu nic użytecznego, a nie chciał robić bałaganu, a bez nakazu przeszukania takie zachowanie byłoby trudne do wyjaśnienia. Wyszedł i natknął się na jakąś dziewczynę. Szukał w głowie jakichś wyjaśnień, dlaczego znalazł się w tym pokoju.

— Jest pan policjantem? — zapytała go. To pytanie było rzeczywiście niespodziewane.

— Tak, właśnie szukam pana Lowestofta. Wie pani, gdzie może być? Jestem detektyw Miles. — Wyciągnął rękę, ale ona ją zignorowała.

— Co pan wie o panu Lowestofcie? — Słyszał drzenie w jej głosie, denerwowała się. Co wiedziała?

— Pracuje tu pani?

— Tak. Nazywam się Abbey Lucas.

— Dlaczego pani nazwiska nie ma liście pracowników?

— To muzeum jest pełne kłamców. Dużo rzeczy wygląda inaczej w rzeczywistości. — Próbowwała uśmiechnąć się, ale jedynie wykrzywiła twarz. Adrian zastanawiał się, jaką rolę ona odgrywa w tej historii.

— Jakich rzeczy? — Zatrzymał się i spojrzał na nią.

— Chcę panu coś pokazać, pójdzie pan ze mną? — Odwróciła się i zaczęła iść.

— Dobrze. — Wzruszył ramionami i podążył za nią. W tej dziewczynie było coś upiornego, była jakaś dziwna z tym swoim delikatnym głosem i ciemnymi oczyma, nie brązowymi, ale posępnymi jak w udręczeniu. Trzymał się przy jej boku, gdy wędrowała korytarzami przez tłum ludzi, zobaczył, że Grey ich obserwuje, i wzruszył ramionami, ale szedł dalej za dziewczyną przez jedną z wystaw po drugiej stronie muzeum. Zatrzymała się w sali wypełnionej martwymi ptakami. Położyła palce na szklanej gablocie, w której mieściły się kruki, spoglądała do środka i Adrian dostrzegł łzy w jej oczach.

— Nic pani nie jest? — zapytał. Głupie pytanie, tej dziewczynie najwyraźniej coś dolegało.

— Proszę mi coś obiecać. — Odwróciła się do niego z błagającym spojrzeniem. Zupełnie jakby spoglądał na osieroconego szczeniaka lub coś równie bezradnego. Ujęła jego dłonie i spojrzała wymownie. — Proszę.

— O co chodzi? — Chciał móc obiecać, ale wiedział, że lepiej tej dziewczynie nie składać obietnic, skoro nie będzie mógł zapanować nad tym, co zaraz nastąpi.

— Pokażę to panu, aby pan zrozumiał, żeby wiedział pan, przez co on przeszedł. Co mu zrobili. Dlaczego stał się tym, kim teraz jest.

— Jacy oni i komu zrobili?

— Był tylko dzieckiem, oni go takim stworzyli, ale gdyby znał go pan tak jak ja, rozumiałby pan, że to mogło się skończyć tylko w taki sposób. Wiem o tym lepiej niż ktokolwiek.

— Co chciała mi pani pokazać? — Cofnął ręce. Ona wiedziała, wiedziała, kim jest morderca.

Pociągnęła za gablotę, przełączywszy dźwignię, i mebel przemieścił się w prawo, odsuwając od ściany, ukazując sekretne pomieszczenie. W środku było ciemno, widać było księżyc w pełni za witrażem, ale nie dawał światła. Adrian nie chciał wejść do środka, mając przed oczyma po raz kolejny obraz koronera — nawiedzał go, kiedy odczuwał zagrożenie. Teraz zdecydowanie czuł groźbę. W co wdepnął?

— Ma pan latarkę? — Dziewczyna uśmiechnęła się i weszła przed nim.

Adrian włączył latarkę i skierował ją przed siebie. Rozglądając się po pokoju, przypomniał sobie, co Gary Tunney powiedział o kultach satanistycznych. W tym ustawieniu było coś bardzo złowieszczonego, krzesła stały zwrócone do środka, niemal jak na scenie. Dziewczyna poszła do kąta i zdawało się, że znikła w ciemnościach, ale on nadal ją słyszał. Coś zabrzęczało i Adrian usłyszał odgłos żelaza szorującego o żelazo. Czyżby zamierzała go zabić?

— Halo? — wyszeptał.

Dziewczyna wróciła z księgą i podała mu ją. Adrian wyciągnął z kieszeni lateksowe rękawiczki i założył je, zanim wziął tom.

— To jest właśnie to, co oni robili, ci mężczyźni, którzy zginęli, to, co zrobili jemu. Cięli go i przypalali; złamali w nim wszystko. Kazali mu ranić innych.

Otworzył księgę i spojrzał na ryciny, zobaczył obrazy, które przypomniały mu sceny z miejsc zbrodni, tylko że na każdym była ta sama osoba. Zobaczył twarze sprawców. Zobaczył koronera, kustosza, a także znajomą twarz swojego szefa, znacznie młodszego detektywa Harolda Morrisa. Z każdym obrazem żołądek coraz bardziej podchodził mu do gardła. Ci ludzie byli szanowanymi członkami

społeczeństwa, tych ludzi obdarzano zaufaniem. Zobaczył byłego dyrektora szkoły jego syna, Jeffa Stone'a, jak podnosi żelazo i przyciska je do ciała chłopca, dym na zdjęciu oddawał temperaturę przedmiotu, zadawane cierpienie.

— Dlaczego to robili?

— Czy istnieje jakikolwiek wystarczający powód? Robili to, bo byli chorzy; robili to, bo chcieli. Bo niektórzy wierzą, że mają prawo dane od Boga, aby podporządkowywać sobie innych, aby sprawować najwyższe rządy nad nami, którzy jesteśmy dla nich zaledwie zabawkami. — Na jej rzęsach zawisły łyzy, grożąc, że w każdej chwili mogą spaść, ale on widział, że ona im na to nie pozwoli.

— Gdzie on teraz jest? Twój przyjaciel...

— Nie wiem. Przysięgam. Byłam z nim wcześniej, ale kiedy obudziłam się, jego już nie było. Dlatego pokazałam to panu. Widziałam tu pana wcześniej i chciałam się upewnić, że ma pan wszystkie elementy tej układanki, zanim jemu coś się stanie. Wiem, że go złapiecie, on chyba nawet tego chce. Chce, aby go za to ukarano.

— Prosiła mnie pani, abym coś obiecał?

— Tak, chciałam się upewnić, że go wysłuchacie. Proszę mi obiecać, że to jedno pan zrobi. On nie jest zły.

W normalnych okolicznościach nie byłoby wątpliwości, co by zrobił. Zaaresztowałby dziewczynę i zabrał na przesłuchanie. Teraz jednak to wydawało się niewłaściwym ruchem. Źle się czuł, nie wiedząc, komu może zaufać na posterunku, że nie może zagwarantować bezpieczeństwa tej kobiecie. To ona przyszła do niego, ujawniła się, choć mogła trzymać się na uboczu; Adrian podjął jedyną decyzję, jaką mógł w tych wyjątkowych warunkach.

— Będę chciał z panią porozmawiać później, będzie tu pani?

Rozejrzał się dookoła po raz kolejny i wyszedł, a na plecach czuł dreszcze. Ten pokój istniał od wieków, więc mógł poczekać jeszcze trochę, przynajmniej do momentu, aż dowiedzą się, kto jeszcze w ich oddziale był w to zaangażowany. Zdradzanie im tego teraz, zanim przesłuchają Morrisa, mogłoby być dużym błędem. Adrian kierował się teraz w dużym stopniu instynktem. Kiedy wyszedł z pomieszczenia, dziewczyny nie było, zamknął drzwi i poszedł szukać Grey.

Imogen wzięła sok pomarańczowy z roznoszonych tac, żałując, że nie wybrała szampana. Pochwyciła garść pasztecików z sąsiedniej tacy, a kelner starał się opanować wyraz zgorznięcia na twarzy, gdy ona układała je na serwetce przy piersi jedną ręką, a drugą próbowała wychylić napój, żeby przechwycić kolejny kieliszek, zanim on odejdzie. Jadła nerwowo, bo dzisiaj jeszcze była na czczo. Wiedziała, że jak zdejmie tę suknię, będzie miała odciski w miejscach szwów; już dawno nie nosiła niczego tak ciasnego. Natychmiast poczuła, że sok pomarańczowy odnalazł drogę do jej pęcherza, i będzie się działo.

Podążyła do damskiej toalety. Dostrzegła atmosferę nadciągającego

nieszczęścia, gdy przemierzała te korytarze, coś było nie tak. Kiedy szła, coraz bardziej stawała się świadoma cieni dostrzeganych kątem oka. Wydawało się jej, że coś się rusza, ale kiedy odwróciła głowę, aby sprawdzić, wszystko nieruchomiało. Monotonny, niski ton narracji w Sali Rzymskiej brzmiał, jakby wydawano złowieszcze instrukcje pośród ciemności.

W toalecie wykorzystwała wszystkie swoje umiejętności amatorki jogi, aby dotrzeć do własnej bielizny bez rozpinania sukni. Dobrze wiedziała, że jak ją rozepnie, to już jej nie nałoży i będzie musiała spędzić resztę życia w ubikacji muzeum albo będzie wracać jedynie w majtkach, ponieważ w swej mądrości Denise kazała jej zdjąć beżowy stanik. Poruszanie się w ciasno dopasowanej sukni wieczorowej było zdecydowanie trudniejsze, kiedy przestrzeń dookoła ciebie była ograniczona do pół metra kwadratowego. W końcu musiała się uwolnić z kabiny, aby suknia wróciła do prawidłowego stanu, jednocześnie nie ściągając sobie majtek. Jedną z niemożliwie eleganckich mecenasek obserwowała Imogen siłującą się z suknią.

— W czymś mogę pani pomóc? — Imogen rzuciła do kobiety, która zajęła się na powrót malowaniem ust.

Kiedy Grey wracała na przyjęcie, ochroniarz podszedł do niej z kieliszkiem szampana w ręku.

— Dobrze się pani bawi? — zapytał. Uśmiechał się podejrzanie. Grey tego nie okazała, ale w duchu przewróciła oczyma.

— Wolno panu pić? Nie jest pan na służbie?

— Jest za darmo. W tej pracy nie ma za dużo dodatków, jak pani pewnie wie. Chociaż teraz jest zdecydowanie inaczej. — Zlustrował jej ciało z góry do dołu. Opanowała się i nie jęknęła. On jednym łykiem wychylił zawartość kieliszka.

— Muszę wracać na przyjęcie — zniecierpliwiła się, nie miała czasu na takie rzeczy.

— A może tak urządzimy sobie prywatne przyjęcie? Tylko ty i ja? — Zbliżył się bardziej, położył ręce na jej biodrach i przesunął je na pośladki. To nie był pierwszy jego drink tego dnia, widziała, że jest pijany, może nawet się naćpał, w oczach niemal kręciły mu się młynki.

— Jejku, chociaż ta propozycja jest tak ekscytująca... — Jedną ręką sięgnęła do torebki i wyciągnęła portfel, otwierając go i podsuwając mu pod twarz odznakę. — To chyba spaszuję.

Ochroniarz podniósł ręce z szerokim uśmiechem na twarzy, zataczając się nieco do tyłu i chichocząc.

— Nie przeszkadza mi odrobina policyjnej brutalności, cudnie.

— Dosyć tego. — Grey uśmiechnęła się i rozejrzała, aby sprawdzić, czy nikogo nie ma w pobliżu. Podciągnęła suknię do ud, aby dać sobie możliwość ruchu, zanim wyprowadziła cios kolanem w jego krocze. Ciągle z uśmiechem,

osunął się na podłogę i zaskowyczał. Grey wyprostowała się i wróciła na przyjęcie.

— Poproszę wszystkich o uwagę! — zawołała blond recepcjonistka. — Proszę o przejście za mną do sali balowej, gdzie oficjalnie ogłosimy ponowne otwarcie muzeum, jak również podzielimy się ekscytującymi wiadomościami o nadchodzących wydarzeniach i wystawach.

Goście podążyli za dziewczyną i zgromadzili się przed dwuskrzydłowymi drzwiami. Gruba, fioletowa wstęga rozciągała się przed drzwiami, a recepcjonistka uniosła nożyczki. Imogen szacowała, że przybyła ponad setka gości. Rozpoznała kilka twarzy; widziała je w gazetach kiedyś w przeszłości. Rozpoznawała także kosztowne marki, sukienki, które kosztowały więcej niż miesięczny czynsz. Nie wspominając o butach, zasadniczo zbyt ciasnych i ograniczających ruchy, ale tak bardzo eleganckich, widziała, jak niektóre panie zsuwają je ze stóp, kiedy wydawało im się, że nikt nie patrzy; gimnastykowały nogi i rozciągały, zanim wcisnęły je na powrót. Uśmiechnęła się do siebie, gdy pomyślała o glanach pod sukienką. Spojrzała na zegarek. Blondyna skinęła do jakiegoś mężczyzny w szarym na miarę garniturze w zamożnym tłumie. Zbliżył się z uśmiechem na twarzy, przejmując od niej nożyczki. Ona szepnęła mu coś do ucha, a on nadal uśmiechał się, chociaż Imogen zauważyła, że uśmiech jest trochę bardziej wymuszony.

— Cóż, pan Lowestoft poprosił mnie, abym powiedział kilka słów po nim, ale najwyraźniej zdrowie mu nie dopisało i nie może spotkać się z nami dzisiaj. Nazywam się Mathew Holder i zastąpię Teda, czyli pana Lowestofta, kiedy przejdzie na emeryturę. — Po kilku okrzykach zdziwienia i oklaskach mężczyzna uniósł ręce, aby uspokoić zebranych z tym samym nerwowym uśmiechem przyklejonym do twarzy. — A zatem obejrzyjmy salę, słyszałem, że naprawdę jest zachwycająca. Możecie państwo swobodnie robić zdjęcia, ale bez fleszy.

Niektórzy wydobyli smartfony, aby utrwalić ten moment dla potomności. Holder uniósł nożyczki i przeciął wstęgę, rozległy się kolejne oklaski. Dziewczyna ujęła klamki podwójnych drzwi i pchnęła je, otwierając szeroko. Holder nadal stał twarzą do tłumu i uśmiechał się.

Imogen potrzebowała kilku chwil, aby zarejestrować to, co ujrzała.

Rozległo się kilka sapnięć pośród tłumu, a potem -nagle mrozący krew w żyłach krzyk. Przedała się przez zebranych.

— Policja! Przejście! — zawołała Imogen, widziała jeszcze telefony w powietrzu rejestrujące widok nagiego Theodore'a Lowestofta przywiązanego do żelaznego krzesła i otwartego od krocza po mostek, z okaleczoną twarzą, rozciętą od ucha do ucha, pozbawiony języka, jedynie z ziejącą pustką w miejscu, gdzie powinien być.

Natychmiast pożałowała zjedzenia tych wszystkich kanapek i wzięła głęboki oddech.

— Proszę wyłączyć wszystkie telefony, to miejsce -zbrodni. Zamknąć te



drzwi!

Matthew Holder odwrócił się i zajął do sali balowej; natychmiast zgiął się wzdół, wymiotując. Imogen przeszła pospiesznie obok niego i chwyciła drzwi, zamykając jedno skrzydło, gdy recepcjonistka zamknęła drugie. Zamknęły Lowestofta w środku, zasłaniając widok miejsca zbrodni.

Imogen sięgnęła do torby i wydobyła telefon, wybrała numer Milesa, ale usłyszała jego telefon, zanim go zobaczyła.

— Co się dzieje? — zawołał na cały głos, przepychając się do niej przez tłum.

— Mamy następną ofiarę, Miley. — Starła się mówić lekko, ale wiedziała, że nie daje rady. Położył rękę na jej ramieniu, aby ją wesprzeć, już taki był, opiekuńczy.

— Proszę wszystkich o przejście do holu. Niech nikt nie wychodzi! — krzyczał Miles. Wyciągnął swój telefon i wybrał 999, chociaż sytuacja kryzysowa najwyraźniej minęła. Lowestoft zdecydowanie był martwy.

Imogen podeszła do ochroniarza, który nadal pielęgnował swoje ego, ale jeżeli nie zaszło nic więcej, to jej mała „interwencja” otrzeźwiła go.

— Dopilnuj, żeby nikt nie wyszedł. Myślisz, że dasz radę?

— Tak jest, psze pani.

— Tak jest, pani detektyw, nie jestem starą, pomarszczoną panną, która prosi cię o przysługę.

— Przepraszam, pani detektyw, jak pani sobie życzy! — prychnął i odszedł do głównego wejścia, aby zamknąć drzwi. Goście zaczęli narzekać. — Przepraszam, ludzie. Będziecie musieli siedzieć i się nie ruszać.

— Jest bardzo źle? — Miles podszedł do Grey.

— Czegoś tak paskudnego nigdy nie widziałam.

— Tego nie jestem do końca pewien. — Ze złowieszczym spojrzeniem podniósł wielki brulion oprawiony w skórę. — Nie wiem nawet, czy chcesz na to patrzeć. Chciałbym wymazać te obrazy z pamięci, jak i inne rzeczy z tej sprawy.

— Pokaż — powiedziała. On już miał na rękach rękawiczki, nie było sensu, żeby oboje je zakładali.

— Jak chcesz.

Otworzył księgę i pokazał jej zawartość.

— Chyba znaleźliśmy nasz motyw — udało jej się powiedzieć, kiedy przewracał kartki. Zabrakło jej tchu i poczuła, jak znowu wzbiera w niej panika. Miles zamknął brulion; Grey teraz nie dawała sobie z tym rady. Wpierw musieli zająć się Lowestoftem.

— Zadzwoń na posterunek. — Miles nadal trzymał w ręku telefon.

Imogen podeszła do jednego z licznych kelnerów, którzy nadal posłusznie stali rozstawieni po całej sali. Przechwyciła dwa kieliszki szampana i opróżniła je

pospiesznie. Kurwa, co tam. Miles podszedł do niej.

— Jakież wiadomości od szefa?

— Nie, ale wezwali ich do domu Mike'a. Nie żyje... powiesił się.

— Jezus! Daniels? — Imogen wiedziała, że coś go męczy, widziała to w jego oczach, kiedy powiedział im o swojej roli w tym wszystkim, ale czegoś takiego się nie spodziewała. — Nie wiem już, komu ufać, wszystko jest pomieszane.

— Hm, mnie zawsze możesz ufać. — Miles uśmiechnął się. Tak, mogła, tyle wiedziała. Tak jak on, od początku była na marginesie, jeszcze zanim się poznali. Teraz, kiedy fakty wychodziły na jaw, z każdym dniem pojawiały się nowe okropieństwa. Koniec musi być bliski, ile to jeszcze może trwać? Najwyraźniej wszystko stawało się coraz bardziej jawne, co zazwyczaj było dobrym wskaźnikiem, że sprawy osiągały punkt krytyczny. Czy tylko oni szukali prawdy? Przyszło jej do głowy, zajrzawszy do brulionu, że może nawet są po stronie mordercy, kimkolwiek był.

— Skąd masz ten brulion?

— Od dziewczyny, która tu pracuje, dała mi go. Zaprowadziła mnie do pokoju, który jest na tych zdjęciach, cholernie przerażający. Nigdy nie widziałem czegoś takiego.

— Cholera, gdzie ona teraz jest? Nie sprowadzimy jej?

— Grey, ona przysłała do mnie, tak jak Ryan przyszedł do mnie, a teraz on nie żyje. Też nie wiem, komu ufać, a nie mogę mieć śmierci kolejnej osoby na sumieniu. Nie wiem, czy Daniels był jedynym zamieszanym. Z tego, co wiem, ktoś zabił go, bo widzieli, że rozmawiał z nami na posterunku.

— Dobra, może masz rację, Więc kim ona była? Dlaczego pokazała to tobie?

— Żebym zrozumiał, najwyraźniej, a najbardziej martwi mnie to, że rozumiem.

— Jednak nie można tak sobie zabijać ludzi.

— Nie można. Chociaż wydaje mi się, że może ten przypadek jest wyjątkiem od reguły.

Z zewnątrz dobiegł do nich dźwięk syren. Imogen skinęła na ochroniarza, który otworzył drzwi. Wzięła głęboki oddech i spojrzała na twarze mundurowych i detektywów, zastanawiając się, ilu z nich było w to zaplątanych, kogo jeszcze kontrolował Morris. Dzięki Bogu miała buty na płaskim obcasie, zanosilo się na całonocną imprezę.

## Rozdział 33

### Syn

Kolejny poranek, kolejny prysznic, który nie do końca to wszystko załatwił. Adrian chciał sobie wymyć do czysta mózg. Widział już kilka jatek podczas lat służby w policji, ale nigdy nic podobnego. Niektórzy ludzie poświęcają całą karierę, szukając takiej sprawy, czegoś wielkiego i ostrego, czegoś, co przyniesie im medale i zaszczyty. Kiedy twoja twarz będzie we wszystkich gazetach. On jedynie pragnął wypaść się porządnie całą noc bez makabrycznych obrazów, które jak zjawy nawiedzały jego sny. Grey miała rację. Takiego widoku, jaki przedstawiał Lowestoft, nigdy nie widział. Czysta nienawiść była wypisana po całym miejscu zbrodni, nie chodziło tylko o zabicie Lowestofta, chodziło o poniżenie go, pokalenie jego ukochanego muzeum, pokazanie światu jego tajemnic. Teraz prawda wyjdzie na jaw, miała siłę przebić się przez mgłę i wyjść na światło dzienne. Adrian powiedział policjantom o tajnym pokoju i teraz rozkładano go na czynniki pierwsze, robiono zdjęcia, spisywano dowody. On sobie wyobrażał same próbki DNA; wiedział, że ten pokój wiele widział. Zarejestrował brulion i przekazał go bezpośrednio Gary'emu Tunneyowi, żeby -zobaczyć, co uda mu się z niego wydobyć — daty, godziny, cokolwiek. Musiał dowiedzieć się jak najwięcej. Chłopiec na zdjęciach był wygięty tak mocno, że groziło złamanie, dlaczego? Abbey Lucas też miała rację, istniał tylko jeden powód, dla którego ktoś zrobiłby coś takiego. Bo ich to kręciło.

Adrian stanął przed lustrem w łazience i wytarł z niego parę, patrzył na swoje ciało w całkowicie nowym świetle. Doceniał kruchość życia, widział, że wewnątrz ciała od zewnątrz dzielą dwa centymetry skóry i ciała, jedno ostre cięcie mogło zmienić to wszystko. Spojrzał na swoje blizny i pomyślał o podmiocie 89; nagle one nie wydały się mu takie straszne. Z innych notesów w tamtym pokoju, które sięgały aż pierwszej połowy dziewiętnastego wieku, dowiedział się, że tylko osiemdziesiąt osiem „podmiotów” było dobrze udokumentowanych i także spotkał ich koniec w tym przerażającym pomieszczeniu. Pomyślał o tym, jak dorastał z ojcem, o systematycznych aktach przemocy, widoku matki skulonej w kącie przez całe jego dzieciństwo, o niewyjaśnionych sińcach i niejasnych tłumaczeniach. Wiedział, że widok tych rzeczy zmienił go. Przez bicie stał się inny niż większość dzieciaków. Ludzie, którzy przechodzili to, co on, kończyli jak Ryan Hart, szli przez świat, nieustannie walcząc. Lecz raz detektyw Morris odwiedził Milesa w domu, zabrał go na bok i uspokoił go. Powiedział mu kilka krzepiących słów i podał numer telefonu, bezpośredni, na wypadek gdyby kiedykolwiek czegoś potrzebował. To za sprawą Morrisa wstąpił do policji. Trudno mu było pogodzić

dotychczasową wiedzę o tym człowieku z okropnymi obrazami tortur opisanymi w grubym, skórzanym brulionie. Morris był jego mentorem, jego opoką, jedyną osobą, którą zawsze uważał za rodzinę, kiedy jego własna tak bardzo go zawiodła. Ojciec ćpun i matka, która znosiła ten nałóg, bicie i przymykała oko, kiedy rzucał się z pięściami na Adriana.

Zadzwoił telefon i wyrwał go z niechcianych wspomnień. Spojrzał na ekran, to znowu Andrea. Nie mógł się dzisiaj nią zająć. Ona zawsze to robiła; zawsze dzwoniła o niewłaściwej porze. Niech się nagra na pocztę. Na pewno dzwoniła w sprawie jego wiadomości o szkole Toma, ale ta rozmowa musiała teraz poczekać.

Adrian wszedł na posterunek. Denise osuszała oczy chusteczką, widać wiadomość o Danielsie rozeszła się lotem błyskawicy. Dziewczyna spojrzała na Adriana i szybko odwróciła wzrok. Pomyślał, że powinien coś powiedzieć na pocieszenie, ale to nie mieściło się w ramach ich przyjaźni, więc poszedł dalej. Grey pokręciła głową, kiedy Adrian wszedł do sali odpraw; nadal ani śladu Morrisa. Nikt poza Adrianem i Grey nie wiedział, dlaczego Daniels się zabił. Podejrzewał, że Morris pewnie też znał powód, gdziekolwiek teraz był.

— Myślisz, że jeszcze żyje? — spytała po cichu Grey.

— Pewnie byśmy wiedzieli, gdyby nie żył. Ten, co to zrobił, już się nie ukrywa; chce, aby prawda wyszła na jaw.

— Zgadza się.

— Morris jest chyba na bis, Lowestoft był gwoździem programu. Teraz muzeum jest przeszukiwane, ten zły pokój i cała reszta. Wyjdzie na jaw związek Lowestofta z pozostałymi ofiarami. Na szczęście ci zwyrodnialcy sporządzili dobre notatki.

— Wiemy coś jeszcze o zabójcy?

— Dziewczyna z muzeum go zna. Mogliśmy ją sprowadzić, ale nie wiem, czy zagwarantujemy jej bezpieczeństwo.

— To straszne uczucie, prawda?

— Dla ciebie pewnie jak *déjà vu*?

— Hm, tak, szczególnie że większość tych idiotów tu jest. Nie ufam żadnemu. Ciekawe, czy Morris sprowadził ich, żeby mnie urządzić. On zna historię; mój stary szef grał z nim w golfa. Pewnie dobrze się ubawili tym, co mi się stało.

— Co się tobie stało? — zapytał Adrian, wiedząc, że opuściła sporo szczegółów.

— Nie warto o tym mówić, Miley. Wystarczy ci tyle, że nie dostali tego, co chcieli. Niezupełnie. Ostatnia sprawa, nad którą pracowałam, z narkotykami... miałam z niej nie wyjść żywa.

— Kogoś aresztowano?

— Tak, dwie osoby. Główny podejrzany jednak zmarł w areszcie. Naturalnie, to też była moja wina.

— Cholera. Przy tym to moje zagubienie dowodów po prostu wysiada — stwierdził Adrian.

— Tak, zdecydowanie. — Uśmiechnęła się niechętnie. — Chodź. Skupmy się nad tą sprawą. Jedna katastrofa na raz, hm?

Adrian poczuł wibracje swojego telefonu w kieszeni. Wyciągnął go. Znowu Andrea.

— O co chodzi? Pracuję! — rzucił.

— Miałeś odwieźć Toma do dziesiątej rano dzisiaj. Dlaczego jesteś w pracy? Gdzie jest Tom?

— Nie mam Toma, o czym mówisz?

— Powiedział mi, że zadzwonił do ciebie, żebyś go zabrał, pokłóciliśmy się. Gdzie on jest, Adrian? — wycedziła. Słyszał, jak jej złość zamienia się w niepokój.

— Wcale do mnie wczoraj nie dzwonił. Nie mam żadnych nieodebranych telefonów od niego.

— Nie, przedwczoraj. Musiał dzwonić na posterunek w takim razie.

Te słowa zadźwięczały w uszach Adriana. Podbiegł do biurka Denise, wszystkie rozmowy przechodziły przez nią.

— Denise! — zawołał, a ona podniosła wzrok. — Czy Tommy dzwonił tu w piątek?

— Tak, wy jednak już wyszliście.

— Ktoś z nim rozmawiał? Kto taki?

— Daniels, stał obok, kiedy Tommy zadzwonił, od razu wziął ode mnie słuchawkę. — Kiedy to powiedziała, Adrian zupełnie stracił równowagę. Daniels nie żył, cholera, gdzie jest Tom? Spojrzał na swój telefon, nadal był połączony, podniósł go do ust.

— Andrea, słuchaj, nie wiem, gdzie jest Tom.

— Cholera, co chcesz przez to powiedzieć?

— Przysięgam, nie rozmawiałem z nim w piątek.

— Sam przecież nigdzie by nie pojechał.

— Wiem. Musisz mi zaufać; znajdę go.

— Zaufać tobie? Jak mam ci zaufać, zgubiłeś mojego syna!

— Nie, jeżeli mamy się wzajemnie oskarżać, to ty go zgubiłaś, ale to w niczym nie pomoże.

— Ty gnoju!

— Zrobię to, Andrea. Znajdę go, obiecuję.

— Daj mi Harry'ego. — Dyszała ciężko, głos miała podniesiony i Miles wyczuwał złość, ale zauważył jedynie słowo: Harry.

— Słuchaj, zadzwoń do jego kolegów, może cię nabrał. To pewnie nic

takiego. To nastolatek. — Rozłączył się.

Grey stała obok niego, przyglądając się mu z zatroskaną miną. Adrian nie chciał nic mówić przy Denise, nie wiedział, czy jest po jego stronie, czy nie.

— Denise, jakby ktoś do mnie dzwonił, to jestem dzisiaj chory, dobra? Naprawdę, ktokolwiek! Biorę wolne!



Adrian ledwo dotykał ziemi, biegnąc do samochodu.

— Ja prowadzę, Adrian, wsiadaj do mojego — zawołała Grey. Nie chciał się spierać, a zresztą nie widział dobrze, więc wskoczył do jej wozu. Grey potrafiła prowadzić jak szalona, gdy szło co do czego; wiedział, że nie będzie się powstrzymywać. Ledwo dotknął pośladkami siedzenia, a samochód ruszył; pęd zatrzasnął drzwi za niego. Wystrzeliła z parkingu, gdy Adrian wprowadzał adres Morrisa do nawigacji.

— Co sądzisz o Denise? — zapytał Grey, gdy włączał syreny i światła; zaskoczyło ją to pytanie.

— Teraz mam ci doradzać co do waszego związku?! — Grey nie odrywała oczu od jezdni.

— Nie! To znaczy, myślisz, że ona wie, gdzie jest Tom?

— Zdecydowanie nie. W żadnym razie.

— Więc nie sądzisz, że jest wplątana? Nie współpracowała z Danielsem ani z Morrisem?

— W żadnym razie, Miley, zaufaj mi. Tej kobiecie odpierdoliło na twoim punkcie, jakby coś wiedziała, to by ci powiedziała. Zaufaj mi, nigdy rozmyślnie nie skrzywdziłaby ciebie, szczególnie w taki sposób — mówiła Grey. Adrian nigdy nie zastanawiał się, jak szczerą są uczucia Denise do niego; natychmiast źle się poczuł z powodu ich związku, ale nie miał czasu martwić tym się teraz.

Grey mknęła między samochodami i przejeżdżała na wszystkich czerwonych światłach; nawigacja ledwo dotrzymywała jej kroku. Zahamowała z piskiem opon przed domem, a Adrian wyskoczył, zanim ona zdążyła zaciągnąć hamulec.

— Zadzwoń do Denise, powiedz jej, co się dzieje, powiadom też Frazera. Ufam mu — zawołał do Grey i pobiegł w stronę domu. — Nie wiem, jak to daleko sięga, więc myślę, że teraz mniej to więcej.

Drzwi były uchylone. Adrian wpadł, obawiając się trochę, co może zastać w środku. Istniał milion możliwości, a tylko nieliczne z nich były korzystne. Niejeden raz w ciągu ostatnich kilku lat natknęli się na skutki nieprzewidywalnego incydentu. Nie pozwalał sobie myśleć o tym, co mogło stać się z Tomem. Jeżeli nie będzie znał definitywnej odpowiedzi, to zawsze był czas, aby go uratować. Biegał po domu, otwierając drzwi. Panowała tu wszędzie dziwna pustka, jakby dom został opuszczony. Adrian usłyszał jakiś hałas na górze i pobiegł, jak mógł najszybciej,

pchnął drzwi do sypialni. Zatrzymał się jak wryty na widok koszuli Morrisa, była cała zakrwawiona. Harry składał rzeczy i chował je do walizki, był niezwykle spokojny, zważywszy na okoliczności.

— Cholera, myślałem, że uda mi się stąd wydostać — powiedział Morris, dalej się pakując.

— Gdzie on jest?

— Jest bezpieczny, nie martw się.

— Jak go skrzywdziłeś! — wrzasnął Adrian.

— Nie martw się, detektywie, potrafi się ruszać, patrz, co mi ten mały gnojek zrobił! — Harry odwrócił głowę i pokazał ucho, było lekko oderwane; stamtąd brała się krew. *Brawo, Tom.*

Grey wpadła do pokoju za Adrianem, brakowało jej tchu.

— Nigdzie się nie wybierasz, oddaj chłopaka, zanim będziesz miał kłopoty — wydyszała Grey.

— Moi dwaj ulubieni popaprańcy, nie zapominajmy też o biedaczynie Mike'u. Jaki, kurwa, z was był dream team. — Harry zaśmiał się. — Najwyraźniej oddanie mu Tommy'ego obudziło w nim lepszą naturę i zdecydował, że życie nie ma już sensu.

— Harry, gdzie jest mój syn? Gdzie jest Tom? Jesteś jak rodzina! Znałeś go od dziecka. Co mu zrobiłeś? — Musiał być zły, taka była jedyna droga, Adrian mógł sobie z tym poradzić jedynie poprzez gniew, inaczej zaakceptowałyby możliwość, że Tom nie żyje.

— Oto układ. Tom jest w bezpiecznym miejscu, jak na razie. Nie wiem jednak, jak długo przetrwa tam, gdzie go zostawiłem. Puścisz mnie, a jak będę tam, gdzie muszę być, zadzwonię do ciebie i powiem, gdzie on jest.

— Jest jeden kłopot z tym planem — odpowiedział Adrian, a niedobrze mu się robiło z każdym słowem. — Nie ufam tobie.

— A to szkoda, ale jaki masz wybór? — Harry tryumfował. Wiedział, że ma wszystkie karty, jedną kartę, która miała znaczenie. — Nie wiem, czy wiesz, ale sporo moich przyjaciół padało jak muchy, muszę stąd uciekać, muszę zniknąć.

— Wiem, co ty i twoi koledzy robiliście. Trafiła do mnie pewna księga. Widziałem, co zrobiliście tym chłopcom. Zasługujecie na cały ten ból, który wam przypadł.

— Nie spodziewam się, żebyś zrozumiał, co próbowaliśmy osiągnąć.

— Nie uważam, że cokolwiek chcieliście osiągnąć. Byliście tylko bandą zboczeńców.

— Hejże! — krzyknął w obronie Harry. — Byliśmy żołnierzami Pana Boga! Walczyliśmy o rasę ludzką. Żeby usunąć ze świata chorobę homoseksualizmu.

— Żartujesz, co? Wiesz może, co Kevin Hart robił w weekendy? — spytała Grey.

— Wiedział, że jest chory, że potrzebna mu pomoc.

— Chory, zdecydowanie.

— A ty, głupia suko?! Co wiesz o honorze i lojalności? Zobacz, co zrobiłaś w twoim starym oddziale, rozwaliłaś go.

— Niezła wymówka, aby grupa złych, młodych ludzi spędzała razem czas w przytulnym, ciemnym pokoju, jeżeli chcesz znać moje zdanie. Żołnierze Boga jak chuj. — Grey uśmiechnęła się. Co ona robi? Miles widział już, jak odstawiała ten numer; wpięła nastawiała ludzi przeciwko sobie, żeby popełnili błąd. Adrian nie wiedział, w co gra teraz, ale cieszył się, że ma jakiś pomysł, on nawet nie mógł jasno myśleć.

— Zamknij gębę.

— Nie bardzo lubisz kobiety, co, szefie? Wystarczy na ciebie spojrzeć, nadal jesteś kawalerem, a dlaczego to? Może nie potrafisz zmierzyć się z tym, co w tobie siedzi. — Powoli podchodziła do niego, a Harry był zbyt rozeźlony, aby to zauważyć. Dobierała się do niego.

— To był błąd, połączyć was. Miałem nadzieję, że pograżycie się nawzajem. — Spojrzał na Adriana. — Nie wierzę, że dałeś się nabrać na jej bzdury.

— Chcę tylko Toma. Wtedy możesz iść do diabła.

— Miałem na ciebie oko, wiesz, Miles. Kiedy cię poznałem, miałeś wszystkie oznaki, trudne środowisko, kłopoty z ojcem, cały ten bajzel. Nawet opowiadałem kolegom o tobie. Chcieliśmy nauczyć cię właściwego zachowania, jak skończymy pomagać Sebastianowi. Potem wybuchł pożar i musieliśmy wstrzymać się z tym. Wtedy Andrea zaszła z tobą w ciążę i nie było potrzeby.

— Kurwa, zwariowałeś! Nikomu nie pomogliście! — Adrian przypomniał sobie zdjęcia chłopaka, musiał mieć na imię Sebastian. Aż mdłości go naszły na myśl, że Harry klasyfikował go na „kurację”. Znowu pomyślał o zdjęciach i niedobrze mu się zrobiło na myśl, że Tom był sam na sam z Harrym, chociaż w przeszłości działo się tak wiele razy.

— Dzień dobry, Harry — czyjś głos dobiegł od drzwi. Adrian odwrócił się i zobaczył mężczyznę ubranego na czarno. Mężczyzna zwrócił się do Adriana z uśmiechem, niemal zażenowany. — Detektywie.

Harry znowu zmienił postawę, bał się.

— Sebastian, aleś ty wyrósł. — Harry cofnął się, gdy mężczyzna zrobił krok naprzód.

— Teraz nazywam się Parker.

— Parker, nie możesz go skrzywdzić... on ma mojego syna.

Harry rzucił się i schwycił Grey, miał w ręku pistolet. Przycisnął go mocno do szyi dziewczyny. Adrian natychmiast rozpoznał, że to broń, którą rzekomo zgubił, a była dowodem w sprawie Ryana Harta.

— Co, Harry, stare sztuczki stosujesz? — odezwał się Parker.



— Zostawcie mnie, bo nigdy nie znajdziecie chłopca! — krzyknął zdesperowany Harry.

Adrian spojrział na Parkera, to on prawdopodobnie popełnił te wszystkie obrzydliwe czyny, które przyszło mu oglądać przez ostatnie kilka miesięcy. Potem przeniósł wzrok na Harry'ego. Gdyby życie Toma nie było zagrożone, wtedy pozwoliliby Parkerowi zająć się nim, ta myśl przeraziła jego samego.

— Harry, jeżeli pozwolę ci odejść, nigdy więcej nie zobaczę Toma, zaprowadź mnie do niego, pójdziemy tylko my, nikt inny.

— Nie możesz tego obiecywać! — odkrzyknął Harry.

— To dobrze, ja i Grey wychodzimy teraz, idziemy szukać Toma, a ty i Parker powspominacie sobie stare czasy.

— Nie znajdziesz go beze mnie.

— Grey, nic ci nie jest? — zapytał Adrian, widząc, że pobladła.

— Nie, nie martw się o mnie, dobrze jest. — Z trudem łapała oddech. Adrian widział, że zdecydowanie nie jest z nią dobrze.

Morris chwycił ją za włosy i szarpnął mocno do tyłu, zbliżając się do wyjścia. Wsunął pistolet w dekolt jej bluzki i szarpnął w dół, guziki oderwały się i bluzka była rozpięta. Adrian widział, jak jej klatka piersiowa faluje, walczyła o oddech; potrafił rozpoznać atak paniki. Znowu zobaczył jej bliznę. Biegła spod piersi aż za linię talii, zastanawiał się, jak przeżyła takie cięcie. Morris odciągnął ją do tyłu, aby się przyjrzeć.

— Słyszałem o tym, w końcu mam okazję zobaczyć.

— Pierdol się! — wycedziła. On przycisnął lufę do jej zabliznionej skóry.

— Trudniej jest przebić się przez skórę, która raz już się zrosła, co, Parker? Ale chyba kula dałaby radę. — Morris pogładził grzbietem dłoni bliznę. Adrian nie spuszczał wzroku z palca Morrisa, sprawdzając, czy nie naciska mocniej na spust. — Miles, wiesz, jaka z tym wiąże się historia? A może jeszcze jej nie obmacywałeś?

— Zamknij się, Harry. — Adrian zaciskał pięści, z trudem się opanowywał, pragnął pomalować ściany jednym dobrym ciosem.

— W ten sposób zaoszczędzono Grey niegodności macierzyństwa. Najwyraźniej nie pasowało ono do jej zawodowych aspiracji. — Przyciągnął ją blisko do siebie, pistolet uderzał o jej talię. — Teraz pójdzie ze mną. Zabiorę ją do Toma, a potem...

— Nigdzie jej nie zabierasz! — powiedział Adrian. Na twarzy Grey malowała się panika. — Weź mnie, jeżeli już kogoś musisz!

Adrian spojrział na Parkera, nadal był skupiony na Harrym, ale jego oczy błyszczały. Wtedy właśnie Grey chwyciła pistolet i pociągnęła mocno palec Morrisa na cynglu, aż broń wypaliła przez jej ramię. Tuż pod obojczykiem. -Morris -odskoczył, chwytając się za ramię, kula przeszła prosto przez mięsisty biceps.

Imogen osunęła się na podłogę, zgięta w pół i zakrwawiona. Jedno kolano uniosła do piersi, aby spowolnić krwawienie albo kontrolować ból, Adrian nie wiedział, co bardziej. Musiała jechać do szpitala, ale Miles nie mógł spuścić wzroku z Harry'ego. Morris wycelował w Parkera i strzelił, Parker zanurkował na podłogę. Morris przemieszczał się dookoła, strzelając, aż magazynek zrobił się pusty, potem wybiegł z pokoju. Chwilę później rozległ się dźwięk zapalnego silnika. Adrian rzucił się do Grey i chwycił ją za rękę.

— Cholera, po co to zrobiłaś?

— Nie martw się o mnie, Miley — ledwo zdołała wypowiedzieć.

— Wiem, potrafisz o siebie zadbać.

— Miałam plan.

— To był straszny plan, Grey. — Poglądził ją po czole, a jej uśmiech przeszedł w szloch.

— Nie mogłam pozwolić, żeby mnie wziął! — powiedziała przez zaciśnięte zęby, łzy spływały jej po policzkach. — Tak mi przykro... o mój Boże... Tom.

— Zajmę się nią. — Parker położył Adrianowi dłoń na ramieniu. — Nie pozwól mu uciec. Odzyskaj syna.

Adrian spojrzał na Parkera, musiał podjąć decyzję, tylko że to wcale nie wyglądało na decyzję, nie miał wyboru. Musiał gonić Harry'ego. Spojrzał znowu na Grey, była całkiem biała, jak porcelana, nie widział już piegów na jej nosie.

— Powinienem ciebie aresztować — powiedział do Parkera.

— Wiem — odparł Parker, oderwał rękaw z kurtki i przycisnął do rany Grey.

— Jak jeszcze raz cię zobaczę, to cię aresztuję. Obiecuję.

— Wiem.

— Przepraszam, Grey. — Adrian wziął od niej kluczyki i wybiegł z pokoju, zostawiając ją w rękach zbrodniarza, który popełnił najbardziej makabryczne morderstwa.

## Rozdział 34

### Koniec

Adrian nie mógł przestać myśleć o Grey, kiedy podążał za Harrym. Znajdował się spory kawałek za nim, ale wiedział, dokąd ten jedzie — na lotnisko. Harry miał w liniach lotniczych kolegę. W zasadzie Adrian nie wątpił, że miał kolegów wszędzie. Widział twarz mordercy i nie tego się spodziewał. Oczekiwał potwora, a zobaczył zagubionego chłopca. Zobaczył kogoś zdezorientowanego, zatraconego. To straszne, jak ktoś zabawia się kosztem twojego umysłu, fundamentalnie zmienia ciebie od podszewki. Oczywiście wszyscy napotkani ludzie mają na ciebie wpływ. Bez względu na wielkość interakcji wszystko ma znaczenie. Jak odciski palców na kartce papieru przekazywanej dalej. Niektóre palce są brudniejsze od innych; niektóre zostawiają trwałą plamę. Pomyślał o Andrei i o tym, jak będzie wściekła, bo pomimo jej licznych wad miłość do syna była oczywista. Była prawdziwą i kochającą matką, o niebo lepszą od tej, którą on miał. Nie wyobrażał sobie, przez co teraz przechodzi Andrea, a gdyby powiedział jej to, co wie, jeszcze bardziej by ją to przybiło, więc skupił się teraz na jednym, na odzyskaniu Toma.

Trudno było mu skoncentrować się na zadaniu, kiedy było ono tak przerażające. Adrian musiał oddzielić swoje uczucia, bo inaczej nie poradzi sobie. Robił to dla Andrei. Jeżeli naprawdę będzie się zastanawiał, gdzie może być Tom albo co przechodzi, to serce skręci mu się na supeł, i nikomu na nic się nie przyda, więc niech teraz ktoś inny tym się martwi. On nie mógł.

Zaraz miał być zjazd na lotnisko, Adrian wcisnął gaz, wiedząc, że Harry'emu w żyłach płynie adrenalina, myśl, że już prawie uciekł, że prawie jest wolny. Adrian zajechał na zatokę dla taksówek i wyskoczył z samochodu, wbiegł na lotnisko, dopadł do ochrony przy drzwiach. Sięgnęli po pałki, kiedy zobaczyli, że się zbliża; zorientował się, że jest poplamiony krwią Grey, więc pokazał im odznakę.

— Musicie zabezpieczyć lotnisko, tam jest bardzo niebezpieczny człowiek.

— Przepraszam, ale potrzebny nam oficjalny dokument, aby uruchomić taką procedurę.

— Mogę stanąć na środku i krzyknąć „bomba”, jak chcecie. Pomóżcie mi!  
— błagał strażników Adrian.

— Jakies pięć minut temu inny facet wbiegł tu, też był zakrwawiony i też... miał odznakę. Zapytaliśmy go, a on powiedział, że miał wypadek z maszynką do włosów, pokazał nam ucho, więc go przepuściliśmy.

— Dzięki! — krzyknął Adrian, biegnąc do bramki. Port lotniczy w Exeter

nie był zbyt duży i Adrian szybko dotarł do wyjścia. Zlustrował tłum, ale nigdzie nie dostrzegł Harry'ego. Zobaczył krwawy odcisk dłoni na drzwiach toalety. Nie wyobrażał sobie, żeby komuś uszło to na Heathrow. Wszedł do środka; Harry stał przy umywalce i szorował dłonie. Jego marynarka leżała na blacie, a ranę po kuli na ramieniu zakleił sobie taśmą.

— Gdzie broń?

— Lotniska, nawet te małe, nie pozwalają wносить broni. — Morris wzruszył ramionami. — Obszukaj mnie, jak chcesz.

— Daruję sobie, jeżeli tobie to nie przeszkadza.

— Wiesz, że musiałem próbować?

— Nie puszczę cię.

— Nigdy nie zobaczysz Toma.

— Kiedy wyszedłeś, wiedziałem, że nie ma szans, abym go znowu zobaczył, jeżeli ciebie nie dogonię.

— Więc co teraz?

— Zabierzesz mnie do niego.

— Bo co?

— Bo pozwolę, aby twój stary przyjaciel ciebie znalazł. Widziałeś, co zrobił z tamtymi ciałami. Szkoda, że nie widziałeś Lowestofta.

— To były mięczaki, ze mną by tego nie zrobił.

— Upewnię się, że da sobie radę, jeżeli nie oddasz mi Toma, przysięgam na Boga, będę ciebie trzymał, a on będzie cię kroił na plasterki.

— Miles, nie masz jaj do tego — prychnął Harry, sięgając po papierowy ręcznik i wycierając dłonie.

— Wypróbuj mnie.

— Nie możesz mnie tknąć, Adrian, moi ludzie cię sprzątną.

— Jacy ludzie? Daniels się zabił.

— Daniels był odważny, ale nie, nie chodzi mi o niego, a o ludzi, którzy są ważni, inni w policji, wyżej ode mnie.

— Co wy wszyscy knuliście? Po co wam te okropieństwa?

— Wtedy były inne czasy.

— Nie tak, kurwa, inne, żeby torturować dzieci. Jezu, Harry, jesteś ojcem chrzestnym Toma! — Adrian nie mógł uwierzyć we własne słowa.

— Mieliśmy cel, mieliśmy misję! Są dowody, że można zmienić tego rodzaju zachowanie u ludzi. Mogą znowu być normalni.

— A co ty wiesz o normalności? Patrz, czego narobiłeś. Stworzyłeś takiego zabójcę, jakiego nigdy nie widziałem.

— On był inny. Miał ochronę od środka, jego dziadek nie pozwalał nam zrobić tego, co trzeba, spietrał się w ostatniej chwili. Dlatego nic nie mogliśmy poradzić.

— On nie potrzebował waszej pomocy! Żaden z nich jej nie potrzebował! Nic im nie było!

— Nie opowiadaj liberalnych bzdur.

— A co z tym chłopakiem, tym bezdomnym? Był jedną z waszych... ofiar.

— To nie ja. Pete przesadził. Kazał tamtemu drugiemu, Sebastianowi, patrzeć, kiedy ciął jego kolegę na kawałki, przez to mu odbiło, nie przez to, co my robiliśmy.

— Myślisz, że to, co wy robiliście, to nie przesada?

— Miles, musisz to zostawić, dla własnego dobra. Nie masz pojęcia, jak wysoko to sięga.

— Nie mam lęku wysokości, szefie. Kimkolwiek jest ta osoba, ja się nie boję.

— Powinieneś się bać. To nie jest jedna osoba, Miles, to może być każdy. Ci ludzie są wszędzie.

— Braliście dzieciaki ze szkoły? Stamtąd? Dlaczego nikt ich nie szukał?

— Szkoła miała umowę z jednym z domów zastępczych w okolicy, wybierali najbystrzejszych i najlepszych. Wszystko w ramach niesienia pomocy. Zarządzał tym Jeff Stone. W tym systemie nie traktuje się priorytetowo dokumentacji na temat dzieci, nawet dziś, a wtedy zupełnie się nie zgadzała.

— Niedobrze mi się robi, jak o tym mówisz. Ty słyszysz samego siebie? Wierzysz w te bzdury?

— Myślałem, że zrozumiesz. To była taka nasza słabostka, taki eksperyment. Zgarnęliście wszystkich graczy, ja jestem ostatni. Ale rzecz w tym, że to jest coś większego. Są ludzie w mieście, którzy mają wiele do stracenia, jeżeli to wyjdzie na jaw. Poczekaj. Dzieją się rzeczy, których nie widzicie. Nawet nie patrzycie. Ci ludzie po prostu pozwalają nam to robić, o ile nie koliduje to z ich działaniami. Nikt o nich nie mówi, bo nigdy nie wiecie, kto słucha.

— Błefujesz. Daj sobie spokój z tą konspiracją, wychodzisz na jeszcze większego wariata, o ile to w ogóle możliwe. Nie ma żadnych „ich”.

— Chciałbym, żeby tak było. Ta rozmowa to dla mnie większe niebezpieczeństwo niż ten chłopak. Ich nie interesuje naprawa rzeczy, twoja sprawa zniknie, a z nią twoja kariera. Mówię ci, Adrian, jak będziesz w tym grzebał, to sobie wykopiesz grób.

— Myślałem, że chcesz mnie przekonać, abym ci nie robił krzywdy, ale... nadal chcę. Jednak bardziej chciałbym odzyskać syna. Harry, jak chcesz uratować głowę, oddaj mi go natychmiast. — Adrian chwycił go za ramię.

— Dobra, zabiorę cię do niego. — Harry spojrzał na rękę Adriana. Jego palce pobielały, bo tak mocno go trzymał.

Adrian zaprowadził Harry'ego z powrotem do samochodu. Skinął strażnikowi, który pomógł mu wcześniej. Jeżeli to mu się powiedzie, wróci do

niego i podziękuje należycie. Adrian związał Harry'emu ręce i wepchnął na siedzenie pasażera. Sam usiadł za kierownicą i wyjechał z lotniska.

Jeszcze było jasno, ale niebo szarzało, chmury groziły deszczem, gdy jechali autostradą w stronę wybrzeża.

— Skręć w następny zjazd w lewo — odezwał się w końcu Harry, Adrian posłuchał go. Każda komórka jego ciała pragnęła, aby to nie był podstęp, ale chodziły mu po głowie niepokojące myśli. Jedno pewne, co wiedział o Harrym, to że nie wie o nim nic. Każda nowa wiadomość dzisiaj była bardziej szokująca od poprzedniej, do tego stopnia, że już w ogóle stracił orientację. Harry nie był ludzką istotą, teraz Adrian to rozumiał. Zasłona została uniesiona i zobaczył ukrywającego się za nią potwora.

Jechali przez las, drzewa po obu stronach drogi, w tunelu zieleni, gdzie światło słońca przebijało się z trudem. Po drugiej stronie czekała na nich przepiękna wiejska okolica. Szachownica zielonych i żółtych pól, miękkich i falujących, niczym koc przykrywający dolinę. Na przedniej szybie pojawiły się drobne krople deszczu, lekka mżawka. Gdy Adrian włączył wycieraczki, usłyszał kliknięcie, spojrzął na Harry'ego i zobaczył, że odpiął swój pas bezpieczeństwa. Po co? Harry błyskawicznie odpiął też jego pas, po czym schwycił kierownicę i szarpnął nią w prawo. Adrian usłyszał zgrzyt, gdy samochód przebił się przez barierę, zobaczył stromiznę, szybko chwycił pas i zapiął go z powrotem. Wtedy pęd samochodu kontra kawałki drewna i kamienie na jego drodze oznaczały tylko jedno, co mu pozostało: modlić się, aby to nie był koniec. Modlitwa nigdy nie szła dobrze Adrianowi.

Imogen już nic więcej nie czuła. Jednak nadal słyszała i mogła mówić, chociaż nie rozumiała wypowiedzianych słów. Było jej zimno, tyle wiedziała. Była wdzięczna za szok, tylko tak utrzymywała świadomość. Mężczyzna głaskał ją po włosach; to on był tym zabójcą o zimnym sercu, którego ścigali. Opierała głowę na jego kolanach, a on trzymał ją za rękę i mówił do niej, uspokajał, podtrzymywał kontakt z teraźniejszością. Ostatni raz, kiedy została zaatakowana, nie było nikogo przy niej do czasu, aż przyjechała policja, nie wiedziała, czy w ogóle ktoś się zjawi. Teraz było o wiele lepiej.

— Karetka w drodze.

— Dziękuję — usłyszała własny głos. Znajdowała się gdzieś między świadomością a snem. Nie mogła przejść na stronę snu, sen oznaczał koniec.

— Mów do mnie. Jak wpadniesz w szok, to prawie na pewno umrzesz, zostań ze mną, chociaż to boli. Masz na imię Imogen, tak?

— Tak, Imogen.

Pomyślała o swojej matce, że przyjmie jej śmierć jako osobisty afront. Wyobrażała sobie, jak opowiada wszystkim swoim przyjaciółkom: „Mówiłam jej, że to się tak skończy”, gdy będą ją pocieszać na pogrzebie.

— Czy wiesz, że przed Szekspirem to imię nie istniało?

— Nie, nie wiedziałam — zdołała odpowiedzieć. Koncentrowała się mocno na jego cichym głosie. Koncentrowała się jeszcze mocniej na własnych odpowiedziach.

— To był błąd drukarzy, mieli złożyć to imię jak Innogen.

— Skąd to wiesz?

— Lubię czytać. Długo towarzyszyły mi jedynie książki.

— Jak uciekłeś?

— Powiem ci, ale najpierw wyjaśnij, dlaczego się postrześliłaś?

— Kolega mówił, że to dobre miejsce, żeby przyjąć postrzał. Zapomniał powiedzieć, jak to cholernie będzie bolało. — Zapamiętała sobie, żeby walnąć Tunneya naprawdę mocno w ramię, jeżeli w ogóle z tego wyjdzie.

— Nie o to mi chodzi.

— Zanim mnie tu przeniesiono... prowadziłam sprawę... Wbrew mojej woli uwięziono mnie, napadnięto, dźgano nożem i zostawiono, żebym umarła... Myślałam, że umrę... — Płonący ból w ramieniu robił się coraz gorszy, skupiła się mocniej na tym, co mówi. — Nie mogłam przechodzić przez to jeszcze raz... Obiecałam sobie, że ni-gdy... O Boże... nie wiem, jak ty przez to wszystko przeszedłeś. — Rozplakała się. — Nie spałam, od kiedy to się stało, nie mogłam, to nic w porównaniu z tym, co ty musiałeś znieść.

Przypomniała sobie zdjęcia z muzeum i chciała go pocieszyć. Gdyby był jej synem, zaopiekowałaby się nim. Kiedy odkryła, że jest w ciąży, doznała szoku, była nieszczęśliwa, ale kiedy wbili w nią nóż, zrobiłaby wtedy wszystko, aby chronić życie, które zaczęło się w niej rozwijać.

— Nie pamiętam ucieczki, mózg zablokował mi tak wiele szczegółów. Dziadek dał mi klucz do kajdan i trochę pieniędzy, żebym mógł uciec — powiedział Sebastian. — Podłożyłem ogień. Zostawili mnie samego na kilka godzin, myśleli, że jestem nieprzytomny, ale ja tylko udawałem; przestałem reagować na cokolwiek, więc było łatwo udawać nieprzytomnego. Więc, tak, podłożyłem ogień. W muzeum było dużo starych, suchych rzeczy. Wziąłem zapalniczkę z biurka dziadka i podpaliłem dioramę zrobioną głównie ze starych łupin, więc zajęła się szybko. Oficjalny komunikat to spięcie w instalacji elektrycznej, ale to nieprawda. Dziadek zapłacił ludziom badającym przyczyny pożaru, więc nikt się niczego nie dowiedział.

— Znałeś chłopaka, którego zabili?

— To był mój przyjaciel, to przez niego tam się znalaz-łem, a on przeze mnie.

— Widziałeś, jak go zabili? — wyszeptwała, bo mówiła z coraz większym trudem. Czowała się, jakby spadała w przepaść. Czekwała na uderzenie, ale nie nadchodziło, -tylko to nieskończone wrażenie spadania. *Czy tak odbiera się*

*śmierć?*

— Dasz radę, tylko nie zasypiaj, zaufaj mi. To był dobry strzał, na wylot, większość powikłań jest wynikiem infekcji, gdy kula zostanie w środku, wiemy, że tak się nie stało. Uda ci się.

— Nie dam rady. — Zaczęła płakać.

— Tylko skup się na pozostaniu przytomną, nie pozwolę ci umrzeć.

— Dobra — szlochała. Słyszała syreny karetki, razem z policyjnymi. — Musisz iść, bo jak cię złapią...

— Nie zostawię cię.

— Proszę, obiecuję, że nie umrę, naprawdę. — Nie udało jej się zachować dziecka, które było w niej, nie mogła uratować chłopców, którzy byli torturowani przez te bestie, ale przynajmniej mogła uwolnić tego człowieka, nie mógł przez nią skończyć w więzieniu. Poczula, jak delikatnie wysuwa się spod niej i powoli układa jej głowę na podłodze. Uścisnął jej dłoń czule, a potem przysięgłaby, że pocałował ją w czoło. Usłyszała otwieranie okna i została sama.

— Słyszysz mnie, skarbie? Jak się nazywasz? — pytał sanitariusz pochylony nad nią.

— Imogen, jak u Szekspira. — Zaśmiała się, przynajmniej w duchu.

Kolumna kierownicy naparła na pęcherz Adriana, nie miał na tyle woli, aby powstrzymać się przed oddaniem moczu; kiedy będzie po wszystkim, to będzie jego najmniejszy problem. Usta miał jednocześnie suche i mokre, i coś w nich zgrzytało, co początkowo brał za zęby, a okazało się przednią szybą, która roztrzaskała się przy zderzeniu z drzewem. Metaliczna wilgoć, jaką wyczuwał, to na pewno krew z mikroskopijnych naciec spowodowanych przez hartowane szkło, które wypełniało mu usta.

Nadal był zdezorientowany, pamięć ostatnich kilku chwil próbowała przedrzeć się do świadomej części mózgu. Tuż przed jego twarzą tkwiła gałąź. Czuł zapach wilgotnej kory pod swoim nosem. Widział ciało Harry'ego poza przednią szybą. Leżało rozłożone na masce. Nie żył.

Adrian mimowolnie nabrał powietrza, desperacki krzyk uleciał z jego ust. Nie potrafił już dłużej skrywać uczuć. Wiedział, że teraz już nigdy nie odnajdzie syna. Od czasu zaginięcia Toma była taka możliwość, że Harry skłamał i Tom nie żył. Jeżeli nadal żył, to Adrian nie miał pojęcia, jak go odnaleźć, nie miał pojęcia, czy w ogóle wydostanie się z samochodu. Słony smak łez zmieszany z metalicznym posmakiem krwi przyprawiały go o mdłości, w głowie mu dudniło. Sięgnął do pasa i odpiął go. Nie czuł nóg. Zobaczył światelko swojego telefonu na dywaniku w nogach, gdy ten zadzwonił. To była Andrea; nawet gdyby po niego sięgnął, nie wiedział, co ma powiedzieć. Nie miał pojęcia, czy w ogóle może mówić. Zebrał w sobie tyle energii, aby wypluć szkło z ust. Napierał rękami na kierownicę, nadaremno. Powróciły zawroty głowy i znowu ogarnęła go mgła.



Adrian poczuł, że ktoś go dotyka. Usłyszał jakieś koszmarnie wiercenie, a po nim potworny mechaniczny jęk, samochód pękał, gdy szczęki życia otwierały go, aby stworzyć bezpieczne przejście dla ofiary wypadku. Całe jego ciało zazgrzytało, gdy przenosili go na nosze, napinał mięśnie przy każdym ruchu, opierał się uwolnieniu. Jego podświadomość nie chciała ocalenia, czy odrobiny świadomości, którą próbował ignorować. Wiedział, że kiedy się obudzi, fakt utraty Toma -będzie nie do uniknięcia, więc chciał zostać w tym stanie zawieszenia jak najdłużej. Znajdował się gdzieś między życiem a śmiercią, gdzie czas był zarazem wieczny i nieporuszony. Usłyszał głos sanitariusza, próbującego go przywołać z powrotem do terażniejszości, ale on nadal się opierał. Chciał krzyczeć na tego człowieka. *Zostaw mnie, daj mi umrzeć.* Z każdym utrudzonym oddechem Adrian zasysał z powrotem terażniejszość. Nie mógł już dłużej ukrywać się bezpiecznie w swoim rannym ciele i złamanym umyśle.

— Detektywie Miles, słyszy mnie pan? — Głos sanitariusza stawał się wyraźniejszy. Adrian jęknął, było za późno. Budził się.

Świetnie. Oto słowo, które nic nie znaczy, słowo, którym ludzie szafują. Adrian zastanawiał się, czy jeszcze kiedyś będzie „świetnie”. Bolało go w środku i na zewnątrz.

— Harry? — udało mu się w końcu powiedzieć przez maskę tlenową. Sanitariusz pochylił się i lekko odsunął maskę. — Harry?

— Przykro mi, ale nie przeżył — odpowiedział pocieszającym tonem sanitariusz.

Adrian zamknął oczy, był taki zmęczony, dzięki tlenowi było mu lżej; chciał poszybować nad bólem i zasnąć. Płakał, nie mógł przetykać i czuł się, jakby cały ciężar świata zebrał mu się w gardle. Tom.

Kiedy znowu Adrian otworzył oczy, ujrzał rozmazany obraz Andrei siedzącej przy szpitalnym łóżku, włosy miała rozpuszczone, była bez makijażu. Płakała. Zastanawiał się, czy nadal ma spać, aby oszczędzić sobie tej nieuniknionej -reakcji. Słyszał pikanie monitora serca; rytm musiał się lekko zmienić, bo Andrea spojrzała na niego. Nabrała wyrazistości, a jemu serce znowu pękło.

— Powiedział coś, gdzie jest Tom, zanim umarł? — zapytała. Adrian dostrzegł błysk nadziei w jej oczach, usłyszał go w jej głosie. Nie miał wyboru, pokręcił przecząco głową. Wybuchła płaczem, on sięgnął do jej dłoni i przytrzymał ją; odsunęła się.

— Jak długo tu jestem?

— Kilka godzin. Ktoś zadzwonił na policję, kiedy twój samochód wypadł wczoraj z drogi. Było o tym w wiadomościach. Teraz jest prawie szósta rano. — Jej głos był monotony, niemal nie było w nim prawie nienawiści.

Adrian spróbował usiąść. Wyrwał kroplówkę z ręki i oderwał kable przyklejone do piersi. Poderwał nogi, aby postawić je na podłodze, i natychmiast

pożałował tak szybkiego ruchu. Żebra go zapiekły, gdy postawił stopy, bolesny wstrząs przebiegł jego ciało jak błyskawica. Oparł się o łóżko zabandażowaną ręką.

— Potrzebne mi ubranie.

— Co robisz?

— Muszę poszukać Toma.

— Ledwo możesz się ruszać.

Adrian usłyszał znajomy głos Denise spierającej się z jakąś pielęgniarką. Odwrócił się z powrotem do Andrei i ścisnął jej dłoń.

— Obiecałem ci, że go odnajdę.

Szedł, a towarzyszył mu nowy poziom bólu, na jego -dawne siniaki nałożyły się nowe. Denise dostrzegła go i podbiegła mu pomóc, wsparł się na niej ramieniem, a ona przejęła jego ciężar.

— Mój Boże, Adrian, co się dzieje?

— Mnie samemu mylą się te wszystkie szczegóły.

— Morris nie żyje, Mike nie żyje, a Imogen wyszła już z intensywnej opieki.

— Jest tu?

— Tak, byłem tu prawie całą noc, nie wpuścili mnie do ciebie, bo nie jestem z rodziny, czy coś takiego. Dopiero gdy wybudzisz się należycie. Zabiorę cię do niej, chcesz?

Denise poszukała wózka inwalidzkiego i pomogła -Adrianowi usiąść. Zawiozła go przez szpital do pokoju Grey. Kiedy spojrzał na jej ciało pokryte kablami i rurkami, przypomniał sobie śmiertelny odcień bieli na jej skórze. Przypomniał sobie, że zostawił ją, aby umarła.

— Wróciłaś? — Grey uśmiechnęła się do Denise.

— Tak, przywiozłam ci gościa. — Denise podeszła i odgarnęła włosy z czoła leżącej. — Pójdę po kawę.

Usta Grey drżały; oczy miała pełne łez. Adrian nie mógł znieść ciężaru winy, ale sam się do tego doprowadził. Pozwolił, aby nim manipulowano, był zbyt ufny — a nigdy nie przypuszczał, że jest do tego zdolny. Zmieniły się reguły gry, definicja zła, które mu ciążyło, zmieniła się. Tak dzieje się gdzie indziej, nie w świecie Adriana.

Grey uniosła rękę i wyciągnęła do niego. Adrian przysunął się do niej i schwycił ją. Ścisnęła mocno jego dłoń.

— Przepraszam, że cię zawiodłam.

— O czym ty mówisz, Grey? Nie masz za co przepraszać. To ja powinienem. Nie chciałem zostawić ciebie tam samej.

— Nie byłam sama. — Uśmiechnęła się.

— Zostawiłem cię z psychopatycznym seryjnym za-bójcą.

— Lekarze powiedzieli, że uratował mi życie, zatamował krwawienie i opatrzył ranę. Wezwał pogotowie i trzymał mnie za rękę, aż nie usłyszał syreny.

— Ja powinienem to zrobić. Powinienem zostać z tobą.

— Znalazłeś Toma?

— Nie. — Adrian pokręcił głową, powstrzymując łzy. — Pojadę zaraz go szukać.

— Powodzenia.

Denise pojawiła się z powrotem z dwiema kawami i jedną podała Adrianowi.

— Masz coś silniejszego?

— Przepraszam, Imogen. Nie możesz jeszcze nic przyjmować.

— Masz szczęście, ta kawa smakuje jak gówno. — Adrian wymusił uśmiech.

— Mam nadzieję, że mój samochód wygląda lepiej od ciebie.

— Jeżeli o to chodzi...

— To moja wina, że upierałam się przy prowadzeniu, mogłam zrobić ci przysługę i wjechać twoją zardzewiałą cytryną w ten jebany wąż.

— Muszę iść. Wrócę do ciebie potem.

— Lepiej tak zrób.

Adrian wszedł do swojego domu. Panowała w nim samotność większa niż zwykle. Ale nie czuł samotności, odczuwał stratę, stratę, której nie chciał zaakceptować. Myślał o wszystkich rodzicach, z którymi rozmawiał w przeszłości, których dzieci zaginęły, jak było mu ich żal i jak ich pocieszał. Uświadomił sobie teraz, jak pusto musiały brzmieć jego słowa. Pusto jak jego obietnica odnalezienia Toma. Nie miał teraz pomysłu. Myślał, że zna Harry'ego. Myślał, że był tą jedną z nielicznych osób na świecie, którym mógł zaufać. Poszedł na piętro do sypialni i usiadł na brzegu łóżka. Nadal miał na sobie szpitalną koszulę, spojrzął na rękę i pociągnął za bandaż, odsłaniając ranę ze szwami. Wbił w nią palce i wyrwał szwy ze skóry. Nie mógł płakać. Chciał wywołać fizyczną reakcję, która wywoła płacz. Musiał wyrzucić z siebie tę kulę złości, strachu i smutku. Jako dziecko nauczył się, że płacz to słabość, więc zwalczał go na poziomie poniżej świadomości, pozostawał poza jego kontrolą. Popłynęła krew, ale nadal nie łzy, zawsze czały się, ale nigdy nie płynęły. Zamiast tego słony płyn przyklejał się do gałek ocznych, aż zaczęły go piec, ale łzy nigdy nie śmiały popłynąć. Patrzył, jak krew kapie na dywan. Nieważne. Chciał się ubrać, wstać i walczyć jeszcze więcej, ale był tak zmęczony. Opanował chęć sięgnięcia po butelkę i podszedł do szafy, wyciągnął dzinsy i koszulę. Rozerwał szpitalną koszulę i rzucił ją na podłogę.

Spojrzał na bandaże na żebrach, przesączone czerwienią. Miał straszną ochotę zdjąć je i włożyć palce do środka, aby znaleźć źródło krwawienia i powiększyć je, aż całego go pochłonie. Zignorował to uczucie i ubrał się. Koszula natychmiast wchłonęła krew sączącą się z ręki. Zejście po schodach było tak samo bolesne jak wejście. Pomyślał, że słuch go wprowadza w błąd, ale kiedy zbliżył się do salonu, usłyszał telewizor. Czyżby wcześniej nie zauważył, że był włączony?

Przyspieszył i zobaczył Toma. Czy miał halucynacje? Czy zemdlął w sypialni? Tom leżał na podłodze i patrzył przed siebie. Adrian ciągle zastanawiał się, co się dzieje. Podbiegł do Toma i w końcu popłynęły łzy, objął syna, nie zwracając już uwagi na ból w żebrach.

— Myślałem, że cię straciłem! — wyszłochał Adrian.

— Nie wiedziałem, gdzie jestem. Próbowałem wyjść. Było tak ciemno — mamrotał Tom, pociągając nosem.

— Naprawdę tu jesteś? Nic ci nie jest, Tom.

— Jakiś pan mi pomógł. Tata, jestem taki zmęczony.

— Dobrze, cii, idź spać. Już dobrze, teraz jesteś bezpieczny. — Adrian pogłaskał go po głowie i wyciągnął telefon, gotowy zadzwonić do Andrei, Bóg jedyny wiedział, przez co ona przechodzi.

Kiedy wstał, zauważył Parkera w drzwiach.

— Przepraszam — powiedział.

— Przepraszasz? Dlaczego? Gdzie go znalazłeś?

— Od jakiegoś czasu śledziłem Morrisa. Znam wszystkie jego tajemnice. Wynajmuje garaż w małej wiosce, Pinhoe, tuż za miastem. To wszystko moja wina. Żałuję, że nie pozabijałem ich wszystkich już dawno temu. Wtedy nigdy by do tego nie doszło.

— Kim jesteś? Tym chłopakiem ze zdjęć?

— Kiedyś nim byłem, teraz już nie.

— Kiedy to było? Jak dawno?

— Osiemnaście lat temu. Udało mi się od nich uciec.

— Policja będzie chciała z tobą porozmawiać. Po co wróciłeś? Mówiłem, że będę musiał cię zaaresztować.

— Wiem, ale chciałem odwieźć go do domu. To było ważne.

Adrian spojrział na Toma leżącego na kanapie. Gdzieś w głowie pozostawała myśl, że syn nie żyje. Nadal czuł w sobie ten ból. Musiał przestać sprawdzać, czy Tom jest realny.

— Dobrze się spisałeś. Więcej ciebie nie widziałem — zdecydował Adrian po zastanowieniu.

— Nie musisz tego robić. Jak zaczynałem, to wiedziałem, że szanse, aby mi to uszło na sucho, są marne. Jestem gotowy przyjąć karę.

— Wiem, że nie mnie o tym decydować, ale zostałeś już wystarczająco ukarany, moim zdaniem.

— Abbey powiedziała mi, że przekazała tobie księgę. Możesz oddać ją władzom, jak chcesz. Muszą wiedzieć, co się stało.

— To twoja dziewczyna? Widzę, że bardzo jej na tobie zależy.

— Ona nie miała z tym nic wspólnego, zupełnie nic nie wiedziała. — Przerwał. — Jest tam opisany inny chłopak, nazywał się Nathan Cole. Nie znam

nazwisk innych, ale jego znałem. Jego ciała nigdy nie zidentyfikowano. Rodzina nie wie, co się z nim stało.

— Chłopak w tej walizce?

— Kiedyś byliśmy przyjaciółmi, najwyraźniej ta przyjaźń przeszkadzała dziadkowi i w swej mądrości zaprowadził mnie do swoich kolegów.

— Twój dziadek?

— Był stary i zgorzkniały. Tylko ja zostałem mu po zmarłym synu. Ostatecznie to on mi pomógł, tylko dlatego przeżyłem. Nathan nie miał tyle szczęścia. Patrzyłem, jak go zabijali, kazali mi patrzeć.

— Teraz już skończyłeś? Dlaczego czekałeś tak długo?

— Obiecałem staruszkowi, że zniknę. Zapewnił mi nową tożsamość i miałem pozostać w ukryciu. Nie chciałem się mścić, ale kiedy on zmarł, nie miał już ich kto bronić. Zostawił mi większość majątku. Miałem dosyć pieniędzy, aby w końcu naprawić rzeczy, w imię Nathana. A odpowiadając na to pytanie, to tak, już skończyłem.

— Tylko ja i Grey wiemy, kim jesteś, nie będziemy więcej zajmować się tą sprawą, a znaleźliśmy ciebie, bo tego chciałeś. — Adrian wiedział, że nie może aresztować -Parkera.

— Co z nią?

— Żyje. Dzięki Tobie.

— Detektywie, rozumiem, jak trudno jest utrzymać tajemnicę. Nie proszę cię o to.

— Wiem. Popełniłem dużo rzeczy, za które powinienem oberwać, mam wrażenie, że jak ciebie wypuszczę, to nie będę musiał czuć się winny.

— Wobec tego pozostanę twoim dłużnikiem.

— Już dałeś mi wystarczająco dużo, to ja nie będę w stanie odplacić się tobie. — Adrian spojrzał w stronę kanapy.

— Detektywie, zajmij się synem. Nic mu nie jest, jest tylko trochę skołowany. Chyba dostał jakieś narkotyki, ale nic mu nie będzie. Jak wrócisz do szpitala, to weź go z sobą.

— Dziękuję. — Adrian położył rękę na ramieniu Parkera. — Co teraz zrobisz?

— Zabiorę Abbey do miejsc, o których jej opowiadałem. Nic nas już tu nie trzyma.

Adrian dostrzegł uśmiech pojawiający się na twarzy Parkera. Wiedział, że tak należy postąpić. Nie mógłby z sobą żyć, gdyby postąpił inaczej.

— Powodzenia, Parker.

Adrian odprowadził go wzrokiem. Nie mógł uwierzyć samemu sobie, że pozwolił odejść temu człowiekowi, po tym, co zobaczył, ale to było usprawiedliwione, nie powinien trafić do więzienia. Podszedł do kanapy i usiadł

obok Toma. Syn nadal spał. Adrian przyglądał się temu pięknemu obrazowi, gdy Tom głęboko oddychał przez sen, odsypiając to, co podał mu Harry. Powinien wezwać pogotowie. Ale wprawdzie musiał wymyślić, jak to wszystko wytłumaczy. Wiedział, że rozpęta się niewiarygodna burza. Był na to przygotowany. Odzyskał syna i uczucie bezradnej pustki znikło. Już nigdy nie chciał przeżywać tego ponownie. Na świecie było teraz tylko kilkoro ludzi, którym Adrian ufał, i tak już miało zostać. Sięgnął po telefon i zadzwonił do Andrei.

— Andi, mam go, mam naszego syna. — Sam nie wierzył tym słowom, gdy je wypowiadał, ale były prawdziwe. Słyszał, jak Andrea szłocha na ramieniu swojego męża, który ją pociesza. Rozłączył się i położył na kanapie, w końcu pozwolił sobie na odpoczynek.

Nie wyobrażał sobie, aby cała ta historia wyszła na jaw, nie, jeżeli Harry miał rację co do ogromu korupcji. Będą kłamstwa, będą się kryć nawzajem. Adrian wiedział, że diametralnie zmienił perspektywę i życie stanie się bardziej skomplikowane, niż dotąd było, ale mimo to lepsze niż życie z klapkami na oczach. W sumie wolał poznać prawdę, bez względu na to, jak paskudna by była. Z ręką na głowie Toma czekał na ten cały cyrk.

